


PRZECHRZTA

ADAM

BIŁE  
MOCE



fabryka słów



**Adam Przechrzt**, historyk, doktor nauk humanistycznych, pedagog, autor artykułów na temat historii, sztuk walki nożem i okinawańskiego karate. Interesuje się działaniami służb specjalnych. Żonaty, ma dwójkę dzieci.

Literacko zadebiutował w roku 2006, w „Nowej Fantastyce” opowiadaniem *Pierwszy krok*, rozwiniętym w wydaną z początkiem 2008 roku powieść pod tym samym tytułem. W „Science Fiction Fantasy i Horror” (wrzesień 2007) opublikował *Alchemika*, fragment *Chorągwi Michała Archaniola* (2009), drugiej powieści autora. Kolejną jest *Wilczy Legion* (2009), wyrosły z opowiadania, które zajęło drugie miejsce w plebiscycie czytelników NF na najlepszy polski tekst roku 2008. *Białe noce* (2010) to kontynuacja *Chorągwi Michała Archaniola*.

# WIAŁE MOSE



fabryka słów  
WWW.FABRYKA.PL



# ADAM PRZECHRZTA

# BIAŁE MOCE

ilustracje  
Jarosław Musiał



Lublin 2011

*SPIS CYKLU*

- 1. Chorągiew Michała Archanioła*
- 2. Białe noce*



**A**spirant Nowicki spojrzał na mnie ze złością i po raz kolejny zażądał wyjaśnień, dlaczego stawiałem opór policji. Nie odpowiedziałem, byłem zajęty: końcem języka dotknąłem obluzowanych zębów – przynajmniej trzy chwiały się solidnie. Czy da się je ocalić? Trudno powiedzieć. No, to akurat nie problem, za parę godzin poinformuje mnie o tym dentysta... Usiłowałem zatamować krwawienie z poharatanej butami antyterrorystów głowy, ale szło mi kiepsko – miałem do dyspozycji jedynie papierowe ręczniki. Starąłem się oddychać przeponą, żebra nie chciały współpracować, ani chybi trzasnęło przynajmniej jedno. Obmacałem nos – nie najgorzej, chrząstka była co najwyżej pęknięta.

– Jeśli nie chce pan mówić... – Rozłożył ręce z delikatnym, sugerującym anielską cierpliwość uśmiechem.

Musiał coś zobaczyć w moich oczach, bo chrząknął nerwowo i cofnął się bliżej drzwi. Wiedziałem, że wystarczy mu krzyknąć, za cienką ścianą czaiło się przynajmniej kilku mężczyzn. Być może ta sama ekipa, która przywiozła mnie na komendę.

– Za dwadzieścia minut – poinformowałem, spoglądając na ścienny zegar.

– Dlaczego nie za dziesięć czy piętnaście? – spytał ironicznie. – Tak pan to sobie precyzyjnie wyliczył?

Spróbowałem się uśmiechnąć, nie dałem jednak rady – rozbite wargi rwały paskudnie, a nawracające, coraz silniejsze zawroty głowy i mdłości sugerowały wstrząs mózgu. Nie miałem siły przekomarzać się z ociekającym pewnością siebie gliniarzem. Zobaczymy, czy za godzinę będziesz dalej taki zadowolony, skurwysynu, pomyślałem mściwie. Łowiłem ciche szmery zza ściany – najwyraźniej dzielni komandosi nie potrafili wytrzymać nawet dwóch minut bez drapania się po dupie. Albo facet się bał, albo chcieli mnie sprowokować i dodać parę siniaków do i tak już imponującej kolekcji. No, ale tutaj, w obecności protokolantki, nie będzie to takie łatwe.

Poczułem, jak kobieta wciska mi w dłoń kolejny kłęb ręczników. Zużyte, całkiem przesiąknięte krwią, wyrzuciłem do podsuniętego kosza. W sumie nic poważnego – rany głowy zawsze krwawią obficie, skóra jest mocno unaczyniona, jednak o ile nie ma jakichś wewnętrznych obrażeń, do wesela się zagoi. Bylebym tylko się nie porzygał, bo jeśli potraktują to jako pretekst do kolejnego lania...

– Gdzie ten lekarz? – mruknąłem.

– Och, myślę, że już jedzie. – Nowicki machnął bez troski ręką. – Sam pan wie, jak to jest z naszą służbą zdrowia.

– Ale wezwaliście go? – upewniłem się, starając wyraźnie artykułować słowa.

– Oczywiście! – wykrzyknął z udanym oburzeniem.



Zerknąłem na zegar – jeszcze siedem minut.

– Przecież macie tu jakąś apteczkę!

– Gdyby odpowiedział pan na moje pytania...

Zachwiałem się i o mało nie spadłem z krzesła, być może straciłem na moment przytomność. Podtrzymała mnie ciepła, kobieca dłoń – protokolantka.

– Wie pani, pani Basiu – wycedził policjant – tyle się teraz słyszy o AIDS, ta cała krew...

Słyszałem powolne tykanie ściennego zegara. Podniosłem wzrok w górę – trzy minuty. Niezgrabnym ruchem wyłowiłem z marynarki komórkę.

– Wujku? – spytałem.

– Trzymaj się – odpowiedział Maks. – Będę za pięć minut, Margarita jest u mnie razem z...

Nowicki gwałtownym ruchem wyrwał mi telefon.

– Myślisz, że jesteś sprytny, gnoju? – wysyczał.

– Dostatecznie sprytny, żeby załatwić paru skorumpowanych gliniarzy – wymamrotałem. – Czas minął. Chciał pan wyjaśnić? Proszę bardzo. Słyszał pan o pasywnych systemach antywłamaniowych? To ukryte kamery plus oprzyrządowanie. Proszę sobie wyobrazić, że mam coś takiego w przedpokoju. Włączyły się, kiedy ci wasi mołojcy wywalili drzwi. Nie robiłem z chałupy Fortu Knox, więc kamery nie przekazywały nigdzie obrazu, tylko nagrywały, wołałem, żeby przedwcześnie nikt od was tam nie grzebał, stąd moje milczenie. Zawiadomiłem wujka, żeby przyjechał, wyjął film i zaopiekował się żoną. Zdążyłem do niego zadzwonić i zostawiłem włączoną komórkę. Jak to się panu podoba? Nie muszę chyba dodawać, że także nasza urocza rozmowa została nagrana?

Milczał, zagryzając usta. Chyba nie był zachwycony.

– Pytał pan o stawianie oporu policji, więc wyjaśniam: nie stawiałem oporu. W momencie kiedy wasza ekipa wpadła do mieszkania, leżałem na podłodze, moja żona także. No, ale chłopcy chcieli się zabawić...

– Nic o tym nie wiem! – zapewnił szybko.

– O, zaczyna mi pan wierzyć! – stwierdziłem słodko.

Jednak zdołałem się uśmiechnąć, poczułem, jak pęka ledwo przyschnięty strup, a po brodzie spływa strużka krwi. Zabolało, jednak chyba było warto – pan aspirant nie miał już miny zdobywcy świata. No i ból odwracał uwagę od tych cholernych mdłości. Nie porzygam się. Być może.

– Podsumujmy – kontynuowałem. – Leżałem sobie grzecznie, lecz widocznie coś w mojej pozie mimo wszystko nie spodobało się pańskim ludziom...

– To nie są moi ludzie! – krzyknął, nerwowo przykajając ślinę.

– Spokojnie, wszystko się wyjaśni – mruknąłem do brodusznie. – Prędzej czy później.

Usłyszałem, że protokolantka wzywa przez telefon lekarza – mądra dziewczyna, lepiej, żeby jeszcze nie wychodziła z pokoju... Nowicki milczał, oddychając szybko jak zaszczute zwierzę; no proszę, a jeszcze nie minęła godzina.

Znowu wahałem się w przód, umysł nie kontrolował już mięśni, a może sfiksował błędnik? W sumie nic dziwnego. Protokolantka podtrzymała mnie po raz kolejny. Na nagim przedramieniu poczułem dotyk jej dłoni: dwa, nie – trzy pierścionki. Doszedł mnie zapach jakichś perfum – zmysły rozpaczliwie czepiały się rze-

czywistości, walczyłem, aby nie odplynać w mrok. Kojący, ciepły, obiecujący zapomnienie. Nowicki przerwał ciszę, ale nie rozumiałem, co mówi – dźwięki dochodziły do mnie niewyraźnie, niczym odfiltrowane przez grubą watę, oparłem się o coś miękkiego, drobny, twarde przedmiot zadrapał mi czoło, guziki? Cholera, wyświnie jej całą bluzkę. Zaszumiała woda w rurach, ten dźwięk przyniósł pociechę całej naszej trójce, przerwał słowotok aspiranta. Z korytarza dobiegły kroki, lecz te niosły dobrą wieść tylko dla mnie. Dla mnie. Załomotało przewrócone krzesło – policjant chciał wybiec z pokoju, nie zdążył. W progu stanął Maks w towarzystwie dwóch nieznanych mi mężczyzn. Prawnik i...?

Nowicki rozwiał moje wątpliwości, stanął na baczność.

– Za godzinę u komendanta – polecił tamten drugi ochrypłym, zdartym głosem.

Pijak? Nie, raczej palacz. Taki, co to wypala przynajmniej dwie paczki dziennie. Na oko pod sześćdziesiątkę. Za młodu pewnie go nie informowali o szkodliwości palenia...

– Możemy już iść? – spytał Maks.

– Oczywiście.

– Zajmij się dziewczyną – wymamrotałem, schodząc powoli po stopniach. – Wiesz, protokolantką. Te chujki ostro pogrywają.

Wujek podtrzymał mnie pod łokieć, drugą ręką czepiałem się poręczy. Pewnie karetka czekała przed komendą, ale pozwolił mi zachować odrobinę kontroli, wiedział, jak bardzo tego potrzebuję, nie zawołał sanitariuszy z noszami.

– Spokojnie, dopilnuję wszystkiego – obiecał. – Ci trzej jeszcze dzisiaj zostaną zawieszani. Nie wiem, co zrobi z Nowickim komendant, ale pewnie go nie pogłaszcze.

– Było ich pięciu! – warknąłem.

– Nie, tylko trzech – sprostował. – Dwóch pozostałych cię uratowało, nie pozwolili tamtym dalej bić. To znaczy po tym, jak powiedziałaś, co sądzisz o mamusi dowódcy grupy...

– Nie miałem wyjścia, uderzył Margaritę. Co z nią?

– A co ma być? – Maks wzruszył ramionami. – Boi się o ciebie.

– Pytałem, czy nic jej nie jest!

– Dostała tylko po buzi, przeżyje.

– Spieprzyłem sprawę, powinienem...

– Opowiesz mi o tym później – uciął. – Teraz mamy ważniejsze sprawy, na przykład zbadać, w jakim jesteś stanie.



Strumień powietrza wpadający przez otwarte okno przyjemnie chłodził twarz, uspokajająco szumiały opony. Po trwających dwie godziny badaniach lekarz, znajomy Maksa, wypisał mnie ze szpitala na moją prośbę. Nie było źle – lekki wstrząs mózgu, pęknięte żebro, musiało mi założyć kilka szwów na głowie.

– Bydlaki! – wycedziła z pasją Wika, docisnęła pedał gazu, przyspieszając łagodnie.

Prowadziła wyjątkowo ostrożnie, a przeważnie pani prokurator jeździła jak rajdowiec. Poznaliśmy się dawno

temu w rodzinie zastępczej. Przez długi czas nie utrzymywaliśmy ze sobą żadnych kontaktów, i ja, i moje „rodzeństwo” – miałem jeszcze trzy „siostry” i „brata” – chcieliśmy jak najszybciej zapomnieć o Siwym, naszym opiekunie, a znajome twarze przywoływały na jawie sceny, które i tak powracały do nas w koszmarach. Siwy lubił małe dziewczynki i nie znosił, kiedy ktoś przeszkadzał mu w jego drobnych przyjemnościach. Byłem najstarszy, więc próbowałem. Skończyłem w szpitalu, a Siwemu odebrano opiekę nad nami, później pojawił się Maks.

– Nie zasypiaj! – odezwała się ostro Wika, widząc, że przysmykam oczy.

– Gap się przed siebie, a nie w lustro – burknąłem.

– Ale jak zaśniesz...

– To nic mu się nie stanie – Maks wszedł jej w słowo. – Lekarz pozwolił.

Syknałem, kiedy wóz podskoczył na wyboju. Skręciliśmy w leśną drogę.

– Jak... – zawahałem się przez moment – sytuacja?

– Wszystko pod kontrolą – odparł spokojnie Maks. – Jak już mówiłem, ci gliniarze zostaną jeszcze dzisiaj zawieszeni, na wszelki wypadek i tak będą pod obserwacją. Domu pilnują chłopcy Marka. A cała sprawa wyjaśni się jutro lub pojutrze.

– Myślisz, że to...

– Zobaczymy – uciął.

Westchnąłem, z Maksa trudno było cokolwiek wyciągnąć, a ja nie miałem nastroju, aby naciskać, nie ta kondycja. Chciałem się tylko upewnić, czy Małgorzata jest bezpieczna, i spać. Znużenie sączyło się z każdej ko-

mórki mojego ciała, po takim laniu to normalna reakcja – organizm chce się zregenerować psychicznie i fizycznie.

– Ale Centralna Grupa Realizacyjna ma zwalczać terrorystów, a nie...

– CGR chroni świadków koronnych, ma to w programie. Po prostu potrenują sobie. – Wzruszył ramionami.

Wika zaparkowała tuż przy wejściu, zanim zdążyłem rozpiąć pas, do samochodu podbiegła Małgorzata, pomogła mi wygramolić się z auta.

– Kochany... – Wtuliła się w moje ramiona, poczułem, że drży od wstrzymywanego łkania.

– Już wszystko w porządku – wyszeptałem bezradnie. – Wszystko w porządku.

W domu mignęły mi zatroskane twarze „sióstr” i Marka, ale żadne z nich nie podeszło, żeby się nade mną poużalać, widać Maks kazał dać mi spokój. No i dzięki Bogu! Inna sprawa, że pewnie jutro skończy się okres ochronny.

– Przepraszam – wymamrotałem, siadając ciężko na łóżku. – Margarita, ja...

Położyła mi palec na ustach, rozebrała delikatnie.

– Śpij – powiedziała. – Posiedzę przy tobie.

Zasnąłem.



Obudził mnie warkot ruszającego sprzed domu samochodu, powoli, niechętnie podniosłem opuchnięte powieki, wpadające przez okno promienie słońca malowały jedną ze ścian w wesołe, jasne plamy. Zerknąłem na zegarek – dochodziło południe. Ostrożnie skręciłem głowę

w lewo, potem w prawo, ból był mniejszy, niż się spodziewałem. Napinałem i rozluźniałem mięśnie, zaczynając od największych, odpuściłem sobie klatkę piersiową – lepiej na razie uważać na żebra. Wreszcie usiadłem, podkładając pod plecy kilka poduszek.

Małgorzata spała w fotelu. Jej policzek zakrywała fala kasztanowych włosów, słońce zapalało w nich błyski o barwie ciemnego złota. Odgarnąłem ciężkie spłoty, dotknąłem opuszkami palców rozcięcia w kącie ust i po raz kolejny obiecałem sobie, że skurwysyn, który uderzył moją żonę, drogo za to zapłaci.

– Wiem, że się obudziłeś – rzuciła groźnie.

– Przyznaję się do winy – odparłem z lekkim uśmiechem.

Opuchlizna z warg trochę skłęśla, mogłem sobie na to pozwolić.

– Jak się czujesz, kochanie? – spytała niespokojnie.

– Nie jest źle – zapewniłem. – Żadnych obrażeń wewnętrznych, nawet to żebro już mniej boli.

– Pomóc ci się umyć?

– Dam sobie radę – mruknąłem. – Jakby co, to cię zawołam.

Z ciężkim westchnieniem podniosłem się z łóżka, ruszyłem do łazienki. Nie było mowy o prysznicu czy kąpieli w wannie, pewnie się sporo nagimnastykuję, ale wolałem, żeby Małgorzata nie oglądała moich siniaków. Jeszcze nie teraz. Sprawdziłem językiem zęby – nadal się ruszały, choć jakby nieco mniej. Przeplukałem usta i natarłem dziąsła jakimś żelem, dentysta poinformował mnie, że nie mogę gryźć twardych rzeczy i że trzeba czekać. Też mi diagnoza... Zrzuciłem piżamę i obejrzałem

się w lustrze. No ładnie... Wyglądałem jak ofiara zderzenia z ciężarówką: posiniaczona twarz przecięta wąską, ładnie zagojoną, ale teraz wyraźnie widoczną blizną – prezent od pewnej Hinduski – szwy na głowie i owinięte bandażem żebra, napuchnięte, sine przedramiona.

Trzasnęły drzwi, do środka weszła Małgorzata.

– Odwróć się – poprosiła.

– Nie wołałem cię! – warknąłem.

– Sama się zawołałam, jestem twoją żoną – przypomniała. – Nie jest tak źle, jak się obawiałam. No i robisz się marudny, widać wracasz do zdrowia – dodała kwaśno. – Siadaj. – Popchnęła mnie lekko, poczekała, aż usadowię się na brzegu wanny.

Przymknąłem oczy, poddając się pieszczocie mokrego ręcznika, po chwili Małgorzata wytarła mnie dokładnie, ucałowała największe siniaki.

– Może by tak dokładkę? – zaproponowałem, obejmując ją w talii.

– Nic z tego! – odburknęła, odskakując zwinnie. – Musisz się oszczędzać.

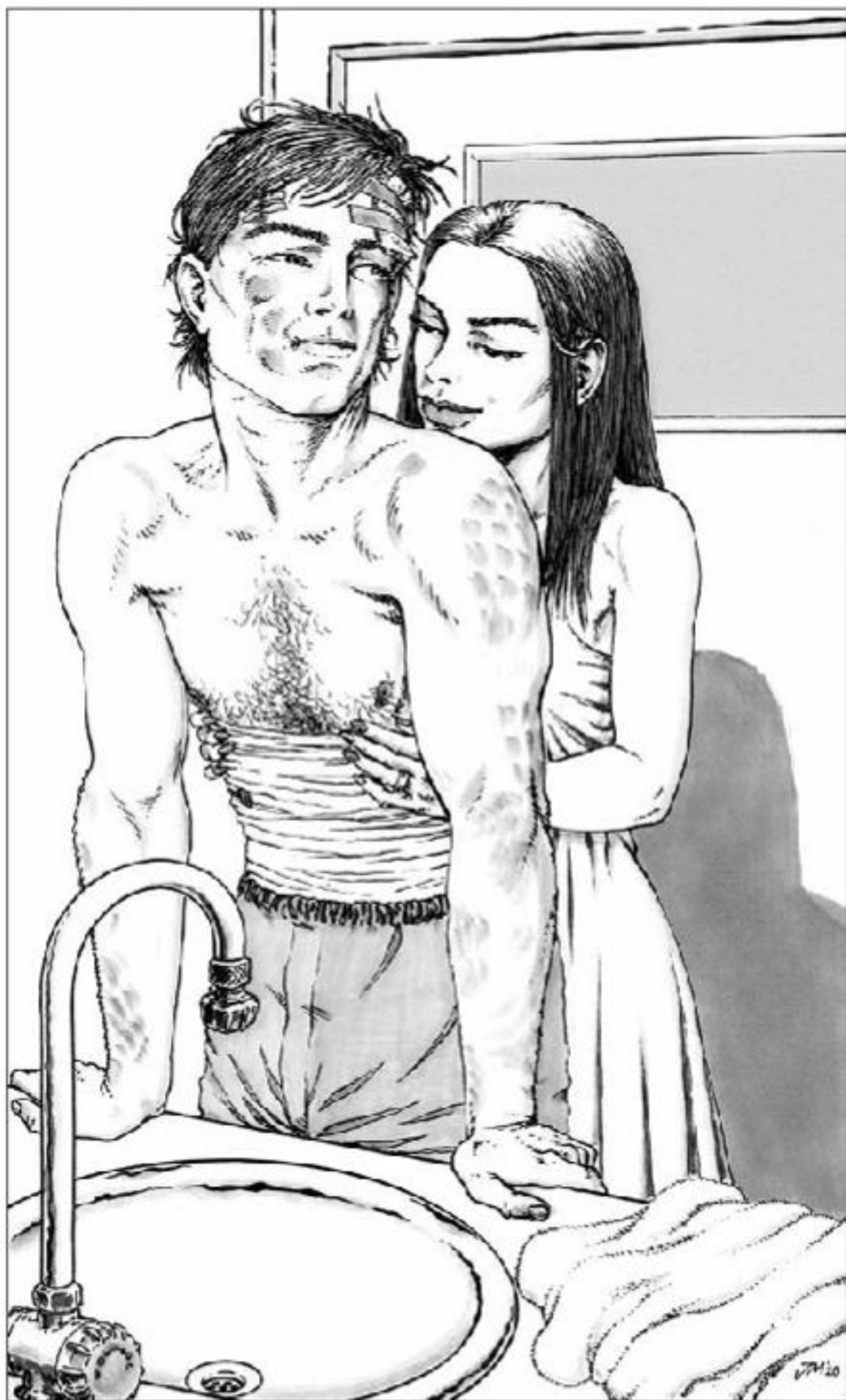
Przez moment poczułem przypływ nadziei, może jej choroba nie jest aż tak poważna? Zacisnąłem zęby, nie było sensu dywagować, jeszcze tydzień, dwa i badania wszystko wykażą.

– Chodźmy do jadalni, pewnie już wszyscy czekają – powiedziała.

Wsunąłem kapcie na bose stopy i, narzuciwszy szlafrok, poczłapałem do drzwi. Jak trzeba, to trzeba. I tak nie uniknę rozmowy z „rodziną”.

Stanąwszy w progu, jęknąłem. Byli tu wszyscy: Maks z żoną, Davidoff, dziewczyny i Marek. Komplet.





Przysiadłem przy stole z naburmuszoną miną, westchnąłem cierpiętniczo.

– Jak się czujesz? – spytała Anita.

Jak zwykle wyglądała znakomicie – biała sukienka eksponowała smukłe nogi, podkreślała opaleniznę. No i nic dziwnego, Anita była modelką. Podobnie jak dwie inne moje „siostry”.

– Porozmawiamy o tym później – zdecydował Maks. – Widać, że żyje i ma się nieźle. Opowiedz, co się stało – zwrócił się do mnie. – Z detalami.

Zerknąłem na Małgorzatę, wolałbym nie mówić o jej chorobie, ale jeśli mam wszystko wyjaśnić... Odpowiedziała mi spokojnym spojrzeniem, w tym momencie twarz mojej żony mogłaby służyć jako ilustracja z podręcznika pokera dla zaawansowanych. Niech to szlag...

– Margarita jest chora – zacząłem nieswoim, zgrzytliwym głosem. – Nie za bardzo wiadomo, co to jest, trwają badania. Dlatego nic nie mówiliśmy. Objawy są... niepokojące. Nagłe drżenie rąk, osłabienie, utrata wagi. Nie będę wchodził w szczegóły, ale te symptomy są dość charakterystyczne. Istnieje kilka, może kilkanaście jednostek chorobowych, do których mogą pasować, niestety, najbardziej pasują do choroby Lou Gehriga. U nas nazywa się to stwardnieniem zanikowym bocznym albo ALS. Ale nie... nazwa jest ważna – wydusiłem z trudem. – Choroba Lou Gehriga jest nieuleczalna, absolutnie nieuleczalna, śmierć następuje po paru latach. W najlepszym wypadku, bo zależy, na jakim etapie zostaje zdiagnozowana. Oczywiście jest kilka innych opcji. – Powstrzymałem gestem otwierającą usta Wikę. – Zobaczymy. Tyle że wydają się dużo mniej prawdopodobne niż ALS: tarczyca,

zatrucie metalami ciężkimi. Ale... – Nie dokończyłem, zacisnąłem pięści.

Wzięłem głęboki oddech, wypuściłem ze świstem powietrze.

– Mniejsza z tym – mruknąłem. – Wielecka dowiedziała się skądś o chorobie Małgorzaty i zaczepiła mnie wczoraj w dziekanacie. Wyraziła nadzieję, że nie jest to nic poważnego, na przykład choroba Lou Gehriga... Wszystko to z uśmiechem obleśnej satysfakcji. Dla postronnych mogło to wyglądać, i pewnie wyglądało, na troskę o zdrowie mojej żony. No więc nie wytrzymałem i strzeliłem ją w pysk. Publicznie.

– To wszystko? – zdziwił się Maks. – Chyba trochę za mało, żeby wysłać oddział antyterrorystyczny.

– Nie wszystko. – Spuściłem wzrok. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem taki wściekły, zupełnie przestałem się kontrolować. Pojechałem... Pojechałem do jej domu, Wielecka mieszka za miastem. Wzięłem ze sobą sprzęt.

– To znaczy? – spytał z niepokojem Davidoff.

– Piłę mechaniczną.

– *Gospodi pomituj...* – wymamrotał, blednąc.

– Spokojnie, nie jestem wariatem! A przynajmniej nie do końca – mruknąłem. – Wyciąłem tylko drzewka wokół domu. Chwaliła się kiedyś, że to jakieś specjalne, wyjątkowo drogie. Niestety...

– Tak? – Maks uniósł brwi.

– Dopiero po fakcie zauważyłem kamery.

Maks z roztargnieniem postukał w poręcz fotela, Davidoff otarł pot z czoła.

– Jednak ten rajd antyterrorystów... – pokręciła głowę Wika.

– Nie, nie, teraz wszystko jest jasne – zapewnił ją Maks. – Naciągnęli przepisy do granic możliwości, ale mieli pretekst. Sfilmowanego maniaka z piłą mechaniczną. Biorąc pod uwagę udział Janusza w akcji w Nikołajewsku...

– Mimo wszystko to dziwne – stwierdził Davidoff. – Normalnie nie można się doczekać na reakcję policji, a tutaj byli szybsi niż błyskawica.

– To rykoszet zupełnie innej sprawy – odparł Maks. – Zadzwoń do Dżumy – polecił mi szorstko.

Zmartwiałem. Oleg Dubrow, nazywany przez wrogów „Dżumą”, był pułkownikiem Specnazu i bratem kobiety, którą kiedyś kochałem. Nie sądziłem, że mógłby stanąć przeciwko mnie. Być może jednak zabrakło mi wyobraźni...

– Jest w to w jakiś sposób zamieszany, ale chyba nie tak jak myślisz – mruknął Maks. – Nie miałem czasu długo z nim gadać.

Wielka mi pociecha... Z drugiej strony rzeczywiście nie wyglądało to na robotę Dżumy: cała akcja spaliła na panewce, a cel – jakikolwiek by był – nie został osiągnięty. Oleg Dubrow nie popełniał takich błędów.

Podniosłem się ze stęknieniem z krzesła i ruszyłem do pokoju, machnięciem ręki dałem do zrozumienia, że chcę być sam. Nie posłuchała mnie tylko Małgorzata.

– Nie przewrócę się – zapewniłem ją ponuro.

– Świetnie, ale dopóki nie porozmawiamy, nie mam zamiaru spuścić cię z oczu.

Zamknęła za mną drzwi i wymownym gestem podała telefon.

– Dzwoń – rozkazała.

Przez chwilę wpatrywałem się w komórkę, jakby mogła mnie ukąsić. Nie ma co ukrywać – bałem się. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak wielką wagę przywiązywałem do przyjaźni okazywanej mi przez brata Anny.

Zacisnąwszy zęby, wprowadziłem znany na pamięć numer, podniosłem telefon do ucha. Odebrał niemal natychmiast.

– Podobno możesz mnie oświecić, co się dzieje – rzucałem bez ogródek.

– Za chwilę – odparł. – Jak się czujesz? Co z Margaritą?

Poinformowałem go krótko o swoich obrażeniach.

– Margarita?

– Oberwała tylko po buzi – powiedziałem. – Nic jej nie jest.

W kilku zdaniach zrelacjonowałem, co się stało.

– *Wot suki!* – warknął. – Mam ochotę...

– Ani się waż! – poleciłem stanowczo.

Ulżyło mi, reakcja Olega wskazywała, że nie miał nic wspólnego z zajściem, ale ostatnie, czego mi było trzeba, to interwencja Dżumy. Oleg Dubrow nie uznawał półśrodków, a w Polsce obowiązywały nieco inne standardy niż na wschód od Bugu. Tam parę trupów nie robiło na nikim wrażenia.

– Może przejdźmy do rzeczy? – zaproponowałem.

– W porządku, pamiętasz tę ofertę sprzed miesiąca? Zaproponowano ci pracę.

– Rzeczywiście, przypominam sobie. Jakiś zwariowany Rusek kazał mi podpisać papiery o zachowaniu tajemnicy, robił dziwaczne aluzje...

– Pogoniłeś go – Dżuma wszedł mi w słowo.

– Pogoniłem.

– To był asystent, jeden z asystentów, Michaiła Biełowa. Powiedział ci, kogo reprezentuje?

– Chyba tak – przyznałem z wahaniem. – Nie zwróciłem na to uwagi.

– Kretyn.

– Ten facet?

– Nie, ty – doprecyzował. – Biełow to najbogatszy biznesmen w Rosji.

– To ma mną wstrząsnąć?

Przez chwilę słyszałem tylko spokojny oddech Dżumy.

– Półtora miesiąca temu porwano córkę Biełowa. Okoliczności były... niezwykłe. Do tej pory nikt się nie odezwał, nie zażądał okupu. Wszystkie służby i wynajęci przez Biełowa ludzie zrobili, co mogli, ale rzecz nadal pozostaje niewyjaśniona. On jest dość... zdesperowany. Na tym etapie to nie jest sprawa dla służb specjalnych, choć oczywiście trwają pewne czynności. Niemniej jednak wątpię, żeby przyniosły efekt. W dodatku nie ulega wątpliwości, że z terrorystami musiał współpracować ktoś z najbliższego otoczenia Biełowa. Facet nie wie już, komu ufać. No i tu wypłynęła twoja kandydatura. Jako Chorąży jesteś poza wszelkim podejrzeniem, a ponieważ posiadasz pewne umiejętności...

– Były Chorąży – uściśliłem.

Nie jestem specjalnie religijny, jednak fakt, że przez krótki czas dysponowałem artefaktem zwanym chorągwią Michała Archanioła, odcisnął na mnie wyraźne piętno, nie wiedzieć czemu skłaniał do pokory.

– Co się stało?

– Zabili kilka osób, dziewczyna miała ochronę – wyjaśnił. – To byli ludzie z najwyższej półki. Znałem ich osobiście.

– To nie moja liga, nie jestem...

– Przestań marudzić! – Dżuma wszedł mi bezceremonialnie w słowo. – Nie potrzebujemy twoich umiejętności operacyjnych. Jak obaj wiemy, nie są one oszałamiające – dodał złośliwie. – To porwanie wiąże się z pewną sprawą sprzed ponad pół wieku, trzeba przeszukać archiwa, być może popracować... koncepcyjnie. Do tego się nadasz. Co więcej, kiedy się za to weźmiesz, Biełow przestanie nam skakać po głowach.

– Nam?

– Specnazowi i służbom specjalnym. Obecnie nasza robota jest pozbawiona sensu, bo nie znamy celu. Inwigilujemy podejrzanych, podsłuchujemy ich rozmowy, przeglądamy komputery, jednak chyba nie tędy droga. Jeśli zaliczyli choć podstawowe przeszkolenie, niczym się nie zdradzą. A trupy, jakie za sobą zostawili, i fakt, że porwali córkę Biełowa, sugerują, że są dobrzy. Więcej niż dobrzy. Potrzebujemy kogoś, kto spojrzy na to z innej strony, potrafi poruszać się w archiwach, korzystać z dokumentów. No i z grubsza zna procedury...

– Mówisz o Biełowie, jakby ten facet był nie wiadomo kim.

– Ujmijmy to tak... – Dżuma zawiesił na moment głos. – Gdyby poprosił o eskadrę bombowców, armia spytałaby go tylko, czy nie potrzebuje do kompletu paru myśliwców.

– Ale przepisy...

– *This is Russia!*

Zamilkłem.

– Naprawdę jest taki mocny? – podjąłem po chwili.

– Naprawdę.

– Miał coś wspólnego z tą akcją policji?

– Kazał asystentowi załatwić sprawę, zachęcić cię, a ten nieźle namieszał. Postanowił cię przycisnąć. Ta twoja była flama... jak jej tam? Wielecka?

– Niebyła – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– Aha, znaczy słucha nas Margarita? – domyślił się mój rozmówca. – Przekaż jej pozdrowienia... Więc Wielecka była kochanką dowódcy oddziału, który po ciebie wysłano. Umyślili sobie, że przy okazji... jak to się u was mówi? Upieką własną pieczeń. No i się porobiło.

– Mam rozumieć, że jeśli nie przyjmę oferty, następnym razem podpalą mi dom? – spytałem ponuro.

– Nie sądzę. Wyjaśniłem Bielowowi... niuanse. Jesteś ostatnim człowiekiem, którego chciałby wkurzyć, lecz pamiętaj, że nie rozumuje logicznie. Porwano mu dziecko.

– Jeśli z nim gadałeś...

– Nie jestem Panem Bogiem wszechmogącym – odparł ze złością Dżuma. – A Bielow jest przyzwyczajony, że dostaje, czego chce. Wywalił na zbity pysk tego asystenta i raczej porzuci tego typu perswazję, ale pewności nie mam.

– Mam pracować dla człowieka, który zorganizował napad na mój dom?! Który...

– Przestań marudzić! A co będziesz robił? Wrócisz jakby nigdy nic na uczelnię? Jak się zdaje, nie masz tam chwilowo najlepszych notowań i nie wiadomo, czym ta cała awantura się skończy. Zachowujesz się jak czterola-



tek. Chciałbyś mieć, bo ja wiem, sto kilogramów złota w sztabkach?

– Pewnie, kto by nie chciał? A co? Tyle płaci?

– Nie, nie aż tyle, chociaż z pewnością nie będziesz stratny finansowo. Miałem na myśli co innego: jeśli mu pomożesz, będzie ci winien przysługę. Facet oczywiście nie jest dziewicą, jak i inni biznesmeni działający na takim poziomie, jednak dotrzymuje słowa i spłaca swoje długi.

Odchrząknąłem niepewnie.

– Niewykluczone, że jest w Rosji kilka osób, które mogą więcej od Bielowa, ale ja znam tylko jedną, rozumiesz, nie zajmuję się polityką – kontynuował.

– Któż jest ową gwiazdą?

– Władimir Władimirowicz Putin.

Otworzyłem usta, aby mu zwrócić uwagę, że to nie pora na głupie dowcipy, lecz dopiero teraz dotarł do mnie ton głosu Dżumy. Oleg nie żartował.

– Zastanowię się – obiecałem.

Pożegnaliśmy się krótko, odłożyłem telefon i podszedłszy do okna, zapatrzyłem w podchodzące niemal pod sam dom drzewa. Odetchnąłem głęboko, starając się nie forsować uszkodzonego żebra. Dżuma dał mi do myślenia – rzeczywiście moja obecna sytuacja na uczelni nie wyglądała różowo. Groziło mi zwolnienie z pracy.

– Chyba najlepiej będzie, jak sam złożę wypowiedzenie – powiedziałem w przestrzeń.

– Musimy o tym porozmawiać, o paru innych sprawach też – stwierdziła stanowczo Małgorzata.

– W takim razie chodźmy na spacer.

– W twoim stanie...

– Nic mi nie będzie – uciałem. – A tutaj nie da się spokojnie pogadać.

– Dlaczego? – Zmarszczyła brwi.

– Dlatego. – Otworzyłem gwałtownie drzwi i wskazałem plecy uciekającej Wiki.

– Myślisz, że one...

– Nie myślę, wiem.

Narzuciłem na siebie jakieś ciuchy, wyszliśmy na zewnątrz. Mimo października było ciepło, liście na drzewach przyciągały wzrok żywymi, nasyconymi barwami, pojedyncze opadały na ziemię, tworząc osnowę jesienno, szeleszczącego pod nogami kobierca. Zza naszych pleców, przez uchylone okno dochodził cichy świergot radia, grali „Tango Jalousie”. Rozpoznałem stare nagranie Leo Reisma. Niespodziewanie Małgorzata przytuliła się do mnie, położyła dłoń na ramieniu, zakolysaliśmy się w tańcu. Na chwilę weszliśmy we własny, intymny świat, porzuciliśmy rzeczywistość. Czułem ciepło ciała i zapach włosów Małgorzaty, zapomniałem o zmartwieniach. Na chwilę.

Zatrzymaliśmy się jednocześnie, delikatnie musnąłem jej ramię, odsunąłem na krok.

– Margarita, ja... – urwałem, niepewny, co powiedzieć.

– Mam do ciebie prośbę – szepnęła.

– Zrobię wszystko, co zechcesz – zapewniłem.

– Słowo?

– Słowo.

– W zasadzie dwie prośby – doprecyzowała, spoglądając na mnie kokieteryjnie spod opuszczonych rzęs.

Wyglądało na to, że nie ma zamiaru winić mnie za całe zamieszanie. Najwyraźniej wyrozumiałość Małgorzaty dorównywała mojej głupocie.

– Tak?

– Chcę, żebyś pojechał do Rosji, zgodził się na propozycję tego Bielowa, a co do uczelni przekażę po prostu twoje zwolnienie lekarskie.

– Co takiego?! Mam cię zostawić, gdy jesteś chora?! Gdy...

Stłumiła moje słowa, kładąc mi palce na ustach.

– Nie mam ALS – powiedziała twardo. – To tylko twój strach. Nie, nie przerywaj mi! – poprosiła. – Wiem, że czujesz się winny, ale ja jestem więcej niż zadowolona z tego, co się stało.

Oślupiałem.

– Cieszysz się, że banda kretynów rozwalila drzwi i nas poturbowała?! – spytałem z niedowierzaniem.

– Cieszę się, że poznałam cię bliżej, twoje... – zastanowiła się przez moment – uczucia. Nie gniewaj się, kochanie, ale ty nie potrafisz o nich rozmawiać, byłam już w rozpacz, myślałam, że mnie nie kochasz.

– Ale przecież naraziłem cię...

– Popełniłeś błąd – przyznała. – Dałeś się podpuścić tej dziwce. Jednak trudno, żebym się martwiła tym, że ci na mnie zależy na tyle, żeby zlekceważyć wszelkie konwenanse i zaryzykować utratę pracy. Nie mówiąc już o sprowokowaniu tego policjanta, który mnie uderzył. Szczerze mówiąc, jestem szczęśliwa jak nigdy dotąd.

– Chyba potrzeba mi chwili, żeby się otrząsnąć z zaskoczenia – wymamrotałem, siadając pod rozłożystym bukiem. – A może i dwóch chwil...

Małgorzata zachichotała i usadowiła się tuż obok. Spojrzałem jej w oczy – rzeczywiście promieniała.

– Mam zwolnienie tylko na dwa tygodnie – zacząłem od najmniej ważnej sprawy. – Później i tak będę musiał zameldować się na uczelni.

– Wątpię, żebyś tak szybko rozwiązał ten... problem w Rosji, musisz mieć zwolnienie na miesiąc albo dwa – odezwała się z namysłem.

– Więc?

– Znam lekarza, który je przedłuży – wyjaśniła. – Nie, żadnych wykładów na temat wystawiania lewych papierów! – ostrzegła. – To jest sytuacja nadzwyczajna, a ty musisz nauczyć się pokory – oznajmiła, łagodząc swoje słowa pocałunkiem.

– Pokory?!

– Jesteś strasznie arogancki – wyjaśniła. – Uważasz, że takie sztuczki są poniżej twojej godności, ale tym razem je zastosujesz. No i przyjmiesz pomoc od żony.

– Jaką pomoc?! Zwolnienie to drobiazg, lecz nie pozwolę, żebyś uwikłała się w walkę z Wielecką. Tym bardziej że wszelkie atuty są po jej stronie.

– Tak ci się tylko wydaje – odparła.

Mówiła niemal szeptem, jednak w jej głosie zadźwięczała stal, wyglądała na zdeterminowaną. No proszę, gdzie się podziała łagodna żoneczka? A może moje obrażenia na temat Małgorzaty niekoniecznie odpowiadały prawdzie?

Podniosłem się ze stęknieniem, skinąłem w stronę domu.

– Wracajmy – zaproponowałem. – Czas coś zjeść.



Z ponurą miną wypilem jakiś mętny płyn – efekt fascynacji Maksa wschodnią medycyną – poprawiłem pięćdziesiątką alchemicznej wódki. Jeśli nie pomoże, to raczej nie zaszkodzi. Cały czas czułem na sobie rozbawiony wzrok wujka. Dokończył cygaro i odłożywszy niedopałek na popielniczkę, mruknął zachęcająco.

– O czym chcesz pogadać? – zapytał wreszcie, gdy nie doczekał się odpowiedzi.

Oderwałem wzrok od jedwabnej, secesyjnej tapety – Maks miał luksusowe upodobania i dość pieniędzy, aby spełniać nawet najbardziej ekstrawaganckie zachcianki – wzruszyłem ciężko ramionami.

– Margarita chce, żebym wyjechał do Rosji i pozwolił jej rozprawić się z Wielecką.

– W czym problem?

– Nie chcę, żeby narażała swoją karierę, no i nie mogę jej opuścić, kiedy jest chora, to chyba jasne? – burknąłem.

– Jeżeli to ALS, to fakt, czy przy niej będziesz, czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia. Mówię o tygodniu albo dwóch – zastrzegł od razu.

– A co potem?

– Przyjedzie do ciebie. Jeśli to coś innego, nie ma w ogóle o czym mówić.

– Może mieć atak, może...

– Na razie tylko drżą jej ręce i jest osłabiona, to wszystko – przerwał mi Maks. – Wika z nią zamieszka. Już się zgodziła, będzie ją nawet wozić do pracy.

– A Wielecka? Znam ją, to suka. Małgorzata nie ma z nią żadnych szans.

– Kim jest Margarita? – odpowiedział pytaniem.

– Nie rozumiem?

– Napisała pracę habilitacyjną w wieku dwudziestu siedmiu lat, została profesorem nadzwyczajnym, mając dwadzieścia dziewięć. Ubiegają się o nią największe, najbardziej znane uczelnie w Europie i Stanach. W swojej branży uchodzi za geniusza. Naprawdę myślisz, że Wielecka może jej zaszkodzić? – Parsknął zde gustowany. – Jeśli Margarita tupnie nogą, uczelniane władze nie tylko darują ci ten ostatni wybryk, ale i pozwolą, abyś na wykłady przyjeżdżał nago i na wrotkach... A ona najwyraźniej ma ochotę tupnąć. Pozwól jej to zrobić.

Przysunął sobie pudełko cygar, wybrał jedno i przyściąwszy, wcisnął mi w dłoń, podał ogień. Przez chwilę gapiłem się bezmyślnie na płonącą zapałkę w silnych palcach Maksa, w końcu zapaliłem cygaro. Wujek doskonale wiedział, że nie palę, gdy jestem zdenerwowany – sam mnie tego nauczył – stąd miałem wrażenie, że to kolejna lekcja. Wyglądało, że moje otoczenie uwzięło się, aby mnie w przyspieszonym tempie edukować. Najpierw Małgorzata, teraz Maks...

– Rozumiem, że to sytuacja nadzwyczajna, wyjątek od reguły? – spytałem, wykonując nieokreślony gest.

– Chodzi ci o zamiary Małgorzaty czy o cygaro? – Uniósł brwi z udanym zdziwieniem.

Spojrząwszy na moją naburmuszoną minę, parsknął śmiechem.

– Chcesz rady?

– Proszę, nie krępuj się – mruknąłem.

– Przegrałeś, Margarita i tak postawi na swoim, doprowadzi do starcia z Wielecką. Poddaj się z wdziękiem i wyciągnij z tego wszelkie możliwe korzyści.

– Korzyści?!

– Zgadząc się na jej prośbę, możesz postawić pewne warunki...

– Jeśli pozwolę jej zrobić, co chce, wyjadę, a ona nie powie mi prawdy na temat wyników badań...

– Na pewno cię nie oszuka, nie ma mowy! – Maks pokręcił głową. – Mogłaby coś pominąć z troski o ciebie, ale nigdy nie okłamię cię wprost. Nigdy – zapewnił. – Jesteś dla niej zbyt ważny. Bałaby się, że straci bezpowrotnie twoje zaufanie.

Siedzieliśmy w milczeniu dłuższy czas, musiałem przemyśleć wszystkie opcje, a wujek nigdy nie był zbyt gadatliwy. Rozparł się w fotelu i z zadowoleniem delektował kolejnym cygarem, tak jakby nic innego go nie rozpraszało, jak gdyby liczyła się tylko chwila obecna, tu i teraz. Zacisnąłem zęby – jeśli nie zapanuję nad swoim lękiem o żonę, nie przysłużę się nikomu, również Małgorzacie. Ostatnie, czego jej trzeba, to trzęsący się nad nią facet. Nawet jeśli to ALS. A może szczególnie wtedy. Gdybym był śmiertelnie chory, wolałbym przeżyć kres dni intensywnie, bez taryfy ulgowej, realizując tyle marzeń, ile bym zdołał. Problem w tym, że nie chodziło o mnie... No dobrze, a jeśli to nie jest choroba Lou Gehriga? Co będzie, jeśli Małgorzata poczuje się dotknięta tym, że w nią nie wierzę? Jak będą wyglądały nasze następne lata? Czy dam radę kiedykolwiek to naprawić? Zabębniłem palcami o stół – Maks miał rację, tak naprawdę nie miałem wyjścia, musiałem schować swój strach tak głęboko, aby

nikt go nie spostrzegł. Nikt poza mną. Ja będę nosił go w sobie cały czas, niczym ciężką, kolczastą kulę gdzieś w głębi trzewi. No, to akurat nic nowego, dam radę...

– Wiesz – odezwał się zniecierpliwiony wujek – ten policjant, dowódca grupy, ma trzeci dan w karate.

Poczułem, jak bez udziału woli moje usta rozszerzają się w ponurym, bezradnym uśmiechu, znowu pękły jakieś strupy, ale nawet nie poczułem bólu. Nadnercza pompowały do krwi adrenalinę, dużo adrenaliny.

– Wstrząsające – stwierdziłem.

– Traktujesz kobiety w sposób anachroniczny. To moja wina, jestem taki sam i tak cię wychowałem – przyznał. – Margarita to nowe pokolenie, nie zgodzi się na stosowanie podwójnych standardów. Jeśli zdecydujesz się na załatwienie sprawy z tym gliniarzem, no, teraz właściwie już byłym gliniarzem, a zabronisz jej rozprawić się z Wielecką... – urwał wymownie.

– Pozwolę jej pokotłować się z Wielecką, a sam wyjadę do Rosji – odparłem ze znużeniem. – Jutro pogadam z tym Bielowem.

– Nareszcie rozsądna decyzja!

– Musisz mi przyrzec, że będziesz kontrolował sytuację i w razie czego natychmiast zadzwonisz – zażądałem.

– Chodzi ci o bezpieczeństwo Margarity czy wyniki badań?

– Raczej to drugie, pierwszą kwestią sam się zajmę.

– Nie ufasz jej?

– Ufam, ale muszę mieć pewność, absolutną pewność, że o wszystkim zostanę poinformowany dokładnie i na czas. Nie chcę się zastanawiać, czy moja żona



nie postanowiła oszczędzić mi zmartwień i o czymś nie powiedziała.

– W porządku, zrobię to – obiecał.



Noc nie przyniosła odpoczynku – przez większość czasu rozmawiałem z Małgorzatą, później leżałem, gapiąc się w ciemność, krok po kroku planowałem, co zrobię przed wyjazdem. W chwilach największego stresu nie można reagować odruchowo – to błąd, chyba że chodzi o fizyczne starcie, wtedy posługujemy się wypalonymi w podświadomości kodami, nie ma czasu na zastanowienie. Jednak nawet choreografia walki układana jest na bazie wcześniejszych przemyśleń i doświadczeń; każdy ruch powinien być celowy, ascetycznie oszczędny i maksymalnie skuteczny. Nie miałem zbyt wielu rzeczy do załatwienia: musiałem zatroszczyć się o bezpieczeństwo Małgorzaty i upewnić, że Bielów nie oczekuje ode mnie cudu. Przeważnie porywacze kontaktują się z rodziną w ciągu dwudziestu czterech godzin, to standard. Każda godzina powyżej doby redukuje szanse porwanego na przeżycie. Oznacza, że coś poszło nie tak, bardzo nie tak... Także poszukiwania mają swój rytm – liczy się kilka pierwszych dni, później prawdopodobieństwo znalezienia żywej ofiary spada w postępie geometrycznym. Według wszelkich danych córka Bielowa była od dawna martwa – minęło półtora miesiąca. Zapewne rosyjskie służby specjalne nie szukały już ofiary, a sprawców – tych nadal można odnaleźć. Jeśli porwanie miało

jakiś związek z wydarzeniami sprzed lat, jeżeli pozostały one ślady w archiwach, mogłem im pomóc. Kiedy znajdę porywaczy, zajmą się nimi chłopcy Dżumy. Po swojemu. Rosja nie jest specjalnie bogatym krajem, nie może sobie pozwolić na taką ochronę obywateli jak chociażby USA, Francja czy Anglia, a jednak rzadko się sły-  
szy o porwaniach Rosjan. Każdy zawodowiec na świecie wie, że rzecz się po prostu nie opłaca. Okupu nie będzie, nie wypuszczą kumpli z więzienia, natomiast prędzej czy później porywacze zostaną wytropieni i eksterminowani jak wściekłe psy, bywa, że wraz z rodzinami. Bez wahania, bez litości, skutecznie. Gwarancję daje firma Specnaz & Co. Wieloletnia praktyka w branży i liczne referencje od zadowolonych klientów...

Słyszałem spokojny oddech śpiącej obok Małgorzaty, ale mimo wysiłków nie mogłem się odprężyć, ogarniało mnie coraz większe zniecierpliwienie, buzujące adrenaliną mięśnie domagały się działania. Wyślizgnąłem się z łóżka i narzuciwszy szlafrok, wyszedłem na werandę. Myślałem, że zastanę tam Maksa – podobnie jak ja budził się nad ranem – lecz najwyraźniej małżeństwo mu służyło i pokonał bezsenność, być może z pomocą żony. Zerknąłem na zegarek – piąta trzydzieści. Trochę za wcześnie, żeby dzwonić do Bielowa. Z drugiej strony rozmowa o niecodziennej porze mogła mi sporo powiedzieć o Rosjaninie. Odczekałem pół godziny, po czym wybrałem zapisany wcześniej numer. Odebrał po kilku sygnałach.

- Bielów – odezwał się szorstko.
- Korpacki – przedstawiłem się równie zwięźle.
- Nie może pan spać? – zapytał jakby nigdy nic.

– Nie mogę – przyznałem. – Dzwonię w sprawie pańskiej propozycji.

Nie przeprosiłem za telefon o szóstej rano, jednak mój rozmówca nie wydawał się urażony.

– Pańskie warunki?

– Rozumiem, że został pan poinformowany o sytuacji? Mam na myśli działania pańskiego asystenta.

– Zostałem. I przepraszam. Powinienem kontrolować jego poczynania, ale byłem nieco... zdekoncentrowany.

Pominałem milczeniem to wyjaśnienie i stłumiłem w sobie falę współczucia dla Rosjanina – porwano i prawdopodobnie zamordowano mu dziecko, lecz musiałem zatroszczyć się o swoje interesy.

– Ci policjanci i doktor Wielecka zostali opłaceni, prawda? – spytałem.

– Tak.

– Proszę odebrać im te pieniądze.

– Oczywiście. Zrobię więcej: ich konta zostaną wyczyszczone.

– To możliwe?

– Jest bardzo niewiele rzeczy, które są dla mnie nieosiągalne – odparł posępnie. – Ta sprawa to drobiazg.

– Nie chcę też, żeby stanowili zagrożenie dla mojej rodziny, kiedy stąd wyjadę. Moi bliscy muszą być całkowicie bezpieczni.

– Załatwione – obiecał. – I niech pan mi wierzy, będą.

Mówił bez specjalnego nacisku, ze znużeniem, jednak wypowiedane przez niego słowa miały ponury pogłos kawałków ołowiu wypluwanych na stalową blachę. Uwierzyłem mu. Ktoś, kto, tak jak on, prowadził interesy na wielką skalę, musiał mieć różne... kontakty, nie tylko

w sferach rządowych. Tak jest na całym świecie, tyle że w Rosji widać to szczególnie wyraźnie, tam biznesmeni i politycy nie kryją nawet specjalnie swoich powiązań ze światem zorganizowanej przestępczości, nie muszą.

– Druga, równie ważna sprawa – podjąłem po chwili.

– Tak?

– Nie mogę obiecać, że znajdę pańską córkę, to niemal niemożliwe. Szanse są minimalne. Być może będę w stanie wyjaśnić niektóre niuanse porwania, dotrzeć bliżej sprawców, to wszystko.

– Dlaczego pan mi to mówi?

– Po pierwsze, chcę mieć pewność, że mam do czynienia z kimś, kto... nie stracił kontaktu z rzeczywistością. Po drugie, nie zamierzam pana oszukiwać, robić nadziei.

Odpowiedziała mi cisza, przez moment myślałem, że Biełow się rozłączył. Po chwili zdałem sobie sprawę, że po prostu odsunął słuchawkę – może nie chciał, żebym słyszał, jak oddycha? Częstotliwość oddechu może nam dużo powiedzieć o rozmówcy, o jego emocjach, widać Rosjanin nie chciał do tego dopuścić. Nie dziwiłem mu się – w świecie, w którym żył, każda słabość mogła być wykorzystana przez wrogów. Nawet uczucie do własnego dziecka. Kto wie? Może właśnie tak się stało? Facet musiał obracać nie milionami, a miliardami. Rzecz jasna euro. Przy takich kwotach wartość ludzkiego życia była iluzoryczna. Mocno iluzoryczna.

– Analiza? – rzucił wreszcie.

– Słucham?

– Proszę zanalizować sytuację, ja też chcę wiedzieć, czy mam do czynienia z kimś poważnym, kto zna się na

rzeczy. Bo rekomendacja Olega Iwanowicza była dość... szczególna.

Olega Iwanowicza? No tak, Bielów użył patronimiku, ojciec Dubrowa miał na imię Iwan. Większość Rosjan zwraca się do siebie, wykorzystując otczestwo, świadczy to o pewnej zażyłości. Przeważnie. Możliwe, że obaj panowie znają się bliżej, a może to celowa zmyłka. Witamy w realnym świecie...

– Niech pan nie zwraca uwagi na tego matofka – mruknąłem.

– Chodzi o...

– Mam na myśli Dżumę – doprecyzowałem. – Wydaje mu się, że jest dowcipny.

– To poproszę o tę analizę.

Być może w głosie Bielowa przewinął się cień uśmiechu przez mgnienie krótkie jak uderzenie motyli skrzydeł. Być może. Odetchnąłem głębiej – wiedziałem, że zaboli, niezależnie od tego, ile razy mój rozmówca słyszał już to samo od innych.

– Mam tylko podstawowe dane – zacząłem – jednak wydaje się...

– Tak?

– W wypadku porwania dla okupu rodzina ofiary otrzymuje żądania natychmiast po tym, jak porywacze znajdą się w bezpiecznej kryjówce. Przeważnie trwa to od kilku do kilkunastu godzin. Może się przedłużyć, jeżeli organizatorzy są wysokiej klasy profesjonalistami i wynajmują... podwykonawców. Wtedy procedura trwa dłużej, bo pomiędzy ekipą, która dokonuje samego porwania, a grupą zapewniającą przetrzymywanie ofiary mogą występować bufory, pośrednicy. Tak czy owak,

oczekiwanie na pierwszy telefon nie powinno trwać dłużej niż dobę, w wyjątkowych sytuacjach dwie, trzy. Jeśli w tym terminie nie pojawia się żądanie okupu, przeważnie można wykluczyć ten motyw porwania... Teoretycznie mogą czegoś takiego dokonać amatorzy, tacy są najbardziej niebezpieczni, bo nie kontrolują swoich emocji i popełniają błędy, wtedy cała akcja może się przedłużyć w nieskończoność. Tyle że oni nie daliby rady profesjonalnej ochronie...

Odchrząknąłem, aby rozluźnić ściśnięte nagle gardło.

– Innym motywem jest zemsta. Ten scenariusz zakłada z góry, że porwany zostanie zabity w męczarniach, scena śmierci nagrana, film wysłany do adresata... Jak rozumiem, nic takiego nie miało miejsca?

– Nie!

Odpowiedź brzmiała niczym warknięcie rannego zwierzęcia.

– Trzeci możliwy cel to dezorientacja – kontynuowałem. – Tu ofiara także ginie, ale nie jest torturowana, nikt jej nie nienawidzi. To tylko biznes... Chodzi o to, aby wybić z rytmu, zdenerwować kogoś z jej bliskich. Wtedy nie ma żadnych żądań, porywacze wiedzą, że najbardziej stresujący jest brak wiadomości. Zwłoki likwiduje się tak, żeby nie został ślad zbrodni, wykonawcy nie mają zamiaru ryzykować. To podstawowe motywy porwania, które mają odniesienie do tej konkretnej sytuacji. Inne są ich wariacjami.

Oczywiście istniało wiele innych możliwości: porwanie przez maniaka seksualnego, z powodów politycznych czy religijnych, jednak nie pasowały one do okoliczno-

ści. Wiedzieliśmy o tym obaj, nie było sensu nawet ich rozpatrywać.

– Co do tej... dezorientacji, istnieje przecież wiele innych możliwości, nie tylko morderstwo. Sabotaż, groźby, szantaż...

W głosie Bielowa usłyszałem przemieszana z nadzieją rozpacz, urwał zdanie, jakby zabrakło mu sił, by dokończyć.

– To nie tak – odparłem cicho. – Rozpatrując rzecz z punktu widzenia cybernetyki, a na tym opieram swoją analizę, istnieją oczywiście rozmaite motywacje ludzkich działań: poznawcze, ideologiczne, etyczne, ekonomiczne... Oznacza to, że występują grupy ludzi szczególnie podatnych na bodźce konkretnego typu, na przykład kary i nagrody finansowe czy też argumentację o podłożu moralno-etycznym. Jednak jeżeli chcemy oddziaływać na kogoś ze stuprocentową pewnością, że nasze zamierzenie się powiedzie, musimy użyć motywacji witalnych, te są wspólne dla wszystkich, bo każdy, no, niemal każdy, posiada instynkt samozachowawczy i chce chronić rodzinę. Tak więc uniwersalnym w rozumieniu cybernetyki społecznego oddziaływaniem pozostają represje fizyczne. Trzeba zaatakować „cel” lub kogoś z jego bliskich. To najbardziej skuteczny sposób. Ponieważ nie pan stał się bezpośrednio obiektem ataku, wypada wysnuć wniosek, że pańska śmierć byłaby nie na rękę inicjatorom porwania. Pan miał żyć i działać, aczkolwiek w sposób zaburzony. Nie wiem, z kim ani jakie interesy pan wówczas prowadził, ale najwidoczniej komuś zależało, żeby nie był pan... w formie.

Cisza miała kolor woskowej bieli, niczym twarz prowadzonego na rozstrzelanie więźnia, pachniała krwią, ziemią i prochem. Przerwał ją chrapliwy, wysilony oddech Bielowa.

– Jaki okres wchodzi w grę? Licząc od chwili zniknięcia mojej córki? – spytał.

– Nie sposób tego określić. W przypadku śmierci kogoś z bliskich dezorientacja może być długotrwała. Niewykluczone, że jeszcze nie wszedł pan w kontakt biznesowy z inicjatorem porwania.

– Angażuję pana – stwierdził krótko.

Uzyskawszy moją zgodę, zaczął wyjaśniać detale. Tym razem jego słowa brzmiały niczym szelest piasku – sypały się suche i pozbawione wszelkich emocji, jakby wcześniejszy wybuch uczuć nigdy nie miał miejsca.

Wróciłem do pokoju przeniknięty chłodem niemającym nic wspólnego z panującą na zewnątrz temperaturą, rozmowa z Rosjaninem mnie rozstroiła. Co bym zrobił, gdyby zamordowano mi córkę? Co widziałbym w twarzach współpracowników i znajomych, wiedząc, że ktoś z nich zdradził, a inny wydał rozkaz?

Małgorzata usiadła na łóżku, zaalarmowana skrzypnięciem drzwi.

– Pomóż mi – poprosiłem, całując jej szyję.

Czułem pod wargami pulsującą w coraz szybszym tempie tętnicę, twardniejące, pobudzone pieśczołą pierś. Chciała coś powiedzieć, więc położyłem palce na ustach Margarity, dałem sygnał – nie teraz, później! Odrzuciłem kołdrę, by sycić się widokiem jej wrażliwego, emanującego dojrzałą zmysłowością ciała. Brzoskwiniowy odcień smukłych ud, łuk biodra, wysokie podbicie



drobnej stopy... Po chwili nie myślałem już o Bielowie, nie czułem w sobie zimna.

Leżeliśmy długo, obejmując się nie jak kochankowie, a załęcznione dzieci, utwierdzając się w przekonaniu, że wszystko w porządku, bo przecież ta najbliższa, najważniejsza osoba jest tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Mój oddech poruszał włosy Margarity, pod dłonią czułem pulsowanie jej serca. Biło równo, spokojnie i coraz wolniej. Jak moje. Zasnąłem.



**N**a lotnisku Pułkowo wylądowałem około piętnastej. Czas przelotu spędziłem, podrzemując w klasie biznesowej, normalnie nie pozwalałem sobie na takie luksusy, ale skoro Biełow płacił... Zgodnie z instrukcją wyszedłem z hali przylotów i zatrzymałem się niedaleko wejścia. Nie musiałem długo czekać – trudno przeoczyć wysokiego, chudego faceta z blizną na twarzy. Już po chwili podeszło do mnie dwóch mężczyzn, jeden zajął się moim bagażem, drugi wymownym gestem wskazał parkujące opodal BMW. Z wyglądu opancerzone. Jak widać mój gospodarz nie narzekał na brak pieniędzy – takie auta kosztują obłędnie – no i dbał o gości. Plusik dla pana Biełowa.

– Gdzie jedziemy? – spytałem.

– Do „Europy” – odparł zwięźle kierowca.

Jego kompan, ciemnowłosa mężczyzna o latynoskiej urodzie, wdusił jakiś przycisk, odsłaniając maskowany przez instalację radiową schowek na broń. Wyciągnął dwa MP5 ze składaną kolbą, zamocował jeden z nich w specjalnym uchwycie w zasięgu ręki kierowcy, drugi

położył sobie na kolanach. To spodobało mi się znacznie mniej, mogło świadczyć już nie o ostrożności, a konkretnym zagrożeniu. Moi towarzysze nie wyglądali na ekscytujących się militariami małolatów, jeśli sięgnęli po broń, musieli mieć powody. Ruszyliśmy.

„Europa” istnieje już sto trzydzieści lat, bywałem wcześniej w Petersburgu, ale nie stać mnie było na nocleg w pięciogwiazdkowym hotelu. Po trwającej chyba nieco dłużej niż normalnie jeździe – miałem wrażenie, że kierowca wykonał kilka manewrów mających zgubić ewentualny ogon – stanęliśmy przed imponującym, zajmującym całą lewą stronę ulicy Michajłowskiej gmachem. W holu oczekiwał nas dystyngowany starszy pan, jak się okazało, dyrektor hotelu.

– Wszyscy przyjaciele pana Bielowa są naszymi szczególnymi gośćmi – oznajmił z ukłonem.

Otrzymałem apartament numer 119 nazwany imieniem Strawińskiego. Jeden z dziesięciu najbardziej luksusowych, jakimi dysponował „Grand Hotel Europe” w Sankt Petersburgu.

– No, no... – powiedziałem do lustra, rozbierając się w wyłożonej zielonym i białym marmurem łazience. – Chyba polubię pana Bielowa...

Napuściłem wody do ogromnej wanny, po raz pierwszy od czasu pobicia wziąłem prawdziwą kąpiel. Włączyłem funkcję hydromasażu i pogrążyłem się w odprężającej drzemce.

Lekki posiłek, który dostarczono mi do pokoju, popiłem kieliszkiem alchemicznej wódki, wcześniej okleiłem bolący bok plastrem nasączonym tybetańskimi ziołami. Kolejna metoda lecznicza z arsenału Maksa. Postano-

wielem skorzystać z jego sugestii, zależało mi, by jak najszybciej dość do siebie. Z różnych powodów.

Telefon zadzwonił równo o siódmej.

– Czekam na dole – poinformował krótko jeden z poznanych dzisiaj pracowników Bielowa.

No cóż, czas przywitać się z szefem...

I znowu przemierzaliśmy ulice tego obcego, a jednak w jakiś sposób bliskiego mi miasta. Trudno powiedzieć, na czym to polegało, bo w Petersburgu byłem raptem ze trzy razy. Może pomogły mi w tym lektury, pamiętniki z czasów blokady? Może zdjęcia zabytków, na podobnej zasadzie jak ballady Okudźawy i powieść „Mistrz i Małgorzata” uczyniły moskiewski Arbat po części moim? Nie wiedziałem, a i czas był nie po temu, żeby snuć odezwane od rzeczywistości rozważania. Moi towarzysze znowu trzymali broń w pogotowiu, zrobiło się chłodno – samochodowy termometr wskazywał pięć stopni, grube na kilka centymetrów szyby chroniły nie tylko przed zimnem, ale też przed kulami. Wszystko to przypominało natrętnie, że nie przyjechałem tu na wakacje, gdzieś w tle cały czas kotłowały się myśli o chorobie Margarity. Niech to szlag...

Zatrzymaliśmy się u wejścia strzelającego w niebo biurowca, moi opiekunowie błyskawicznie wsadzili mnie do windy, kierowca wcisnął guzik z napisem „dach”.

– Pan Bielow ma posiadłość niedaleko Krasnoj Gorki, pod miastem – poinformował.

– To jakaś wioska? – upewniłem się.

– Coś w tym rodzaju – odburknął.

Wyraźnie nie miał ochoty na pogaduszki. Śmigłowiec, jedna z wersji Mi-34, miał już łopatom wilgotne,

jesienne powietrze. Usadowiłem się w fotelu, założyłem hełm, torbę z podręcznym bagażem umieściłem w specjalnej wnęce.

– *Po koniam, riebiata, po koniam!* – rzucił niecierpliwie pilot.

Nakazał gestem zamknąć drzwi, ruszyliśmy. Zawyły silniki, maszyna skoczyła w górę jak wystrzelona z katapulty, w chwilę później runęła naprzód i w dół. W słuchawkach usłyszałem, jak klnie jeden z ochroniarzy, z trudem przełknąłem podchodzącą do gardła żołąć.

– Gdzie się uczyleś latać, matole?! – wycharczałem, piorunując spojrzeniem pilota.

– W Afganie – odparł wesoło. – Nie martw się – do dał, błędnie interpretując wyraz mojej twarzy – nie mamy co prawda działka i rakiet, ale jesteśmy bezpieczni.

– Nie wątpię – warknąłem, kiedy zakolebał nami podmuch wiatru.

– *Adros rabotajet.* – Poklepał uspokajającym gestem naszpikowany różnymi wskaźnikami pulpit.

Też mi pociecha... Machnąłem ręką, skupiłem się na oddychaniu. Nie lubię latać małymi samolotami, to samo dotyczy śmigłowców. Trudno mi opanować mdłości, a zarzyganie niewielkiej przeważnie kabiny raczej nie uchodzi za najlepszy sposób autoprezentacji. Latałem już wcześniej, bywało, że w gorszych warunkach, tyle że bez entuzjazmu, delikatnie rzecz ujmując. Ostatnie, czym bym się przejmował w takiej chwili, to elektroniczne systemy obronne śmigłowca. Adros to rewelacyjna ponoć konstrukcja, którą zaczęto od niedawna zastępować przestarzałą rosyjską Ispanką. Pewnie powinienem się cieszyć, że w razie odpalenia Stingera czy innej Strieły

szanse na przeżycie wynoszą nie trzydzieści jak dawniej, a siedemdziesiąt procent...

– Specnaz, prawda? – podjął ponownie rozmowę, zerknąwszy na mnie przelotnie. – Naprawdę nie wiem, chłopaki, dlaczego nie chce wam się nigdy gęby otworzyć, pogadać. Zawsze to samo: i w Afganie, i teraz.

Śmigłowiec zadrżał uderzony nagłym podmuchem – pogoda musiała gwałtownie się pogorszyć, jednak mój rozmówca nie wyglądał na zmartwionego. Usłyszałem, jak pogwizduje beztrosko. Mogłem mu powiedzieć, że nie dziwię się specjalnie małomówności wożonych przez niego żołnierzy, o ile robił to z podobną jak teraz maestrią, mogłem wyjaśnić, że nie jestem z oddziałów specjalnych. Po namyśle postanowiłem milczeć, bałem się, że jeśli otworzę usta, obrzygam sobie buty.

Przed wyjazdem przejrzałem satelitarną mapę Petersburga i okolic, Krasnaja Gorka znajdowała się niedaleko od granic miasta, miałem nadzieję, że nasza podróż skończy się niebawem. A najlepiej jeszcze szybciej...

Kiedy pojawił się pod nami otoczony starannie przystrzyżonymi krzewami pałacyk, o szyby uderzyły pierwsze krople deszczu, zagrzmiało. Z pełnego ulgi pomruku w słuchawkach wywnioskowałem, że jesteśmy u celu. Pilot, o dziwo, sprowadził maszynę w dół jak po sznurku, bez żadnych akrobacji, lądował z zegarmistrzowską precyzją na betonowym placu, niedaleko parkingu.

– *Udaczni!* – pożegnał się z nami lakonicznie.

Wyskoczyłem na zewnątrz, nadstawiłem twarz pod pieszczotę deszczu, odetchnąłem pachnącym lasem powietrzem.

– Pan Bielów czeka w salonie – oznajmił mężczyzna w liberii, który podbiegł z parasolem.

Mimo luźnego, stylizowanego na dziewiętnasty wiek fraka zauważyłem wypukłość pod lewą pachą faceta. Znaczy, nie tylko fagas, ale i ochroniarz... Ciekawe, czy to normalne środki bezpieczeństwa, czy też wprowadzono je dopiero po porwaniu? Odpowiedź na to pytanie mogłaby rzucić światło na samo zdarzenie. Nie znałem co prawda szczegółów, ale jeżeli córka Bielowa była na co dzień chroniona tak jak ja dzisiaj, to ludzie, którzy dokonali ataku, musieli być naprawdę mocni...

Nigdy nie widziałem Bielowa – poszukiwania jego podobizny w Internecie zakończyły się fiaskiem – lecz od razu wiedziałem, że to on. Siedział w fotelu przy kominku, zapatrzony w ogień, głaskając z roztargnieniem największego mastifa, jakiego widziałem w życiu. Nie był specjalnie przystojny – jego twarz znaczyły głębokie, dodające lat bruzdy, ani wykwintnie ubrany – miał na sobie dżinsy i luźną, wygodną marynarkę, narzuconą na szarą koszulę. Bez wybruszenia w okolicach lewej pachy... Jednak otaczała go aura władzy, coś, czego nie sposób nie zauważyć. Mimo że znajdował się w rogu pomieszczenia, stanowił jego centrum przez sam fakt swojej obecności. Widać było, że jest przyzwyczajony do wydawania rozkazów. I do tego, że te są natychmiast wykonywane. Kiedy wstał, aby mnie powitać, psisko wydało gniewny pomruk, nie wiadomo, czy protestując przeciwko temu, że jego pan skierował uwagę gdzie indziej, czy też wyrażając zwięźle opinię na mój temat.

Dłoń Bielowa była twarda i sucha, pod opuszkami palców wyczułem wyraźne zgrubienie – ani chybi bli-

zna. Z rodzaju tych, jakich można się dorobić, rozbrajając nożownika. Brawo, panie Bielów! – taka sztuczka to nie byle co, większość osób, które jej próbowały, wacha kwiatki od spodu. Ogólnoświatowy rejestr najbardziej-głupich-rzeczy-jakie-można-zrobić otwierają techniki samoobrony przed nożem...

– Chodźmy do gabinetu. – Wskazał mi oszczędnym gestem drogę.

Przeszliśmy. Ręcznie malowane tapety, adamaszkowe zasłony, puszysty bucharski dywan i inkrustowane cennymi gatunkami drzewa sprzęty stwarzały wrażenie luksusu, ale niemal nie zwróciłem na to uwagi. Patrzyłem na stojącego przy oknie mężczyznę: średniego wzrostu i budowy, ubrany z niedbałą elegancją, na pierwszy rzut oka wyglądał dość zwyczajnie. Na drugi już nie: Dżuma, brat Anny, żywa legenda Specnazu.

Zatrzymałem się w pół kroku, nie wiedząc, co robić, bardziej skrępowany niż przed chwilą, kiedy witałem się z Bielowem.

– Nieźle wyglądasz, myślałem, że będzie gorzej – mruknął, obdarzając mnie powściągliwym uściskiem.

– Nie wiedziałem, że znacie się bliżej – uniósł brwi Bielów, kiedy umościliśmy się już w wygodnych, obitych skórą fotelach.

Podtekst pytania był oczywisty – na ile może ufać przybyszowi z Polski? Wzruszyłem ramionami, cedując odpowiedź na Olega Dubrowa.

– Znamy – odparł lakonicznie Dżuma, najwyraźniej nie mając zamiaru udzielać obszerniejszych wyjaśnień.

– No dobrze – westchnął nasz gospodarz. – Przejdźmy do rzeczy.



Oleg podszedł do królującego na biurku laptopa i, odwróciwszy go w moją stronę, odtworzył film. Całość trwała może trzydzieści sekund, może mniej. Kamera pokazała szerokie plecy zbliżającego się do wysokiego ogrodzenia mężczyzny, na chwilę uchwyciła tył jego głowy i kark. Gdzieś z brzegu kadru mignął niesiony przez nieznajomego ni to worek, ni to plecak.

– To wszystko, co mamy – poinformował Dżuma. – Ta kamera w zasadzie nie powinna działać, jednak jakimś cudem włączyła się na chwilę. Nie będę wdawał się w detale, i tak się na tym nie znasz, ale mówiąc krótko: facet, którego widziałeś na filmie, unieszkodliwił wszystkie systemy obronne, rozwalił całą, no, prawie całą elektronikę, zabił trzech ludzi i porwał Ludę. Ludmiłę Biełową – wyjaśnił, widząc mój pytający wzrok. – Miała... ma dwadzieścia trzy lata.

– Gdzie to się stało?

– Tutaj, na terenie rezydencji.

– I ochrona niczego nie zauważyła? Przecież ktoś musiał śledzić obraz z kamer, jeśli ten się urwał...

– Nie urwał się. Gość zmontował nagrania z paru ostatnich tygodni i przekazał je do centrali monitoringu jako aktualne. Do dziś nie wiemy, w jaki sposób, bo to jedna z bardziej znanych sztuczek w tej branży, system ma zabezpieczenia przeciwko takim numerom. Tyle że ten gnojek je pokonał.

– A ci ludzie? – spytałem. – Na ile byli dobrzy?

Dżuma wydał wargi, postukał palcami w stół – pierwsza oznaka zdenerwowania, jaką u niego widziałem.

– Ujmę to tak – powiedział. – Jeśli spróbowałbym ich zabić, dałbym radę tylko dlatego, że oni mnie znali.

Miałbym przewagę zaskoczenia, byłem jedyną osobą, której ufali na tyle, że pozwoliliby mi się zbliżyć z bronią, ale prawie na pewno zostałbym ranny. Cały czas mam na myśli dwóch obstawiających z zewnątrz budynek, w którym znajdowała się Luda. Ten w środku był równie dobry. Musiał dostać sygnał, że sytuacja jest podbramkowa, a mimo to dał się zaskoczyć i zabić.

– Dlaczego od razu zaskoczyć?

– Bo zabito go jednym strzałem w podbródek, z przyłożenia. Prawdopodobnie doszło do walki wręcz. A przecież te chipy... – urwał, zagryzając wargi.

– Tak?

– Każdy z ochroniarzy ma mikrochip informujący o aktualnej pozycji, dane są na bieżąco nanoszone na mapę, i monitorujący funkcje ciała. W przypadku zatrzymania akcji serca następuje natychmiastowy alarm. To zadziało, odebraliśmy sygnał w centrali, nie ma mowy, żeby ochroniarz wewnątrz budynku przeoczył coś takiego. On co prawda nie był na służbie, pewnie nawinął się Ludzie i poprosiła go o pomoc w pakowaniu albo wyniesieniu bagaży, ale odebrałby sygnał alarmu na pager.

– Chwileczkę, czyli on nie miał aktywnego chipa?

– Nie. Sygnał ma zasięg kilkunastu kilometrów, nie prowadzimy monitoringu poza pracą, ludzie mają prawo do prywatności.

– I co się stało, kiedy odebraliście sygnał?

– Wszystko działo się według opracowanej wcześniej procedury: zamknięto bramy, rozpoczęto kontrolę systemów alarmowych i przeszukiwanie terenu posiadłości, a do domku, w którym przebywała Luda, ruszył oddział

alarmowy – odpowiedział Bielów. – Niestety, przybyli za późno...

Pokręciłem z niedowierzaniem głową.

– Trudno w to uwierzyć – mruknąłem. – To jakiś Batman. Albo ktoś, kogo wasi ludzie znali...

– Wątpię – odparł Dżuma. – Najprawdopodobniej ktoś z wewnątrz zdradził, ale zabójstwo tamtych trzech to inna rzecz... Wykluczone – dodał po zastanowieniu.

– Dlaczego tak myślisz?

– To nie byli emeryci. Cały czas pracowali... w branży. Michaił Juriewicz – skinął w stronę Bielowa – zatrudniał ich okresowo. Oni nie stropiliby się tym, że ktoś z ich znajomych wyciągnął broń, nie zastanawialiby się, co robić. Ja jestem wyjątkiem, byłem ich dowódcą. Widząc kogokolwiek innego, nawet kogoś, kogo uważali za przyjaciela, po prostu zareagowaliby tak, jak ich wyszkolono. Nie tracąc ułamka sekundy. Oni nie żyli w normalnym rytmie, odparcie niespodziewanego ataku było dla nich rutyną, tak samo jak dla przeciętnego człowieka, bo ja wiem, naciśnięcie klamki, żeby otworzyć drzwi. Nie zastanawiasz się przecież nad kształtem klamki czy materiałem, z jakiego została wykonana, wiesz, co musisz zrobić, żeby wejść do pokoju. Naciskasz ją i tyle. – Wzruszył ramionami.

– Czyli jednak Batman?

– Na to wygląda – przytaknął posępnie Dżuma.

– Jak udało mu się uciec?

– To akurat żadna tajemnica. Domek, w którym mieszkała Luda, miał nie tylko wzmocnione ściany i kuloodporne okna, w piwnicy pod budynkiem znajduje się wejście do prowadzącego poza teren posiadłości tunelu.

Z zewnątrz nie można się do niego dostać. – Uprzedził moje pytanie. – Chyba żeby zastosować materiały wybuchowe, a tego nikt nie zrobił. Natomiast od wewnątrz... To droga ewakuacji. Napastnik wszedł do budynku, w jakiś sposób musiał poradzić sobie z elektroniką, zabił ochroniarza, porwał Ludę i wydostał się tunelem. To najbardziej prawdopodobna wersja – dodał po namyśle.

– Trzech ludzi do ochrony pańskiej córki wewnątrz posiadłości to normalne? – zwróciłem się do Biełowa.

– Nie. Zakładamy... zakładaliśmy, że jest tu bezpiecznie. Luda miała lecieć do Moskwy, stąd eskorta. Dwóch czekało przy samochodzie, a Łarin wewnątrz.

Westchnąłem – sprawa wyglądała nieciekawie. Być może istniało jakieś oczywiste rozwiązanie, ale jak na razie nic nie przychodziło mi na myśl. Napastnicy, kimkolwiek by byli, dysponowali możliwościami, jakimi nie powinni dysponować; zaskoczyli i pokonali profesjonalną ochronę, to było jasne. Tylko dlaczego Dżuma wspominał wcześniej o archiwach?

– Do czego wam jestem potrzebny? – spytałem.

– Liczymy na niezależną opinię, może ta twoja cybernetyka pozwoli spojrzeć na fakty pod nieco innym kątem, ale jest też druga sprawa. Ochroniarze... kiedy ich znaleźliśmy, nie mieli serc. Ktoś wyciął je nożem. Dokładnie rzecz biorąc, okaleczeni zostali ci na zewnątrz, ochroniarz, który był z Ludą, nie. W materiałach miejscowej milicji jest odsyłacz do dokumentów dotyczących podobnej zbrodni, ponoć w czasie wojny grasowała tu sekta kanibali. W czasie blokady Leningradu – wyjaśnił Oleg Dubrow. – Ich znakiem firmowym była ta sztucz-

ka z sercami. Akta, o ile się zachowały, będą w którymś z archiwów. Na pewno nie są wprowadzone do komputera ani zmikrofilmowane. Tam jest straszny burdel, potrzebujemy fachowca.

– To ma jakiś związek z porwaniem?

– Skąd mam wiedzieć? – odburknął. – Szczerze mówiąc, chwytny się brzytwy. Z drugiej strony rytualne zabójstwa to rzadkość.

– Może to zmyłka? – powiedziałem niepewnie. – I dlaczego rytualne? Przecież porywacz i tak musiał zabić ochronę.

– Wycięcie serca to nie byle co – stwierdził Dżuma. – Trzeba otworzyć klatkę piersiową, podważyć...

– Może bez szczegółów technicznych – poprosiłem, krzywiąc się lekko.

– No więc, to zajmuje trochę czasu. Jeżeli facet jest takim geniuszem, musiał wiedzieć, że czas leci. Każda zmarnowana sekunda to ryzyko. Nawet Batman skrzyżowany z Kapitanem Ameryką nie ryzykowałby bez powodu wymiany ognia z dwoma plutonami Specnazu. Dlatego sądzę, że te serca były dla niego ważne, bardzo ważne.

– To się nie trzyma kupy – oznajmiłem zniechęcony. – Jeśli to zawodowiec, to nie może być jednocześnie sekciarzem-kanibalem. Albo chciał porwać Ludę, albo polował na serca. Jedno z dwóch.

Zapadło milczenie, po chwili Biełow podniósł słuchawkę telefonu i zamówił kolację do gabinetu. Podano jesiotra z rusztu, kilka rodzajów sałatek, wreszcie jajecznicę z dodatkiem trufli i kawioru. Do tego chablis i na moje życzenie zieloną herbatę – nie miałem och-

ty na alkohol. Dżuma poczekał, aż ostatni kelner zamknie za sobą drzwi, frasobliwie zakołysał kieliszkiem wina.

– Masz rację – westchnął. – To jest całkiem popierdolone. Co prawda napastników mogło być więcej, teoretycznie, bo obrażenia zwłok ochroniarzy wskazują, że zostali zabici przez jedną osobę, ale nawet wtedy taka ekipa powinna mieć ten sam cel.

– Obrażenia?

– Ta sama broń, dziewięć milimetrów, dublety w głowę – odpowiedział zwięźle. – Ten w budynku zarobił z własnej spluwy. Jednym pociskiem.

Skrzywiłem się bezwiednie, dublety... Idea podwójnych strzałów powstała w czasach, kiedy powszechnie używano rewolwerów – pistolety zbyt często się zacinały względnie te w miarę bezawaryjne zawierały mniej niż dziesięć pocisków w magazynku. Z jednej strony trzeba było oszczędzać amunicję, z drugiej – mieć pewność, że trafiony przeciwnik już się nie podniesie. Dzisiaj w starciu przy użyciu broni krótkiej strzela się rytmicznie, bez liczenia pocisków, do obalenia celu. Pozwalają na to pojemne, kilkunastonabojowe magazynki. Ktoś, kto strzela dubletami, musi być naprawdę dobry. No, ale to akurat żadna nowina.

– Hammer?

– Wiesz, trudno to stwierdzić po zwłokach – wycedził Oleg.

Westchnąłem. Hammer to technika, w której mierzony jest tylko pierwszy strzał, drugi następuje natychmiast po nim, bez korzystania z przyrządów celowniczych po to, by zwiększyć prawdopodobieństwo porażenia wroga.

Przy starciu z więcej niż jednym przeciwnikiem w zasadzie nie używa się innej techniki.

– Trafienia były bardzo precyzyjne – stwierdził. – Tak jakby celował za każdym razem.

– Kontrolowana para?! W sytuacji kiedy walczył z dwoma zawodowcami?

Dżuma rozłożył bezradnie ręce.

– Tak to wyglądało – powiedział. – Tamci mieli broń w rękę, zdążyli wystrzelić.

– Ile razy?

– Dwa i jeden.

– Trafili go?

– Nie znaleziono żadnych śladów. Walka toczyła się na dystansie około dziesięciu metrów, ustaliliśmy to dokładnie, bo zostały łuski – dodał.

– Nie trafili go z dziesięciu metrów? – spytałem z niedowierzaniem. – Obaj?!

Oleg nie odpowiedział, potarł tylko znużonym gestem skronie. Nie było o czym mówić: pieprzony Batman...

– Jest pan na pewno zmęczony – odezwał się Bielów, zerkając na zegar. – Dochodzi jedenasta. W zasadzie poruszyliśmy najważniejsze kwestie, detale wyjaśni panu Oleg Iwanowicz.

Życzyliśmy sobie dobrej nocy i Dżuma poprowadził mnie do mojego pokoju. Na terenie posiadłości znajdowały się domki dla gości, ale po ostatnich wydarzeniach wszystkich upchnięto w pałacyku. Po drodze minęliśmy kilku mężczyzn uzbrojonych w pistolety maszynowe, Oleg poinformował mnie, że takie patrole to efekt uszczelnienia systemu bezpieczeństwa. Jego mina mó-

wiła wyraźnie, że nie jest tym zachwycony. Rozumiałem go – wbrew filmowym stereotypom dobra ochrona nie bazuje na konfrontacji, starcie to ostateczność, a często wynik błędu. Dużo ważniejszy jest wywiad i zapobieganie niebezpieczeństwu. Tylko że trudno czemukolwiek zapobiec, nie wiedząc, kto i dlaczego zagraża rodzinie Biełowa...

– Umieścili cię naprzeciwko Mariny, młodszej z córek naszego gospodarza. To nie najlepsza lokalizacja, bo smarkula jest rozpaskudzona, ale Biełow się boi. Pewnie myśli, że twoja obecność ją ochroni. Rozumiesz, na płaszczyźnie mistycznej. W końcu byłeś Chorążym – powiedział, przewracając oczyma. – Aha, pamiętaj, że ona zna niezłe polski, jej babka była Polką, więc nie próbuj przy niej konspirować w tym języku.

– Co masz na myśli, mówiąc: rozpaskudzona? – Zmarszczyłem brwi. – I dlaczego miałyby to mnie obchodzić?

– Co mam na myśli? Sam zobaczysz – odparł ponuro. – Bo przecież będziesz musiał ją przesłuchać.

– Niby tak – mruknąłem.

Jeśli miałem na coś się przydać, musiałem pewne sprawy zbadać samodzielnie, nie korzystając z wcześniejszych ustaleń. Chyba rzeczywiście będę musiał porozmawiać z panią Mariną...

Gdy minęliśmy załom korytarza, runęła na nas rozrywająca bębenki muzyka. Najwyraźniej nie wszystkim było znane pojęcie „cisza nocna”. Jakiś męski głos do wtóru gitar i perkusji wywrzaskiwał swoje opinie na temat rosyjskiej armii:



*Znajet Kitajec, znajet Jewriej –  
 krasnaja armia wsiech silniej.  
 Pomnit Bierlin, kak od krasnoj zwiezdy  
 on połuczył w sorok piatom pizdy.  
 Grozno idut kirzaczi i piłotki,  
 pływut podo ldami podwodnyje łodki.  
 Pochuj, czto puszek i topliwa mało.  
 Łopatoj my dadim wrogu po jebało!*

– To jeden z ulubionych zespołów Mariny – poinformował z kwaśnym uśmiechem Dżuma. – Czerwona Pleśń.

– Gdzie? – Rozejrzałem się zdezorientowany.

– Ta grupa nazywa się Czerwona Pleśń – wyjaśnił, przekrzykując muzykę.

*Cztoby bojalis' wrogi-pidorasy,  
 w niebie lietajut liotcziki-asy.  
 Chuli Amierika, chuli to NATO?  
 Družno połuczat pizdy od strojbata!  
 No jesli że wrog dojebiotsa do nas,  
 za dieło wozmiotsa russkij Specnaz.  
 Proszczajtie togda wiertaliooty i tanki,  
 ostanutsja tolko gamno i portianki.*

Kiedy dotarła do mnie treść piosenki, ryknąłem śmiechem. Oleg wyglądał, jakby chciał mi przyłożyć – tekst był oczywistą parodią, wyśmiewał typowe rosyjskie kompleksy i fobie. Zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł do pokoju Mariny, po chwili wahania podążyłem

za nim. Wysoka, chuda dziewczyna odwróciła się do nas, gniewnie wydymając wargi, wyłączyła muzykę.

– O co chodzi?! – warknęła.

Miała szesnaście, może siedemnaście lat. Twarz o regularnych, niemal klasycznych rysach i wyrazistych kościach policzkowych zastygła w grymasie arogancji, ale gdzieś w głębi zielonych oczu krył się strach. Nie dziwiłem się – pewnie dziewczuszka była przyzwyczajona do tego, że pozycja jej ojca jest niepodważalna. Teraz ujrzała, że ktoś nie tylko rzucił mu wyzwanie, ale i pobił w najbardziej bolesny sposób – udowodnił, że nie jest w stanie ochronić nawet własnej rodziny. Założyłbym się, że zastanawiała się, kto będzie następny...

– Czas spać – poinformował ją Dżuma, wyjmując płytę z odtwarzacza.

Obrzuciła go ponurym spojrzeniem, jednak nie zaprotestowała, najwyraźniej nie była głupia. Wątpiłem, czy wie, czym zajmuje się Oleg, ale zdawała sobie sprawę, że nie opłaca się stawiać temu akurat człowiekowi.

– Widzę, że to całkiem grzeczna panienska. Wbrew temu, co twierdziłeś – dodałem złośliwie.

Musiałem jak najprędzej poznać charakter córki Bielowa i nie miałem nic przeciwko zorganizowaniu małej konfrontacji. Nie da się zdiagnozować kogoś, kto siedzi i milczy.

– Nie napuścisz jej na mnie – roześmiał się Oleg. – Za bardzo się boi.

– Czyżby? – mruknąłem.

Oczywiście wiedziałem, że Dżuma niejednego potrafiłby wystraszyć na śmierć, ale nie przypuszczałem, aby

zrobił coś takiego dzieciakowi. Nawet wyjątkowo aroganckiemu dzieciakowi. Zresztą Bielów nie wyglądał na kogoś, kto pozwalałby terroryzować córkę.

– Był czas, kiedy gniewaliśmy się z księżniczką Mariną – zagaił z uśmiechem Dżuma. – Jednak Jej Wysockość szybko doszła do wniosku, że nie należy drażnić wujka Olega...

Parsknąłem nieelegancko – rosyjskie dzieci niemal każdego znajomego rodziców nazywają wujkiem, ale ton Olega sugerował, że jego kontakt z córką Bielowa nie był zupełnie zdawkowy.

– Księżniczka bardzo nie lubiła znajdować pod poduszką myszy.

– Ten głupek naprawdę podrzucał ci myszy?!

Skinęła głową czerwona ze wstydu.

– Brawo, towarzyszu! – zawołałem. – Cóż za subtelna sztuczka.

– Jak dojdiesz do siebie, spotkamy się na sali treningowej – zagroził. – A wtedy...

Z rozmarzonym uśmiechem wydał z siebie odgłos przypominający pisk duszonego prosiaczka.

– Zobaczymy – odburknąłem.

– No dobra, idziemy – zdecydował Dżuma. – Ona naprawdę musi już spać. A przy okazji – zwrócił się do Mariny – ten facet to Janusz Korpacki. Będzie chciał z tobą jutro porozmawiać.

– Polak? – spytała.

Potwierdziłem. Wzruszyła ramionami, eksponując wystające obojczyki. Zapewne kiedyś stanie się oszołamiącą, długonogą pięknoscią, ale teraz była tylko kościstą nastolatką, jak się wydawało nieco skrępowaną nie-

doskonałościami własnej urody. Niezgrabnymi ruchami przypominała nowo narodzonego źrebaka.

– Pogadamy jutro – obiecałem. – Jeszcze jedno...

– Tak?

– Piosenka mi się podobała.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu, zachwycona znie-smaczoną miną Dżumy. Oleg wyglądał, jakby miał puścić dym uszami.

– *Dobroj noczi!* – warknął, wypychając mnie za drzwi.

Na korytarzu przestał się wykrzywiać, to był tylko show na użytek panienki. Smarkula miała zapamiętać, że nowo poznany Polak jest fajny i wujek Oleg go lubi. Aby odpowiedzieć na moje pytania, musiała mi w jakimś stopniu ufać. Czy nasza mała manipulacja wystarczy? Przekonamy się jutro.

Dżuma bez słowa wręczył mi płytę i zniknął w swojej kwaterze. No tak, dodatkowy punkt dla mnie – będę mógł ją oddać Marinie.

Przydzielony mi pokój niemal dorównywał komfortem apartamentowi w hotelu „Europa”, choć rzecz jasna ustępował mu znacznie metrażem. Na stole ktoś postawił kosz z owocami, w wazonie pysznił się profesjonalnie skomponowany bukiet kwiatów, jakiś dobry duszek dostarczył też mój bagaż. Wziąłem szybki prysznic i już w piżamie wyłożyłem się na łóżku. Zerknąłem na zegarek – dochodziła dwunasta, trochę późno, ale pewnie Margarita i tak czeka na telefon. Umówiliśmy się przed wyjazdem, że to ja będę do niej dzwonił – nie wiedziałem, jak rozwinie się śledztwo, a ostatnie, czego mi było trzeba, to głośny sygnał w nieodpowiedniej chwili. Nie spodziewałem się co prawda, że będę kogoś śledził czy

włamywał się do cudzych mieszkań – jeśli zajdzie taka potrzeba, pozostawię to zawodowcom – ale na wszelki wypadek nosiłem wyłączoną komórkę.

Odebrała po drugim sygnale.

– Tak, kochanie? Myślałam, że już nie zadzwonisz.

– Przecież obiecałem. Dopiero teraz mam wolną chwilę, chociaż jest dość późno i rzeczywiście zastanawiałem się...

– Nie zastanawiaj się – ucięła stanowczo. – Dzwoni o każdej porze. Co teraz robisz?

– Leżę w luksusowym łóżku, w pokoju obok śpi Oleg, a naprzeciwko córka Biełowa, wielbicielka zespołu Czerwona Pleśń – poinformowałem.

– Ile ma lat ta córka? I co to za zespół?

– Bo ja wiem? Z szesnaście? Przecież nie będę ci puszczał piosenek przez telefon...

– Czemu nie? Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Stęskniłam się – dodała po chwili.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć – jak zwykle w takiej sytuacji. Gładkie, eleganckie komplementy przemykały mi przez myśli niczym ławica drobnych rybek, ale nie mogłem wydusić z siebie ani słowa – rybki przeslizgnęły się przez sieć... Moje dzieciństwo nie należało do najszczęśliwszych, oględnie rzecz ujmując, i mimo upływu czasu nadal nie potrafiłem radzić sobie z uczuciami. Do niedawna wszystkie moje związki z kobietami były powierzchowne i krótkotrwałe, zmieniła to dopiero Anna, siostra Dżumy. Małgorzata najwyraźniej usiłowała zrobić to samo: zastąpić poczucie bliskości intymnością, może czymś więcej.

– Ja... – Odchrząknąłem niepewnie.

– Po prostu opowiedz mi wszystko – poprosiła łagodnie. – Tak, żebym wiedziała, że jestem dla ciebie kimś ważnym.

– Zaczniemy od ulubionej grupy Mariny Biełowej – zaproponowałem z udaną nonszalancją.

– Może być – roześmiała się Małgorzata.

Włożyłem płytę do odtwarzacza, nacisnąłem „play”, po czym przysunąłem telefon do głośników.

– Dość hałaśliwe – przyznała. – A teraz przetłumacz, bo rozumiem co piąte słowo.

– Ale to się rymuje – jęknąłem.

– To rymuj – zażądała kapryśnym tonem.

– Pamiętaj, że sama chciałaś – uprzedziłem.

Nie jestem tłumaczem ani poetą, ale w tym wypadku przekład nie był zbyt trudny.

– To idzie mniej więcej tak:

*Wie o tym Chińczyk, rozumie Żyd,  
że Armii Czerwonej nie zwycięży nikt.*

*Pamięta Berlin, jak od czerwonej gwiazdy  
dostał w czterdziestym piątym pizdy.*

*Groźnie prą naprzód kamasze i pilotki,  
płyną pod lodem podwodne łódki.*

*I chuj, że brakuje armat, pocisków,  
wroga walniemy łopata po pysku...*

– Auć! – zawołała Małgorzata, tłumiąc śmiech. – Co dalej?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? Bo będzie jeszcze gorzej...

– Umieram z ciekawości – zapewniła.

Zastanowiłem się przez chwilę i wyrecytowałem:

*Aby się bali wrogowie-pedały,*

*asy lotnictwa w niebo wzleciały.  
 Jebać Amerykę, na chuj nam NATO?  
 Razem obskoczą wpierdol od strojbatu.  
 A jeśli wróg dojebie się do nas,  
 do akcji wejdzie rosyjski Specnaz.  
 Żegnajcie wtedy, czołgi i śmigłowce,  
 zostaną tylko zasrane gumowce.*

– Strojbat to batalion budowlany – dodałem. – Wykonuje ciężkie prace fortyfikacyjne. Nie miałem koncepcji, jak to przetłumaczyć.

– Mocna rzecz – przyznała Margarita z udaną powagą.

W jej głosie nie wyczuwałem już zdenerwowania jak na początku naszej rozmowy, więc idąc za ciosem, opisałem luksusowy apartament w hotelu „Europa” i wariacki przelot do Krasnoj Gorki. Nie poruszaliśmy sprawy porwania, oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że to nie dyskusja na telefon. Skończyliśmy rozmawiać gdzieś koło pierwszej w nocy. Wolałem nie pytać o wyniki badań, wiedziałem, że na konkrety muszę poczekać jeszcze kilka dni. Nie będzie lekko...



Przeważnie nie pamiętam snów – większości z nich nie chcę pamiętać, zbyt często nawiedzają mnie koszmary – jednak tego ranka okazało się, że wyjątkowo niczego nie zapomniałem. Sny... Od dawna budziły podejrzliwość i nie dziwota, grecki bóg snu, Hypnos, miał być synem potężnej Nyks i Erebu: Nocy i Mroku. Jego matkę przedstawiano jako kobietę o wielkich, czarnych skrzydłach,

odzianą w szatę utkaną z najgłębszej ciemności, z wieńcem maków na głowie. Grecy świetnie znali właściwości maku, wiedzieli, że zsyła on zapomnienie i sen, także ten wieczny... Erebus był synem przedwiecznego Chaosu, spłodził nie tylko boga snu, ale i Tanatosa, bóstwo śmierci. Stąd mniemanie, że granica pomiędzy snem a śmiercią jest wąska i łatwa do przekroczenia. Dlatego ludzkość odczuwała strach przed tym, co możemy zobaczyć we śnie. Nie jestem specjalnie przesądny, nie interpretuję nocnych majaków według wskazań senników, ale też nie mam zwyczaju odrzucać wszystkiego, co wykracza poza zwyczajność, jako czegoś niegodnego analizy. Nasz mózg jest niesłychanie złożonym organem, stopniem komplikacji bije na głowę najnowocześniejsze komputery i czasem stara się nam przekazać coś, czego na jawie nie dostrzegaliśmy. Interpretuje niedostrzegalne dla nas sygnały, zapachy, dźwięki, podświadome skojarzenia.

Śniły mi się karty tarota. O tarocie napisano wiele głupstw: przypisywano mu złowrogię moce, których przeciętny człowiek powinien się wystrzegać, lub też uważano za system samodoskonalenia, nawiązujący do kabały, alchemii, mistyki egipskiej czy indyjskiej. Wychwalał karty tarota jako personifikację cnót żyjący na przełomie piętnastego i szesnastego wieku, publikujący pod pseudonimem Merlin Coccai poeta Teofilo Folengo, ganił współczesny mu Pietro Aretino. On jako pierwszy nazwał dziwną talię „mówiącymi kartami”. Od tej pory opinie na temat tarota oscyływały pomiędzy tymi dwoma skrajnymi poglądami. Kartomancja to tylko jeden z wielu systemów wróżebnych, ale z uwagi na względną łatwość, z jaką można się nim posłużyć – bodaj najpopu-



larniejszy. Los zetknął mnie kiedyś z pewnym uczonym, europejskiej sławy specjalistą w tej dziedzinie, w związku z czym znałem zasady stawiania tarota lepiej niż niejedna wróżka, choć prawie nigdy nie stosowałem ich w praktyce – widać byłem zbyt mało uduchowiony...

We śnie ujrzałem karty Króla Mieczy, Rydwanu i Świata. Wszystkie odwrócone. Istnieją setki popularnych i niemal zupełnie nieznanymi układów tarota, ten, który dostrzegłem, pochodził z okresu renesansu, nazywał się Gwiazda Przewodnia. Stworzono go, aby wskazać wyjście z kryzysowej sytuacji, ostrzec przed niebezpieczeństwem. Nie dziwiło mnie, że moja podświadomość sięgnęła akurat do niego – sytuacja była kryzysowa. Z różnych powodów.

Jednym z wielu idiotyzmów wypisywanych we wszelkiego rodzaju „podręcznikach” tarota jest podawanie stałego i niezmiennego znaczenia danej karty. W rzeczywistości znaczenie to zmienia się w zależności od zastosowanego układu, a także pozycji konkretnej karty wobec innych. W tej akurat sytuacji w ramach układu Gwiazda Przewodnia odwrócony Król Mieczy oznaczał potężnego, bezlitosnego wroga, a Rydwan – mściwość i brak ludzkich uczuć. Jedynie odwrócona karta Świata dawała pewną nadzieję, mówiła o goryczy porażki, po której – być może – przyjdzie poprawa losu.

Nie byłem zachwycony zapamiętanym snem. Choć nie przypominał typowego koszmaru, nie nastrojał optymistycznie. Musiałem przyznać, że karty dość precyzyjnie opisały moje położenie, tyle że nic z tego nie wynikało. Leżąc w dziwnym letargu, już nie śpiący, a jeszcze niezupełnie rozbudzony, doszedłem do wniosku, że sy-

stemy wróżebne są zdecydowanie przeceniane. Zresztą – cóż to za wróżba? Niebezpieczeństwo, wróg, uczucie gorczy, porażka... Ot, zwykłe opisanie stanu rzeczy.

Moje rozmyślania przerwało energiczne pukanie. Ziewnąwszy rozdzierająco, zwlokłem się z łóżka i otworzyłem drzwi.

– Za piętnaście minut w gabinecie Biełowa – rzucił bez żadnego wyjaśnienia Dżuma.

Odszedł, nie czekając na odpowiedź, a raczej zanim zdążyłem go poinformować, co myślę o jego manierach. Jedno trzeba Olegowi przyznać – błyskawicznie doprowadził mnie do stanu przytomności. Klnąc pod nosem, pomaszerowałem pod prysznic.



Biełow siedział rozparty za biurkiem, lecz na pozór arogancka poza mężczyzny skrywała tłumione napięcie. Podkrążone z niewyspania oczy trzymał wlepione w dywan, dostrzegłszy mnie, rozmasował skronie, zaprosił do stołu. Dziś nie wyglądał na czołowego rosyjskiego biznesmena. Nieruchoma twarz potentata przypominała zniszczoną katedrę – zewnętrzne, mocne na pozór ściany skrywały gruzowisko.

– Co się stało? – spytałem.

Ospałym gestem scedował odpowiedź na Dżumę.

– Wykryliśmy kradzież pewnych plików – zaczął Oleg. – Problem w tym... – przerwał, widząc wchodzącą do gabinetu kelnerkę.

Młoda, ładna kobieta nakryła do stołu: rozstawiła filiżanki i srebrny serwis do kawy. Zanim wyszła, omiot-

ła spojrzeniem sylwetkę Biełowa, miałem wrażenie, że przez moment w jej oczach zabłysło współczucie.

– Te dane wykradzono przy pomocy specjalnego programu – podjął. – Przewyższa on zdecydowanie podobne rozwiązania stosowane przez wojsko i służby specjalne. Jest genialny.

– I co z tego? Przecież już wcześniej doszliśmy do wniosku, że sprawca to geniusz? – wtrąciłem.

– Owszem – przytaknął. – Jednak...

Skłonił głowę przed Biełowem, jakby chciał przeprosić za to, co musi powiedzieć, tamten odpowiedział zrezygnowanym machnięciem ręki znaczącym tyle co: „mów, nie twoja wina”.

– Program napisał sprawca bądź jeden ze sprawców, to nie ulega wątpliwości. Jednak umieszczenie go w wewnętrznej sieci firmy, a ta obejmuje zaledwie kilkanaście komputerów i jest dostępna jedynie dla osób ze ścisłego kierownictwa, to zupełnie inna rzecz. Nie będę wchodził w szczegóły, to i tak nie twoja dziedzina, ale mówiąc krótko, udało się ustalić, kiedy i z jakiego stanowiska go wprowadzono.

– W czym problem?

– Zrobiła to Luda – poinformował głosem wypranym z wszelkich uczuć Biełow.

Zamurowało mnie, lecz wiedziałem, że nie mogę sobie pozwolić na przeżywanie zaskoczenia. Nie teraz. To był luksus zarezerwowany dla naszego gospodarza, ja i Dżuma byliśmy od tego, aby wyciągnąć wnioski i zadać pytania, odpowiednie pytania.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że program wprowadziła Luda? – spytałem szorstko.

– Sto procent – odparł Oleg. – Wszystkie stanowiąca są monitorowane dwadzieścia cztery godziny na dobę. W zasadzie prawie wszystkie. Luda jest informatyczką, pomagała w firmie. Miała komputer u siebie, w tym domku, z którego została porwana. Ze względu na jej komfort nie zainstalowano kamer wewnątrz, ale te zewnętrzne pokazywały budynek ze wszystkich stron. Archiwizujemy zapisy tylko przez miesiąc, jednak po porwaniu zdecydowaliśmy, aby wszystko zachować. Dysponujemy więc danymi z mniej więcej dwóch miesięcy. To miało miejsce osiem dni przed porwaniem. Tylko dziewczyna była wówczas w domku. Nie ma możliwości pomyłki...

– Więc może sama napisała ten program?

– Wykluczone – stwierdził. – Jest dobra, ale nie aż tak. To musiał zrobić nasz Batman.

– Jadł pan coś od wczoraj? – zwróciłem się do Bielowa.

– To chyba nie pańskie zmartwienie? – Rosjanin zmarszczył brwi.

Zanim odpowiedziałem, Dżuma podniósł słuchawkę i wydał dyspozycje.

– To nasze zmartwienie – odparł stanowczo. – Bo będziesz musiał podjąć kilka decyzji, nie możemy pozwolić, żebyś się rozsypał.

Bielow zacisnął usta, ewidentnie starając się opanować, zapewne miał ochotę wysłać nas do diabła, ale rozumiał, że nie ma sensu się kłócić. To w końcu on był najbardziej zainteresowany wyjaśnieniem całej sprawy. Ta sama kelnerka co poprzednio przyniosła tort rumowy i truskawki z bitą śmietaną. Jeden z aminokwasów,

tryptofan, jest niezbędny do wytworzenia serotoniny nazywanej hormonem szczęścia. W normalnej, zrównoważonej diecie rywalizuje on z innymi aminokwasami, aby poprzez krew dotrzeć do mózgu. Węglowodany powodują zwiększone wydzielanie insuliny, a ta sprawia, że większość aminokwasów przechodzi z krwi do komórek mięśni. Wyjątkiem jest tryptofan, który przenika wówczas w szybkim tempie do mózgu, powodując wytwarzanie serotoniny. Poprawiające nastrój działanie tej ostatniej trwa tylko parę godzin i zaczyna się niedługo po posiłku. To właśnie chciał osiągnąć Dżuma. Co prawda na dłuższą metę taka dieta nie załatwiała niczego, ale na pewno była lepsza od środków uspokajających.

Bielow z wyraźnym przymusem zjadł kawałek tortu, rozpaprał truskawki w śmietanie, po czym gwałtownie odsunął talerz.

– No dobrze! – warknął. – A teraz słucham.

– W tej sytuacji nasuwają się pewne wnioski – zacząłem ostrożnie.

– Tak?

– Kwestię ewentualnej winy pańskiej córki proponuję odłożyć na bok – powiedziałem. – Mamy zbyt mało danych. Może zrobiła to z własnej woli, a może została zmuszona. W tym momencie to nieistotne.

– Zmuszona? – parsknął Bielow. – Nie ma takiej osoby, która mogłaby...

– Do niedawna przecież przypuszczałem pan, że nikt nie jest w stanie zaatakować pańskiej rodziny – przypomniałem niedelikatnie. – Jak się okazało, była to gruba pomyłka. Nie zna się pan na tym – podkreśliłem z naciskiem. – Taki Dżuma – z rozmysłem użyłem przezwiska

Olega – potrafiłby to załatwić w kwadrans. Nie robiąc dziewczynie krzywdy w sensie fizycznym, nie zostawiając żadnych śladów.

Mój rozmówca sapnął gniewnie, zacisnął pięści, opanował się jednak gigantycznym wysiłkiem woli.

– Jest pan albo bardzo głupi, albo bardzo odważny – odezwał się, nieoczekiwanie zmieniając temat. – O ile pamiętam, ostatnia osoba, która wyraziła się w ten sposób w obecności Olega Iwanowicza, spędziła kawał czasu w szpitalu...

– Ani jedno, ani drugie, wykorzystuję jego dobre serce – odparłem beczelnie.

– To on ma serce? Będę musiał obniżyć mu pensję. Zatrudniam go czasem jako konsultanta – wyjaśnił, widząc moje pytające spojrzenie.

– Nie wypada mi bić tego matołka – wymruczał Dżuma.

– Bo? – naciskał wyraźnie zaintrygowany Bielów.

Spodziewałem się, że Oleg po raz kolejny uchyli się od odpowiedzi, nie przypuszczałem, że Bielów jest naprawdę zainteresowany tematem – czasem, w chwilach skrajnego stresu nasz umysł zaczyna błędzić, chroniąc się przed skupieniem na wywołujących zdenerwowanie sprawach.

– To prawie rodzina – wyjaśnił jednak ku mojemu zdumieniu. – Mieli pobrać się z Anną.

Teraz ja zacisnąłem usta. Nie byłem zachwycony ujawnieniem tej informacji. Albo Dżuma i Bielów znali się lepiej, niż mi się wydawało, albo Oleg postanowił dokonać małej manipulacji na psychice biznesmena – uświadomić mu, że nie tylko on stracił kogoś bliskiego.

Fakt, że wieści o cudzych kłopotach wpływają na nas pozytywnie, ma głębokie uzasadnienie psychologiczne, niemniej jednak wykorzystywanie historii własnej siostry było jak dla mnie zbyt... pragmatyczne.

Taktyka okazała się skuteczna, Bielów się uspokoił, lekkim skinieniem głowy wyraził mi współczucie.

– Wracając do rzeczy – podjął. – Co ma pan na myśli?

– Trzeba zacząć jej szukać – powiedziałem.

– Myślałem, że cały czas to robimy?! – warknął.

Oleg spojrzał na mnie ostrzegawczo – wiedziałem, o co mu chodzi, prawda była brutalna, ale z drugiej strony nie mogłem za bardzo owijać w bawełnę.

– Oczywiście – przyznałem dyplomatycznie. – Jednak to kwestia priorytetów. Szanse odnalezienia żywej Ludy wzrosły właśnie o kilkanaście procent. Trzeba nieco inaczej rozłożyć akcenty. Do tej pory szukano... – zahałem się.

– Zwłok – wycedził Bielów z zaciętą twarzą.

– Na pewno brano także pod uwagę wariant, że pańska córka żyje – odparłem uspokajająco. – Tyle że inaczej poszukuje się ofiary porwania, wtedy śledztwo koncentruje się na sprawcach, a inaczej kogoś, kto ucieka, nie chcąc, aby go znaleziono... Służby, które są w to zaangażowane, działają wielokierunkowo, jednak większość sił zapewne skoncentrowały na znalezieniu porywaczy.

Dżuma potwierdził nieartykułowanym mruknięciem.

– Teraz – kontynuowałem – sytuacja się zmieniła. Lecz chciałbym, aby mnie pan dobrze zrozumiał – westchnąłem, patrząc w rozjarzone nagłą nadzieją oczy

Biełowa. – Z faktu współpracy Ludy z... Batmanem nie wynika automatycznie, że przeżyła. To tylko pewna możliwość. O ile w ogóle z nim współpracowała – doprecyzowałem. – Bo nawet to nie jest do końca pewne. Ten program mógł być chyba ukryty w zupełnie niewinnym...

– Mógł. Teoretycznie – wszedł mi w słowo Oleg. – Tak czy owak, musiała wiedzieć, że łamie procedury bezpieczeństwa, używając nośnika, do którego ktoś miał dostęp. Jest wysoko wykwalifikowanym informatykiem. To za bardzo wydumane – stwierdził.

– W porządku. – Machnąłem ręką. – Będziemy się tym martwić później. Mam inne pytanie: czy przesłuchano dokładnie pańską młodszą córkę?

– Nie – odpowiedział za Biełowa Oleg. – Zadaliśmy jej oczywiście parę rutynowych pytań, ale kiedy chcieliśmy rozwinąć temat, Marina skrzywiła się i stwierdziła, że nie pamięta niczego, co mogłoby nam się przydać. Ponieważ w momencie porwania przebywała u koleżanki i nie żyła zbyt blisko z siostrą, nie naciskaliśmy.

Biznesmen obrzucił Dżumę gniewnym spojrzeniem.

– To dlaczego teraz naciskacie?!

– Sytuacja się zmieniła – powtórzyłem łagodnie. – Do tej pory większość uważała, że Luda nie żyje. Teraz nastąpił zwrot w śledztwie, liczy się każda godzina. Być może Luda kryje się nie przed panem, a przynajmniej nie tylko przed panem, ale i tamtymi ludźmi. Przed Batmanem... A on jest bardzo, bardzo dobry. Jeśli dopadnie ją wcześniej... – zawiesiłem znacząco głos.

– Czego wy, kurwa, ode mnie chcecie?!

W głosie Biełowa usłyszałem pierwotną, zwierzęcą wściekłość. Gdybym przebywał z nim sam na sam, sięg-



nałbym po broń. Ten facet był na skraju wytrzymałości nerwowej, jeśli zerwie się ze smyczy, nie skończy się na krzyku. Rozumiałem go – stracił jedno dziecko, a teraz miał pozwolić na brutalne przesłuchanie drugiego. Jego pytanie było retoryczne, wiedział, o co nam chodzi. Nie mieliśmy czasu na sesję z psychologiem i łagodną perswazję, zegar tykał...

Milczeliśmy, słychać było tylko chrapliwy oddech Biełowa, Oleg siedział wyprostowany, z kamiennym wyrazem twarzy. Półprzymknięte oczy wskazywały, że nastawia się na to, co będzie musiał zrobić, wchodzi w stan pół jawy, pół snu, w pęknięty czas, wyłącza uczucia. Chyba rzeczywiście lubił tę małą... Jeśli się za nią zabierze, dziewczyna przeżyje szok – zamiast dobrodusznego wujka, ujrzy zimnego, bezlitosnego zabójcę. Pozna Dżumę...

– Ja... – odchrząknąłem – ja to zrobię.

Po długiej, nieskończonej długiej chwili Biełow wykonał gest przyzwolenia.



Spodziewałem się, że zastanę ją słuchającą muzyki, przy komputerze, może paplającą przez telefon z jakąś przyjaciółką. Nic z tych rzeczy – Marina siedziała zagłębiona w lekturze. Spojrzała na mnie niepewnie, kiedy wyjąłem jej książkę z ręki – wszedłem do pokoju bez pukania i dziewczyna wyczuła coś dziwnego. Może wyłapała jakieś fluidy, odczytała mój nastrój, ale się nie wystraszyła. Jeszcze nie. Książka była stara, sprzed kilkudziesięciu lat, w wytartej, skórzanej oprawie. Z dedykacją: „Marinco – mama”. Gdzie się podziewała matka Mariny? Czy

żyła, czy nadal pozostawała żoną potentata? Cholera... przydałoby się to wiedzieć. Zerknąłem na tytuł: „Romeo i Julia”. Ech, te dziewczyny... Albo dyskutują o zaletach firmowych biustonoszy, albo pławią się w marzeniach o romantycznej miłości. A bywa, że jedno i drugie naraz.

– Mieliliśmy porozmawiać, pamiętasz? – spytałem.

– Nie mam ochoty – odburknęła niegrzecznie.

– Posłuchaj – zacząłem, zdecydowany wykorzystać wszystkie szanse, załatwić sprawę bezboleśnie. – Twoja siostra...

– Nie chcę o niej słyszeć! – krzyknęła wysokim, wibrującym głosem. Zasłoniła uszy rękoma jak małe dziecko. – Mam tego dość! Zawsze Luda i Luda!

Szarpnąłem ją – niezbyt mocno, uwięziłem kruche, dziewczęce nadgarstki w swojej dłoni.

– Posłuchasz mnie! – syknąłem.

Zielone oczy błysnęły jadowicie, spróbowała mnie kopnąć. Bez trudu zablokowałem niezgrabny ruch, pociągnąłem ją na dywan. Otworzyła usta ze zdumienia, chyba pierwszy raz w życiu zetknęła się z fizyczną przemocą. Teraz zaczęła się bać.

– Dość tego! – warknąłem.

Unieruchomiłem jej ręce i nogi, chwyciłem za włosy.

– Teraz porozmawiamy nie o tym, na co ma ochotę Marina, a o tym, co jest mi potrzebne. Twoja siostra jest gdzieś więziona, może liczy ostatnie godziny życia, a ty bawisz się w niegrzeczną panienkę?! A może po prostu nie zdajesz sobie sprawy, co naprawdę zaszło? No to cię poinformuję...

Pozwoliłem, aby w moim głosie zabrzmiała długo tłumiona wściekłość, by ogarnęła mnie i przepełniła jak

ogień: wrząca, bolesna, nie do wytrzymania. Udało się – Marina zeszywniała, wpadła ze strachu niemal w stupor.

– Porwali ją stąd – zacząłem cichym, złowrogim tonem, groźniejszym niż jakikolwiek krzyk. – Na jej oczach zabili ludzi, których znała od lat, którzy oddali życie w jej obronie, później wywieźli poza posiadłość. Na pewno zachowywała się arogancko, jak ty przed chwilą, przecież była córką Biełowa. Nietykalną. Musieli jej to wybić z głowy, natychmiast, aby nie próbowała się szarpać po drodze, wzywać pomocy. Najpierw pozbawili przytomności, wepchnęli skrzepowaną do bagażnika albo po prostu owinęli w koc i usiedli na niej w samochodzie. Wiesz, jak człowiek się dusi?

Zatkałem Marinie jednocześnie nos i usta, ignorując przerażony wyraz twarzy.

– Jeśli zmoczyła się ze strachu, pobili ją. Wtedy już wiedziała, kto rozdaje karty – kontynuowałem. – Jeśli trzymała się resztką sił, zgwałcili. W kilku. Tak, by zrozumiała, że nie jest już córką bogatego biznesmena, nie jest nawet człowiekiem. Że stała się rzeczą do wymiany. Niczym więcej. Więc jaka by nie była twarda, zrozumiała. W końcu.

Odetkałem nastolatce usta, pozwoliłem zaczerpnąć tchu.

– Czy teraz możemy porozmawiać? – zapytałem ze zwodniczą uprzejmością.

Marina przytaknęła gorliwie. Po tym, jak skończyła spazmatycznie szlochać.

– Czy przed zniknięciem Ludy coś zwróciło twoją uwagę?

– Nnnie wiem... – Spojrzała na mnie z obawą.

– Była zdenerwowana, martwiła się czymś?

– Tak, tuż przed porwaniem. Wcześniej nie.

– To znaczy wcześniej zachowywała się normalnie, nie okazywała niepokoju czy też była wręcz zadowolona, radosna?

– Cieszyła się. Cały czas rozmawiała z kimś przez komórkę. Chyba z jakimś mężczyzną.

– To były rozmowy biznesowe? No wiesz, o interesach – doprecyzowałem, widząc, że marszczy czoło.

– Chyba nie.

Uwolniłem Marinę z uścisku, ale nie cofnąłem się, pozostawałem nadal tuż obok. Każdy z nas ma swoją intymną przestrzeń liczoną w centymetrach, obszar wokół ciała, do którego dopuszcza się tylko wybranych, jeśli ktoś obcy przysunie się do nas zbyt blisko, odczuwamy dyskomfort. Z rozmysłem naruszałem tę strefę, nie pozwalałem smarkuli się pozbierać.

– Dlaczego tak myślisz? Słyszałaś, o czym mówią?

– Nie.

– A więc chodzi o ton głosu?

– Chyba tak...

– Coś jeszcze?

Zauważyłem, że zaczyna się uspokajać, oddycha nieco wolniej. Dobrze, niech się wyciszy. Byle nie za bardzo...

– Powróć pamięcią do tamtych dni – zaproponowałem zupełnie innym niż przed chwilą, kojącym tonem. – Przypomnij sobie obrazy, dźwięki, zapachy.

– Książka, ona czytała tę książkę... – Wskazała oprawiony w skórę tomik.

– „Romeo i Julię”?

– Tak. Nie lubiła Szekspira i nie przepadała za, jak to mówiła, „romantycznymi historiami”. To było dziwne.

– Bardzo dobrze ci idzie – wymruczałem z aprobatą.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale tylko zadrżały jej wargi, zmieniając twarz w maskę lękliwej pokory. Gratulacje, doktorze Korpaczki, udało się ci złamać dzieciaka szybciej, niż zrobiłby to Dżuma... Zacisnąłem zęby, im prędzej to skończę, tym lepiej.

– Zmieniła perfumy – powiedziała.

– Na jakie? Kiedy zmieniła? – spytałem szybko.

Czyżby Luda miała jakiegoś faceta?

– Nie wiem, nie za bardzo się w tym orientuję – wyznała z rozbrajającą, na poły dziecięcą szczerością.

– Ile masz lat?

– Szesnaście.

Uniosłem ze zdumieniem brwi – szesnastoletnia panienska nieinteresująca się perfumami? Przy możliwościach finansowych jej ojca? To było naprawdę niespotykane. Zwróciłem uwagę na otaczające ją zapachy: szampon do włosów, jakiś dezodorant, lekka woń dziewczęcego potu. Rzeczywiście, żadnych perfum. Nie kłamała.

– I tak jestem brzydka. – Wzruszyła ramionami z udaną nonszalancją. – Żadne perfumy mi nie pomogą. Luda co innego, jest śliczna. Cały czas kupuje jakieś fatałaszkę, kosmetyki... Dzień przed tym wszystkim... Przyszła do mnie wieczorem powiedzieć mi dobranoc. Leżałam już w łóżku.

– Co w tym dziwnego?

– Nigdy tego nie robiła – odparła po prostu.

– Przypominasz sobie jeszcze coś nietypowego?

Pokręciła głową. Dzięki Bogu, koniec przesłuchania... Wstałem ociężale, bez słowa podszedłem do drzwi. Chciałem Marinie wszystko wyjaśnić, przeprosić, ale nie potrafiłem.

– Czy ona naprawdę... – wyszeptała cichutko, najwyraźniej nie miała ochoty dokończyć zdania.

– Mam nadzieję, że nie – odparłem, stojąc odwrócony plecami.

Nie chciałem, żeby zobaczyła moją twarz.

– Bardzo pomogłaś, może dzięki tobie znajdziemy Ludę. I jeszcze jedno...

– Tak?

– Wcale nie jesteś brzydka.



Przewracałem się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Męczyło mnie to, co zrobiłem Marinie, w dodatku nie miałem pewności, czy uzyskane od niej informacje w ogóle się przydadzą. Fakt, że Luda pożegnała się z siostrą, wskazywał, że mogła współpracować z napastnikami, ale cel tej współpracy nadal pozostawał niejasny. Pieńiądze? Bzdura! Według słów Olega, który znał naszego gospodarza dłużej niż ja, Biełow dałby jej gwiazdkę z nieba, gdyby tylko poprosiła. Biznesmen był skąpy jedynie w okazywaniu uczuć – to zdążyłem sam zauważyć. Zemsta? Ale za co? Podobno pomiędzy ojcem a córką nie zauważono żadnych większych zadrażeń. Rozpoczęto poszukiwania amanta Ludy, lecz rzecz wydawała się mocno wątpliwa – dziewczyna rzadko przebywała poza domem, a tu wszelkie jej kontakty monitorowano. Nie

było wśród nich żadnego mężczyzny, który mógłby być jej kochankiem. Całkiem możliwe, że Marina coś pokręciła, być może skłamała ze strachu.

Miałem zamiar wyprowadzić się z pałacyku, ale zarówno Dżuma, jak i Bielów stanowczo zaprotestowali. Obaj rozmawiali z Mariną w celu – jak się wyrazili – wyjaśnienia sytuacji. Nie wątpiłem, że próbowali mnie usprawiedliwić, ale i tak wolałbym nie stresować córki biznesmena swoją obecnością.

Nastroju nie poprawiła też wieczorna rozmowa z żoną – szarpiąca nerwy i pełna nieudomówień, w której oboje wystrzegaliśmy się podejmowania tematu choroby Margarity. Kilkakrotnie wyczułem, że Małgorzata chce coś na ten temat powiedzieć, ale nie ułatwiłem jej tego, nie zachęciłem do szczerości. Być może mogła mnie pocieszyć – o ile wyniki wstępnych badań były dobre. Możliwe, że miała na myśli coś wręcz przeciwnego. Bałem się. Wolałem dotrzymać naszej wcześniejszej umowy i dowiedzieć się wszystkiego w sytuacji, kiedy nie będzie już żadnych nieudomówień. Gdy nie będzie już najmniejszych wątpliwości, że nie cierpi na ALS, lub badania potwierdzą, że nie ma nadziei...

Oczywiście układałem plany i na tę drugą okoliczność: mogłem na przykład wypróbować udoskonaloną przez Gilberta miksturę.

Gilbert... Mój przyjaciel był alchemikiem. Jego wygląd – dystyngowany starszy pan – był mocno mylący, w rzeczywistości nie cofał się on przed skrajnym ryzykiem, rzecz jasna, w granicach swoich zainteresowań. Nie raz i nie dwa wypróbowywał na sobie rozmaite eliksiry. Bywało, że wciągał w te eksperymenty osoby trzecie.

W taki właśnie sposób zacząłem przyjmować opracowany przez przedwojennego eksperta środek przedłużający życie. Tak, wiem – kiedy się na to zdecydowałem, musiałem być niezdrow...

Mogłem też zobaczyć, jak podziała sporządzona na bazie materia prima alchemiczna wódka, lecz nie wiązałem z tym wielkich oczekiwań. Nic nie wskazywało, że któraś z tych substancji potrafi leczyć konkretne choroby; Rosjanie wielokrotnie podawali alchemiczną wódkę chorym i rannym, poza jednym wyjątkiem – postrzelonym w kręgosłup, sparaliżowanym żołnierzem, który w niewiadomy sposób odzyskał czucie – nie zanotowali żadnych sukcesów. Wydawało się, że substancja ta co najwyżej przyspiesza naturalną regenerację organizmu, być może stymuluje system immunologiczny, pomagając przy drobnych dolegliwościach, i pozostaje niezastąpionym lekiem na kaca... Preparat, który zażyliśmy wraz z Gilbertem, powodował natomiast jednorazową, totalną regenerację skóry – zniknęły mi wszystkie blizny. Jeśli mikstura posiadała jakieś inne właściwości, to można się było ich jedynie domyślać. Być może rzeczywiście przedłużała ona życie – tego nie potrafiliśmy potwierdzić na tym etapie, na pewno natomiast nie leczyła żadnych chorób – Gilbert cierpiał na cukrzycę i regularne przyjmowanie substancji niczego tu nie zmieniło. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że sprawdziłaby się znakomicie jako środek przeciwzmarszczkowy, nawet jeśli działała tylko raz. Kolejne dawki preparatu nie zlikwidowały szram, które zarobiłem w starciu z Afgańcami i później, z przemycającą narkotyki Hinduską. Za oknem rozległ się grzmot. Nadciągała burza, o szyby uderzyły



ciężkie krople deszczu. Gwałtownym ruchem odrzuciłem kołdrę – w pokoju było gorąco, po dłuższej szarpnięciu udało mi się uchylić okno, odetchnąłem chłodnym nocnym powietrzem. Zapaliłem światło i usiadłem przy stole – dochodziła czwarta rano, wiedziałem, że i tak już nie zasnę. Otworzyłem dostarczoną przez Dżumę walizkę, wyciągnąłem Glocka. Sam używam egzemplarza z zewnętrznym bezpiecznikiem, daje mi to większe poczucie kontroli nad bronią, ale Oleg uważał to za idiotyczną fanaberię. Być może miał rację. Sprezentowany mi pistolet nie posiadał żadnych dodatkowych gadżetów, nawet celownika laserowego czy latarki taktycznej. Najwyraźniej jego właściciel uważał, że nie są mu potrzebne. Jedynym odstępstwem od standardu były firmowe magazynki „Plus 2” i gumowa opaska na rękojeść broni. Rutynowo rozmontowałem i na powrót złożyłem pistolet, choć przypuszczałem, że Dżuma sprawdził go dokładnie, opaskę, nazywaną przez wdzięcznych użytkowników „kondomem”, nałożyłem na chwyt. Na rękojeści pojawiły się wybrzuszenia, teraz pistolet lepiej leżał w dłoni. Zastanawiałem się, czy nie rozładować dwóch z czterech dostarczonych w komplecie magazynków – długotrwałe trzymanie załadowanych mogło osłabić podającą naboje sprężynę, w końcu machnąłem na to ręką; na pewno były nowe, a co się z nimi stanie za miesiąc czy dwa, nie moja w tym głowa. Broń otrzymałem tylko na czas śledztwa.

Znowu ogarnęła mnie fala gorąca – rozregulowany termostat czy może nadmierne emocje? Szlag by to... Obrzuciłem ponurym spojrzeniem okno, nie ma mowy, aby je otworzyć na oścież. Osadzone w masywnej ra-

mie szyby były zapewne kuloodporne i konstruktor nie przewidział takiego wariantu. Powlokłem się do łazienki i zdarłszy z siebie przepoconą górę od piżamy, obmyłem tors zmoczonym ręcznikiem, przebrałem się. Trochę pomogło.

Wtedy usłyszałem krzyk: krótki, zduszony, nabrzmiały przerażeniem. Marina... Runąłem do wyjścia, przewracając jakieś krzesło, porwałem w przelocie gotową do strzału broń. Dziewczyna siedziała na łóżku z przerażeniem na twarzy, wpatrując się ni to w okno, ni to w półuchylone drzwi od łazienki. Jednym ruchem pchnąłem ją w kąt, kiedy upadła, przydeptałem dłoń, aby przypadkiem nie próbowała wstać, odwróciłem się do niej plecami, szukając zagrożenia. Lufa przesuwiała się złowrogo: lewo–prawo, lewo–prawo.

– Nie ruszaj się! – warknąłem.

Zerwałem zasłaniającą okno firanę – zamknięte. Wskoczyłem na łóżko, stając naprzeciwko łazienki. Gdzie ta ochrona?! Też mi, kurwa, zawodowcy... Naciśnąłem spust. Jeśli ktoś się schował w toalecie, to lepiej się nie szczytać. Przystębnowałem grube, drewniane drzwi ukośnym ścięciem przestrzelin. Usłyszałem dochodzący z korytarza tupot. Nareszcie. Wróciłem do kąta, w którym kuliła się córka Bielowa, bez ceregieli rozpląszczyłem ją na podłodze, zasłoniłem przed ewentualnym ostrzałem.

– Ochrona! – wrzasnął ktoś tuż przy wejściu.

– Mała bezpieczna! Łazienka! – odkrzyknąłem.

Wpadło ich dwóch – jeden przewrotem przez bark zajął pozycję między mną a przestrzelonymi drzwiami, drugi tuż po wejściu otworzył ogień. Ich ruchy były



płynne, precyzyjne, skoordynowane jak w balecie. Usłyszałem szcęk tłuczonego szkła – dobrze, jeżeli ktokolwiek chowa się w łazience, na pewno nie myśli teraz o ataku. Nawet jak leży w wannie, pewnie dostał odłamkami lustra czy czego tam Marina nie trzymała. Miałem nadzieję, że jest wielbicielką szklanych flakoników...

Ochroniarzowi skończył się magazynek – zmienił go błyskawicznym, choć eleganckim jak ślizg kropli wody po liściu ruchem, osłaniający nas mężczyzna cisnął do łazienki granat nico. Rzuciłem glocka na dywan i przygniotłem smarkulę, zatykając jej uszy, zamknąłem oczy. Huknęło. Kiedy podniosłem się na klęczki, właśnie wychodzili z toalety. Widząc, że gorączkowo przełykam ślinę, jeden z nich pokazał gestem: „czysto”. Dopiero po dłuższej chwili zacząłem słyszeć, co mówi.

Córka Bielowa szlochała, o dziwo, przytuliła się do mnie zamiast do któregoś ze znajomych przecież ochroniarzy. Objąłem wczepioną we mnie desperacko dziewczynę, pogłaskałem niezgrabnie po głowie.

– Co robimy? – zapytał jeden z Rosjan.

Wzruszyłem ramionami, delikatnie odsunąłem się od nastolatki.

– Co tu się stało? – zapytałem.

– To burza – wyjąkała. – Boję się burzy.

Wypuściłem ze świstem powietrze z płuc, usiadłem pozbawiony nagle dopływu adrenaliny. No ładnie, zastrzeliłem drzwi na śmierć, bo panienska wystraszyła się grzmotów... Zauważyłem, że Rosjanie też oklapli, schowali broń.

– Pan Bielow wyjechał razem z Olegiem Iwanowiczem – poinformował mnie wyższy z ochroniarzy.

Rzeczywiście – przypominałem sobie, że Bielów miał lecieć do Moskwy, Dżuma pewnie mu towarzyszył. Porwanie nie porwanie, biznes musi się kręcić...

Drugi wyjął komórkę, złożył krótki meldunek o zajęściu, po chwili podał mi telefon.

– Słucham – rzuciłem.

– Mógłby pan zająć się jakoś moją córką? – spytał Bielów. – Pewnie jest przestraszona.

– Nic dziwnego – mruknąłem. – Ja też...

Marina spojrzała na mnie prosząco – za cholerę nie wiedziałem, o co jej chodzi, nie jestem ekspertem, jeśli chodzi o psychikę nastolatek. Niewątpliwie była na krańcu hysterii. No i nie dziwota: przeżyła porwanie siostry, a teraz paru wariatów rozwalilo jej łazienkę.

– Mogę ją przenocować u siebie – powiedziałem z ociąganiem. – Tyle że nie wiem, czy to wypada...

Marina złapała mnie za rękę, nachyliła się do telefonu.

– Pozwól mi, papo! – zawołała łamiącym się głosem.

Mimo swego wieku nie wyglądała teraz na dorastającą panienkę, raczej skrzywdzone dziecko.

– Oczywiście, możesz spać u wujka Janusza – odparł kojącym tonem Bielów. – Niech pan się nie wygłupia, Januszu Pawłowiczu – dodał, zwracając się już do mnie. – Gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, czy mogę powierzyć panu córkę, pańska noga nie powstałaby w moim domu. I dziękuję, że był pan przy niej pierwszy.

Wymamrotałem coś wymijająco i oddałem komórkę.

– Mogę spać na fotelu – powiedziała Marina.

Widziałem, że jest w szoku, drżała, choć bynajmniej nie było zimno.

– Weź gorący prysznic – poleciłem, prowadząc ją do swego pokoju.

Kiedy usłyszałem szum wody, opadłem bezwładnie na krzesło, poczułem się wykończony. Rozładowałem broń, po namyśle włożyłem ją do walizki. Zapewne ochrona warowała gdzieś na korytarzu, w zasięgu słuchu, nie widziałem sensu, by wymachiwać splotem w obecności przestraszonego dzieciaka.

Roześmiałem się, widząc Marinę owiniętą w za duży szlafrok – z wlokącymi się po podłodze połami wyglądała pociesznie. No cóż, była wysoką dziewczyną, tyle że ja mam metr dziewięćdziesiąt.

– Zdejmuj to – powiedziałem, gmerając w walizce.

Znalazłem gruby sweter zapakowany przezornie przez Małgorzatę.

– W tym będzie ci wygodniej. I wskakuj do łóżka.

Nie musiałem powtarzać, po chwili Marina leżała z kołdrą podciągniętą pod brodę, ale nadal szczękała zębami. Z westchnieniem wyciągnąłem butelkę z przezroczystą cieczą o zielonkawym odcieniu – efekt pracy znajomego alchemika. Napis na etykietce głosił „Jesień”.

– Słuchaj, smarkulo – odezwałem się surowo – nie myśl sobie, że możesz pić alkohol... Ale dzisiaj, to z zalecenia lekarza.

Rozlałem do dwóch szklanek, Marinie na dwa palce, sobie nieco więcej. Wypiliśmy. Do żołądka spłynęła fala ognia, zapachniało brzoskwinia, gruszkami i kwiatami magnolii.

– Umm... pycha – wymruczała.

– To alchemiczna wódka, zwykła nie będzie ci już tak smakować – wyjaśniłem.

– Alchemiczna?

Przystawiłem fotel bliżej łóżka, wziąłem dziewczynę za rękę. Nadal chłodną i wilgotną od potu.

– Mogę ci mówić „wujku”? – spytała cichutko.

Potwierdziłem nieartykułowanym mruknięciem. Nagrodziła mnie uśmiechem o natężeniu przynajmniej stu watów. No, no... jeszcze rok, dwa i smarkata będzie łamać męskie serca jak patyki.

Opowiedziałem jej trochę o alchemii i przedstawiłem nieco wygładzoną historię chorągwi Michała Archanioła. Potrzebowała czegoś, aby oderwać się od rzeczywistości, a na bajki była już trochę za duża. Słuchała z otwartymi ustami, zanim skończyłem – usnęła.



**W**izytówkę wykonano na luksusowym, czerpanym papierze. Tłoczone na złoto litery, ani chybi akronim jakiejś rządowej agendy, nic mi nie mówiły, podobnie jak wydrukowane elegancką czcionką personalia. Herb z dwugłowym orłem nadawał kawałkowi kartonu oficjalny, urzędowy charakter.

– Zrozum – tłumaczył mi Dżuma – byłoby naprawdę trudno załatwić ci pozwolenie na broń, zresztą w sytuacji ekstremalnej nie na wiele by ci się przydało. A tak w razie czego po prostu ją pokażesz. Ktokolwiek by cię legitymował, wystarczy, że zadzwoni pod któryś z podanych numerów.

Schowałem wizytówkę bez specjalnego entuzjazmu, miałem nadzieję, że Oleg wie, co robi. Wolałbym nie testować cierpliwości miejscowej milicji. Być może zresztą nie będę musiał używać broni albo, jeśli to zrobię, nikt mnie nie złapie. Z drugiej strony, nie było sensu ryzykować, gra toczyła się o wysoką stawkę – porywacze świetnie wiedzieli, że przed zemstą Bielowa chroni ich tylko



anonimowość. Gdyby udało się tych gości zidentyfikować...

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział.

– Tak?

– Na wszelki wypadek załatwiłem ci ubezpieczenie. To kobieta. – Rzucił na blat zdjęcie rozmiarów pocztówki.

Skrzywiłem się, oglądając fotografię; z wyglądu dałbym dziewczynie ze trzydzieści lat, była nawet atrakcyjna, o ile ktoś lubi muskularne ślicznotki. Osobiście nie przepadam.

– Nie było mniej napakowanej? – spytałem.

– To nie serwis randkowy – warknął. – Dla jasności: ona nie jest twoim ochroniarzem, będzie interweniować jedynie w ostateczności. Jeśli wdasz się w jakąś bójkę, nie licz, że stanie po twojej stronie. Szczerze mówiąc, podejrzewam, że ucieszy się, jak zbierzesz łomot. Wiesz, ona strasznie nie lubi Polaków...

– Co?!

– To, co słyszałeś – odparł, uśmiechając się złośliwie. Spojrzałem mu w oczy – wyglądało, że mówił poważnie.

– Nie musi cię lubić – wyjaśnił. – Wystarczy, że wykona zadanie.

– Skąd ta niechęć do Polaków?

– Nie wiem i zupełnie mnie to nie obchodzi – stwierdził. – Jest obowiązkowa, więc raczej nie strzeli ci w plecy...

Machnąwszy ręką, pomaszerowałem do drzwi wyjściowych. Miałem ważniejsze sprawy niż zgłębianie psychiki znajomej Dżumy. Przypuszczałem, że nie wy-

znaczyłby do takiego zadania jakiejś wariatki, więc nie przejmowałem się specjalnie tym, jak będzie do mnie nastawiona.

Na parkingu przed pałacem czekali już moi znajomi w czarnym BMW, mieli mnie zawieźć do archiwum. Nie wiele wiedziałem o kanibalach działających w dawnym Leningradzie, Oleg podał mi tylko jedno nazwisko: Razumowski. Spodziewałem się, że dość szybko wyjaśnię, czy porwanie Ludy ma jakikolwiek związek z tym, co działo się tu w czasie ostatniej wojny. Jeśli zajdzie taka potrzeba, porozmawiam z „blokadnikami”, żyjącymi jeszcze mieszkańcami obleganego Leningradu. Znalezienie ich nie powinno stanowić problemu – niemal wszyscy figurowali w jakichś aktach, bo miasto przyznało im prawo do bezpłatnych przejazdów. Siadając, zerknąłem na prawą nogę – ukryty w specjalnie doszytej, wewnętrznej kieszeni spodni lekki nóż Stridera o trzy-calowej, ostrej jak brzytwa klindze był niemal niewidoczny. Kiedy będę stał, nikt go nie zauważy. Odpowiednio dobrana kydeksowa pochwa pozwalała na błyskawiczne wydobycie ostrza. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że się przyda, ale noszenie noża weszło mi w nawyk. Ponieważ obiecałem, że nie ruszę się bez pistoletu, targałem w podramiennej kaburze glocka. Ten mi zawadzał – rzadko używam broni palnej, nie ma takiej potrzeby.



Roztarłem ramiona. Mimo grubego swetra i marynarki marzłem. Archiwum mieściło się w dawnym szpitalu garnizonowym, część akt trzymano pod ziemią, w byłej

kostnicy. Ogrzewanie szwankowało – nic niezwykłego w Rosji – a w aktach panował prawdziwie mistrzowski burdel. Nie dziwiłem się już, że rosyjskie służby specjalne odpuściły sobie poszukiwanie dokumentów. Większość zasobów dotyczyła drugiej wojny światowej i od czasu do czasu próbowano je uporządkować – dla historyków mogły być prawdziwym skarbem – jednak bez większych sukcesów. Jak się dowiedziałem, odwołano ostatnich trzech dyrektorów, każdego z innych przyczyn. Efekt był taki, że większość akt posiadała przynajmniej po dwie, a bywało, że i po trzy sygnatury, będące w zamierzeniu częścią nowego systemu inwentaryzacji. Jedynie w nielicznych dokumentach przekreślono stare na korzyść aktualnych, najświeższy katalog opracowano w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku, a w pomieszczeniach magazynowych walały się nieotwarte od czasów wojny skrzynie opatrzone pieczęciami NKWD lub Smiersza. Na domiar złego przedostatni dyrektor kazał załadować część skatalogowanych materiałów do skrzyń, aby umieścić je później na specjalnie zakupionych regałach i zainstalować w wybranych salach klimatyzację. Wspomniałem, że został odwołany, zanim spełnił swój zamiar? Nasze polskie archiwa nie świecą bynajmniej przykładem, jeśli chodzi o katalogowanie akt, ale takiego bałaganu nie widziałem jak żyję.

Po kilku godzinach katorżniczej pracy odnalazłem dwustronicowy dokument, w którym wymieniono nazwisko porucznika Razumowskiego. Informował, że Aleksander Razumowski jest oficerem do specjalnych poruczeń generała Manuilskiego i w związku z tym przysługuje mu prawo do samochodu z kierowcą. Not-

ka w żaden sposób nie sugerowała, co jest przedmiotem zainteresowania Razumowskiego. Nosiła datę dwudziestego siódmego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. W rogu ktoś wypisał sygnaturę: LOW-1865/11. Pozostawało tylko dotrzeć do podobnie oznaczonej teczki – ta mogła zawierać więcej informacji na temat tajemniczego porucznika, o ile ktoś w ogóle pofatygował się, aby stworzyć taki zbiór dokumentów...

Powróciłem do hotelu, zjadłem obiad i właśnie szykowałem się do drzemki, kiedy zadzwonił Bielów, informując, że wysyła po mnie samochód i śmigłowiec. Nie pytałem, w czym rzecz – jeśli coś ruszyło się w śledztwie, nie była to rozmowa na telefon. Chyba że chodziło o Marinę. Wyglądało, że moja obecność uspokaja małą. Było to dla mnie zupełnie niezrozumiałe – w końcu nie zachowałem się wobec niej zbyt szarmancko, ale może uważała mnie za paskudę groźniejszą od porywaczy, kogoś, kto ją przed nimi obroni...

Kiedy wylądowaliśmy na terenie posiadłości w Krasnoj Gorkie, od razu skierowano mnie do gabinetu Bielowa. Biznesmenowi towarzyszył Dżuma i jakaś młoda kobieta o ostrych, przypominających ptasie rysach. Ruchy nieznamojem były gwałtowane, kanciaste, zupełnie niekobiece, brązowe oczy patrzyły twardo, niemal wyzywająco. Przez chwilę. Ujrzawszy mnie, kobieta stanęła jak rażona gromem, po czym osunęła się bez przytomności na dywan. To nie było eleganckie, damskie omdlenie, zanurkowała w dół jak worek cementu. Gdyby Oleg w ostatniej chwili nie podtrzymał jej głowy, pewnie trzeba by wzywać lekarza.

– Kto to jest, u licha?! – spytałem.

– Moja asystentka Zinaida Wasiliewna – odparł Biełow. – Najwyraźniej zrobił pan na niej piorunujące wrażenie...

– Bardzo śmieszne – prychnąłem.

– Chyba nigdy nie zrozumieję kobiet – westchnął Rosjanin.

Dżuma, klnąc pod nosem, rozluźnił Zinaidzie kołnierzyk i uniósł nieco nogi.

– Zaraz się ocknie – powiedział. – Może wtedy uzyskamy jakieś wyjaśnienia.

– À propos wyjaśnień, czy coś się stało, że mnie pan tu wezwał? – zwróciłem się do Biełowa.

– W zasadzie nic specjalnego – wymamrotał, unikając mojego wzroku. – Chciałem panu przedstawić asystentkę i zapytać o rezultaty poszukiwań w archiwum.

No jasne, czyli tak jak podejrzewałem, chodzi o Marinę. Widać Biełow ubzdurał sobie, że ze mną będzie się czuła bezpieczniej.

– Ja naprawdę niewiele miałem do czynienia z nastolatkami – powiedziałem łagodnie. – Nie wiem, dlaczego pańska córka chciała, abym został z nią wtedy... tej nocy, myślałem, że będzie wolała towarzystwo ochroniarzy, ale podejrzewam, że na dłuższą metę będę ją denerwował. Rozmawiając z nią, zachowałem się dość brutalnie.

– Owszem, jednak... – zaczął Biełow, przerwał, widząc wyraz twarzy Olega. – Co znowu?

– Dzięki Bogu, że to on poszedł gadać z Mariną. W porównaniu z tym, co ja planowałem... Nie, nawet nie pytaj! – powstrzymał biznesmena. – Nie zrobiłbym jej fizycznej krzywdy, ale... Pamiętaj, że jestem przyzwyczajony do działania w nieco innym obszarze. Ja zajmu-

ję się terrorystami, Janusz Pawłowicz co najwyżej musi czasem utemperować jakiegoś studenta.

Zemdlona kobieta poruszyła się, otworzyła oczy. Po chwili podniosła się ostrożnie i usiadła w fotelu.

– Przepraszam – mruknęła. – Ostatnio jestem przemęczona.

– Naprawdę tylko o to chodzi? – Biełow uniósł brwi.

– Naprawdę. Rozumiecie, panowie, babskie sprawy...

Przyjrzałem się jej sceptycznie – w oczywisty sposób kłamała, próbując tak zmanipulować rozmowę, żeby nie wypadało nam drążyć tematu. Jej szorstki, pobrzmiwiający knajacką chrypką głos pasował do postaci – można by nim cyklinować podłogi. Co ktoś taki robił w otoczeniu Biełowa? Zdawałem sobie sprawę, że ogląda biznesmena to tylko pozór, zewnętrzna warstwa, pod którą kryje się coś dużo, dużo twardszego... Jednak obecność kobiety wysławiającej się jak ulicznica budziła zdziwienie.

– Janusz Pawłowicz? – Zmierzyła mnie wzrokiem.

Skinąłem głową.

– Pewnie teraz zastanawia się pan, czy nie stać go – wskazała nonszalanckim gestem szefa – na droższe kurwy?

– Na litość boską, Zina... – jęknął Biełow.

Oleg zarechotał.

– Myślę, że zastanawia się raczej nad tym, dlaczego padłaś jak podcięty – i jakże delikatny! – kwiat.

Odpowiedziała mu wulgarnym przekleństwem i równie wymownym gestem. Dżuma stuknął ją w głowę, ale bez cienia gniewu. No proszę – oto ktoś, kto nie boi się Olega Dubrowa. Prawdziwa rzadkość...

– Zina ukończyła elitarny moskiewski Instytut Studiów Międzynarodowych – wyjaśnił biznesmen. – Jej zachowanie to poza. No, do pewnego stopnia... Załatwia dla mnie różne delikatne kwestie. Ma kontakty w kręgach...

– Złodziei i morderców, *worow w zakonie* – wpadła mu w słowo. – Przestępczości zorganizowanej – dodała na wypadek, gdybym nie zrozumiał.

Zrozumiałem. Termin *wor w zakonie* oznacza bandyckiego herszta, według rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jest takich kilkuset. Kierują różnymi grupami mafijnymi, mają powiązania z politykami, biznesmenami, a nawet wojskiem. *This is Russia...*

– Moja asystentka zna Piter od podszewki, jeśli trzeba będzie, pomoże panu – kontynuował Bielow. – Co do Mariny postąpi pan, jak zechce, niestety, w najbliższym czasie będę w rozjazdach...

– Nigdy nie byłeś z nią zbyt blisko – zauważyła Zina bezceremonialnie.

– Będę w rozjazdach – powtórzył z głębokim westchnieniem biznesmen – i cieszyłbym się, gdyby przebywał pan gdzieś w pobliżu.

Nie zachwycił mnie pomysł, że powinienem zająć się rozpaskudzoną nastolatką, ani sugestia, że mogę korzystać z pomocy *worow w zakonie*. Rozumiałem Rosjanina – musiał być w desperacji, lecz miałem szczerą ochotę posłać go do diabła, jeśli tylko spróbuje naciskać. Zgodziłem się pomóc w śledztwie, nic więcej.

– Sam pan zdecyduje – powiedział znużonym tonem. – Apartament w „Europie” i wszelkie środki transportu są do pańskiej dyspozycji. Jak słusznie zaznaczyła

Zina, nigdy nie potrafiłem dogadać się z Mariną. Kiedy rozwiodłem się z żoną... Ona była z nią bardzo związana. A teraz muszę zawierać sojusze, bo boję się, że porwą mi drugie dziecko.

– Sojusze?

– Negocjuję z ludźmi, których oferty wcześniej odrzuciłem – wyjaśnił, zagryzając wargi. – Jeżeli któryś z nich miał coś wspólnego z porwaniem, powinno go to zastopować, dać nam trochę czasu.

– Niegłupi pomysł – przyznałem.

Odwrociłem się, czując wzrok Ziny na karku. Przyglądała mi się z natężoną, kliniczną uwagą, niczym studentka medycyny sekcjonowanemu nieboszczykowi. Uczucie było nieprzyjemne. Jak niemal każdy facet lubię być obiektem kobiecej uwagi, ale ta dziewczyna mnie niepokoiła, wyglądało, że czegoś chce, choć wyraźnie nie miała zamiaru oświecić mnie w tej kwestii. Zresztą sama była kobietą z rodzaju, którego unikałem – powodowały zbyt wiele problemów. No i w żadnym razie nie mogłem nazwać jej choćby ładną, a ja, podobnie jak większość mężczyzn, jestem wzrokowcem...

– Tak? – Ostentacyjnie odwzajemniłem spojrzenie Ziny.

– Nic, nic... – mruknęła. – Powinniśmy przy jakiejś okazji porozmawiać.

Jej głos złagodniał, choć i tak brzmiał jak zgrzyt żelaza po szkle.

– Jestem do dyspozycji – zapewniłem bez specjalnego entuzjazmu.

– Znalazłeś coś w tym archiwum? – zainteresował się Oleg.



– Tylko potwierdzenie, że Razumowski rzeczywiście istniał. – Wzruszyłem ramionami. – Ale mam pewien trop.

Dżuma burknął coś pod nosem. Nie zabrzmiało to zbyt optymistycznie – jeśli widział archiwum, musiał wyrobić sobie własne zdanie na temat panującego tam bałaganu. Osobiście byłem lepszej myśli, odnajdywanie poszukiwanych materiałów podobne jest do pracy detektywa: trzeba przewidzieć, gdzie archiwiści mogli je umieścić. Przeważnie radziłem sobie, nie widząc akt, mogłem jedynie składać zamówienia na poszczególne zespoły dokumentów. Tu miałem pełny dostęp do archiwaliów w sensie fizycznym, materialnym. Nie zachwycała mnie rzecz jasna sytuacja – wiedziałem, że wyjaśnienie sprawy Razumowskiego okaże się ciężką, żmudną robotą, jednak jako historyk czułem się niczym dziecko w sklepie z zabawkami. Takim, który z niewyjaśnionych powodów opuścił personel... Obiecałem sobie, że zanim skończę śledztwo, w Polsce wyląduje niejeden kilogram skserowanych akt. Przypuszczałem, że Rosjanie udostępnią badane przeze mnie zasoby za parę lat lub wcale. Nie interesowałem się specjalnie okresem drugiej wojny światowej, ale znałem naukowców, którzy za dostęp do materiałów z czasów blokady Leningradu sprzedaliby duszę. Być może będą w posiadaniu czegoś, co mnie zainteresuje. Tak, w naukowym świecie także istnieje czarny rynek...

– To co, kończymy na dzisiaj? – wyrwał mnie z zamyślenia Biełow.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedziałem. – Dotyczy pańskiej córki.

– Słucham.

– Mógłby pan znaleźć kilka zdjęć Mariny? Szczególnie przydatne byłyby takie roznegliżowane: plaża, basen – dodałem bezczelnie.

Spodziewałem się, że ich przestraszę – mały rewanż za nadprogramowy przelot helikopterem, ale Bielów i Dżuma tylko wywrócili oczyma; biznesmen musiał mieć naprawdę grubą teczkę na mój temat. Jedynie Zina spojrzała, jakbym nagle zaczął cuchnąć.

– Niby dlaczego?! – warknęła.

Powiedziałem im. Obaj panowie wyglądali na oszłomionych, Zina zachichotała.

– Świetny pomysł – stwierdziła.

– Naprawdę myśli pan, że to dla niej takie ważne? – rzucił Bielów słabym głosem.

– Nie bardziej niż dla pana prawa ręka – odparłem.

– On może mieć rację – przyznał Dżuma. – Mała się tym martwi.

– No dobrze, kto to zrobi? – spytał biznesmen. – Wolałbym nie oddawać takich fotografii swoim pracownikom.

– Niech pan nie patrzy na mnie, moje umiejętności komputerowe są dość skromne – zastrzegłem się stanowczo.

– Ja to zrobię – zaoferowała się Zina. – Razem z Januszem Pawłowiczem dogramy szczegóły.

Musiałem mieć dziwną minę, bo Dżuma uśmiechnął się kpiąco. No ładnie – wyglądało, że mogę liczyć na małe sam na sam z dziewczyną ruskiej mafii...



Wrzaski usłyszałem już w korytarzu, krzyczała Marina. Odpowiadał jej spokojny, kobiecy głos. W tonie dziewczyny nie brzmiał strach, jedynie złość, być może przemieszana z nutą bezsilnej wściekłości. Paręnaście metrów od drzwi apartamentu córki Bielowa stali ochroniarze, nie zwracali uwagi na hałasy, omiatali wzrokiem teren. Zawodowcy. Na pozór ledwo zauważyli moją obecność – któryś niemal niedostrzegalnie skinął głową – jednak nie miałem złudzeń, gdybym wykonał gwałtowny ruch, sięgnął do broni... W pozie obu mężczyzn dało się wychwycić przemieszana z rozluźnieniem czujność: żadnego napinania mięśni, groźnych min, gwałtownych gestów. Jeśli będzie trzeba, zareagują, ale dopiero wtedy.

Miałem ochotę wziąć kąpiel, może wypić odrobinę wina – zapewne obsługa dostarczyłaby wszystko, czego bym sobie zażyczył – i porozmawiać z Małgorzatą, ale jeśli panienka będzie dalej robić taki raban, to żadna przyjemność. Ściany i drzwi w tym skrzydle nie należały do najgrubszych, zapewne pomieszczenia zostały pośpiesznie przystosowane do zamieszkania po zniknięciu Ludy.

– Co tam się dzieje?

– Marina ma lekcje – wyjaśnił jeden z ochroniarzy. – Ze względów bezpieczeństwa nie chodzi do szkoły, szkoła chodzi do niej. Chyba nie jest tym zachwycona – dodał, zachowując kamienny wyraz twarzy. Tylko kpiący błysk w oczach świadczył, że cała sprawa go bawi.

– Długo będzie tak wrzeszczeć? – spytałem zbolonym tonem.

– Trudno powiedzieć.

Tym razem obaj otwarcie wyszczerzyli zęby. Matoły... Stęknąwszy, niechętnie nacisnąłem klamkę. Czerwona z wściekłości córka Bielowa obrzucała wyzwiskami nie-młodą, krępą kobietę. Praktyczny koczek i zawieszzone na łańcuszku okulary pozwalały domyślać się w tej ostatniej nauczycielki. Przyjmowała inwektywy ze stoickim spokojem, ale nie zamierzała ustąpić smarkatej.

– Za pół godziny sprawdzę te równania – powtórzyła, zapewne po raz kolejny.

Umilkła, widząc mnie w drzwiach.

– W czym problem?

– Nienawidzę tej pierdolonej matematyki! Nienawidzę tej suki! Nie będę, kurwa, rozwiązywała żadnych zadań! – wyjaśniła Marina w sposób niepozostawiający najmniejszych wątpliwości co do jej opinii na temat tego przedmiotu.

– Jeżeli nie dasz rady...

– Dam radę! Ale nie chcę! – przerwała mi bezceremonialnie. – I nawet, kurwa, nie próbuj mnie namawiać! – wysyczała, widząc, że otwieram usta. – Nie życzę sobie.

– Nie będę – zapewniłem zimno. – Natomiast ośmielę się powiedzieć, czego ja sobie nie życzę: otóż nie życzę sobie dzikich wrzasków pod moimi drzwiami, nie chcę też, żebyś obrażała tę kobietę w mojej obecności.

– To spierdalaj, zasańcu! Spierdalajcie wszyscy! – zawołała, wybuchając płaczem.

– W porządku – mruknąłem. – Mam nadzieję, że pilot jest tu gdzieś jeszcze.

Nauczycielka chwyciła mnie za ramię.

– Nie może pan tak odejść! Ktoś z rodziny powinien...

Pod lodowatym spojrzeniem cofnęła pospiesznie rękę, nie dokończyła zdania.

– Nie jestem z rodziny, nie jestem pracownikiem socjalnym, nie potrzebuję niczego od Bielowa – poinformowałem. – Nie mam zamiaru tolerować ani pouczania, ani ataków hysterii. Czy to jasne?

Mówiłem cicho i spokojnie, ale moje słowa zagrzęchotały jak przesypywane z ręki do ręki żelazne kulki: sucho, zimno, złowrogo. W każdym z nas jest coś niebezpiecznego, tyle że większość ludzi przez całe życie nie ma okazji poznać się od tej strony. Ja miałem tę wątpliwą przyjemność. Kiedy dojdiesz do kresu: stracisz kogoś kochanego, zabijesz lub wręcz przeciwnie – choć przez chwilę będziesz ścigany przez dwunożne bestie – zmieniasz się. Opada wtedy cała otoczka cywilizacyjna: erudycja, kultura, kruszeją zasady moralne, a z wewnątrz wychyla się coś bardzo pierwotnego. W chwilach zmęczenia lub zagrożenia zaczyna nami kierować zimny, gądzi umysł. On wie najlepiej, jak przeżyć i jak zabijać, jest niedoścignionym mistrzem przetrwania. Tyle że nie zna uczuć – te nie są mu do niczego potrzebne.

Cień – jeden z wielu, jakie nawiedzają mnie w koszarach – wydostał się na zewnątrz, tylko na mgnienie, a jednak został zauważony. Przeraził.

Znużony wyszedłem na korytarz. To był ciężki dzień, a teraz jeszcze czekała mnie droga do miasta. Śmigłowcem.

Marina dopadła mnie, zanim dotarłem do swojego pokoju, wczepiła się w ubranie niczym małe dziecko.

– Nie odchodź – wyszeptała. – Błagam... Zrobię te zadania. Przepraszę cię i...

Stałem z opuszczonymi bezradnie rękoma, słuchając, jak szlocha, nie wiedziałem: objąć ją czy może pogłaskać? Potrzebowała pocieszenia, lecz trafiła pod zły adres – nie radziłem sobie nawet z własnymi uczuciami. Kątem oka widziałem nauczycielkę. Wyszła za nami wyraźnie zaniepokojona. Spokojnie, kobieto, nie krzywdzę dzieci, nie ja...

W końcu przytuliłem niezręcznie Marinę, pozwoliłem jej się wypłakać, czując na sobie uważny wzrok ochroniarzy. Zapewne Bielów otrzyma jutro meldunek o kolejnych wyczynach swojego najnowszego pracownika. Miałem nadzieję, że nie nazbyt krytyczny.

– Odrób lekcje i zajdź do mnie za jakieś pół godziny – zaproponowałem.

– Zmoczyłaś ci całą marynarkę – mruknęła, odsuwając się o krok.

Machnąłem lekceważąco ręką.

– Za pół godziny – powtórzyłem.



Moje znużenie nie miało nic wspólnego ze zmęczeniem mięśni, było stanem ducha. Dopóki nie wyjaśni się sprawa z chorobą Małgorzaty... Po kąpieli wyszedłem na środek pokoju, odsunąłem krzesła i stół – czas, by ponownie zacząć treningi. Dwanaście ćwiczeń Wariata Li nie zawiera żadnych morderczych technik, zwiększa natomiast siłę, wytrzymałość i refleks do tego stopnia, że inni ludzie nie stanowią specjalnego zagrożenia. Haczyk jest tylko jeden – każde z nich wymaga zastygania w koszmarnej niewygodnej pozycji i specyficznego, forsownego

oddychania, które samo w sobie mogłoby niejednego odstraszyć. Nie byłem wyjątkiem – mimo oczywistych, niemal błyskawicznych postępów bardzo rzadko ćwiczyłem z własnej woli. Ale czasem nie ma wyboru, musiałem szybko wrócić do formy. Z wielu względów.

Rozstawiłem nogi na podwójną szerokość barków, zaplotłem za plecami palce obu dłoni i wykonałem energiczny skłon. Dotknąłem głową lewego kolana, odchylając ręce jak najdalej, niemal do wyłamania barków. Ściągną i stawy całego ciała zareagowały palącym bólem, ale kontynuowałem ćwiczenie, po chwili zacząłem głęboko oddychać, wydając ciche okrzyki „Heng” i „Ha”. Po dwudziestu oddechach wykonałem skręt do prawego kolana. Poczułem spływające po plecach pierwsze krople potu, organizm pracował na granicy swojej wydolności. Cóż, można to przeżyć. Z trudem, bo z trudem, ale można. To tylko jedno ćwiczenie, zostało jeszcze jedenaście... Nie, nie miałem zamiaru mierzyć się z pełną dwunastką! – nie dałbym rady. Po kilku minutach osunąłem się na krzesło, usiłując złapać oddech. Na dzisiaj wystarczy.

Marina pojawiła się, kiedy ocierałem tors ręcznikiem, z lekkim przestraszeniem spojrzała na pokrywające moje ramiona szramy.

– Dobrze się czujesz, wujku? – spytała z niepokojem w głosie.

– Starość nie radość – mruknąłem. – Trochę ćwiczyłem – dodałem wyjaśniająco. – Podaj mi szlafrok.

Okryłem się cienkim jedwabiem, zasłaniając większość blizn. To z pewnością nie był widok dla młodej, wrażliwej pani.   
wrażliwej pani.   
wrażliwej pani.

– Miałeś wypadek?

- W pewnym sensie.
- A dokładniej? – drążyła.
- Ktoś z nożem – odparłem wymijająco.

Nie domagała się szczegółów, chyba jednak była mądrzejsza niż przeciętna dziewczyna w jej wieku.

– Przeprosiłam nauczycielkę – powiedziała po chwili milczenia. – Ciebie też przepraszam. Wariuję tutaj, w zamknięciu, ojciec nie pozwala mi nigdzie wychodzić. Więc czytam książki, surfuję po Internecie i gadam z koleżankami, które w większości interesują się tylko rozmiarem swojego biustu i tym, czy wyszły ładnie na kolejnej fotce prezentującej ich wdzięki...

– Pokazujecie sobie roznegliżowane zdjęcia?!

– Nie tylko sobie, wszystkim, którzy chcą oglądać – wyjaśniła słodko. – Obudź się, wujku. Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Reklama dźwignią handlu i tak dalej... Zamieszczają te fotki w sieci, a faceci je komentują. – Wzruszyła ramionami.

– Znaczy, wasi koledzy? – spytałem z nadzieją w głosie.

– Faceci z całego świata – doprecyzowała bezlitośnie. Cholera, czego ja jeszcze nie wiem o nastolatkach?

– Wy wszystkie tak...?

– Te, które mają co pokazać.

– Czy twój ojciec wie, że ty...

– Nie słyszałeś, co powiedziałam?! Ja nie mam czego pokazywać! – Parsknęła ze złością. – Dobranoc – pożegnała się chłodno.

Skrzywiłem się, kiedy trzasnęła drzwiami. No ładnie, towarzyszu Korpacki, naprawdę podnieśliście dziewczynę na duchu... Brawo! Westchnąłem. Być może moja



mała niespodzianka pomoże jej w walce z kompleksami, a może i nie. Ostatecznie jedynie Zina uznała to za dobry pomysł. A Zina zdecydowanie nie była typową przedstawicielką swojej płci...

Wyjąłem telefon komórkowy, wybrałem numer Małgorzaty, ale nie wdusiłem przycisku. Czego się dowiem, jeśli zadzwonię? Kolczasta kula w żołądku poruszyła się gwałtownie, gotowa utorować sobie drogę dalej: do serca, do mózgu. Rozdygotanymi rękoma odłożyłem komórkę, z bezsilną wściekłością uderzyłem pięścią w stół. Nagle telefon, zwyczajny przecież kawałek plastiku, wydał mi się czymś złowrogim, budził strach.

Przygryzłem wargi, zadzwoniłem.

– Jak się czujesz? – zapytałem bez wstępu.

Wreszcie odważyłem się to powiedzieć.

– Nieźle – odparła ostrożnie. – Za dzień, góra dwa będę znała wszystkie wyniki.

A więc tyle zostało do końca zmartwień albo nadziei... Dzień, dwa, a stalowy jeź zniknie, czy raczej schowa się gdzieś w jakimś zakamarku, przybierze formę przetrwalnikową, by czekać na kolejną okazję lub przeciwnie – ruszy naprzód i dokończy sprawę... Już niedługo.

– A co u ciebie? Opowiedz mi, co robiłeś – poprosiła.

Opowiedziałem. Usłyszawszy, jak zamierzam pomóc Marinie, wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem.

– Wiedziałem, że to głupie – wymamrotałem.

– Nie, niekoniecznie, tylko uważaj, żeby mała nie zgłosiła później reklamacji, że coś się nie zgadza.

– Za dwa lata? Niech zgłasza, nie będzie mnie już tutaj.

Tym razem roześmialiśmy się oboje, ucisk w żołąd-  
ku trochę zelżał.

– Niedługo przyjadę do ciebie – przypomniała. –  
Będę mogła zamieszkać w tym pałacyku?

– Załatwię to jutro z Bielowem – obiecałem.

Posiedzieliśmy chwilę w przyjaznym milczeniu, żad-  
nemu z nas cisza nie ciążyła.

– Dobranoc, kochanie – powiedziała w końcu Mał-  
gorzata. – Śpij dobrze – dodała miękko.

– Dobranoc – wydusiłem ze ściśniętego gardła.

O dziwo, spałem dobrze.



Marina pocałowała mnie w policzek – najwyraźniej moja  
wczorajsza gafa została wybaczona – Zina uścisnęła rękę  
mocno, po męsku. Wbrew oczekiwaniom jej dłoń była  
miękka, paznokcie miała krótko przycięte, być może po-  
malowane bezbarwnym lakierem. Tyle że bez żadnych  
tipsów czy innych ekstrawagancji.

– Zaczynamy show? – zapytała beztrosko, podcho-  
dząc do komputera.

– Jaki show? – zmarszczyła brwi Marina.

– Daj mi słowo, że wysłuchasz wszystkiego do koń-  
ca, a dopiero potem zaczniesz wrzeszczeć – poprosiłem.

– A o co chodzi? – Spojrzała na mnie nieufnie.

– Mam dla ciebie prezent.

– Hmm...

– Są takie policyjne programy komputerowe, które  
pozwalają postarzyć człowieka. Jeśli poszukuje się jakie-  
goś przestępcy, to dobrze wiedzieć, jak będzie wyglądał

po paru latach, bo nie zawsze udaje się go znaleźć od razu – wyjaśniłem. – No więc, kiedy tak narzekałaś na swoją urodę, pomyślałem sobie, że gdyby wykorzystać parę twoich zdjęć i dodać ci ze dwa, trzy lata, to może przestałabyś cierpieć na bezsenność z powodu rozmiarów biustu – dodałem bezczelnie.

Mruknęła coś ze złością, ale pochyliła się nad laptopem, w napięciu wpatrzyła w monitor. Palce Ziny tańczyły po klawiaturze z maestrią pianisty wirtuoza.

– Fotka numer jeden – oznajmiła wesoło.

Przed nami pojawiła się młoda, emanująca erotyzmem kobieta: kostium bikini pozostawiał niewielkie pole do domysłów, widać było, że ocieka wodą, zapewne dopiero co wyszła z basenu.

– Zajęło mi to trochę czasu, ale myślę, że efekt jest niezły – poinformowała mnie po francusku Zina. – No i dodałam jej rozmiar w biuście.

– To znaczy?

– Wiesz, jak oznacza się rozmiar biustonosza?

– Eee...

– Nieważne. Z miseczki C zrobiłam D.

– Cokolwiek by to znaczyło – mruknałem.

– O czym wy gadacie? – zainteresowała się Marina. –

I gdzie następne zdjęcia?

– O rozmiarach biustu – odburknałem.

– To wygląda na D – oznajmiła z zadowoleniem.

– Czyżby istniały jakieś systemy obliczania?

– Głupek – stwierdziła Zina.

Marina nic nie powiedziała, ale jej spojrzenie wskazywało, że raczej nie zapunktowałem.

– Druga fotka.

Tym razem dziewczyna rozpierała się w bujanym fotelu na werandzie, eksponując bajecznie długie nogi i – jakżeby inaczej! – biust. Ten ostatni wyglądał jak u karmiącej matki, ale z zadowolonego sapnięcia Mariny wywnioskowałem, że nie ma nic przeciwko jego rozmiarom. Wydawał się jeszcze większy niż na poprzedniej fotografii.

– Może lepiej nie zamieszczaj tego w Internecie? – zaproponowałem słabym głosem. – Bo jak sprawa się wyda, twój ojciec dostanie zawału.

– Nie mam zamiaru – zapewniła Marina.

Chrząknąłem niedowierzająco, ale nie skomentowałem. Na szczęście to nie moja sprawa. Niech martwi się Biełow...

Kolejne zdjęcia były podobne do poprzednich: starsza o parę lat Marina bez żenady demonstrowała swoje wdzięki. Podejrzewałem, że Zina nieźle się napracowała, zamieniając bezpretensjonalne pozy nastolatki na migawki z życia dojrzałej, świadomej swego uroku kobiety. Nie znam się specjalnie na komputerach, lecz wątpiłem, czy to, co oglądamy, jest wyłącznie wytworem programu do postarzania wyglądu. Jak się wydawało, mój pomysł zaczął żyć własnym życiem...

– Mogę to sobie skopiować? – spytała Marina.

– Oczywiście. – Westchnąłem. – To wszystko dla ciebie.

– Dziękuję! – Ponownie pocałowała mnie w policzek.

Z większym entuzjazmem niż przed chwilą. Pokręciłem bezradnie głową, z jakiegoś powodu miałem niejasne przeczucie, że chyba nie przemyślałem wszystkich implikacji tego, co zrobiliśmy z fotkami Mariny.



Ledwo pojawiłem się w archiwum, poproszono mnie do gabinetu dyrektora. Pomieszczenie nie zrobiło na mnie wrażenia: obdrapane biurko pamiętające lepsze czasy, być może ostatnich Romanowów, dwa fotele o wytartych obiciach i kanapa ze złachmanioną tapicerką. Jedyną ozdobę stanowił przyklejony wprost na oblażącej z tynku ścianie plakat reklamujący występ Szalapina z tysiąc dziewięćset szóstego roku. Wyglądał na oryginalny. Może rzeczywiście wisiał tu ponad sto lat? Także obecny władca archiwum nie imponował posturą – ot, niski, chudy człowieczek w okularach, niepotrafiący powstrzymać nerwowych ruchów. Odwrotnie niż stojące pod oknem, wielkie, przypominające niedźwiedzia chłopisko. Budził szacunek nie tylko rozmiarami, w jego oczach ujrzałem błysk żywej inteligencji.

– *Gospodin* Korpacki – zaczął dyrektor – obecny tu major Markow chciałby z panem porozmawiać.

– Major... – zawiesiłem wyczekująco głos.

– Petersburskiej milicji – dopowiedział olbrzym, podając mi dłoń.

Odwzajemniłem uścisk, syknąłem z cicha – miałem wrażenie, jakbym włożył palce w imadło.

– Co się stało? – spytałem.

– Dziś z rana złożono nam propozycję korupcyjną – poinformował z obłudnym oburzeniem dyrektor. – Pewien obcokrajowiec poprosił o dostęp do akt. Oczywiście nie był uprawniony, wymaga to pewnych zezwoleń, więc zaproponował łapówkę.

– I co? Zapłacił fałszywymi pieniędzmi? – zdziwiłem się.

Markow zarechotał rubasznie, nie zważając na wściekłe spojrzenie szefa archiwum.

– Wpuściliby go za pół litra, ale ponieważ sprawa dotyczy Bielowa, zadzwonili do nas – powiedział.

– Protestuję przeciwko takim...

– Jakie akta go interesowały? – wtrąciłem szybko.

– Wszystko na temat majora Razumowskiego i sekty „Doskonałych”.

Gwizdnąłem w duchu – czyżbym właśnie poznał nazwę grupy kanibali, których w czasie ostatniej wojny tropił Razumowski? To mogło posunąć sprawę do przodu. Podobnie jak informacja, że Razumowski dosłużył się stopnia majora. Tylko czego szukał tajemniczy nieznajomy? I dlaczego właśnie teraz? Nie chciało mi się wierzyć, że to zbieg okoliczności.

– Kim był ten cudzoziemiec?

– Nie pokazał dokumentów. – Dyrektor rozłożył bezradnie ręce. – Ale łatwo go będzie znaleźć, to Chińczyk.

Markow parsknął z pogardą.

– Tak?

– W Petersburgu może przebywać około tysiąca Chińczyków – poinformował. – Rozumie pan: handel.

– Macie ich w ewidencji?

– Nie, a przynajmniej nie bezpośrednio, to nie czasy Związku Radzieckiego. Część jest zameldowana w hotelach, możemy ustalić ich listę, ale reszta... – Machnął ze zniechęceniem ręką. – Rosja to wolny kraj. Na tyle, na ile to możliwe w naszych warunkach – dodał z pewnym cynizmem.

– No dobrze, a ci poza hotelami? Ilu ich jest, jak pan sądzi?

– Czort wie. Znalezienie noclegu to nie problem.

– Nie rozumiem. – Zmarszczyłem brwi.

– Ci biznesmeni, nie tylko zresztą chińscy, lubią nasze dziewczęta. No, pieprzą się z nimi jak króliki – doprecyzował, widząc, że dalej nie pojmuję. – Jeśli któryś chce połączyć przyjemne z pożytecznym i nie ma węża w kieszeni, wchodzi po prostu do Internetu, szuka profesjonalistki na całą noc. Te reklamują się w sieci, zamieszczają zdjęcia, cennik... Jeżeli nie chce szastać forszą, przegląda jakiś serwis erotyczny pełen pańienek, które poszukują partnera na jedną lub kilka nocy, i ma już mieszkanie z gosposią.

– Cholera – mruknąłem.

– Nie ma lekko – przytaknął.

Zerknąłem na Markowa podejrzliwie, coś tu nie pasowało. Co prawda jeśli chodzi o sprawność milicji, sytuacja w Rosji poprawiała się systematycznie, lecz daleko jej jeszcze było do standardów europejskich, a major to dość wysoki stopień. Nie chciało mi się wierzyć, że fatygował się do tak drobnego zgłoszenia. Rosjanie zwalczający intensywnie korupcję? Koń by się uśmieł...

– Dlaczego nie zajął się tym któryś z pańskich podwładnych? – spytałem wprost.

– Mógłby pan udostępnić nam swój gabinet na chwilę? – Markow zwrócił się do dyrektora.

– Oczywiście – odparł tamten niechętnie. – Zostawiam panów samych.

– Słucham – ponagliłem, gdy tylko szef archiwum zamknął za sobą drzwi.

– Dowodzę grupą śledczą, która poszukuje Ludmiły Bielowej – wyjaśnił olbrzymi Rosjanin. – Wiem, że ze względu na koneksje ojca do akcji włączyły się służby specjalne, a swoją wendetę prowadzi też Specnaz...

– Wendetę? – przerwałem.

– Napastnicy zabili kilku ich najlepszych ludzi, przecież nie puszczą tego płazem.

No ładnie... Jeśli Dżuma prowadzi własną grę – a wszystko na to wskazuje – moja rola może być jeszcze trudniejsza, niż myślałem. Jeśli dokopię się do jakichś danych, znajdę się pomiędzy młotem a kowadłem... Bielów będzie chciał swojej córki całej i w jednym kawałku, choć nie postawiłbym wiele na to, że Luda żyje, Oleg zechce policzyć się z zabójcami, a służby specjalne... Cholera wie, co zrobią, pomyślałem ponuro. Niezły pasztet.

– Niewąski bałagan – skwitował Markow, jakby odczytując moje myśli. – Niemniej jednak uważam, że to robota dla milicji. A służby i Specnaz... Kiedy już wytropimy sprawców, niech się nimi zajmą.

– Nie przeszkadza to panu? – mruknąłem.

– Niespecjalnie – przyznał. – Mam dobrych ludzi, ale wolałbym się nie mierzyć z kimś, kto skasował tych chłopaków ze Specnazu. To naprawdę elita.

– Rozumiem – rzuciłem bez przekonania.

Nie zamierzałem pytać o kwestie prawne związane z ingerencją FSB, Specnazu czy innego GRU w sprawę. To była Rosja. Niedawno niejaki generał Szamanow wysłał oddział komandosów, aby zabezpieczyć fabrykę swojego zięcia – skądinąd podejrzanego o kierowanie tatarską mafią – przed przeszukaniem. Przy tej okazji żołnierze





Szamanowa zatrzymali prokuratora do zadań specjalnych...

– Chciałem zaoferować pomoc – podjął Markow. – Zorganizuję ochronę archiwum, na wypadek gdyby ten Chińczyk wrócił, mogę też skierować do pracy przy aktach paru ludzi.

– To hojna oferta – powiedziałem ostrożnie. – Ale ostatecznie, czego bym chciał, to amatorzy grzebiący na oślep w tym bałaganie.

– Przecież tu jest taki burdel, że trzeba przeszukać wszystko systemem Pinkertona, znaczy, podzielić na kwadraty – zauważył.

– Nie jest tak źle – zaprzeczyłem. – Ustaliłem już zespoły akt, w których mogą znajdować się przydatne nam informacje. W normalnej sytuacji znalazłbym wszystko, co chcę, w góra tydzień samodzielnie. Niestety, nie można wierzyć katalogom i większość materiałów muszę przeszukać fizycznie: pogrzebać w skrzyniach, na półkach.

– Rozumiem. – Skinął głową. – A gdybym oddał ich pod pańskie rozkazy? Działaliby ściśle według pańskich wskazówek.

– Jakoś sobie nie wyobrażam, żeby potraktowali mnie poważnie, nie jestem ich przełożonym, kiedy tylko odwrócę się plecami, zaczną...

– Wiedzą, że stoi za panem Biełow – przerwał mi major. – No i był pan w Nikołajewsku, to się u nas liczy. Będzie pan ich idolem – zachęcił z uśmiechem.

Westchnąłem ciężko – w czasie akcji w Nikołajewsku, w której uczestniczyłem jako Chorąży, nosiciel sztandaru Michała Archanioła, udało mi się postrzelić kryjące-

go się za jedną z zakładniczek terrorystę. Sam fakt, że wbrew stanowczym rozkazom Dżumy wszedłem wraz z komandosami na teren obiektu, był piramidalną głupotą, nie mogłem im w żaden sposób pomóc, nie ten poziom, jednak przez przypadek skupiłem na sobie uwagę bandyty, co umożliwiło któremuś z chłopaków Dżumy celny strzał. W efekcie zostałem bohaterem, prawdę znał tylko Oleg, a ten milczał złośliwie, pozwalając dziennikarzom wykreować mnie na drugiego Bonda. Wiedział, jak kocham kontakty z mediami. Moich tłumaczeń nikt nie brał pod uwagę, przypisywano je wrodzonej skromności...

Tak czy owak, nie stać mnie było na odrzucenie oferty Markowa. Zegar tykał, liczyła się każda godzina. Jeśli ci milicjanci rzeczywiście będą wykonywali moje polecenia, może znajdziemy coś szybciej, niż gdybym zajmował się poszukiwaniami w pojedynkę.

– Zgoda – powiedziałem. – Przyjmuję pańską ofertę.



Do pracy w archiwum zgłosiło się czterech milicjantów, wszyscy młodzi, pełni zapału, wykonywali moje polecenia bez szemrania. Rozdzieliłem zadania, podkreśliwszy z naciskiem, żeby nie ruszali niczego bez mojego zezwolenia i sam zabrałem się do roboty – dla siebie zarezerwowałem najbardziej obiecujący zespół akt: dokumenty Leningradzkiego Okręgu Wojskowego za rok tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi. To właśnie w czterdziestym drugim prowadził swoje śledztwo Razumowski.

Materiały archiwalne Leningradzkiego Okręgu Wojskowego z okresu blokady – wydzielone od reszty akt z czasów wojny – zajmowały dwa ogromne, wypełnione stalowymi regałami pomieszczenia i czternaście skrzyń. Jak wskazywały pieczęcie i napisy, dwóch z nich nie otwierano od zakończenia wojny. Ponieważ dokumenty nie były w żaden sensowny sposób skatalogowane – ułożono je jedynie chronologicznie, poszukiwania wydawały się mocno utrudnione. Nie miałem nawet pewności, że protokoły ze śledztwa przeciwko kanibalom znajdują się akurat tutaj. Założyłem, że skoro dokument zezwalający Razumowskiemu na korzystanie z samochodu z kierowcą został wystawiony przez oficera LOW, pozostałe – dotyczące misji majora – będą w tym samym zbiorze akt. Jednak mogłem się mylić. Aby zaprowadzić jako taki porządek w tym archiwum, potrzebowalbym plutonu pijanych archiwistów. Trzeźwi prawdopodobnie by uciekli...

Po kilku godzinach ciężkiej pracy w nieogrzewanym pomieszczeniu znalazłem meldunek dowódcy oddziału alarmowego garnizonu, z którego wynikało, że interweniował wezwany na pomoc w związku z napadem na kwaterę Razumowskiego. Nie podano szczegółów – specjalny odnośnik odsyłał do raportu miejscowego NKWD, lecz wywnioskowałem, że zanim nadciągnęła kawaleria, Razumowski poradził sobie z większością napastników. Dopiero teraz zwróciłem uwagę na nazwisko. Razumowski... Czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Czy tajemniczy oficer rzeczywiście spokrewniony był z potężną swego czasu rodziną Razumowskich? I najważniejsze: co to znaczyło dla sprawy?

Z zamyślenia wyrwało mnie dyskretne chrząknięcie.

– Napije się pan herbaty? – zapytał jeden z milicjantów.

Młody, piegowaty chłopak wyglądał na zmieszane-go, jakby nie był pewien, czy uchodzi zaproponować mi coś tak pospolitego.

– Oczywiście – odparłem z wdzięcznością. – Wystarczy na dzisiaj grzebania w papierach, ledwo żyję.

W niewielkiej klitce, zapewne w „gabiniecie” któregoś z pracowników archiwum, przygotowano poczęstunek: na stole stały szklanki z herbatą, chleb, szprotki w oleju i flaszka wypełniona w trzech czwartych przezroczystą cieczą. Nie przepadam za mocnym alkoholem, ale byłem tak przemarznięty, że jednym haustem wychyliłem pół szklanki. Zapiekło w gardle, napoju nie dało się porównać do alchemicznej wódki czy choćby udoskonalanej jeszcze przez Mendelejewa „Moskowskiej” – poczęstowano mnie zwykłym samogonem, ale trzeba przyznać, że rozgrzewał błyskawicznie.

– Uff... – odetchnąłem. – Tego mi było potrzeba.

Rozległ się śmiech i po chwili zagryzaliśmy zgodnie rybkami i czarnym, nieco czerstwym chlebem.

– Znaleźliście coś? – zwróciłem się do piegowatego młodzieńca, który zaproponował mi herbatę.

– W skrzyni, wie pan, tej z dokumentacją NKWD, natrafiliśmy na radiogram. Wynika z niego, że z Razumowskim współpracował ktoś z miejscowej Czerezwyczajki. Major zaś określony jest jako pracownik GRU. Początkowo chyba działał tu pod przykryciem jako porucznik łączności.

– No to chyba nie był jednak arystokratą – mruknąłem.

– Słucham?

– Razumowski to arystokratyczne nazwisko – wyjaśniłem. – Przynajmniej od połowy osiemnastego wieku. Radziecki wywiad wojskowy raczej nie przyjąłby w swoje szeregi nikogo związanego ze starym reżimem. Chyba że miał w tym jakiś cel – dodałem z westchnieniem.

– Mógłby pan to wyjaśnić? – poprosił inny z milicjantów.

Krępy, muskularny mężczyzna o kwadratowej twarzy przyglądał mi się z nadzieją, niczym dziecko oczekujące bajki. Za kogo oni mnie biorą, do jasnej cholery?! Będę musiał w końcu coś zrobić z tymi bredniami o Nikołajewsku.

– No dobrze. – Machnąłem nonszalancko ręką, o mało nie strącając ze stołu butelki, ruski bimber bywa zdradliwy... – W styczniu tysiąc siedemset trzydziestego pierwszego roku wracająca z Węgier rosyjska delegacja postanowiła ogrzać się w niewielkiej, wiejskiej cerkwi – zacząłem. – W czasie nabożeństwa zachwyił ich głos młodego Kozaka, Aleksego Rozuma, który na co dzień zajmował się wypasem bydła należącego do wiejskiej wspólnoty. Postanowili więc zabrać młodzieńca do Petersburga i przedstawić carycy. Tam szybko zwróciła na niego uwagę wielka księżna Elżbieta, która poprosiła, aby wolno jej było wziąć Kozaka na swój „mały dwór”. Zapewne dostrzegła ona i inne zalety Aloszy, bo ten szybko awansował ze śpiewaka na majordoma, a niedługo później i kochanka księżnej. Jeśli chodzi o to ostatnie stanowisko, utworzył się wakat, gdyż caryca Anna kazała zesłać na Syberię dotychczasowego faworyta Elżbiety, kamerjunkra Aleksego Szubina.

– To już wtedy zsyłano na Sybir? – zdziwił się któryś milicjant.

– Owszem – potwierdziłem. – Na dworze Anny Kurlandzkiej, bratanicy Piotra Wielkiego, cały czas trwała walka o władzę. Caryca Anna albo Anna Iwanowna, bo tak ją u was nazywano, dbała o to, żeby w otoczeniu Elżbiety nie pojawił się na dłużej nikt ambitny. A Szubin słynął nie tylko z nadzwyczajnej urody, ale też z energii i przedsiębiorczości. Dlatego na zesłaniu nakazano mu poślubienie miejscowej ślicznotki.

– Poślubienie? Przecież nie mógł chyba zostać mężem Elżbiety?

– Teoretycznie wszystko było możliwe. – Wzruszyłem ramionami. – I tu dochodzimy do naszego pastuszka Aleksego Rozuma. Zmienił on nazwisko na lepiej brzmiące w rosyjskich uszach: Razumowski, i prawdopodobnie został mężem Elżbiety. Nie znaczy to bynajmniej, że późniejsza caryca Elżbieta pozostała mu wierna, choć niewątpliwie darzyła go sympatią. Po objęciu rządów obdarowała Aleksego tytułem szlacheckim i włączyła do wąskiego grona osób mających realny wpływ na władzę. Być może istniały jakieś dokumenty potwierdzające zawarcie związku małżeńskiego pomiędzy pastuszkiem a Elżbietą, jednak zniszczył je sam Razumowski. Do dziś dnia przetrwała jedynie przechowywana w rodzinie Razumowskich jedwabna saszetka z portretami carycy i Aloszy oraz napisem „Ta tajemnica jest pobłogosławiona”. Innym dowodem, choć niebezpośrednim, może być wzmianka w jednym z listów pośła saskiego Petzolda, który donosił swemu władcy, że caryca i wielki łowczy połączeni są więzami *mariage de conscience*.

– Więzami eee...

– Sekretnego małżeństwa – przetłumaczyłem. – W świetle tych faktów wydaje się wątpliwe, aby major Razumowski był rzeczywiście spokrewniony z rodziną faworyta władczyni, ale kto wie? Nas w tym momencie powinno interesować tylko, czy ma to jakieś znaczenie dla śledztwa.

– A ma? – zapytał piegowaty.

– Trudno powiedzieć, być może wyjaśnimy tę kwestię, kiedy znajdziemy inne dokumenty.

– O ile znajdziemy – mruknął któryś ponuro.

– Te skrzynie z dokumentami NKWD... – odezwałem się z wahaniem.

– Tak?

– Oni musieli mieć spis z nazwiskami „wrogów klasowych” – powiedziałem. – Większość enkawudzistów nie była zbyt bystra czy wykształcona. W sumie nieważne, czy Razumowski miał arystokratyczne koligacje, czy nie, istotne było, że czekiści musieli go o to podejrzewać. Trzeba koniecznie przeszukać te skrzynie – zdecydowałem. – Istnieje spore prawdopodobieństwo, że coś tam znajdziemy. Zresztą stosunki między GRU a NKWD nie były raczej obrazem braterskiej współpracy, powinny się zachować choćby jakieś donosy. Ale to jutro – stwierdziłem, ziewając. – Zdecydowanie jutro.



Tym razem wytrzymałem kilkanaście sekund dłużej – pierwsze z ćwiczeń Wariata Li nie wydało mi się aż tak trudne jak wczoraj, przez chwilę zastanawiałem się na-



wet, czy nie spróbować kolejnego, jednak ostatecznie odłożyłem to na później. Nie mogłem sobie pozwolić na przetrenowanie. Odprężyłem się w gorącej kąpieli i właśnie rozważałem, w jakich aktach szukać wzmianek o Razumowskim, kiedy zadzwonił telefon. Nie moja komórka – tę nadal trzymałem wyłączoną – a stacjonarny, za pomocą którego mogłem połączyć się z obsługą. Czyżby ktoś z personelu wpadł na pomysł, aby uciąć sobie ze mną pogawędkę? Klnąc pod nosem, wygramoliłem się z wanny i owinąwszy pospiesznie szlafrokiem, podszedłem do aparatu.

– Korpacki – warknąłem w słuchawkę.

– Ihor – przedstawił się dużo uprzejmiejszym tonem rozmówca.

Zamarłem, czego mógł ode mnie chcieć Ihor Magik, jeden z szefów rosyjskiej mafii w Polsce? Co prawda większość interesów Magika była od paru lat legalna, ale tak czy owak, nie wysyłałiśmy sobie kartek na święta... Kontaktowaliśmy się ostatnio ponad rok temu i, szczerze mówiąc, nie tęskniłem za nim. Jak mnie tutaj znalazł? Czego chciał?

– Słucham? Co się stało?

– Nic specjalnego – odparł natychmiast. – Słyszałem o twoich problemach z policją... Mój partner biznesowy, Michaił Juriewicz, poprosił mnie o pomoc w zapewnieniu bezpieczeństwa twojej rodzinie.

No tak, Bielów i Ihor, dlaczego mnie to nie dziwi?

– W czym problem? – spytałem.

– Nie ma absolutnie żadnego problemu – zapewnił Magik natychmiast. – I nie będzie. Chodzi jedynie o pewne detale.

– Mianowicie? – Westchnąłem głęboko.

– Wszystkie osoby, które brały udział w rajdzie na twój dom czy też w jakikolwiek sposób były w to zamieszane, zostały zniechęcone do podobnych akcji. Radykalnie. Jednak jest pewien wyjątek...

– Chwileczkę! – przerwałem mu zaniepokojony. – Mam nadzieję, że... – urwałem, nie wiedząc, jak dokończyć.

Podjeżdżałem, że wszystkie kłopoty Ihora spoczywały na przepisowej głębokości – dwa i pół metra pod ziemią, ja nie byłem aż tak... pryncypialny. Miałem pewne rachunki do wyrównania, lecz nie posunąłem się do ostateczności. Co do Magika nie byłem pewien.

– Nie jestem szaleńcem – zapewnił mnie Ihor. – Tych dwóch gliniarzy wdało się w bójki jeden na jednego, uważali, że są niepokonani... Teraz mają trochę czasu na przemyślenia, zanim pozrastają im się kości, minie miesiąc czy dwa. Komuś ukradziono samochód, słyszałem, że były problemy z wypłatą ubezpieczenia, aspirant Nowicki został złapany, gdy wręczano mu łapówkę. Takie tam drobiazgi... Ale do rzeczy: Maks zadzwonił do mnie z prośbą, żebym zostawił w spokoju kochanka Wieleckiej, tego eksszefa oddziału antyterrorystycznego. Powiedział, że będziesz chciał się sam nim zająć.

– Owszem – przyznałem. – I dziękuję.

– To drobiazg – zapewnił mnie Ihor. – Także Wielecką pozostawiłem twojej żonie – oświadczył z wyraźnym rozbawieniem.

Zacisnąłem zęby, aby nie powiedzieć czegoś, czego bym później żałował. Jeśli ma się choć resztki instynktu samozachowawczego, nie grozi się szefowi rosyjskiej

mafii. Mimo że nie odezwałem się słowem – nie jestem samobójcą – Magik musiał coś wyczuć.

– Co się stało? – zapytał zupełnie innym tonem.

– Margarita jest chora, być może śmiertelnie – poinformowałem go zimno. – Stąd pomysł, żebym pojechał do Rosji i pomógł twojemu partnerowi biznesowemu – zaakcentowałem to określenie ironicznie – średnio mi się podoba. Tak samo jak fakt, że wdała się w przepychanki z tą suką.

– Więc to nie jest chwyt propagandowy? Ta choroba?

– O czym ty, kurwa, mówisz?!

– Twoja żona opowiedziała na uczelni, że jest chora. Myślałem, że chce w ten sposób usprawiedliwić, co zrobiłaś Wieleckiej...

– Zapewne o to jej chodziło, ale choroba jest prawdziwa – wycedziłem.

– Co to jest?

– Nie wiadomo dokładnie, trwają jeszcze badania, najbardziej prawdopodobna wersja to ALS.

Usłyszałem w słuchawce stukot klawiatury, domyśliłem się, że Magik uruchomił wyszukiwarkę.

– Jest jakaś możliwość... – zaczął.

– Żadnej! – przerwałem mu ze złością.

– Dlaczego zostawiłaś ją samą?

– Bo o to poprosiła! – wrzasnąłem w słuchawkę, tracąc resztki cierpliwości. – Bo może nie będzie miała szansy, żeby poprosić mnie o cokolwiek więcej!

– Nie wiedziałem o chorobie – powiedział po chwili. – To znaczy o tym, że jest prawdziwa. Jeśli mógłbym w czymkolwiek pomóc...

– Nie możesz – odparłem znużonym głosem.

– Wiesz, na uczelni... wydaje mi się, że jest dwa do zera – powiedział ostrożnie.

– Nie rozumiem?

– Z tego, co wiem, nie jesteś już traktowany jak parias i damski bokser. Wszyscy wiedzą, że Wielecka cię sprowokowała. Do tego doszedł ten film...

– Jaki film?

– Najlepiej, jak ci go prześlę – zaproponował.

– Mój adres mejlowy...

– Znam twój adres – uciął. – Zerknij tam za jakieś pięć minut.

Nie mieliśmy sobie wiele więcej do powiedzenia, więc pożegnałem się z Ihorem i włączyłem komputer. Filmik był krótki, parominutowy. Pod zapis z kamer przy domu Wieleckiej podłożono muzykę, niektóre sekwencje przyspieszono – coś, co mogło budzić grozę: maniak z piłą mechaniczną demolujący drzewa, teraz wyglądało zabawnie. Całość sprawiała wrażenie, jakby skomponował ją profesjonalista. Wiedziałem, że Małgorzata lepiej ode mnie posługiwała się komputerem, ale nie posądzałem jej o takie talenty. Ktoś musiał jej pomóc. Znałem tylko dwie osoby, które mogła poprosić o tego typu przysługę: Marka i Dzumę. Postanowiłem zacząć od Olega – jego miałem pod ręką.

Wychodząc na korytarz, niemal zderzyłem się z Mariną, przestraszona upuściła kilka zdjęć. Schyliła się po nie błyskawicznie, ale byłem szybszy – fotka, którą podniosłem, przypominała te, które przerobiła Zina, jednak podstawowa różnica rzucała się w oczy: dziewczynie nie tylko dodano parę lat, ale ktoś postarał się także, aby upozować ją w erotycznej, wręcz wyuzdanej pozie. Bez

słowa wyjąłem jej z palców pozostałe – były jeszcze bardziej perwersyjne.

– Co to ma znaczyć? – spytałem cicho.

Odwróciła wzrok, z cichym chrzęstem zaczęła wyłamywać palce.

– Nie mów o tym tacie – poprosiła.

Zacisnąłem usta, trwaliśmy przez chwilę w milczeniu. Też mi się zebrało, żeby odgrywać rolę opiekuna zwariowanej nastolatki... Może sama to sfabrykowała, a teraz zamierzałem przeszkodzić jej w zamieszczeniu zdjęć w Internecie?

– Nie powiem – obiecałem w końcu. – To twoja robota?

Czerwona z zażenowania pokręciła głową.

– Więc kto? Zina?

– Nie, jest taki informatyk, Wadim Antonow. Chciałam mieć więcej takich fotografii, więc poprosiłam go o pomoc. On... – Urwała, bezwiednie wykręcając dłonie. – Ja nie chciałam, żeby on je tak...

– To znaczy, że ten informatyk sam nadał im taką erotyczną formę?

Skinęła głową.

– Gdzie biegłaś?

– Chciałam się ich pozbyć, w sekretariacie na partezie jest niszcarka.

Trzasnęły drzwi, na korytarz wyszedł Dżuma, obrzucił nas badawczym spojrzeniem.

– Co się dzieje? – Uniósł pytająco brwi.

– Trzeba pogadać z pewnym facetem – rzuciłem ponuro. – Akurat się przydasz.

– Ale ja nie chcę... – zaczęła Marina.

– Nie pytam, czego chcesz – przerwałem dziewczynie bezceremonialnie. – To nie twoja wina, no, przynajmniej nie całkiem twoja, ale trzeba coś z tym zrobić – dodałem łagodniej. – Albo my, albo twój ojciec, wybieraj.

– To szantaż – burknęła.

– Przecież gość może być zboczeńcem, nie można schować głowy w piasek i oczekiwać, że jakoś to będzie. Pewnie nie skrzywdzi ciebie, musiałyby być samobójcą, ale co, jeśli dorwie inną nastolatkę, bo twoje zdjęcia narobiły mu apetytu?

Oleg wyjął mi z dłoni fotografie, obejrzał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Kto je zrobił? – spytał.

– Niejaki Antonow – wyjaśniłem.

– Myślisz, że mogę się podobać tylko jakiemuś zboczeńcowi?!

Usiadłem z jękiem wprost na podłodze, rozmasowałem kark.

– Nie, ja się do tego nie nadaję – mruknąłem. – Oleg, ty jej powiedz.

– Co znowu? – warknęła Marina.

– Nie jesteś już dzieckiem – powiedział łagodnie Dżuma. – Jednak trudno uznać cię też za kobietę, brakuje ci nie tylko dojrzałości fizycznej, ale i emocjonalnej. Normalny mężczyzna nie potraktowałby cię raczej jako obiektu seksualnego. Dlatego twój ojciec pozwolił ci spać w pokoju Janusza Pawłowicza.

– No, to przecież wujek – wydusiła czerwona jak burak. – Wiem, że nie znam go długo, ale...

– Nie jestem eunuchem – zapewniłem Marinę sucho. – Tyle że interesują mnie kobiety, a nie dzieci czy

podrostki. Antonow, jak widać, nie robi takich rozróżnień.

– Nie chcę, żebyście go bili. To też moja wina.

– Jeżeli go nie namawiałaś do takiego zmieniania, to nie twoja – uciałem. – I nie mam zamiaru go bić. Porozmawiamy z nim, to może być przecież głupi dowcip. Wytłumaczymy mu, żeby więcej nie robił takich rzeczy i tyle. – Wzruszyłem ramionami.

– Naprawdę?

– Naprawdę – zapewniłem bez mrugnięcia okiem.

Oczywiście cała sprawa była dużo poważniejsza, niż przedstawiłem smarkuli – aby zabawić się w taki sposób fotkami córki Bielowa, trzeba naprawdę sporej odwagi. Albo desperacji. Wątpiłem, czy sprawa jest dowcipem, w tym momencie nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Tak czy owak, wytłumaczymy panu Antonowowi, że popełnił błąd. Jeśli nie zrozumie, perswazją zajmie się Dżuma. Ja nie tknę faceta nawet palcem, musiałem uważać na zrastające się żebro...



Twarz Antonowa wyrażała lekkie zmieszanie, chociaż mężczyzna nie wyglądał na wystraszonego – albo świetnie się maskował, albo rzeczywiście się nie bał. To drugie byłoby jednak dziwne, bo Dżuma wyłożył swoje racje bez owijania w bawełnę.

– Rozumiej panowie – powiedział informatyk – chciałem zniechęcić Marinę do dalszych eksperymentów, pokazać, co może z tego wyniknąć.

Uniosłem sceptycznie brwi. Choć tłumaczenie było wiarygodne, w głosie Antonowa wyczuwałem jakąś fałszywą nutę. Ale nie mogłem skojarzyć, czego dotyczyła. Bo deklaracja, że nie interesują go nastolatki, brzmiała na szczerą.

– Mogę poddać się badaniom na wykrywaczu kłamstw – zaproponował. – Rozumiem, że panowie chcieliby mieć pewność, że nie stanowią zagrożenia dla Mariny.

– Test na wykrywaczu to żaden dowód – mruknąłem.

Teraz Antonow uniósł brwi, przypatrując mi się z chłodnym namysłem.

– Jest pan pewien? – spytał.

– To zależy od wariografu – odburknął Dżuma. – Nieważne, nie widzę takiej potrzeby – dodał, zbierając się do wyjścia.

Po chwili namysłu skinąłem głową, Antonow rzeczywiście nie wyglądał na miłośnika nastolatek. A jednak było w nim coś, co mnie drażniło, a może tylko budziło czujność? Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna pod trzydziestkę, ubrany dość swobodnie; wyświechtane džinsy i koszulka z krótkim rękawem nie były bynajmniej markowe, muskularne ramiona świadczyły, że spędza czas nie tylko przy komputerze, jego gesty, sposób bycia – a znalazł się przecież w raczej krępującej sytuacji – dowodziły, że w pełni panuje nad sobą. Być może właśnie to mnie dziwiło? Z drugiej strony, mógł nie znać reputacji Dżumy, wówczas jego reakcja byłaby bardziej zrozumiała. Niby dlaczego miał się bać? Tyle że nie mógł przecież wiedzieć, że nie zawiadomiliśmy Biełowa. Tak, coś tu zgrzytało... Bo każdy, kto choć odrobinę znał



biznesmena, zdawałby sobie sprawę, że ten nie puściłby płazem erotycznych zabaw z fotografiami córki. Podejrzewam, że nawet wersja Ziny wywołałaby w nim mieszane uczucia, mimo że sam na to zezwolił. Może dobrze, że nie widział tych fotek...

– Przepraszam za całe zamieszanie – powiedział Antonow. – Nie powinienem się wtrącać...

Mimo że ton i mowa ciała informatyka wskazywały na ugodowe nastawienie, znowu wychwyciłem jakąś fałszywą nutę. Coś w rodzaju pogłosu, echa tego, czego nie wyraził otwarcie: nonszalancja, odrobina złośliwego zadowolenia, poczucie przewagi. Nijak się to nie komponowało z przeprosinami. Chyba że ponosiła mnie wyobraźnia... Czasem warto wierzyć przeczuciom, a przecież nie zawsze są one odbiciem realiów, bywa, że stanowią jedynie projekcję naszych lęków lub uprzedzeń.

– Ten facet jest dziwny – powiedziałem w kilka minut później na korytarzu. – Zauważyłeś, że wcale się nie wystraszył?

– Nie każdy jest strachliwy – odburknął Oleg.

– No tak, ale Biełow...

– Może Antonow nie wychwycił pewnych niuansów? – odparł z westchnieniem Dżuma. – Ja wyczuwam zagrożenie odruchowo, ty w jakiejś mierze podobnie, ale pamiętaj, że to kwestia doświadczenia. Może nigdy nie musiał walczyć, nie zetknął się z działaniami – zawahał się – pozaprawnymi?

– Daj spokój, w Rosji?!

– To naprawdę już nie te czasy, kiedy na każdym rogu stał jakiś żul i kasował haracz za przejście. Kontrolujemy coraz lepiej obszar przestępczości zorganizowanej,

a zresztą wielu dzisiejszych *worow w zakonie* to „pomarańczki” – dorzucił lekceważąco.

– Jakie znowu „pomarańczki”?

– Tak nazywa się tych, którzy weszli do organizacji dzięki pieniądзом, a nie swoim dokonaniom. Dawna szkoła to byli twardziele, ci dzisiejsi... – Machnął ręką. – Jak chcesz poznać tych prawdziwych, pogadaj z Ziną. Cała jej rodzina to bandziory starego chowu.

– Taa... przecież o niczym innym nie marzę – mruknąłem.

– I co? – zapytała nerwowo Marina.

Dziewczyna czekała na nas tuż za załomem korytarza, niedaleko swojego pokoju. W jej głosie wychwytiłem cień niepokoju. Może nie była aż taka rozpaskudzona, jak się wydawało?

– Nic mu nie zrobiliśmy – uspokoilem ją. – To była tylko kulturalna rozmowa.

– Trzymaj się od niego z daleka – ostrzegł Oleg.

– Niby dlaczego? – Naburmuszyła się momentalnie.

– Bo ja tak mówię! – uciął.

Wpatrzyłem się z namysłem w plecy odchodzącego Dżumy, czyżbym nie tylko ja wychwytił u Antonowa coś niepokojącego? No nic, zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja. Tak czy owak, nie widziałem możliwości, aby informatyk zagroził Marinie, nie na terenie posiadłości.

– Zaprowadzisz mnie do domku siostry? – spytałem.

– Po co? – Spojrzała na mnie nieufnie. – Sam nie trafisz?

– Muszę go przeszukać – wyjaśniłem. – Nie sądzę, że znajdę coś specjalnego, sprawdzili go lepsi ode mnie, ale może wpadnę na jakiś pomysł, coś skojarzę. – Wzruszy-

łem ramionami. – Wolałbym mieć świadka, kiedy będę grzebał w majtkach Ludy.

– No, to był prawdziwy szal z tymi majteczkami. – Prychnęła pogardliwie. – Ona je kupowała na tony. W różnych kolorach, koronkowe i bawełniane, stringi...

Mimo że nie wyglądała na zachwyconą, wyszła wraz ze mną z budynku i poprowadziła gdzieś w głąb otaczającego pałacyk parku. Po paru minutach marszu zacząłem sobie zdawać sprawę z rozmiarów posiadłości. To nie była dacha z ogródkiem, bardziej przypominała książęcą, o ile nie królewską rezydencję. Widziałem ją co prawda z lotu ptaka, ale szczerze mówiąc, bardziej interesowałem się wówczas stanem własnego żołądka niż widokami. Obiecałem sobie, że przy następnym przelocie zwrócę uwagę na kształt i rozmiary parku.

Marina przystanęła przed uroczą, wkomponowaną w kępę zieleni chatką w fińskim stylu. Zbudowany z drewna parterowy budynek wywoływał wrażenie prostoty i funkcjonalności, choć biorąc pod uwagę finansowe możliwości Bielowa, owa prostota mogła być zwodnicza. Podziwiałem przez chwilę bale z twardej północnej sosny, w tym samym czasie moja towarzyszka odprawiła jakieś czary przy wejściu. No tak: czytnik linii papilarnych, zamek elektroniczny... Czegoś takiego nie otworzy się wytrychem. Zwróciłem uwagę na nienaturalnie grube ściany, uderzyłem zaciśniętą pięścią. Drewno wydało dziwny, głuchy odgłos.

– W środku są stalowe ekrany – poinformowała Marina. – Kwestia bezpieczeństwa – dorzuciła z przekąsem. – Nie żeby komuś to pomogło...

Wewnątrz w harmonijny sposób połączono drewno z kamieniem, komponując wystrój kuchni i kominek w pokoju. Na podłodze zamiast dywanów pyszniły się zwierzęce skóry, powietrze przenikały egzotyczne aromaty z umieszczonych w strategicznych punktach potpourri. Elektroniczne gadżety nie rzucały się w oczy, ale widać było komputer i wieżę stereo. Szafy i komody – z prawdziwego drewna – nie zagracały domu, rozstawione dość luźno zostawiały sporo miejsca dla mieszkańców. Marina od razu rozsiadła się w wygodnym, skórzanym fotelu. Lekko wyświecona tapicerka sprawiała, że wygląd mebla daleki był od nuworyszowskiej ostentacji. Ktoś, kto urządzał tę chatkę, musiał dysponować nienagannym gustem, sporą wiedzą i nieograniczoną ilością pieniędzy...

– To wszystko – Marina zatoczyła ręką krąg – to dzieło Ludy. Lubiła swój domek.

Mruknąłem coś pod nosem i zasiadłem do komputera. Nie miałem nadziei na sensacyjne odkrycie, ale chciałem bliżej poznać starszą córkę Biełowa. Jakie miejsca w Internecie odwiedzała? Czego słuchała? Może robiła jakieś notatki?

Marina sięgnęła mi przez ramię i uruchomiła playlistę.

– To była jej ulubiona piosenka – powiedziała. – Potrafiła jej słuchać godzinami.

*I lampa nie gorit, i wrut kalendari,  
i jesli ty dawno chotiela czto – to mnie skazat',  
to gowori.*

*Liuboj obmancziw zwuk. Strasznieje tiszyna,  
kogda w samyj rozgar wiesielja padajot iz ruk  
bokał wina.*

*I cziornyj kabiniet, i źdiot w stwolie patron.  
Tak ticho, czto ja słyszu, kak idiot na głubinie  
wagon metro.*

*Na płoszczadi połki. Tiemno w konce stroki.  
I w tieliefonnoj trubkie eti mnogo liet spustia  
odni gudki.*

*I gdzie – to chłopniet dwier’, i drognut prowoda.  
Priwiet! My budiem szcástliwy tiepier’  
i nawsiegda.  
Priwiet! My budiem szcástliwy tiepier’  
i nawsiegda.*

Zerknąłem na wykonawcę: Wasiliew, zespół Splin. Piosenkę zatytułowano „Romans”.

– Przyjemna – przyznałem. – Ale trzeba brać się do roboty.

Notatki na dysku dotyczyły głównie spraw zawodowych – nic nadzwyczajnego. W zakładce „ulubione” zaznaczono linki do stron historycznych i dotyczących historii sztuki. Na wszelki wypadek przeszukałem wszystko pod kątem takich wyrazów jak: „Razumowski”, „Doskonali”, „kanibale”, „seкта”. Nic nie znalazłem. Przejrzałem zapisane w komputerze zdjęcia i kilka filmów z Ludą w roli głównej – nadal nic. Wziąłem

się za lustrację biblioteczki. Księgozbiór starszej córki biznesmena był dość eklektyczny: biografie, teksty krytycznoliterackie, pozycje historyczne, kryminały, fantastyka, romanse... Wyjąłem na chybił trafił parę książek, przekartkowałem. Nie znalazłem żadnych notatek na marginesach, tajemniczych świstków papieru, szyfrów. Szafy pękały od ubrań opatrzonych metkami znanych projektantów i ekskluzywnych domów mody, to akurat można było przewidzieć – Biełow na pewno nie miał węża w kieszeni. W komodach znalazłem bieliznę, rajstopy i pończochy. Niektóre wzory okazały się dość... interesujące. Jak przypuszczałem – normalka, w końcu ich właścicielka była dorosłą, niebrzydką kobietą. No i nie musiała się zastanawiać nad ceną zakupów...

Pokręciłem się jeszcze trochę po domku, obejrzałem kolekcję płyt Ludy, uruchomiłem gramofon z początków dwudziestego wieku – o dziwo, działał doskonale – lecz musiałem przyznać, że nie trafiłem na żaden punkt zaczepienia. Nie dowiedziałem się niczego, co miałoby jakkolwiek wartość dla śledztwa. Nic, zero, nul.

– Będziemy się chyba zbierać – stwierdziłem.

– Tak myślałam, że to strata czasu – burknęła Marina.

Wzruszyłem ramionami, przegrałem „Romans” na pendrive’a, piosenka mi się spodobała, i ruszyłem do wyjścia.

– Musiałem to sprawdzić – odparłem. – Na wszelki wypadek.

– Podobały ci się jej majteczki i te wszystkie podwiązki? – spytała złośliwie.

Udałem, że chcę Marinie wlepić klapsa, ze śmiechem wyprysnęła naprzód. Jak normalna, rozdokazywana nastolatka. Gdzieś między drzewami błysnęły lufy karabinów, zawarczał silnik patrolowego jeepa. To nie było normalne.



Teczka była obszerna, lakoniczny tytuł „Kanibalizm – Leningrad 1942” brzmiał obiecująco, jednak jej zawartość stanowiły wymieszane bez ładu i składu dokumenty. Część z nich istotnie mogła rzucić jakieś światło na działalność Razumowskiego, inne okazały się zupełnie bezużyteczne: jakieś dane statystyczne, donosy, meldunki leningradzkiej milicji. Jak zrozumiałem, kanibalizm nie był czymś niespotykanym w czasie blokady, ale Razumowski nie zajmował się „zwykłymi” przypadkami ludożerstwa. Z niewiadomych przyczyn działalność sekty „Doskonałych” uznano za zagrożenie dla obrony miasta.

Ważyło to z pięć kilogramów i wszystko należało posortować. Nie miałem czasu na normalne katalogowanie zawartości, więc rozwiązałem sprawę w prymitywny, ale dość skuteczny sposób; każdy dokument, w którym pojawiało się nazwisko „Razumowski” albo słowo „Doskonali” bądź „seкта”, odkładałem na osobną kupkę. Wiedziałem, że trzeba będzie przejrzeć i resztę, to jednak mogło poczekać.

Pracę przerwało mi dyskretne pukanie – w drzwiach stanął jeden z chłopaków Markowa.

– Telefon do pana – powiedział. – Dzwonią z posiadłości Bielowa, ale połączenie jest z...

Przerwałem mu gwałtownym gestem, podniosłem się z niechętnym stęknieniem, ciekawe, co znowu wymyślili? Może Marina coś zmalowała? Będę musiał jej w końcu wytłumaczyć, że nie jestem zastępczym tatusiem – ma prawdziwego.

– Korpacki, słucham! – rzuciłem niecierpliwie.

Archiwum posiadało tylko jeden telefon stacjonarny, a ten – jakżeby inaczej! – umieszczony został w gabinecie dyrektora. Wyglądał, jakby wyprodukowano go w latach trzydziestych zeszłego wieku. Biorąc pod uwagę finanse, jakie Rosjanie przeznaczali na funkcjonowanie archiwów, mogło być to prawdą.

Kiedy usłyszałem, kto mówi, zgiąłem się wpół jak po zainkasowaniu nokautującego ciosu, niespodziewanie poczułem mdłości, mimo że Małgorzata powiedziała tylko kilka słów.

– Nie ma możliwości pomyłki? – upewniłem się drżącym głosem.

– Absolutnie żadnej – zapewniła. – Przyjadę, jak będę mogła najszybciej. Do widzenia, kochanie.

Osunąłem się bezwładnie na fotel, niechcący zmiatając ze stołu spory wazon. Roztrzaskał się na drobne kawałki z nieprzyjemnym chrzęstem, niczym kryształowy. Cholera – chyba rzeczywiście był kryształowy...

– Sasza! Chodź tu prędko, Janusz Pawłowicz zasłabł! – zawołał ktoś za moimi plecami.

– Zaraz zadzwonimy po pogotowie, jedną chwileczkę...



– Dosyć tego, do cholery! – warknąłem, odpychając mężczyznę usiłującego rozpiąć mi kołnierzyk koszuli. – Nic mi nie jest, nie wzywajcie żadnego pogotowia. Gdzie jest najbliższa knajpa? Muszę się napić.

Odpowiedziała mi cisza i zdezorientowane spojrzenia milicjantów. Tak jakby ochota na wódkę była w Rosji czymś niespotykanym... Nie zwracając uwagi na ludzi Markowa, sięgnąłem po komórkę i zadzwoniłem do Dżumy.

– Znasz jakąś restaurację w pobliżu archiwum? – spytałem bez powitania. – Spotkajmy się tam jak najszybciej.

I znowu posmakowałem ciszy. Czyżbym cieszył się reputacją abstynenta?

– Co się stało? – spytał po dłuższej chwili Oleg.

– Odezwała się Margarita. Ma wreszcie wyniki badań.

– Jedźcie do Putinowki – odezwał się natychmiast z nutą ledwie słyszalnej troski w głosie. – Za dwadzieścia minut, góra pół godziny powinienem tam być.

– Co to jest Putinowka? – zwróciłem się do milicjantów, chowając telefon.

– To restauracja – odparł któryś. – Naprawdę nazywa się Podworie, ale czasem odwiedza ją Władimir Władimirowicz, stąd nieformalna nazwa.

– Jedziemy! – zarządziłem.

Zapakowaliśmy się do dwóch samochodów, ruszyliśmy. Naszą niewielką kawalkadę poprowadził sympatyczny piegus imieniem Żenia; o ile pamiętałem, było to zdrobnienie od Jewgienij. Mimo konsternacji Rosjan

obyło się bez dyskusji i sporów – *komandir* zarządził wyjazd, no to jedziemy. *Prikaz to prikaz*. Nawet jeśli szefowi odbiło...

Do knajpy dotarliśmy po jakichś dwudziestu minutach, znajdowała się niedaleko od centrum. Drewniana konstrukcja z dziwną wieżyczką górującą nad przytulonymi do siebie chałupkami ozdobionymi pokaźną ilością spadzistych dachów nie wywarła na mnie specjalnego wrażenia. Naprawdę Putin tutaj przyjeżdżał? Wnętrze urządzone w stylu rustykalnym, w drzwiach powitał nas wypchany niedźwiedź i kelnerka w ludowym, rosyjskim stroju. Dżuma czekał przy jednym ze stolików, usiadł – a jakże! – plecami do ściany. Zajęliśmy miejsca, Oleg gestem odprawił kelnerkę.

– Opowiadaj – westchnął.

– Przepraszam, że was tu ściągnąłem – zwróciłem się do milicjantów. – Ale muszę jakoś odreagować, przyswoić to, czego się dowiedziałem...

Słuchali mnie z napięciem, któryś zerknął niepewnie na Dżumę – najwyraźniej wiedzieli, kim jest, może spotkali go wcześniej w trakcie śledztwa?

– Moja żona przeszła serię badań, podejrzewano chorobę, na którą nie ma lekarstwa. Dzisiaj zadzwoniła z informacją, że testy wykluczyły ALS. Tak to cholerstwo się nazywa. Ma jakieś kłopoty z tarczycą, poważne kłopoty, ale będzie żyła – wydusiłem, bezwiednie zaciskając i rozluźniając pięści. – Nie mogę w to uwierzyć – zakończyłem bezradnie. – Byłem przygotowany na...

Przerwało mi wycie i radosne okrzyki, nawet Oleg Dubrow uśmiechnął się od ucha do ucha. W mgnieniu oka zostałem wyciągnięty z za stołu i kilkakrotnie pod-

rzucony w powietrze. Kątem oka dostrzegłem zaniepokojone miny obsługi i innych gości, zapewne takie manifestacje radości nie należały tu do dobrego tonu.

– Puśćcie mnie, głupole! – zażądałem. – Trzeba to opić.

– No jeśli tak, to musimy ściągnąć i Raisę – stwierdził Dżuma. – Rozumiem, że czujesz się oderwany od rzeczywistości, nie możesz uwierzyć w swoje szczęście. Nie szkodzi, Raisa błyskawicznie uświadomi ci, że to nie sen – oznajmił z wyraźnym akcentem złośliwości w głosie.

– Co za Raisa? – Zmarszczyłem brwi.

– Raisa Maksimowna Borelska, twój anioł stróż.

– Ta, która nie lubi Polaków? – upewniłem się.

– Ta sama – wyszczerzył zęby Dżuma. – Pieszczotliwie nazywana RMB.

– Nie rozumiem...

– RMB-93 to strzelba gładkolufowa – pospieszył z wyjaśnieniem piegowaty Żenia. – *Rużjo Magazinnoje Bojewoje*. Potężna, choć prosta w obsłudze broń. Duży kaliber.

– Dokładnie tak jak Raisa – zapewnił Oleg, chowając komórkę. – Duża i prosta... A teraz do dzieła, kapitan Korpaczki stawia.

Na początek zamówiliśmy alkohol i zakąski. Wódka „Rosyjski Standard Platinium”, rzekomo oczyszczana za pomocą srebrnych filtrów, miała należeć do najlepszych rosyjskich trunków. Na stół wjechały też białe marynowane grzybki, śledź z cebulą, podwędzane domowe kiełbaski i dwa rodzaje kwasu. Ten ostatni podobno wytwarzano na miejscu. Oleg wzniósł pierwszy

toast – za zdrowie Małgorzaty. Łyk wódki uspokoił nieco mój obolały żołądek, stalowy jeź wyraźnie chował kolce, lecz zbyt długo katowałem się myślami na temat choroby Margarity, żeby teraz skakać z radości. Pewnie upłynie trochę czasu, zanim dojdę do siebie. No nic, nie mam na co narzekać, mogło być gorzej, dużo gorzej...

Rozpoznałem ją, kiedy tylko weszła na salę – nie była brzydka, ale grubo ciosane rysy twarzy i muskularne ciało bardziej pasowały do mężczyzny. Na ramieniu niosła sporej wielkości tekturową tubę, podobnej czasem używają architekci do przenoszenia rysunków technicznych. Wątpiłem, czy w pojemniku znajdowały się dokumenty, raczej strzelba gładkolufowa. Kojarzyłem mętnie, że jeden z wariantów RMB produkowano ze składaną kolbą, jej długość nie przekraczała pewnie siedemdziesięciu centymetrów. Może przydomek kobiety wziął się od ulubionej broni, a nie cech charakteru?

Przysiadła się bez powitania, zapewne zakładając, że Oleg przedstawił ją zaocznie, a wszyscy obecni akceptują jej obecność z entuzjazmem. Co prawda nie wyglądała na osobę, która przejęłaby się brakiem czyjejkolwiek akceptacji. Zgarnęła butelkę dłonią większą od mojej i odsunawszy z pogardą kieliszek, napełniła szklankę.

– Kto funduje? – spytała.

Głos miała zdecydowanie przyjemniejszy niż manier: kobiecy, ciepły, jakby stworzony do opowiadania bajek małym dzieciom.

– Janusz Pawłowicz – poinformował Dżuma.

– No dobrze – westchnęła. – To mój pierwszy toast, a jestem spragniona. Zdrowie tego dupka!

Wychyliła wódkę dwoma haustami, z trzaskiem odstawiała opróżnione szkło.

– Mamy jakieś limity finansowe? – zapytała słodkim tonem. – To dość drogi lokal.

– Żadnych – zapewniłem szczerze.

Przeważnie biesiaduję w towarzystwie osób o pewnym poziomie kultury, choć nie jest to regułą, bywało różnie, teraz – czort wie dlaczego – otwarta wrogość i osontacyjna arogancja kobiety bardziej mnie fascynowały, niż denerwowały.

– W takim razie polecam szaszłyk z białugi, carską uchę i bitki z niedźwiedzia – stwierdziła, studiując menu. – No i oczywiście zamawiam – dodała, popatrując na mnie złośliwie.

– Nie krępujcie się, chłopcy – zachęciłem milicjantów. – Naprawdę nie doprowadzicie mnie do ruiny.

– To się jeszcze okaże – mruknęła.

– Wszystko, co dasz radę zjeść i wypić, jest twoje – zapewniłem.

– To dwa razy tyle, ile ona waży – ostrzegł scenicznym szeptem Oleg.

Ryknęliśmy śmiechem, napięcie przy stole zelżało. Kelnerka przyniosła wazę z zupą, niespodziewanie poczułem wilczy głód. Przy akompaniamencie dyskretnego szczęku sztucców zabraliśmy się poważnie do dzieła: smakowita ucha zniknęła błyskawicznie.

– Pyszności – wymamrotał Żenia. – W tym są kawałki jesiotra i łososia.

Nie minął kwadrans jak podano niedźwiedzie bitki – wszyscy je zamówili za sugestią Raisy. Zapach przywodził

na myśl wołowinę, ale w smaku wyczuwało się nutę dzicyzny. Mięso serwowano prosto z patelni, na warstwie smażonych leśnych grzybów, posypane malinami i świeżą pietruszką.

– Wasze zdrowie! – po raz kolejny wzniosłem toast, uzupełniwszy wpieryw poziom płynu w kieliszkach.

Na stół wjechała trzecia butelka, impreza wyraźnie się rozwijała.

– *Gospodin* Korpacki – zagadnął mnie znienacka jeden z milicjantów – co sądzicie o stosunkach rosyjsko-polskich?

Jęknąłem z cicha, ostatnie, o czym miałem ochotę dyskutować, to polityka. Niestety, Rosjanie – tak jak i Polacy – zaczynają filozofować po alkoholu, biorą się za rozwiązywanie zagadek bytu...

– Nic specjalnego – odparłem wykrętnie. – Nie są złe, mogłyby być lepsze.

– Jesteście przecież naukowcem, historykiem – naciskał mężczyzna.

– Też wam się zebrało na dyskusje – parsknęła pogardliwie Borelska. – No i oczywiście polski historyk powie nam prawdę – zakpiła.

– No dobrze, a o co konkretnie chodzi? – spytałem, ignorując kobietę.

– Katyń – rzucił.

Słowo zachręściło nieprzyjemnie – było symbolem wszystkiego, co trudne w relacjach polsko-rosyjskich. Z jednej strony Rosjanie robili wiele, by zminimalizować wagę katyńskiej tragedii, z drugiej polscy politycy albo udawali, że sprawy nie ma i wygłaszali dźwięczne przemowy o tym, że powinno się patrzeć w przyszłość,

a nie w przeszłość, albo też wycierali sobie na każdym kroku gębę Katyniem, używając go jako straszaka na Rosjan.

– Katyń to sprawiedliwa zemsta za wymordowanie przez Polaków stu tysięcy jeńców rosyjskich w czasie wojny bolszewicko-polskiej – znowu wtrąciła Borelska. – Sto tysięcy do dwudziestu, więc nadal jesteśmy na minusie.

– Droga towarzysko – zwróciłem się do niej uprzejmie – akurat ta sprawa została dość dokładnie wyjaśniona.

– Oczywiście – przytaknęła z ironią. – Przez polskich historyków.

– Przez rosyjskich także. – Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

Mimo wyraźnych starań Raisy, nie denerwowała mnie, czułem się jak na haju.

– Tę kwestię badała specjalna polsko-rosyjska komisja złożona z historyków i archiwistów obu narodowości. Po zanalizowaniu ponad trzystu dokumentów stwierdzono, że w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku w polskiej niewoli przebywało około osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć tysięcy Rosjan, przez cały zaś okres działania obozów jenieckich zmarło od szesnastu do siedemnastu tysięcy bolszewickich żołnierzy. Niejaki profesor Matwiejew, Rosjanin – zaznaczyłem z przekąsem – uznał, że należałoby tę ostatnią liczbę podnieść do osiemnastu, może dwudziestu tysięcy. Powodami zgonów były głównie epidemie: tyfus, dżuma, dyzenteria i grypa. Ze względu na wojnę lekarstw brakowało nawet dla Polaków. – Wzruszyłem ramionami.

– Ten Matwiejew to dupek, nie Rosjanin! – warknęła Borelska.

– Wypijcie, towarzyszeko – zaproponowałem, napełniając jej szklankę. – Złość piękności szkodzi.

– Jeszcze jedna taka odzywka i dostaniesz po ryju – ostrzegła. – A może chcesz się siłować? – Wymownym gestem oparła łokieć o stół.

– Dziękuję uprzejmie, ale w Polsce rywalizację z kobietami uznaje się za nierycerską – wymówiłem się pośpiesznie.

Parsknęła pogardliwie i wstała od stołu. Zapewne uznała, że czas przypudrować nos. A może wyskoczyła zastrzelić kogoś dla odprężenia? To podejrzenie uzasadniał fakt, że zniknęła, zabierając ze sobą tubę.

– Zastanawiałem się, czy nie wystartować w tym pojedynku na ręce, ale skoro nie wypada... – odezwał się Żenia.

– Nie krępuj się – odburknąłem. – Tak tylko gadałem. Widziałeś jej bicepsy? Jeszcze by wygrała...

Milicjanci wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Co prawda, to prawda – przytaknął któryś. – Bary ma szersze niż niejeden chłop.

Wypiliśmy, podano szaszłyk z białugi. Przepuściłem dwie następne kolejki, popijając kwas chlebowy. Wolałem nieco przystopować, picie z Rosjanami to niebezpieczna rozrywka.

– Wracając do Katynia – podjął uparcie dociekliwy milicjant – co sądzicie o całym zamieszaniu wokół tej sprawy? O postawie Rosjan?

Westchnąłem ciężko, facet nie miał zamiaru odpuścić.



– Wasz rząd idzie w zaparte, usiłując z tego zrobić sprawę kryminalną – odparłem. – Jest to głupie i żenujące. Tym bardziej że wcześniej sami Rosjanie określili mord katyński jako zbrodnię. W waszych sklepach można kupić jakieś gówniane filmiki przedstawiające sprawę Katynia jako polsko-niemiecki spisek wymierzony w Rosję. Z drugiej strony do motocyklowego rajdu katyńskiego dołączają młodzi Rosjanie, chcąc oddać hołd pomordowanym, na wielu rosyjskich stronach internetowych przedstawia się sprawę uczciwie.

Dyplomatycznie nie dodałem, że istnieją też takie, gdzie wręcz przeciwnie...

– Myślę, że tak jak i w innych krajach, macie u siebie i oszołomów, i normalnych ludzi. Mam nadzieję, że tych ostatnich jest więcej, bo inaczej możemy się kiedyś spotkać nie przy wódce, a z karabinami w garści. Po przeciwnych stronach. I dość na ten temat! – uprzedziłem, widząc, że Żenia otwiera usta. – Wypijmy.

– Za przyjaźń! – wzniósł toast chłopak.

– Za przyjaźń! – powtórzyłem. – Wszechwymiarową. Bo jak zaczniemy się rozdrabniać i precyzować, to mogą nie wytrzymać kondycyjnie – dodałem cierpko. – Jeden z waszych dziennikarzy ostrzegał, aby od razu objąć tą toastową przyjaźnią wszystkich zainteresowanych.

– Gdzie ostrzegał?

– Nie pamiętam dokładnie – mruknąłem. – Mam wrażenie, że to był jakiś poradnik w stylu „Jak przeżyć, pijąc z Rosjanami”.

Ponownie ryknęli śmiechem. Do stolika wróciła naburmuszona Borelska. Ofiara jej uciekła, skończyły się

naboje? Głucho stuknęła odkładana na wolne krzesło tuba, chyba rzeczywiście nosiła w niej coś ciężkiego.

– Jaki rodzaj broni preferujecie? – zagaiłem, dolewając jej wódki.

Trzeba bawić gości rozmową, w końcu byłem gospodarzem naszego małego przyjęcia... Przez chwilę patrzyła na mnie spoode łba, jakby usiłując dociec, co mam na myśli.

– Strzelbę gładkolufową – odburknęła wreszcie.

Z niewiadomych powodów chłopakom Markowa jej odpowiedź wydała się szalenie zabawna – no, nie dziwota, mieli już porządnie w czubie. Borelska poderwała się, zaciskając pięści.

– Spokojnie, ludziska! – interweniowałem. – Może wrócimy do kwestii siłowania się na rękę? Ten oto młodzieniec – wskazałem Żenię – chciałby się z wami spróbować, towarzyszeko.

– No to do dzieła! – Kobieta z miejsca odzyskała dobry humor.

Odsunęliśmy co większe półmiski, ktoś przezornie sprzątnął ze stołu wódkę.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytał półgłosem Dżuma. – W Specnazie używamy RMB z rzadka i ostrożnie. Zawsze potem jest dużo... sprzątanina.

– Lepsze to niż mordobicie – mruknąłem. – Chyba.



Obudził mnie ból głowy. Ostry, rozżarzony do białości świder wkręcał się w mój mózg w okolicy lewego oka.

Zawlokłem się do łazienki i opryskałem twarz zimną wodą, wzdrygnąłem, spojrzawszy w lustro. Chyba nie chciałbym spotkać tego pana w ciemnej uliczce... Twarz miałem opuchniętą od alkoholu i braku snu, oczy podkrążone i przekrwione niczym królik-reproduktor. Wyraźnie widoczna blizna po nożu nie czyniła mojego oblicza bardziej sympatycznym. Wsypałem do wanny sól kąpielową, odkręciłem wodę. Generalnie wolę kąpać się pod prysznicem, ale nie byłem pewien, czy utrzymam się na nogach. Co mnie podkusiło, żeby pić z Ruskimi bez ograniczeń? Trzeba było w odpowiednim momencie powiedzieć: *niet!*

– Potrzebna wam silna wola, doktorze Korpacki – powiedziałem na głos.

– Zawsze gadasz sam ze sobą? – spytała z ciekawością Marina. – Pukałam – wyjaśniła pospiesznie. – Tylko że nie słyszałeś...

Jęknąłem bezradnie i osunąłem się na fotel. Może i nie słyszałem.

– Wujek Oleg powiedział, że wczoraj nieco zabalowaliście. I kazał sprawdzić, czy żyjesz...

– Żyję – odburknąłem. – Tak mi się przynajmniej wydaje. A co robi Oleg?

– Poszedł popływać w basenie. Myślę, że tobie też by to dobrze zrobiło.

Jęknąłem ponownie, nie każdy ma takie chamskie zdrowie jak Dżuma...

– Właśnie idę się kąpać – odpowiedziałem. – W wannie.

Zadzwoiłem na obsługę, poprosiłem kuchnię: normalnie wyleczyłbym kaca alchemiczną wódką, tyle że

nie miałem jej zbyt dużo przy sobie. Lepiej oszczędzać, a nuż się przyda?

– Czym możemy służyć? – usłyszałem sympatyczny, damski głos.

– Chciałbym zamówić coś w rodzaju koktajlu. Jest trochę nietypowy, ale...

– Mamy wszystko – zapewniła mnie dziewczyna. – Poproszę o recepturę.

– Łyżeczka do herbaty drobno zmielonych skorupek z jaj i sok z dwóch cytryn, do tego surowe żółtko i pięćdziesiąt gram czystej wódki. Całość zmiksować.

– Te skorupki mają być z kurzych jaj? – spytała jakby nigdy nic.

– Tak.

– Przygotujemy wszystko w ciągu kwadransa – obiecała.

Wszedłem do łazienki i z westchnieniem ulgi zanurzyłem się w gorącej wodzie. Ból głowy nieco zelżał.

– Wujku... – Marina zapukała w drzwi.

– Czego jeszcze? – warknąłem.

– To prawda, że dzisiaj przyjedzie twoja żona?

– Prawda, a co?

– Będzie ci pomagać w śledztwie?

– Nie – odparłem krótko.

Nie miałem zamiaru wyjaśniać smarkuli, że przyjazd Małgorzaty był jednym z warunków, jakie postawiłem, zanim podjąłem się tej pracy. Co prawda Bielów nie miał nic przeciwko – być może chciał w ten sposób wynagrodzić kłopoty, jakich przysporzył mi jego asystent. Nie że bym liczył specjalnie na wrażliwe sumienie biznesmena... Przy tej skali interesów musiał być bezwzględny, inaczej

nie utrzymałby się w branży, tyle że na razie byliśmy po tej samej stronie barykady. A Małgorzatę miałem zamiar trzymać jak najdalej od śledztwa – to ostatnie w każdej chwili mogło przerodzić się w morderczą haratanię. Stawka była wysoka i w pieniądzach, i w przelanej krwi: bliżej nieokreślona, ale na pewno imponująca kwota, jaką zapłaciłby Biełow za życie córki, i trzy trupy po stronie Specnazu – rachunek do wyrównania...

Moczyłem się w wannie dobre pół godziny, kiedy wyszedłem, Marina nadal siedziała przy stole. Kontemplowała szklankę wypełnioną żółtą, mętną cieczą. Widać obsługa dostarczyła zamówioną miksturę.

– Naprawdę masz zamiar to wypić? – spytała ciekawie.

Zamknąłem oczy i wychyliłem naczynie do dna, przez dłuższą chwilę walczyłem, by utrzymać płyn w żołądku.

– Nigdy nie będę aż tak balowała – orzekła Marina. – Chyba się nie opłaca...

– Grzeczna dziewczynka – mruknąłem z roztargnieniem.

Najbliższy samolot z Warszawy przylatywał około piętnastej. Zastanawiałem się, czy Małgorzata zdąży się na niego załapać. Będę musiał do niej zadzwonić, zdecydowałem. Jak trochę dojdę do siebie... Tymczasem musiałem wracać do archiwum, byłem to winien Biełowowi. I tak skróciłem sobie wczoraj czas pracy. Miałem zamiar dzisiaj to nadrobić.

– Jaka ona jest? – przerwała mi rozmyślania Marina.

– Kto?

– Twoja żona.

Podniosłem się z fotela, wziąłem kilka głębszych oddechów – ból głowy zaczynał powoli mijać, spojrzałem na dziewczynę: wyglądała na zaniepokojoną.

– Jest śliczna, mądra i miła. Poza tym uparta, wkurzająca i nadopiekuńcza. – Wzruszyłem ramionami.

– To prawda, że jest księżniczką?

– Ach, to... – Machnąłem lekceważąco ręką. – Podobno. Tak twierdzi mój przyjaciel Gilbert, wiesz, ten alchemik. Mnie jej rodowód nie spędza snu z powiek.

– Naprawdę jest ci to obojętne?

– Naprawdę – odparłem zwięźle. – A teraz spadaj stąd, muszę się ubrać.

– Nie zjesz nawet śniadania? Myślę, że jajecznica na bekonie dobrze by ci zrobiła. Rozumiesz, odrobina tłuszczu...

Wysiłkiem woli zwalczyłem wizję posiłku, mój żołądek zaprotestował na samą myśl o jedzeniu. Złapawszy z łóżka poduszkę, trzepnąłem Marinę. Uciekła, śmiejąc się złośliwie.



Odłożyłem do blaszanego pudełka po landrynkach kolejny karteluszek. Jak pozostałe wypełniony był śmiałym, czytelnym pismem, prawdopodobnie osobiście przez majora Razumowskiego. Żaden z nich nie zawierał jakichś rewelacji, ot, takie tam drobiazgi: pokwitowanie wydania broni, podpis na formularzu poświadczającym przejęcie lokalu na rzecz grupy śledczej, potwierdzenie wysłania radiogramu. I jeden – ostatni, z listą sześciu nazwisk. Bez podpisu Razumowskiego, ale na oko zapisany

jego ręką: to samo ostro zakończone, nakreślone jednym ruchem duże A, to samo B z idealnie okrągłym brzuszkiem. Wszystkie litery pochylone lekko w prawą stronę. Rosyjska szkoła kaligrafii z początku lat dwudziestych. Z widocznymi, choć resztkowymi wpływami przedrewolucyjnej „graždanki”.

– Żenia! – krzyknąłem przez uchylone drzwi.

– Tak?

Rosjanin nie wyglądał zbyt zdrowo, co skonstatowałem ze swego rodzaju mściwą satysfakcją. Dlaczego tylko ja mam cierpieć? No wiem, nie jestem miłym facetem...

– Wejdz do tego waszego milicyjnego systemu i sprawdź mi parę nazwisk – poprosiłem.

– Nie boli was głowa? – spytał markotnie, siadając przy komputerze.

– Już nie – odparłem zgodnie z prawdą.

– Wrodzona odporność czy jakiś specyfik na kaca? – Spojrzał na mnie z ciekawością.

– To drugie – odburknąłem. – Ale recepturę podam ci później. Nie chcę, żebyś mi tu naświnił...

– Taka paskudna?

– Smaczne lekarstwo to mit – wyjaśniłem z uśmiechem. – Im gorzej smakuje, tym skuteczniej leczy.

Chłopak z ciężkim westchnieniem wstukał hasło, jego dłonie zawisły w oczekiwaniu nad klawiaturą.

– Szczerbakow. Dymitr Piotrowicz – podyktowałem.

– Szczerbakow, Szczerbakow... Mam! – zawołał. – Niestety, zmarł w siedemdziesiątym drugim.

– Jedziemy dalej – zarządziłem. – Putiłow, Aleksiej Aleksiejewicz.

– Zginął w czterdziestym piątym.

– Gurłanow Kid. Bez *otczestwa*.

– Kid? Jakiś Amerykanin, Anglik? – zdziwił się milicjant.

– Nie – mruknąłem. – To skrót od *Kommunistycznej Ideał*. Takie czasy były...

Odpowiedział mi pospieszny stukot klawiszy, tym razem nie zakończył się na krótkiej serii, trwał dobre pięć minut.

– No co tam? – ponagliłem zniecierpliwiony.

– Brak wszelkich danych – zameldował chłopak.

– Dobra, sprawdź: Szewieliewa, Elena Pawłowna.

– Urodzona w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku. Ma zniżkę na przejazdy, znaczy, była w Leningradzie w czasie blokady. Mieszka na Kanonierskiej. To niedaleko prospektu Rimskiego-Korsakowa – wyjaśnił.

– A więc żyje? – upewniłem się.

– Prawdopodobnie, dane aktualizowano dwa miesiące temu – odparł, masując z bolesną miną nadgarstek.

Zauważyłem, że na przedramieniu ma opatrunek.

– Zmęczyłeś się już? – spytałem kpiąco.

– Przecież nie stukaniem w klawisze – odburknął. – Miał pan rację, żeby nie siłować się z kobietami. Ta baba niemal złamała mi rękę.

– Ktoś z nią wygrał? – zainteresowałem się. – Bo końcówkę naszej imprezy pamiętam dość mętnie...

– To tak jak i ja. – Pokiwał głową. – Trzeba spytać chłopaków, może któryś...

Przerwałem mu gwałtownym gestem, dopiero po chwili wyłowiłem sygnał, który mnie zaalarmował. Odgłos kroków. W magazynach archiwum panowała cisza – grube ściany tłumiły większość hałasów z ze-



wnątrz, uliczny gwar docierał tutaj jako cichy, ledwie słyszalny szmer. Stukot damskich bucików na obcasie dobiegał z korytarza. Rytm kroków był energiczny, pospieszny, niemal nerwowy. Rzuciłem się do drzwi, pobiegłem. Gdzieś w podświadomości kołatała myśl, że może się mylę, może... Nie myliłem się, mimo fatalnego oświetlenia – archiwum oszczędzało na wszystkim, nie tylko na żarówkach – natychmiast poznałem Małgorzatę. Za plecami słyszałem jakieś krzyki i tupot tym razem zdecydowanie męskich, ciężkich buciorów.

– Kochanie! – krzyknęła Małgorzata, wpadając w moje ramiona. – Nareszcie...

Z transu wyrwało mnie chrząknięcie żony, lekko zaniepokojona patrzyła w głąb korytarza. Odwróciłem się, z tyłu stali chłopcy Markowa. Z niewyraźnymi minami i pistoletami w dłoniach...

– Spokojnie! Schować broń! – warknąłem. – To moja żona.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że moje zachowanie mogło im się wydać niepokojące. W końcu nie co dzień urządzałem biegi po archiwum...

Pistolety zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– *Izwienitie...* – wymamrotał czerwony jak burak Żenia.

– Nic nie szkodzi – uśmiechnęła się Małgorzata. – Cieszę się, że panowie dbają o bezpieczeństwo mojego męża.

Jęknąłem w duchu, tylko tego mi było trzeba – dodatkowej, samozwańczej ochrony. Jakby sama RMB nie wystarczyła... Margarita kiepsko mówiła po rosyjsku; mia-

ła fatalny akcent i co trzecie słowo wtrącała polonizmy, ale wyglądało na to, że została zrozumiana – Żenia ponownie zarumienił się niczym nastolatek na pierwszej randce. Dziwnym trafem piękne kobiety zawsze potrafiły lepiej dogadać się z obcokrajowcami niż te o przeciętnej urodzie.

– Ci panowie pomagają mi tylko w archiwum – odezwałem się surowym tonem. – Nie są i nigdy nie będą moją ochroną. Czy to jasne? – zwróciłem się do milicjantów.

– *Tak toczno!* – padła chóralna odpowiedź.

Tyle że na twarze chłopaków wypełzły porozumiewawcze, wyraźnie skierowane pod adresem mojej żony uśmieški...

– Wszyscy do roboty! – rozkazałem. – Pracujemy jeszcze pół godziny. Żenia ze mną do komputera.

– Ja też mogę? – spytała niewinnym tonem Małgorzata. – No i trochę tu zimno, pewnie pracujecie w ogrzewanych pomieszczeniach...

– Zapomnij – roześmiałem się sardonicznie. – Idea centralnego ogrzewania jeszcze nie całkiem dotarła do Rosji. Ale w gabinecie...

Urwałem, patrząc na wyciągnięte w stronę Margarity marynarki. Jak widać w petersburskiej milicji pracowali sami gentlemani.

– Sam się zatroszczę o komfort żony – oznajmiłem z naciskiem. – A wy do roboty! *Smirno!* – wrzasnąłem niczym na placu apelowym. – *Krugoom! Szagom maaarsz!*

Chichocząc jak dzieciaki, wykonali w tył zwrot i odmaszerowali. Krokiem defiladowym.



– Panie Boże – wymamrotałem pod nosem. – Z kim ja pracuję...

W gabinecie dyrektora było nieco cieplej – usadziłem Małgorzatę przy przywleczonym tu przez jakąś dobrą duszę, całkowicie nielegalnym w archiwum, elektrycznym grzejniku, okryłem marynarką.

– Dalej, Żeńka! Musimy jeszcze sprawdzić dwa nazwiska – poleciłem.

– Tak?

– Bołtuński, Klim Lwowicz i Lewartow A.

– Co znaczy „A”?

– Mamy tylko inicjał imienia – wyjaśniłem. – Szukaj. Przysiadłem za plecami chłopaka, zaglądając mu przez ramię. Markow postawił sprawę jasno – dostęp do milicyjnego systemu tylko za pośrednictwem jego ludzi. Cóż, lepsze to niż nic...

Zakląłem cicho, widząc na ekranie krzyżyk przy nazwisku Bołtuńskiego. Trzeba odhaczyć następnego. Po wpisaniu „Lewartow A.” system wyrzucił ponad sto osób o takim nazwisku i pierwszej literze imienia.

– Ogranicz do urodzonych przed wojną – powiedziałem.

– Pięćdziesiąt siedem osób – zameldował.

– Urodzeni przed 1930 rokiem?

– Dwanaście osób. Z tego osiem żyje do dzisiaj.

– Dobra – mruknąłem, podnosząc się z krzesła. – Kończymy pracę na dzisiaj. Ustal tylko adresy Lewartowów i sprawdź, czy ta Szewieliewa żyje. Jeśli to możliwe, umów mnie z nią na jutro.

– Chwileczkę! A receptura? – przypomniał żałośnie.

Podaliśmy mu przepis, w chwilę później siedzieliśmy już z Małgorzatą w limuzynie Bielewa. Dopiero teraz, trzymając ją za rękę, zaczynałem wierzyć, że najgorsze minęło. Dyskretny szum silnika niemal uśpił Margarietę, po przesiadce do śmigłowca oparła się o moje ramię i zasnęła. Tym razem aż tak nie huśtało – może wiatr był mniejszy, a może pilot uznał, że pasażerka, kobiecie należy się taryfa ulgowa? Tak czy owak, brak wywracających wnętrzności akrobacji i ciepło przytulonej do mnie żony sprawiły, że z trudem powstrzymywałem opadające powieki. Dopadło mnie zmęczenie, stalowy jeź definitywnie zniknął. Wiedziałem, że choroba Małgorzaty może okazać się poważna, ale w tym momencie liczyło się tylko, że nie jest śmiertelna. Postanowiłem pogadać z Gilbertem – ostatnio studiował jakieś notatki Alchemika, zastanawiając się nad możliwością udoskonalenia miksury długowieczności. Do tej pory średnio mnie to interesowało, wiedziałem, że ewentualne badania potrwać mogą miesiące, jeśli nie lata. Teraz miałem to, co najważniejsze – czas. Jeżeli nie poskutkuje leczenie konwencjonalne, pozostaną jeszcze inne opcje, pozostanie nadzieja. Ukolysany tą myślą zasnąłem.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

**E**lena Szewieliewa miała osiemdziesiąt lat z okładem. Jej wygląd nie odbiegał od stereotypu dobrodusznej babci: przeorana zmarszczkami twarz, pokryte starczymi plamami dłonie, siwe, krótko przycięte włosy. Jednak w spojrzeniu kryła się jakaś twardość, coś, co nie pozwalało wrzucić jej do szufladki z napisem „staruszka”. Ręce kobiety nie drżały, ruchy – choć brakowało w nich młodzieńczej gibkości – były energiczne i precyzyjne. Nie patrzyła na nas z typową dla starszych ludzi lękliwą ostrożnością, wzrok miała śmiały, wręcz taksujący. Siedziała w wygodnym fotelu, zszywając od niechcienia jakąś raczej nienadającą się do użytku bluzkę. Z drugiej strony, co ja wiedziałem o realiach życia rosyjskich emerytów? Może mimo wszystko rzecz się opłacała? Choć na oko fatałaszek, nad którym pracowała, mógł służyć co najwyżej jako szmata do podłogi.

I znowu odłożyła igłę, zawiązała starannie supełek, sięgnęła po nożyczki, aby odciąć luźne końce. Sięgnęła? Nie, miała je cały czas zaczepione o duży palec. Płynnym ruchem podrzuciła w górę – wskoczyły jej w dłoń

jak zaczarowane – przez moment trzymała nożyce jak nóż, później przecięła nitkę. To ci dopiero ostra babcia...

Wstałem, jakbym chciał rozprostować kości, podszedłem do rozmieszczonych na ścianie czarno-białych fotografii. Było ich kilkadziesiąt, przedstawiały Elenę Szewieliewą w rozmaitych sytuacjach i na różnych etapach życia. Także w sportowym stroju na sali gimnastycznej. Na jednej z fotografii wykonywała coś w rodzaju wypadu w bok, tak jakby chciała rozciągnąć ścięgno lewej wyprostowanej nogi. Tyle że ręce trzymała przykurczone, tuż przy ciele. Zmroziło mnie, znałem tę pozycję. Podobnie jak następną, uwiecznioną na kolejnym zdjęciu, gdzie wykonywała przewrót przez bark, również trzymając dłonie blisko ciała. W podobnej sytuacji każdy człowiek dotknąłby ręką podłóża, starając się zamortyzować upadek, szczególnie na twardej, drewnianej podłodze – młoda Szewieliewa nie używała materaca. Chyba żeby oburącz trzymał broń... Ta ostatnia nie mogła zawadzić o podłóże – stąd przykurczona pozycja rąk.

O szkoleniu służb specjalnych, także tych rosyjskich, krąży wiele mitów. Najślawniejszą z nich jest niewątpliwie spopularyzowane przez Suworowa GRU, *Гławnoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije*. Jednak nawet wśród zawodowców uznających fachowość operatorów rosyjskiej wojennej rozwiadki, dreszcz budzi inne słowo: Smiersz. Dreszcz zdawałoby się nieuzasadniony, gdyż organizacja ta została dawno rozwiązana, działała w latach 1943–46. Generalnie rzecz biorąc, szkolenie operacyjne w rosyjskich służbach specjalnych nie było wolne od ideologii i rozmaitych, często nonsensownych pomysłów, stąd jakość przygotowania pracowników tych instytucji pozo-

stawiała często wiele do życzenia. Jednak w czasie wojny ZSRR musiał niemal z dnia na dzień utworzyć kontrwywiad wojskowy, który stawiałby czoła doświadczonym agentom RSHA i Abwehry. Zadanie niesłychanie trudne, na pierwszy rzut oka niemal niemożliwe do wykonania. A jednak osiągnięto cel, stworzono Smiersz. Aby tego dokonać, odrzucono wszelkie względy ideologiczne, a sam proces powierzono profesjonalistom: byłym oficerom carskiej żandarmerii, ochrony, dowódcom „białego” wywiadu i kontrwywiadu z okresu wojny domowej. Ci ostatni uratowali życie, idąc na współpracę z bolszewikami, od dawna przekazywali swoją wiedzę rosyjskim służbom specjalnym, jednak w ograniczonym przez ideologię i biurokrację zakresie. W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku zniesiono wszelkie ograniczenia i przed starymi profesjonalistami postanowiono jedno zadanie – wyszkolić jak najszybciej w pełni sprawnych agentów kontrwywiadu. Cykl treningowy trwał zaledwie pół roku, a okazał się tak skuteczny, że absolwentów podobnych kursów nazywano powszechnie wilczarzami, choć właściwszą byłaby chyba nazwa wilkołaki, bali się ich nie tylko wrogowie, ale i władza radziecka... Dlatego tuż po wojnie zlikwidowano Smiersz, a większość agentów została przewencyjnie zamordowana lub zesłana do łagrów. Jednak wiedza zgromadzona przez instruktorów tej instytucji nie została zapomniana, stała się osnową dla treningu elity rosyjskich agentów zabójców. Takich jak Maks...

– Zostaw nas na chwilę samych, Żenia – poprosiłem, siadając ponownie. – Mam do Eleny Pawłowny dość niedyskretne pytanie.



– Ale wy nie możecie samodzielnie prowadzić śledztwa – odparł zmieszany chłopak. – Major Markow wyraźnie zaznaczył...

– Chcę zadać tylko jedno pytanie, to nie śledztwo. Odpowiedź może być dla naszej gospodyni dość krępująca – wyjaśniłem chłodno. – Zaraz potem cię zawołam.

Po chwili wahania chłopak niechętnie skinął głową i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, przymknął za sobą drzwi. Te ostatnie, wykonane z dykty, bynajmniej nie gwarantowały intymności, podobnie jak cienkie gipsowe ściany. Podejść bliżej do babci i wyszeptać jej pytanie na ucho? Akurat... Nożyce w dłoni staruszki zawirowały jak srebrzysta smuga, szczęknęły cichutko ostrza. Nie ma głupich.

Wyciągnąłem z kieszeni długopis i starannie, drukowanymi literami wypisałem na kartce słowa SMIERSZ i RAZUMOWSKI. Pokazałem, nie ruszając się z za stołu. Przez twarz kobiety przemknęła cała gama uczuć: zmieszanie, irytacja, wreszcie grymas uporu.

– Nie wiem, o co panu chodzi – powiedziała głośno.

Rozległo się skrzypienie pokrytych wyleniałym dywanem klepek, do pokoju wrócił Żenia. Koniec przesłuchania, znowu kłapa. Poszukiwany przez nas Lewartow leżał w miejskim szpitalu. Śpiączka. Od kilku miesięcy nie można było nawiązać z nim żadnego kontaktu, rokowania nie wyglądały dobrze – niemal nie reagował na bodźce.

Westchnąłem na schodach; za naszymi plecami szczęknął zamek, zasuwą, zadźwięczał łańcuch. Elena Szewieliewa barykadowała się w swoim mieszkanku, a może był to bezsłowny komentarz do naszej wizyty?

Ech, *gospodin* Korpacki, śledczy z was jak z koziej rzy-  
ci trąbka...



Kolejna panienska zrobiła słodkie oczy, uśmiechnęła się przymilnie, niemal widziało się w jej myślach błyszczą-  
ce niby neon słowo „przystojniaczek”. Ta była w towarzy-  
stwie dwóch mężczyzn, ale najwyraźniej nie przeszkadza-  
ło jej to w kokietowaniu nieznanego faceta. Rzecz jasna,  
nie chodziło o mnie, obiektem adoracji stał się Dżuma.  
Oleg wystroił się w mundur pułkownika, spod którego  
wyglądała *tielniaszka* – pasiasta koszulka sił specjalnych –  
z zawadiacko nasuniętym na głowę czerwonym beretem  
i pokrytą baretkami piersią robił ogromne wrażenie na  
kobietach. Miałem nadzieję, że także na tych starszych...  
Mieliśmy zamiar złożyć wizytę Elenie Szewieliewej.

Kiedy wdrapaliśmy się na drugie piętro, odstąpiłem  
skromnie na bok, tak żeby przez wizjer widoczny był  
tylko Dżuma. Trzeba przyznać, że nie spodziewałem się  
wywołać entuzjastycznej reakcji u naszej gospodyni. Jak  
by to powiedzieć? – chyba nie przypadliśmy sobie do  
gustu...

Nie pomyliłem się – kiedy tylko wyłoniłem się zza  
pleców Dżumy, uśmiech na twarzy staruszki zgasł ni-  
czym płomień świecy na wietrze, oczy w odcieniu bla-  
dego szafiru zamieniły się w dwie kostki lodu.

– Co tu robi ten Polak? – warknęła.

– Moglibyśmy wyjaśnić to w środku? – odpowiedział  
pytaniem Oleg.

Zaprosiła nas niechętnym gestem; cholera, może powinienem zostać w samochodzie? Tyle że Oleg niewiele wiedział o Razumowskim, nie mieliśmy czasu pogadać.

– Chodzi o sprawę majora Razumowskiego – zagał bez ceregieli Dżuma, kiedy zasiedliśmy za stołem.

Tym razem pani Szewieliewa nie miała pod ręką nożyczek, choć tuż obok patery z pomarańczami leżał paśkudnie wyglądający nożyk. Możliwe jednak, że była to kwestia mojej paranoi, ale nie miałem najmniejszej ochoty tego sprawdzać... Pozostawiłem konwersację swojemu towarzyszowi.

– Janusz Pawłowicz – Oleg skinął niedbale w moją stronę – chciałby zadać pani kilka pytań.

Nie dodał nic więcej, nie musiał. Już poprzedniego dnia zapowiedział go jeden ze znajomych Eleny Szewieliewej, generał z czasów drugiej wojny światowej. Nasza gospodyni wiedziała wszystko o Olegu Dubrowie. W powietrzu zawisły słowa: *dołżnost'*, *priedannost'*, *dołg*. Nie wypowiedziane. Obowiązek, oddanie, powinność... Każdy, no, prawie każdy naród ma własne bogoojczyźniane słowa wytrychy. Dlatego zaciągnąłem tu Dżumę, dlatego kazałem mu założyć mundur i baretki odznaczeń. Aby otworzył drzwi, które dla mnie czy chłopaków Markowa pozostałyby zamknięte.

– Major Razumowski pracował w kontrwywiadzie – powiedziała staruszka, przymykając powieki.

– W Smierszu? – upewniłem się.

Skinęła głową.

– A pani?

Tym razem wzruszyła ramionami, otworzyła oczy.

– Już przed wojną byłam w Komsomole, skakałam ze spadochronem... Kiedy zaczęli werbować ochotników, zgłosiłam się razem z innymi.

– Dlaczego przeniesiono go do Smiersza? Przecież GRU...

– Nie wiem! – przerwała mi ostro.

– Mogłaby pani coś jeszcze dodać? Powiedzieć nam więcej o Razumowskim?

Zaprzeczyła. Oleg odchrząknął, poruszył się na krześle, ale spojrzenie, którym obrzuciła go Elena Szewieliewa, było już twarde i niemal równie nieprzyjazne jak to zarezerwowane dla mnie. Magia munduru przestała działać.

Istnieje mnóstwo sposobów, żeby sprawdzić, czy ktoś jest szczery, jednym z nich jest interpretacja komunikacji niewerbalnej: gestów, mimiki, tonu głosu. Nie jestem ekspertem w tym zakresie, lecz przeszedłem podstawowe przeszkolenie i nie miałem wątpliwości: nasza gospodyni coś ukrywała.

Zerknąłem na Dżumę – lekkim, niemal niedostrzegalnym gestem dał do zrozumienia, aby nie naciskać. Zapewne sam doszedł do podobnego wniosku co ja, tyle że z bardziej zrozumiałych powodów. Cokolwiek by powiedzieć o jego szkoleniu, na pewno nie było podstawowe.

Pożegnaliśmy się grzecznie, zeszliśmy na parter. Oleg zapalił papierosa, poczęstował mnie odruchowo. Odmówiłem, jestem przyzwyczajony do pewnego standardu, a rosyjskie *sigariety*...

– Ona kłamie – powiedziałem.

– Niezupełnie – odparł, wydmuchując dym w zamyśleniu. – Raczej czegoś nam nie mówi.

– Z jakiego powodu? – warknąłem. – Myślałem, że zrobisz na niej wrażenie i...

– Zrobiłem – wszedł mi bezceremonialnie w słowo. – Tyle że ona kogoś chroni. W jej oczach reprezentuję oficjalną władzę, to musi być ktoś, kto miałby kłopoty... – Nie dokończył.

– Kogo miałyby chronić, na litość boską?! Razumowski od dawna nie żyje, a z porwaniem czy ucieczką Leny Szewieliewa nie może mieć nic wspólnego!

– Pewnie tak – mruknął bez większego zainteresowania. – Ja zrobiłem swoje, w tej sprawie już ci nie pomogę. Nie jestem w stanie. Babcia zacięła się, nie powie ani słowa.

– Więc co ja mam robić?! – spytałem, sadowiąc się w samochodzie. – Ona może ukrywać coś ważnego dla sprawy.

Przez jakiś kwadrans jechaliśmy w milczeniu, ciszę zakłócał tylko szum silnika i popiskiwanie wycieraczek. Padał śnieg. Białe płatki pokryły jezdnię niczym cienki, złachany dywanik – gdzieś tam gdzieś prześwitywał spod niego asfalt. Westchnąłem, kiedy Dżuma skręcił w boczną uliczkę, zapewne zamierzał skorzystać z jakiegoś skrótu, tyle że dziury i wyboje – wszechobecne poza głównymi arteriami – czyniły rzecz nieopłacalną. No nic, nie mój samochód, nie mój problem. Po paru minutach lawirowania po wąskich, brudnych zaułkach wcisnęliśmy się pomiędzy tramwaj a samochód dostawczy na jednej z głównych ulic Petersburga. Rozpoznałem okolicę, byliśmy niedaleko lotniska. Znowu czekała mnie podróż śmigłowcem.

– Pogadaj z Ziną – powiedział w końcu Oleg. – Szewieliewa ma w domu stary, czarno-biały telewizor, ale za to nowoczesny komputer. Może da się coś z niego wyciągnąć.

– Zina jest hakerką?

– Pogadaj z nią – powtórzył ze zniecierpliwieniem.



– Coś nowego? – zagailem.

Zina, nie odwracając się, pokręciła głową, cały czas wpatrywała się z natężeniem w jakieś kody. Jej palce tańczyły po klawiaturze.

– Myślałem, że jesteś w tym dobra – rzuciłem agresywnie. – Przecież to tylko staruszka.

Tym razem odepchnęła się od podłogi, wyjechała zza biurka w wielkim fotelu na kółkach, zwróciła w moją stronę.

– Ta babcia ma na swoim sprzęcie lepsze zabezpieczenia niż większość rządowych agencji – syknęła. – Niektóre programy są genialne.

– Jakim cudem? – mruknąłem. – Zna się na informatyce?

– To nie ona, ktoś jej to zainstalował – odparła, ścigając usta. – Szewieliewa potrafi się nimi posługiwać tylko w podstawowym zakresie.

– Więc nie ma nadziei?

Zmierzyła mnie pełnym politowania wzrokiem.

– Znasz się na komputerach? – spytała ironicznie. – Przecież nawet nie zrozumiesz, jak ci zacznę tłumaczyć...

Ależ ta baba działała mi na nerwy!

– Może jednak spróbuj? – poprosiłem zimno.

– No dobrze. – Wywróciła wymownie oczyma. – Zainstalowałam na komputerze Szewieliewej oprogramowanie, które pozwoli nam na dotarcie do treści mejli i notatek.

– Ile to będzie trwało? Myślałem, że masz już dostęp...

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Dostęp niczego nie załatwia. Muszę wyłapać pewne prawidłowości, wszystko, co ważne, jest zaszyfrowane przy pomocy specjalnych programów. Gdyby potrafiła się tym posługiwać, nic bym nie zdziałała – przyznała. – Na szczęście się nie zna, musi korzystać z jakichś ułatwień, może notatek.

– Na pewno nie ma ich na komputerze!

– No tak, ale zamontowałam jej w mieszkaniu dwie pluskwy i mikrokamerę. Wiesz, ukończyłam IKS1 – do rzuciła wyjaśniająco.

Chciałem spytać, w jaki sposób dostała się do mieszkania Szewieliewej, ale ugryzłem się w język. *Institut Kryptografii, Swiazi i Informatiki* szkolił szpiegów zajmujących się wywiadem elektronicznym. Między innymi. I tak nie otrzymałbym odpowiedzi, w takich kręgach nie zdradzano technik operacyjnych postronnym.

– A teraz – podjęła Zina – czy mógłbyś się rozebrać?

Są momenty, w których człowiek ma ochotę się uszczypnąć...

– Co proszę?!

Zagryzła wargi, jakby zastanawiała się, czy wyjawić mi jakiś niewygodny dla siebie sekret, wreszcie rzuciła na stół fotografię. Zdębiałem – rozpoznałem się na fotce w objęciach dwóch nieznanym mi kobiet. Fotomontaż? Bzdura! To nie moja dziedzina, ale mogłem pokazać

zdjęcie komuś, kto w ciągu paru godzin rozstrzygnąłby tę kwestię. Zina nie była idiotką, doskonale o tym wiedziała.

– Miałam kiedyś kuzyna – powiedziała. – Jak niemal cała moja rodzina, działał w półświatku. Pewnego razu wyszedł z domu i nie wrócił, do dziś nie wiemy, co się z nim stało, a wierz mi, szukaliśmy. On miał... – zawahała się na moment – znamię na prawym barku. Zrozum, ja muszę wiedzieć...

Miałem ochotę zignorować jej prośbę i ograniczyć się do deklaracji, że nie jestem zaginionym kuzynem, jednak wiedziałem, że będę potrzebował pomocy Ziny, nie było sensu robić sobie z niej wroga. Z niechętną miną rozebrałem się do pasa, zademonstrowałem obnażony tors. Na barku miałem tylko blizny po nożu, żadnych znamion.

– Wystarczy? – spytałem cierpko.

– Wystarczy – odparła. – I dziękuję.



Przeglądałem na komputerze zeskanowane dokumenty, mimo że powtarzało się w nich kilkakrotnie nazwisko „Razumowski”, nic nie wносиły do sprawy. Za moimi plecami Małgorzata tłumaczyła Marinie półgłosem jakieś zadania, przez głośniki sączyła się piosenka grupy Splin, którą ściągnąłem ze sprzętu Ludy. Na oko pełnia rodzinnego, no – niemal rodzinnego szczęścia. Tyle że byłem rozdrażniony, ostatnio nic mi nie wychodziło. Zebrane dokumenty okazały się bezwartościowe, a Zina, mimo że od naszej ostatniej rozmowy minął niemal tydzień, nadal nie potrafiła odczytać mejli Szewieliewej.



– Zupełnie tego nie rozumiem – odezwała się głośno Marina.

– Myślałam, że dostatecznie ci to wyjaśniłam?

– Chodzi o piosenkę – doprecyzowała dziewczyna. – Jest ładna, ale nie ma sensu. Co to znaczy „czarny gabinet”?

– To dawne określenie cenzury, panno mądralińska – warknąłem, odwracając się do nich. – Trzeba było uważać na lekcjach historii. Kiedyś na poczcie znajdował się pokoiik, gdzie pracował w pocie czoła jakiś agent kontrolujący podejrzane listy.

– No dobrze – nie ustępowała. – *A na płoszczadi półki?* Niby zrozumiałe, ale w kontekście...

Uciszyłem ją gwałtownym gestem, umilkła posłusznie. Cholera, że też tego wcześniej nie zauważyłem!

– Leć po Olega! – rozkazałem. – Przyrowadź go tu natychmiast!

– Co się stało? – Margarita zmarszczyła brwi. – Co to za piosenka i czemu jest taka ważna?

– Słuchała jej Luda – wyjaśniłem, werbalizując niejasną jeszcze myśl. – Nazywa się „Romans”, rzecz w tym, że jest niezrozumiała...

– Nie zauważyłeś, że nie znasz słów?

– Rozumiem wszystkie słowa – odparłem niecierpliwie. – Każde z osobna, jednak razem nie mają specjalnego sensu, podejrzewam, że część zwrotów to idiomy, jak *czornyj kabiniet*.

– No, ale to chyba nic dziwnego? W każdym języku występują wyrażenia, których znaczenie jest swoiste, nie można ich odczytać dosłownie. – Wzruszyła ramionami. – Może po prostu nie znasz tak dobrze rosyjskie-

go, jak ci się wydawało? – Zerknęła na mnie z figlarnym błyskiem w oku. – Niedawno tłumaczyłam przez godzinę znajomemu Anglikowi, dlaczego po polsku mówimy, że coś jest nudne jak flaki z olejem. Nie wydaje się, żeby zrozumiał...

– Nie mówię o takich zwrotach. – Machnąłem lekceważąco ręką. – Znam je i Marina też je zna. To coś innego, wyrażenia zrozumiała tylko dla... Tak! Tylko dla żołnierza. Teraz wszystko jasne – mruknąłem. – Marina się nie myliła.

– Rozumiem, że według ciebie potwierdza to hipotezę, jakoby Luda jednak miała chłopaka? Jakiegoś żołnierza?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, do pokoju wbiegli Oleg i córka Bielowa.

– Co się stało?! – spytał napiętym tonem Rosjanin. – Odkryłeś coś?

– Tak, ta piosenka... Posłuchaj – poleciłem.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, w ciszy rozbrzmiewały tylko słowa „Romansu”. Przy pierwszym odsłuchaniu utwór wydał mi się ładnie opowiedzianą, banalną historią miłosną. Teraz już nie. Każda zwrotka ociekała goryczą, treść wywracała bebecchy. To był dialog pomiędzy walczącym na wojnie żołnierzem i czekającą na niego dziewczyną.

– Przetłumacz – poprosiłem Dżumę. – Z komentarzem. W końcu jesteś tu jedynym żołnierzem.

Oleg skinął głową, rozmasował skronie. Nie wiedziałem, czy zastanawia się nad tekstem, czy też piosenka z czymś mu się skojarzyła. Wolałem nie pytać.

– To dialog – powiedział wreszcie, potwierdzając moje podejrzenia. – Strasznie poszarpany, chaotyczny, taki, jaki mogą prowadzić dwie osoby przez łącze wojskowe. Czasem można się dodzwonić, czasem nie, a zawsze rozmówcy zastanawiają się, ile jeszcze potrwa połączenie. Bo poskarżyć się na brak łączności nie ma komu... Pierwsza zwrotka jest łatwa do zrozumienia:

*I lampa już nie płonie, i kłamią kalendarze znów,  
i jeśli chciałaś powiedzieć mi coś jeszcze,  
mów.*

– To odzywa się żołnierz. Nie wie, ile czasu im zostało, czy połączenie nie zerwie się zniemacka. Nie wie, czy przeżyje następny dzień. Zwrot „kłamią kalendarze” oznacza, że dla niego czas się zatrzymał, a przynajmniej płynie inaczej niż normalnie. Jak to na wojnie... Ona mu odpowiada:

*Zdradziecki każdy dźwięk. Lecz bardziej trwoży cisza,  
gdy w czas radości wypada z rąk  
kielich wina.*

– Dziewczyna się boi, wie, że w każdej chwili może otrzymać wiadomość o jego śmierci, przeraża ją każdy dźwięk, bo może być sygnałem tego najgorszego: momentu, kiedy w śmiertelnej ciszy omdlewają dłonie, kiedy kończy się nadzieja i zostaje tylko rozpacz – powiedział głucho. – Dalej dialog rwie się już strasznie. Żołnierz mówi:

*I listu nie dostaniesz – cenzura nie przepuści,  
i w czyjejs lufie nabój na mnie czeka.*

– To można rozumieć na kilka sposobów – ciągnął Rosjanin po namyśle. – Również tak, że on nie chce

pisać, bo wie, że cenzor przeczyta jego list. Słowa: *Tak cicho, że słyszę, jak jedzie tam w głębinie wagon metra*, wypowiada dziewczyna. Czasem, jak dzwoni się wcześnie rano albo w nocy, rzeczywiście słyszać metro... Wyrażenia: *na płoszczadi połki*, „pułki na placu” nie można tłumaczyć dosłownie, to wojskowy kod. Oznacza rozkaz wymarszu. Rzeczywiście, to piosenka, którą może zrozumieć tylko żołnierz albo ktoś z jego bliskich.

– Więc wierzycie mi już? – spytała Marina niespokojnie.

– To nie o to chodzi – skrzywił się Dżuma. – Nikt nie podejrzewał cię o świadome kłamstwo, ale...

– A więc dalej nie wierzycie! – burknęła dziewczyna.

– To, że akurat ten utwór był ulubioną piosenką Ludy, jest zastanawiające – przyznał Oleg. – Jednak nie jest to jakiś rozstrzygający dowód, że ona miała jakiegoś tajemniczego adoratora. Naprawdę sprawdziliśmy tę opcję. Niestety, nie wykryliśmy żadnych faktów, które by ją potwierdziły. Może po prostu tekst jej się spodobał? W końcu to całkiem przyjemny kawałek, nawet jeśli się go do końca nie rozumie.

Pokręciłem głową, tym razem byłem pewien swoich racji. Oczywiście ktoś musiał być sceptykiem – i dobrze, nie można bezkrytycznie przyjmować nowych hipotez – ale czułem, że naprawdę natrafiliśmy na jakiś trop.

– Jej ciuchy – odezwałem się z namysłem. – Chodźmy je jeszcze raz obejrzeć.

– No dobrze. – Oleg wzruszył ramionami. – Chodźmy.

– Ładne mieszkanie – odezwała się Małgorzata, kiedy weszliśmy do domu Ludy.

– Nieważne – mruknąłem. – Przejrzyj jej szafy.

Margarita spojrzała na mnie spod oka, ale posłusznie ruszyła grzebać w ubraniach starszej córki Bielowa.

– Chyba rozumiem, o co ci chodzi – powiedziała po chwili. – Ona miała faceta.

– A mogłabyś konkretniej?! – warknął Dżuma.

Moja żona bez słowa ułożyła na dywanie kilka par stringów, pończochy z podwiązkami i jakieś kuse, koronkowe koszulki nocne.

– Co widzisz? – spytała Rosjanina.

Oleg odetchnął głębiej, najwyraźniej starając się zapanować nad ogarniającym go zniecierpliwieniem, przysiadł na krześle.

– Widzę seksowne, damskie fatałaszki – odparł niemal uprzejmym tonem. – W typie takich, jakie ma w swoim arsenale każda kobieta, która chce zrobić wrażenie na facetach. Co w tym dziwnego?

– To nie są ciuchy na co dzień – wyjaśniła Małgorzata. – Popatrz – wskazała – tu są całe sterty wygodnych i wcale niebrzydkich bawełnianych majtek, tam pończochy, a tu koszulki nocne. Jedwabne, bawełniane i flanelowe, na każdą pogodę. To, co wyłożyłam, cholernie kiepsko się nosi, tyle że fajnie wygląda. Żadna kobieta nie włożyłaby tego na siebie, aby podobać się jakimś facetom. To się wkłada tylko w jednym celu: żeby zostać jak najszybciej rozebraną przez konkretnego mężczyznę. Popatrz, to najnowszy model od Lise Charmel, dostępny może ze trzy miesiące. Oczywiście, możliwe jest, że kupowała to wszystko, nie mając stałego... – Obejrzała się niespokojnie na Marinę.

– Bez obaw, przerabialiśmy już te kwestie w szkole – odparła z sarkazmem dziewczyna.

– Luda nie była typem królowej nocy, przez ostatnie miesiące nie spotykała się z nikim, literalnie z nikim, ale co do tych fatalaszków to chyba trochę uogólniasz. – Oleg nie wyglądał na przekonanego.

– Może spróbowałbyś pochodzić parę dni w stringach? – zaproponowała słodko Margarita. – Szczególnie w tych koronkowych albo o, tych z diamencikami. Ze sznurkiem w... – zawiesiła głos wymownie.

Dżuma potarł z namysłem brodę, jeszcze raz zerknął na rozłożone na dywanie szmatki.

– Może coś w tym jest... – mruknął bez przekonania. – Tak czy owak, dalej nie jest to żaden dowód. Raczej wasza opinia. To trochę za mało, żeby zmieniać profil śledztwa. Zresztą co tu zmieniać? Gdzie jest ten tajemniczy nieznajomy? Chyba że to Batman?

– Jaki Batman? – Marina wyglądała na zdezorientowaną.

Oleg machnął ręką, widać było, że nie ma zamiaru zapoznawać dziewczyny z teorią, iż Luda mogła współpracować z człowiekiem, który zaatakował rezydencję Bielowa. No i dobrze, jeszcze tylko tego brakowało, żeby smarkuła wpadła w histerię...

– W porządku, a odciski palców? – powiedziałem. – Przypuszczam, że sprawdziliście cały dom?

– Owszem – wycedził Oleg, ledwie panując nad sobą. – Masz jeszcze jakieś wskazówki?

– Rozumiem, że wykryto jedynie te pozostawione przez Ludę i jej ochroniarzy? – podjąłem, nie przejmując się złym humorem Dżumy.

– Tak.

– Mógłbyś sprawdzić, gdzie one były? – poprosiłem. – Nie, posłuchaj – powstrzymałem go, widząc, że otwiera usta. – Chodzi mi o te szafki z bielizną. Czy na półkach, gdzie Luda trzymała swoje fikuśne majteczki, znaleziono tylko jej odciski, czy też może któregoś z ochroniarzy? Skądinąd przecież żołnierza... I nie wmawiaj mi, że jeśli tak, to dlatego, że kazała spakować mu swoje ulubione stringi – dodałem.

Przez dobrą chwilę pułkownik Oleg Dubrow wyglądał jak rażony gromem, niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń, wreszcie mruknął coś pod nosem i wypadł z domku Ludy, popędził w stronę pałacyku.

– Chyba go przekonałeś – mruknęła Małgorzata.

– Zobaczymy, jeśli rzeczywiście któryś z ochroniarzy zostawił odciski w miejscu, które sugerowałoby bliską zażyłość z Ludą...

– Ale co to znaczy dla nas? Dla Ludy? – spytała Marina. – Jeśli wreszcie uwierzycie, że miała chłopaka? – dodała cierpkim tonem.

– Nie mam pojęcia – przyznałem. – W powieściach sensacyjnych genialny detektyw rozwiązuje wszystkie tajemnice drogą logicznego rozumowania, w życiu nie ma tak dobrze. Czasem sprawę pomaga wyjaśnić zupełnie przypadkowe skojarzenie podobne do tego, jakie nasunęło ci się dzisiaj, czasem szczęśliwy traf. Ktoś mógł na przykład widzieć mordercę na miejscu zbrodni, przeważnie jednak policja typuje podejrzanego i z całych sił szuka na niego haka. Jeżeli selekcja została przeprowadzona poprawnie, znajduje. Tu nie ma jakiegoś konkretnego podejrzanego, trzeba brać pod uwagę wszystkich, którzy

kiedykolwiek popadli w konflikt z twoim ojcem. To znaczy, konflikt biznesowy, chodzi o konkurentów – doprecyzowałem. – Ze względu na skalę jego interesów jest to zadanie praktycznie niewykonalne...

– To znaczy, że nigdy nie znajdziemy tego skurwysyna?! – wysyczała poczerwieniała ze złości Marina.

– Mam nadzieję, że znajdziemy – westchnąłem. – Potrzebujemy tylko jakiegoś punktu zaczepienia, miejsca na przyłożenie dźwigni – spróbowałem zażartować.

Dalsze wyjaśnienia przerwał mi sygnał komórki Margarity. Dzwonił Dżuma, wzywano mnie pilnie do gabinetu Bielowa.



Biznesmen wyglądał na dużo spokojniejszego niż przy naszym ostatnim spotkaniu. No i nie dziwota – w tej branży trzeba mieć żelazne nerwy i gumowe sumienie... Nie, nie chodziło o to, że zapomniał o córce, mimo wszystko dało się wyczuć, że gdzieś w głębi drzemią w nim powściągane wysiłkiem woli emocje. Jednak umiał się odgrodzić od nich żelazną ścianą, odsunąć na bok. Może pomógł mu czas, a może doszedł do wniosku, że popadnięcie w depresję nie pomoże Ludzie? Tak czy owak, nie chciałem widzieć, jak spuszcza ze smyczy swoje demony, a prędzej czy później musiało do tego dojść. Miałem nadzieję, że moja rola ograniczy się do pomocy w śledztwie.

– Znaleźliśmy odciski palców jednego z ochroniarzy w dość dziwnym miejscu – powiedział bez ogródek Dżuma.



W głosie Rosjanina brzmiała bezsilna wściekłość, najwyraźniej nie przyjął dobrze, że któryś z jego ludzi flirtował z córką Biełowa. Być może też – przed moim przyjściem – biznesmen powiedział Olegowi, co o tym myśli...

– W szafce z bielizną?

– Nie! Na jednym z erotycznych gadżetów, w innym miejscu – odparł przez zaciśnięte zęby Biełow. – Nie sądzę, że to przypadek – dodał z wysiłkiem. – To odciski Łarina, tego, którego ciało znaleziono wewnątrz. W odróżnieniu od ochroniarzy przed domem, nie miał wyciętego serca.

– I tu nasuwa się inny problem – powiedział Oleg. – Wczoraj zakończono dodatkowe badania elektroniki w domku Ludy. Systemy zabezpieczeń, monitoring i takie tam... Nie miałem kiedy ci o tym powiedzieć.

– No i co? – spytałem niecierpliwie. – Ustalono coś konkretnego?

– A jakże! – warknął. – Ci wszyscy specjaliści twierdzą, że Batman nie sforsował drzwi. Fakt, że Łarinowi nie wycięto serca, potwierdzałby ich wersję. Tylko że co w takim razie stało się z Ludą? No i kto zabił Łarina?

– Dowodzi to... – zaczął Biełow.

– Niczego nie dowodzi – przerwałem mu bezceremonialnie. – Po prostu pojawia się dodatkowe pytanie. Lepiej, żebyśmy nie budowali jakichś fantastycznych hipotez – ostrzegłem.

– No dobrze, pomyślmy – zaproponował Dżuma. – Co wiemy? Niewątpliwie Luda ściągnęła przez swój komputer ważne dla firmy informacje. Zapewne na polecenie Batmana. Doszło do próby przekazania tych danych i coś nie wypaliło, zrobiła się jatka.

– Próba przekazania tajnych informacji na terenie posiadłości? – parsknąłem. – Przecież to bzdura.

– Może miała je przekazać wcześniej i tego nie zrobiła? Stąd wizyta Batmana, stąd zabójstwo ochroniarzy, wycięcie im serc. Może chciał zastraszyć w ten sposób Ludę? Pokazać dziewczynie, co ją czeka, jeśli nie odda mu danych?

Zabębniłem palcami o stół. Współpraca Ludy z Batmanem? Możliwe. Tylko kto zabił Łarina? I dlaczego Luda zniknęła? Przecież nawet gdyby zobaczyła przez okno, że ktoś morduje jej ochronę, nie musiała uciekać, wystarczyło wezwać pomoc. Batman, jakkolwiek byłby dobry w dziedzinie informatyki i w zabijaniu, nie potrafił raczej przenikać ścian... A może bała się przyznać ojcu do tego, co zrobiła?

– Czy Luda mogła zabić Łarina? – spytałem.

Bielow zacisnął pięści, poczerwieniał na twarzy, myślałem, że mnie uderzy, ale pohamował się gigantycznym wysiłkiem woli. Na jego skroniach pojawiły się kropelki potu.

– Przepraszam – powiedziałem ze skruchą. – Ale muszę zadawać...

Powstrzymał mnie gwałtownym gestem, wziął głęboki oddech.

– Niech pan zadaje pytania i nie zwraca na mnie uwagi – powiedział. – Trzeba się zastanowić i nad taką opcją.

Oleg Dubrow pokręcił powoli głową.

– Nie ma takiej możliwości – powiedział pewnie. – Luda nie przeszła żadnego przeszkolenia, skoro wiemy, że byli z Łarinem kochankami, on mógł jej pokazać, jak

się strzela, ale tylko w zakresie podstawowym. Zauważylibyśmy, gdyby ćwiczyła.

– Więc uważasz, że nie dałaby rady? – upewniłem się.

– Gdyby wyjęła mu znienacka broń... – podjął niepewnie Bielów.

– Nie, absolutnie nie – powtórzył Oleg. – Broń palna jest potencjalnie zabójcza, ale tylko w rękach eksperta. Żeby celnie strzelać w prawdziwym starciu, trzeba przejść warunkowanie manualne, dla jeszcze lepszych efektów: emocjonalne. Dziewięćdziesięciu dziewięciu amatorów na stu da się rozbroić, bo nie potrafią zachowywać odpowiedniego dystansu, podchodzą zbyt blisko przeciwnika. Nie dałaby rady go zastrzelić – podkreślił. – I jak ty to sobie wyobrażasz? – zwrócił się do biznesmena. – Twoja córka miałaby rozbroić znienacka operatora tej klasy co Łarin? Zaskoczyć go?! Nonsens! – parsknął. – Niejeden, dużo lepszy od Ludy w te klocki, próbował...

Nasuwało się pytanie: jak dobry był Łarin? Czy przeszedł warunkowanie emocjonalne? Nie zadałem go, wiedziałem, że odpowiedzi nie usłyszę. Warunkowanie manualne polega na wpojeniu pewnych odruchów, przeszkolony w ten sposób człowiek potrafi użyć broni w sposób perfekcyjny i zawsze adekwatny do okoliczności. Warunkowanie emocjonalne zajmuje się oddziaływaniem na podświadomość, „programowaniem” psychiki. Ktoś wyszkolony w podobny sposób nie panikuje, nie odczuwa strachu, nawet w sytuacji najwyższego stresu. Działa jak maszyna do zabijania, bez wahań i emocji, ze stuprocentową skutecznością. Oczywiście i takiego człowieka można pokonać, ale na pewno nie dokona tego żaden najbardziej nawet uzdolniony amator.

– Wracam do archiwum – oznajmiłem niechętnie. –  
Nic tu nie wymyślimy.

Bielow przytaknął z ociąganiem.

– Rzeczywiście – westchnął. – Trzeba szukać dalej.

– Prędzej czy później coś znajdziemy – pocieszyłem  
go bez przekonania.

Nie odpowiedział. Zapatrzony w przestrzeń, najwy-  
raźniej przebywał w jakimś innym świecie, być może  
tym przed katastrofą...



Wyszedłem zza rogu, klnąc pod nosem na błotnistą, kle-  
jącą się do butów breję. Miałem nadzieję na śnieg, zimno  
już nam nie przeszkadzało – ściągnęliśmy do archiwum  
kilka absolutnie nieregulaminowych piecyków, narusza-  
jąc wszelkie przepisy przeciwpożarowe, zyskując za to  
komfort pracy. Niestety, przez ostatnie dwie noce pa-  
dał deszcz. Poślizgnąłem się, próbując ominąć dowód  
na to, że miejscowi właściciele psów nic sobie nie robią  
z nakazu sprzątnięcia po swoich pupilach. To mnie ura-  
towało. Krótkie, podstępne kopnięcie trafiło w udo, nie  
w krocze, dłoń agresora zjechała po moim nadgarstku.  
Mijając o włos uchwyt niesionej przeze mnie teczki. Na-  
pastnik – solidnie zbudowany, krępy Chińczyk – błý-  
skawicznie skrócił dystans, zadając serię szybkich cio-  
sów. Zblokowałem je wszystkie, ale i tak znalazłem się  
na ziemi – unikając podcięcia, nadziałem się na potęż-  
ne pchnięcie barkiem. Zerwałem się na nogi, usiłując  
sięgnąć po broń, nie zdążyłem. Mój adwersarz nie tra-  
cił czasu, widać było, że lubi i umie walczyć. I że swo-

je umiejętności szlifował nie tylko na treningach. Nie dawał mi czasu na zastanowienie, nie robił przerw, nacierał nieustannie, przemieszczając się drobnymi, szybkimi kroczkami. Cofałem się atakowany uderzeniami zadawanymi pod nieoczekiwanym kątem, z następującą w ostatniej chwili zmianą kierunku ruchu. Zakląłem. Zawodowiec. Tak to jest, jak zaniedbuje się sparringi dla ćwiczeń kondycyjnych... Odgryzłem się, odrzucając go w tył bocznym kopnięciem, ale nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Zatoczył krąg, zmuszając mnie do obracania się w miejscu, wtedy rozpoznałem styl – Ziranmen. Udało mi się prześlizgnąć przez jego gardę, uderzyć kciukiem w szyję, ale zdążył skrócić głowę. Gdybym trafił w czuły punkt pod uchem, padłby nieprzytomny, a tak tylko sapnął, zwiększając nieco dystans. Był naprawdę dobry, prawdę mówiąc, chyba lepszy ode mnie...

Trzasnąłem go piętą w kolano i tym samym ruchem kopnąłem w brzuch, nieco wolniej, niż mogłem. Tak jak się spodziewałem, przechwycił moją stopę, złapał ją rękoma, zamierzając skrócić lub założyć dźwignię. Nie czekałem. Przyskoczyłem do niego, zginając unieruchomioną nogę w kolanie, oburącz uderzyłem otwartymi dłońmi w uszy. Uwolnił mnie z głuchym jękiem, ale zamiast zasłonić odruchowo bolące miejsca, rzucił się w tył. Dopadłem go. Prawie. Przynajmniej sekundę zabrało mi zorientowanie się, że właśnie zaliczyłem zadane z potworną siłą kopnięcie w brzuch. Kiedy się podniósł, wyciągnąłem z ukrytej kieszeni trzycalowego stridera. Miałem przy sobie i glocka, ale załatwiłby mnie, zanim sięgnąłbym pod kurtkę.

Chińczyk zmierzył ponurym wzrokiem ostrze, zerknął na leżącą tuż obok teczkę, po czym wyrzucił z siebie parę słów i zniknął. Nie goniłem go, nie miałem jak – mój organizm doszedł do wniosku, że czas się pozbyć śniadania... Kiedy wstałem z kolan, ulica była znowu pusta, no, niemal pusta – gdzieś w dali majaczyło kilka przesłoniętych całunem deszczu sylwetek. Żadna z nich nie należała do faceta, który mnie zaatakował. Przez chwilę obracałem w myślach wypowiedziane przez niego słowa, jedno z nich brzmiało jak „jastrząb”, a może „jastrzębie”. Jako nastolatek byłem co prawda zafascynowany językami Dalekiego Wschodu, ale do dyspozycji miałem tylko słowniki wujka Maksa. A te były dość specyficzne, wydała je rosyjska armia dla swoich żołnierzy. Niestety, zestaw prezentowanych przez nie zwrotów okazał się dość ubogi: „Stój, bo strzelam”, „Podaj nazwę swojego oddziału”, nawet odręczne dopiski na marginesach w rodzaju: „Gdzie są kosztowności?” czy „Podejdź bliżej, panienko” nie przygotowały mnie do normalnej konwersacji. No nic, zobaczymy, co powiedzą mądrzejsi, wiedziałem, że zapamiętam wykrzyczane przez Chińczyka słowa.



W pokoju zastałem gościa. Małgorzata siedziała przy szachownicy z niewysokim, krótko ostrzyżonym mężczyzną pod czterdziestkę. Nie wyglądało, aby grali – wokół wałały się sterty zapisanych obliczeniami kartek. Podniosłem z dywanu jedną z nich: wyższa matematyka.

Jestem co prawda humanistą, ale ponieważ zajmuję się cybernetyką, wymaga to ode mnie pewnej wiedzy matematycznej. Jednak notatki prezentowały taki poziom, że równie dobrze mogły być zapisane szyfrem.

– Dzień dobry – przywitałem się grzecznie, mierząc ciekawym spojrzeniem nieznanego.

– Dzień dobry, kochanie! – Małgorzata wpadła mi w ramiona. – To Aleksander Dunin – przedstawiła mężczyznę. – Jest znajomym naszego gospodarza i matematykiem amatorem. Bardzo utalentowanym matematykiem – dodała z roziskrzonymi oczyma.

Dunin wstał i uścisnął mi rękę, w jego ruchach było coś, co kojarzyło mi się z wojskiem, choć nie z wojskowym drylem. Jakaś... oszczędność ruchów. Gdy budzisz się – po raz nie wiadomo który – po kilkunastu godzinach ganiań po poligonie, nie wykonujesz zamasystrych gestów, nie tracisz energii. Oszczędzasz siły.

– Pańska żona jest zbyt uprzejma – odparł, zbywając komplementy Małgorzaty pobłażliwym uśmiechem. – To jedynie trochę...

– Do tej pory znałam tylko dwie osoby, z którymi mogłam wdać się w analizę probabilistyczną strategii szachowych, Sasza jest trzecią – moja żona bez ceregieli weszła mu w słowo.

Hm, Sasza. Margarita niełatwo nawiązywała nowe znajomości, teraz wyglądała jak dziecko, które niespodziewanie dostało pudło ulubionych cukierków. Jeżeli Dunin jest rzeczywiście takim geniuszem matematycznym, a nie miałem powodu, żeby w to nie wierzyć, musi czuć się samotna. Przynajmniej jeśli chodzi o ten aspekt

życia. Wydawało się, że znalazła kumpla... Niespodziewanie poczułem ukłucie zazdrości. Czyżby stalowy jeź, którego pożegnałem niedawno z wielką pompą, rozprostował kolce? Kurważ jego mać...

– Przepraszam, porozmawiamy później, powinienem zobaczyć się z Olegiem – wymówiłem się niezręcznie.

– Ja też będę się już zbierał – zapewnił Dunin. – Muszę dziś jeszcze znaleźć się w Moskwie – wyjaśnił, zerkając na zegarek.

Mam nadzieję, pomyślałem, zamykając za sobą drzwi. Mam nadzieję...

Dżumę zastałem w jego pokoju, kiedy wszedłem, właśnie kończył ćwiczyć: przysiadł na jednej nodze. Z trzymanym przed sobą trzydziestodwukilogramowym odważnikiem. Ktoś się chyba uparł, aby mnie dzisiaj zdołować...

– Opowiadaj! – rzucił krótko.

Z lśniącym od potu torsem rozparł się na fotelu, sięgnął po ręcznik.

– Co to za facet ten Dunin? – spytałem przez zaciśnięte zęby.

– To konkurent Bielowa – wyjaśnił obojętnie. – Jednak wydaje się być czysty, jeśli chodzi o kwestię zniknięcia Ludy. Sprawiał wrażenie autentycznie zszokowanego, kiedy się o tym dowiedział. Byłem przy tym – zapewnił, widząc moje powątpiewające spojrzenie.

Niespodziewanie do gardła podeszła mi fala żółci, przypomniałem sobie, jak Dżuma mówił, że był jedyną osobą, której zaufaliby ochroniarze Ludy. Teraz otrzymałem potwierdzenie faktu, że tuż po porwaniu córki Bielowa przebywał na terenie posiadłości. Co robił, kiedy



mordowano jego podwładnych? Nie, to tylko idiotyczne skojarzenia... Musiałem komuś wierzyć.

– To nie znaczy, że nie miał z tym nic wspólnego – zauważyłem, przetykając z trudem ślinę. – Może zdziwił się, że coś poszło nie tak?

– Owszem, możliwe, ale jest mniej podejrzany niż inni. – Oleg wzruszył ramionami. – A Bielów musi z kimś współpracować, nie da się prowadzić samodzielnie interesów na taką skalę. Co stało się w mieście? – zmienił temat. – Słyszałem, że miałeś małą przygodę.

Westchnąłem. No tak, moja przyjaciółka Raisa... Pewnie przyglądała się z uśmiechem, jak ten chiński żul wyciera mną asfalt, nie pomogła w niczym, za to natychmiast doniosła o zajściu Olegowi. Otrząsnąłem się z ponurych myśli: Dżuma mordercą przyjaciół, porywaczem Ludmiły Bielowej? Też coś...

– Chińczyk – poinformowałem zwięźle. – Ekspert Ziranmen. Chciał mi zabrać teczkę, może myślał, że mam tam jakieś dokumenty z archiwum?

– A masz?

– Nic ciekawego – zapewniłem. – Ale jestem na tropie książki, w której „Doskonali” opisują swoje rytuały. Prawdopodobnie znajduje się gdzieś w archiwum.

– I co to nam da? – skrzywił się Dżuma.

– Skąd mam wiedzieć?! – warknąłem. – Może nic, a może wyjaśni, dlaczego nasz Batman nie tylko zabił ochroniarzy, ale i wyciął im serca?

– Zina włamała się wreszcie do komputera Szewielowej i odczytała mejle – odezwał się po chwili milczenia Oleg.

– I co?

– Od prawie czterdziestu lat pani Szewieliewa otrzymuje pieniądze z tajemniczego źródła, podobnie jak ten facet w śpiączce, jak mu tam...?

– Lewartow – podpowiedziałem.

– No właśnie. Co więcej, Szewieliewa od pewnego czasu koresponduje z tym człowiekiem, używając zaawansowanego programu szyfrującego.

– Co w tym dziwnego? Może nie chce, żeby FSB czytała jej listy? – zauważyłem złośliwie.

– Stopień komplikacji tego programu jest „batmanowski” – odparł z namysłem Dżuma. – Nie – powstrzymał mnie ruchem dłoni – nie twierdzę, że to nasz Batman, w rzeczywistości program, którego używa Szewieliewa jest na nieco niższym poziomie niż ten, który przechwyciliśmy w komputerach Biełowa, ale niewiele, naprawdę niewiele... Ona na pewno go nie napisała, a ilość programistów tej klasy jest ograniczona.

Milczeliśmy przez chwilę, sprawa się komplikowała. Nie żebym się dziwił, gdyby była prosta, Rosjanie dawno poradziliby sobie sami. W końcu nawet na trop faceta Ludy natrafiliśmy przypadkiem, dzięki Marinie.

– Jest jeszcze coś.

– Tak? – Zmarszczyłem brwi.

– Ten tajemniczy nieznajomy używa w korespondencji z Szewieliewą jej przezwiska. Nazywa ją *Łastoczka*.

– Jaskółka... – mruknąłem. – No i co z tego? Ludzie czasem tak robią. Znajomi, rodzina.

– Tak, tylko że przeczytaliśmy też jej listy, te zwykłe, pisane na papierze. Ostatni, w którym tak ją nazwano, pochodzi z tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego

roku. To musi być jakaś ksywka z lat młodości, rówieśnicy, znajomi z tamtych czasów, ci, którzy byli z nią blisko, dawno nie żyją, sprawdziliśmy. Więc kto ją tak nazywa? Kto mógłby nie tylko znać to przezwisko, ale i je stosować? Komu na to by pozwoliła?

Rozmasowałem fraszobliwie skronie – dobre pytanie. Elena Szewieliewa raczej nie była potulną staruszką.

– Co z nią? – spytałem z niewyraźną miną.

Dżuma także się skrzywił – w normalnej sytuacji, w każdym innym państwie można by Szewieliewej co najwyżej pogrozić palcem. A i to ostrożnie, ze względu na obecność adwokata. Ale sytuacja nie była normalna – w sprawę zamieszany był jeden z najpotężniejszych oligarchów, no i znajdowaliśmy się w Rosji... Z drugiej strony, chodziło o osobę z dziewięćdziesiątką na karku. Babcia na pewno coś ukrywała, lecz wolałbym, żeby jej nie przesłuchiowano z wrodzonym niektórym rosyjskim instytucjom wdziękiem...

– Przejdzie test na wykrywaczu kłamstw – odparł Oleg. – Niewiele więcej możemy zrobić, u nas szanuje się weteranów. Nie sądzę też, że wyniki będą rewelacyjne. Nie możemy postawić pewnych pytań, bo w ten sposób przyznalibyśmy się do kontroli jej korespondencji. Może w przyszłości to nam coś da.

– Znaczy co?

– No ta kontrola.

– Daj nam Panie Boże – westchnąłem. – Daj nam Panie Boże...



Głosy turystów budziły ledwie słyszalne echo, wokół rozbrzmiewały rozmowy w kilku językach. Przewodniczka najbliższej, rosyjskojęzycznej grupy zachwalała zbiory z czasów starożytnego Egiptu – znajdowaliśmy się w jednej z sal Ermitażu, na parterze. Realizowałem własny program, opisując Małgorzacie nie współczesny, a przedrewolucyjny wystrój. Obecny wygląd pomieszczenie zawdzięczało przeróbkom z tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, wcześniej mieścił się tu bufet Pałacu Zimowego.

Stanęliśmy na moment przed granitowym posągami Amenemhata III, syna Senusereta i królowej Sebeksedit Neferu. Pomilczeliśmy. Cóż można powiedzieć wobec wołania sprzed czterech tysięcy lat? Widząc rysy twarzy osoby, po której zostało tylko wspomnienie? Obecne czasy nie sprzyjają więziom rodzinnym, mało kto zna swoich przodków dalej niż parę pokoleń wstecz, zetknięcie się z zaklętą w kamień pamięcią ludzi żyjących milenia przed Chrystusem uczyło pokory. Co zostanie z nas za tysiąc lat? Czy w ogóle cokolwiek zostanie?

Trzymając się za ręce, przeszliśmy do sali Wielkiej Wazy. Projektant Nowego Ermitażu, Leo von Klenze, zaplanował, że będzie ona stanowić główny westybul pałacu. Ozdobiono ją gigantyczną wazą z jaspisu o wadze dziewiętnastu ton. Dziś wystawiano tu eksponaty z czasów rzymskich. Białe, marmurowe kolumny, loggie i ustawione pod ścianami podobizny Rzymian stwarzały specyficzną atmosferę, przenosiły widza w świat dawnego imperium, a może dwóch imperiów? Były świadectwem potęgi, dobrego smaku i piękna. I przemijania. Bo żadne, najpotężniejsze nawet państwo nie pokona-

ło czasu. Ten kruszył nie tylko wytworne marmury, ale także stal, granit, a przede wszystkim ludzką pamięć. Zamieniał w pył królestwa i ludzkie marzenia, wobec upływu czasu jedne i drugie przypominały sen – ulotny niczym trzepot skrzydeł motyla. Mimo to warto było łapać kolorowe strzępki ludzkich wizji dostępne w takich miejscach jak to, by zerknąć w przeszłość, obejrzeć się za siebie. Była to czynność płonna i niewiele znacząca, a jednak dziwnie podnosiła na duchu, wywoływała wspólnotę z tymi, którzy żyli przed nami.

– Gdzie teraz pójdziemy? – spytała Małgorzata, przerywając zadumę.

– Gdzie chcesz – odparłem z uśmiechem. – Jeśli masz dosyć starożytności, to może obejrzymy meble lub powozy?

– Powozy... – Zastanawiała się przez chwilę. – Nieee. – Pokręciła głową. – Wolę meble. Jest tu coś ciekawego?

– Słyszałem, że mają krzesło Nicolasa Foliot.

– A ten Nicolas był... – zawiesiła głos.

– Mistrzem stolarskim, dostarczał meble na dwór królewski.

– Niech będzie – zdecydowała. – To krzesło należało do króla?

– Tędy. – Pociągnąłem ją za sobą, weszliśmy po schodach. – O ile pamiętam, zamówiła je córka Ludwika XV, księżna Parmy – wyjaśniłem. – Proszę. Połączony dąb i obicie z aksamitu wyszywanego srebrną nicią.

– Trochę krzykliwe... – powiedziała ostrożnie Margarita.

Rzeczywiście, krzesło atakowało wzrok zbitką trzech kolorów: złota, srebra i purpury. Dawniej, zanim aksa-

mit wypłowiął, barwy musiały być jeszcze bardziej agresywne.

– Taka moda. – Wzruszyłem ramionami.

– Jak śledztwo? – zmieniła nagle temat.

Spuściłem głowę, ślizgając się wzrokiem po idealnie białej podłodze. Obiecałem Małgorzacie, że będę ją informował o postępach w dochodzeniu, ale było to jeszcze, kiedy podejrzewałem, że jest chora na ALS. Wówczas obiecałbym nawet gwiazdkę z nieba. Teraz wolałem, aby o niczym nie wiedziała – najmniejszy błąd mógł mieć daleko idące konsekwencje. Przede wszystkim dla bezpieczeństwa mojej żony.

Odchrząknąłem dyplomatycznie.

– Może porozmawiamy o tym później? – zaproponowałem.

– Tylko nie myśl, że się wywiniesz. – Obrzuciła mnie podejrzliwym wzrokiem.

– Nawet mi to do głowy nie przyszło! – Wyszczерzyłem zęby w nieszczerym uśmiechu.

– Akurat!

Dyskusję przerwał nam sygnał nastawionej na wibrację komórki. Odruchowo pomacałem się po kieszeni, ruszyłem pospiesznie do wyjścia, za plecami słyszałem stukot obcasów Małgorzaty. Coś musiało się stać. Przed wyjazdem do muzeum poprosiłem Olega, żeby mi nie przeszkadzano. Wybiegliśmy na zewnątrz, zerknąłem na wyświetlacz – tak jak się spodziewałem, dzwonił Dżuma. Odetchnąłem głębiej, wciągając w płuca mroźne, nie wiadomo dlaczego pachnące dymem powietrze, oddzwoniłem.

– Spotkanie przed hotelem „Europa” – poinformował sucho. – Najszybciej jak możesz. I uważaj po drodze...

– Jadę!

– Co się stało? – spytała Margarita.

– Nie wiem – mruknąłem. – To nie jest rozmowa na telefon.

– A w hotelu...

– Podjedziemy na parking, pewnie ekipa od Bielowa już na nas czeka. Zabiorą nas do rezydencji.

– Ekipa? – Zmarszczyła brwi.

– Ochrona – wyjaśniłem krótko. – Siadaj za kierownicą – poprosiłem.

Rozpiąłem kurtkę, wyciągnąłem ze schowka pistolet. Dawno nie byłem w Ermitażu i wołałem zostawić broń w samochodzie, nie wiedziałem, czy i na ile udoskonalono system ochrony.

– Jedźmy! – rzuciłem.

– Ale chciałabym wiedzieć...

– Jedź! – warknąłem.

Małgorzata zacisnęła usta urażona moim tonem.

– To nie jest jedna z twoich intelektualnych zabaw – powiedziałem zimno. – To rzeczywistość, parszywa rzeczywistość. Nie mam czasu, żeby ci wszystko wyjaśniać, nie teraz!

Ruszyliśmy. Obejrzałem się przez ramię – wyglądało, że nikt za nami nie jedzie. Chyba że śledzą nas zawodowcy w kilka samochodów.

– Teraz w lewo – zakomenderowałem. – Nie zjeżdżaj pod żadnym pozorem z głównej ulicy.

– Moglibyśmy tym skrótem przez...

– Nie! W razie ataku tu mamy większe szanse, co parę kilometrów rozstawione są patrole drogówki. W razie czego wezwą pomoc.

Małgorzata pobladła, nie spytała już o nic więcej. Ścisnąłem w spotniałych nagle dłoniach glocka, co chwilę poprawiałem uchwyt. Ile wytrzyma karoseria? Nasza toyota miała być kuloodporna, ale tutejsi bandyci słynęli szeroko jako *sierioznyje malcziki* – poważni chłopcy. Oni nie będą się szczytać, po prostu zablokują nam drogę i któryś walnie z RPG... Z drugiej strony, gdyby sytuacja była aż tak poważna, Dżuma przysłałby pewnie do Ermitażu ochronę. No nic, lepiej być przez pięć minut tchórzem, niż zlekceważyć zagrożenie i dać się skasować...

Z bocznej uliczki wyprysnęła czarna terenówka, ostentacyjnie siadła nam na ogonie.

– Szybciej! – krzyknąłem do Małgorzaty. – Zwiększ dystans! Kiedy ci powiem, skręć i przyhamuj tak, żebym miał ich od swojej strony.

Zacisnąłem zęby i uchyliłem szybę. Jeśli trafię kierowcę... Ścigający nas wóz został nieco z tyłu, odezwał się mój telefon.

– Tak? – warknąłem.

Dzwonił ktoś spoza listy kontaktów.

– *Gospodin Korpackij, nie psichujtie* – usłyszałem głos. – *My tiepier' waszi tiełochraniteli.*

W tonie mężczyzny pobrzmiwała lekka kpina. Poznałem jednego z ochroniarzy Biełowa.

– Zwolnij – poleciłem Małgorzacie. – To moi.

Schowałem broń, odetchnąłem, starając się rozluźnić napięte jak postronki mięśnie.



– Zwolnij...



Zaraz po przylocie do Krasnoj Gorki pomaszerowałem do gabinetu Biełowa, Małgorzata z zaciętym wyrazem twarzy dotrzymywała mi kroku. Nie mieliśmy czasu, aby o tym porozmawiać, ale widziałem, że nie zamierzała odpuścić i pozostawać nadal na marginesie śledztwa. Miałem szczerą nadzieję, że Dżuma albo Biełow wyperswadują to Małgorzacie. Mnie wiązała dana wcześniej obietnica, chociaż można by dyskutować o jej interpretacji...

Biełow przywitał się z moją żoną bez mrugnięcia okiem, Oleg zareagował lekkim uniesieniem brwi.

– Chcesz, aby Margarita Andriejewna dołączyła do nas? – zapytał bez ogródek.

– Nie chcę – odburknąłem. – To ona chce. A teraz do rzeczy: co się stało?

Dżuma obrzucił Małgorzatę wymownym spojrzeniem. Odwzajemniła je niewzruszenie, sadowiąc się wygodniej w fotelu.

– Zajmuję się probabilistyką – oznajmiła bez ogródek. – Wiele technik kryminalistycznych opiera się na rachunku prawdopodobieństwa. Mogę się przydać, a z pewnością nie zaszkodzę.

– Nie chcę, żebyś znalazła się w centrum tego gówna! – wybuchnąłem. – Jeśli sprawca pomyśli, że...

– Jako twoja żona jestem i tak narażona na ataki – przerwała mi Margarita. – To, co naprawdę wiem, nie ma najmniejszego znaczenia. Wystarczy, że ktoś pomyśli, że coś mi powiedziałeś.

Zacisnąłem zęby – nie podobało mi się to wcale, lecz wiedziałem, że Małgorzata ma rację. Jeśli sprawcy zwrócili uwagę na to, że pomagam Bielowowi, moja żona znalazła się na celowniku. Z tej sytuacji nie było wyjścia, nawet gdybym odesłał Margaritę do Polski, nie zapewniłoby jej to bezpieczeństwa, być może wręcz przeciwnie, sprowokowałyby atak, tymczasem na terenie posiadłości była chroniona równie dobrze jak Bielów. Nie żebym miał pewność, że to wystarczy...

Tymczasem Dżuma podszedł do stojącego na biurku laptopa i uruchomił podłączony do niego rzutnik. Na ścianie pojawiło się coś w rodzaju tablicy operacyjnej, jaką sporządza policja w przypadku dochodzeń o znacznym stopniu komplikacji. Zdjęcie Ludy połączono strzałkami z napisami: „kradzież informacji” i „zabójstwo Łarina”. Przy tym ostatnim widniał znak zapytania. Na tablicy znajdowała się też wycięta z tarczy strzelniczej sylwetka mężczyzny podpisana „Batman”, tu strzałek było dużo więcej, kierowały wzrok ku nazwiskom Razumowski i Szewieliewa, oba ze znakami zapytania, sięgały ku napisom: „sforsowanie systemu ochrony” i „morderstwo ochroniarzy”. Wśród cech przypisanych Batmanowi zwracały uwagę dwie: „ponadprzeciętne umiejętności bojowe” oraz „głęboka wiedza z zakresu informatyki”. Ogromnym pytajnikiem zaznaczono pusty okrąg z napisem „cel ataku”. Strzałki i różnokolorowe linie kłębiły się na tablicy, łącząc ze sobą postaci wmieszanych w sprawę ludzi, tworzyły nieprzeniknioną na pierwszy rzut oka, chaotycznie splecioną sieć, w której trudno by szukać jakiegokolwiek wzoru. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegłem dwa nowe elementy, czerwoną obwódką zaznaczo-

no fotografię młodej, ładnej kobiety, tuż obok widniało jedno słowo: „login”.

– W czym rzecz? – spytałem ponownie.

– Dziś rano znaleziono zwłoki naszej pracownicy – odpowiedział Bielów. – Była sekretarką w dziale marketingu. Nie знаła żadnych firmowych sekretów. Zginęła w swoim mieszkaniu, nie wykryto śladów włamania. Wycięto jej serce...

– To, że nie wykryto śladów włamania, nie znaczy, że włamania nie było – zauważyłem. – Specjalista wysokiej klasy nie pozostawiłby śladów.

Dżuma bez słowa rzucił na stół kilka zdjęć. Przedstawiły drzwi wejściowe.

– Zwróć uwagę na zamki – powiedział cierpkim tonem.

Przyjrzałem się fotkom dokładniej, mimo woli układając usta jak do gwizdnięcia.

– Teraz rozumiem – mruknąłem.

– Za to ja nie rozumiem – upomniała mnie Małgorzata.

– Byłbym wdzięczny za wyjaśnienie – poparł ją Bielów. – Nie podważam oceny ekspertów, ale wolałbym wiedzieć, dlaczego wykluczyli włamanie.

– Ona miała w drzwiach dwa zamki HSL – wyjaśniłem. – To skrót od *High Security Locks*, zamki wysokiego bezpieczeństwa. Są odporne na rozwiercanie, kwasy, promienie Roentgena, działanie materiałów wybuchowych i manipulacje. Te, które widać na zdjęciu, to zamki trzeciej lub czwartej generacji. Można je, rzecz jasna, otworzyć – przyznałem – ale wyjąwszy zastosowanie specjalistycznych materiałów wybuchowych musiałoby to

trwać około dziesięciu minut. Na każdy z nich – dodałem. – I to jedynie w wypadku, gdyby otwierał je ekspert.

Zapadła cisza, Biełow westchnął, podszedł do okna. Widziałem, jak zaciska pięści, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w pokryty śnieżnym puchem las, kilka dni temu spadła temperatura, skończyła się plucha. Gnące się pod podmuchami wiatru drzewa sprawiały wrażenie, jakby coś poruszało się wśród nich, ostrożnie, niemal ukradkiem podchodziło coraz bliżej.

– No dobrze – przerwał milczenie Dżuma. – Mamy pewność, że musiała go znać, wpuściła do środka, nie bała się.

– A gdyby znał ten typ zamków, podrobił klucze albo pracował w firmie, która je montuje? – odezwała się Małgorzata.

– Niemożliwe, a przynajmniej bardzo mało prawdopodobne – odparłem. – Takie firmy mają bardzo ostre procedury bezpieczeństwa, a samych zamków nie otwiera się tak jak zwykłych. Trzeba nie tylko mieć klucz, ale też znać konkretną sekwencję ruchów. Na przykład: najpierw dwa obroty w prawo w górnym zamku, jeden w lewo w dolnym, jeden w lewo w górnym, dwa w prawo w dolnym i jednocześnie w obu w prawo. Najmniejszy błąd i natychmiast włącza się alarm. Z dużo większym prawdopodobieństwem można założyć, że ofiara знаła mordercę.

– A ten login? – spytała Margarita. – O co tu chodzi?

Oleg podszedł do laptopa i zdecydowanym ruchem podkreślił znak zapytania przy strzałce łączącej Ludę z zabójstwem Łarina.

– Ktoś napisał dzisiaj post na jednym z forów, które odwiedzała Luda. Użył jej loginu – powiedział.

– Znaczy, napisał z konta Ludmiły? – upewniłem się.

– Tak.

Spojrzałem na Bielowa. Siedział zgarbiony, objąwszy głowę rękoma, w pozie znamionującej ogromne znużenie. Nie dziwiłem się mu. Wątpliwości wokół Ludy przybywało. Coraz bardziej prawdopodobna stawała się wersja, że to właśnie córka biznesmena współdziałała z Batmanem i zabiła jednego z ochroniarzy, Łarina. Być może nawet związek tych dwojga od początku był manipulowany przez Ludę.

– Ten Łarin... – odezwałem się z namysłem. – Co wiadomo o jego życiu osobistym? Wiesz, romanse, miłostki i tak dalej – zwróciłem się do Dżumy.

– Nic nadzwyczajnego w tej branży – odparł z niewyraźną miną. – Miał powodzenie u kobiet, jak wszyscy. – Wzruszył ramionami.

– Jak wszyscy? – Małgorzata uniosła brwi.

– Operatorzy tej klasy to nie są chłopcy z sąsiedztwa – podjął niechętnie swój wywód. – Górują nad większością mężczyzn inteligencją, wiedzą i sprawnością fizyczną. Poza umiejętnościami stricte bojowymi, znają techniki manipulacji, wpływania na innych... Jeśli Łarin chciał uwieść Ludę, zrobił to bez większego trudu – zakończył.

– Czy Luda mogła poderwać jego? – zapytałem.

Bielow zerwał się z fotela, spojrzał na mnie ostro.

– Musimy rozważyć każdy wariant – powiedziałem uspokajającym tonem.

– Nie byłaby w stanie – uciął Dżuma. – Tak samo, jak nie dałaby rady go zabić. Wiem, co sobie myślisz, ale nasi eksperci musieli się pomylić, to Batman dostał się jakimś cudem do domku Ludy i zabił Łarina. Nie mogło być inaczej – dodał ciszej, potrząsając głową.



**S**iedziałem w podgrzewanym basenie masowany strumieniami wody z umieszczonych wewnątrz dysz, powietrze pachniało bzem i burzą – efekt działania urządzeń do aromaterapii i generatora ozonu. W zasięgu ręki miałem oszronioną szklankę z mistrzowsko przyrządzonym drinkiem, personel Bielowa wart był każdych pieniędzy. Humor psuł mi tylko jeden drobiazg – Małgorzata zamiast dołączyć do mnie, siedziała opodal, popijając daiquiri. Ubrana. Nie żeby w basenie nie było miejsca – tego wystarczyłoby dla żeńskiej drużyny piłki nożnej. Moja żona postanowiła się dąsać.

– Potrzeba ci odprężenia – zaprosiłem ją po raz kolejny.

– Być może rozważę tę propozycję – mruknęła. – O ile opowiesz mi wszystko o tym Chińczyku.

Z westchnieniem zrelacjonowałem całe zajście.

– Ktoś mógłby mi wymasować siniaki – zakończyłem, przybierając zboląłą minę.

– Za moment – obiecała. – Co to za styl ten Ziranmen?

– To naprawdę strasznie nudne. – Skrzywiłem się z przesadnym obrzydzeniem. – Zresztą połowa tego, co wiemy na temat Ziranmen, to przekaz ustny bez żadnego potwierdzenia. Jak zwykle w przypadku sztuk wal-ki.

– No więc? Dziesięć punktów za każdą konkretną in-  
formację – zaproponowała z uśmiechem.

– Jakich punktów?

– To jest pięć punktów – wyjaśniła, rozpinając gu-  
ziczek bluzki.

– Podobno zasady tej sztuki opracował niejaki Ka-  
rzeł Xu, postać dość ekscentryczna – poinformowałem  
szybko. – Ziranmen jest jednym z ciekawszych stylów,  
zawiera mnóstwo ćwiczeń kondycyjnych, oddechowych  
i medytacyjnych, bazuje na filozofii taoizmu i tajemnej  
doktrynie „Zero i Jeden”.

– Na czym polega ta doktryna?

– Nie mam zielonego pojęcia – wyznałem. – Sekre-  
ty stylu znają tylko zaawansowani uczniowie, a tych jest  
niewielu. W Ziranmen przez długi czas obowiązywała  
zasada: jeden nauczyciel – jeden uczeń.

– A ćwiczenia kondycyjne? – spytała.

Na posadzkę spłynęła bluzeczka, palce Małgorzaty  
zatrzymały się na pasku od spodni.

– Jedno z nich polega na unoszeniu i podrzucaniu  
dziesięciokilogramowych żelaznych kul, inne to kopa-  
nie w grube drewniane pale, trening z założonymi na  
przedramiona bransoletami z brązu albo żelaza, wresz-  
cie utwardzanie dłoni na żelaznych opiłkach – odparłem,  
przełykając ślinę.

– To trudne?



– Bardzo. Adeptci Ziranmen potrafią atakować prawie każdą częścią ciała w nieprzewidywalny sposób, instynktownie.

– Co to znaczy?

– Nie ćwiczą konkretnych technik przeciwko określonym atakom, tak jak ma to miejsce w większości sztuk walki. Polegają na odruchach. Improwizują. Dlatego niemal nie sposób przewidzieć, co zrobią.

Małgorzata wślizgnęła się do basenu z wdziękiem wodnego stworzenia, usiadła za moimi plecami.

– Jeśli spotkasz jeszcze raz tego Chińczyka... – zaczęła, masując mi barki.

– Tak?

– Zrób mi przyjemność i po prostu go zastrzel, zamiast sprawdzać się w walce jeden na jednego – poprosiła.

– Zastanowię się – mruknąłem.

Przygasiłem światło – teraz paliły się tylko lampki na obrzeżu basenu. W półmroku widać było wyraźnie unoszące się znad wody smugi pary. Splatały się w powietrzu, tworząc trwające krócej niż uderzenie serca fantastyczne krajobrazy: rzeki, góry i lasy niczym z chińskich, malowanych tuszem obrazów. Czasem gdzieś w górze zamaczył cień jakiejś latającej bestii, może smoka?

Odchyliłem się, kładąc głowę na ramieniu Margarity, fale łagodnie obmywały nasze ciała, kołysały splecionymi dłońmi.

– Grosik za twoje myśli – zaproponowałem.

– Są warte dużo więcej – odparła szeptem, wodząc ustami po moim karku. – Dużo, dużo więcej.

– Kiedy przejdziemy od spekulacji do konkretów?

– Natychmiast – stwierdziła, obejmując nogami moje biodra. – Natychmiast.



Wracaliśmy z jacuzzi, trzymając się za ręce. Nie krępowaliśmy się już obecnością strażników, do wszystkiego można się przyzwyczaić. Z rozbawieniem zauważyłem, że spojrzenia, jakimi mnie obrzucają, mają zdecydowanie więcej wspólnego z męską zawiścią niż kontrolowaniem terenu. Owinięta w gruby biały szlafrok, z mokrymi, rozrzuconymi w nieładzie włosami, Małgorzata wyglądała jak spełnienie sennych marzeń każdego faceta.

Zatrzymaliśmy się, usłyszawszy groźne chrząknięcie.

– Dlaczego nie wzięliście mnie ze sobą do łaźni? – zapytała z pretensją w głosie Marina. – Pomoczylibyśmy się, pogadali... Samoluby! – oznajmiła nadąsana.

– Porozmawiaj z wujkiem Olegiem – zaproponowałem. – Pewnie chętnie się z tobą pomożemy.

Nie wspomniałem, że mogła wykąpać się z ojcem, zapewne biznesmen był zajęty, jak zwykle...

– Byliście w saunie czy jacuzzi?

– W basenie – odpowiedziała Margarita.

– Nie szkodzi, mamy mnóstwo strojów kąpielowych.

– Wiesz, czasem więcej niż dwoje to już tłok – stwierdziłem dyplomatycznie.

– Przecież tam zmieściłoby się... – zaczęła.

Dopiero po chwili dotarło do niej, co chciałem powiedzieć, zaczerwieniła się po korzonki włosów. Może mimo tego całego gadania o zamieszczaniu rozebranych fotek w Internecie nie była aż taka zepsuta?

– Faceci! – parsknęła pogardliwie. – Czasami zastanawiam się, czy myślą o czymkolwiek innym poza...

– Mogę mówić jedynie za siebie – odezwałem się skromnie – ale zdarza mi się to nawet parę razy dziennie. Znaczący, myśleć o czym innym.

Marina pokazała mi język i zniknęła za drzwiami swojego pokoju.

– Nie wiem, dlaczego ona czepiała się mnie – mruknąłem. – Do pewnych rzeczy trzeba dwojga.

– Ja jestem tylko małą, wykorzystywaną kobietką – odezwała się Małgorzata i zatrzepotała rzęsami.

– Akurat! – burknąłem, zapraszając ją gestem do naszego apartamentu. – Zrób nam kawy – poprosiłem. – Muszę pogadać z Dzumą.



Teren można sprawdzać na wiele sposobów, ja wybrałem najprostszy: przebrałem się za menela. Wystarczył parodniowy zarost, wytarzone w błocie spodnie – moje własne, cudze nie miałyby ukrytej kieszeni na nóż i zapasowe magazynki do glocka – oraz dostarczona przez Dzumę złachana kurtka. W rękę trzymałem tanią reklamówkę z supermarketu, miałem w niej pół litra wódki, kilka butelek piwa i parę starych gazet, na wypadek gdybym musiał gdzieś przysiąść. Papier to niezła izolacja. Na razie nie było mi zimno, przezornie włożyłem termoaktywną bieliznę i gruby sweter z zatrzymującej ciepło wełny merynosów.

Osiedle od początku nie robiło na mnie dobrego wrażenia, składało się z identycznych, poprzedzielanych wą-

skimi podwórkami bloków. Zbudowano je chyba w latach trzydziestych. Ktoś, kto nie mieszkał tu od dziecka, łatwo mógł się zgubić, łatwo też zwrócić na siebie uwagę miejscowych. Miałem nadzieję, że mój kamuflaż wytrzyma dzień czy dwa, więcej czasu nie potrzebowałem.

Jak na listopad, było ciepło – tylko minus dwa stopnie. Oparłszy się o ścianę, pociągnąłem łyk wódki, czknałem ostentacyjnie, napotkawszy wzrok przytupującej w pobliskiej bramie panienki. Wyglądała na specjalistkę od szybkich numerków, ale nie byłem dla niej atrakcyjny, pewnie czekała na robotników ze znajdujacej się tuż za osiedlem fabryki. Rozmieszczone co paręnaście metrów latarnie rzucały snopy mętnego światła, rozcinając wieczorny mrok. Zakręciłem starannie butelkę i powlokłem się dalej. Kolejna brama cuchnęła dawno niewywożonymi śmieciami i moczem, drepcząc niepewnie – musiałem liczyć się z tym, że ktoś mnie obserwuje – zagłębiłem się w ciemne przejście. Żadna z zamontowanych w nim lamp nie działała. Miałem nadzieję, że wyglądam jak ktoś, kto szuka miejsca do spania – dochodziła dwudziesta.

Drzwi wiodących na klatkę schodową nie zabezpieczono jakimkolwiek zamkiem, uchyliłem je i wślizgnąłem się do środka. Z tego, co słyszałem, żadne zamki nie były potrzebne, w okolicy obowiązywała stara złodziejska zasada: u siebie nie kradniemy. Dżuma uprzedził mnie, że osiedle jest petersburskim „sto pierwszym kilometrem”, mieszkali tu głównie kryminaliści. Dawniej zabraniano przestępcom po wyrokach osiedlania się w Moskwie i jej najbliższych okolicach, strefa ochronna wynosiła sto kilometrów. Stąd wyrażenie „sto pierw-

szy kilometr” stało się idiomem oznaczającym teren zamieszkały przez bandytów. Nie powiem, że mnie to podnosiło na duchu, ale nie miałem wyjścia – po wysłaniu wiadomości na mejla Ludy, otrzymałem w odpowiedzi mapkę tej właśnie okolicy. Ktoś nieźle to wymyślił; nie było mowy, aby rozmieścić tu agentów milicji czy specsłużb, każdy obcy rzucał się w oczy niczym owieczka w stadzie wilków, labirynt bloków, podwórek i łączących je przejść utrudniał orientację wszystkim poza tubylcami, kunsztownie rozwleczone odłamki betonowego gruzu z jakiejś dawno zapomnianej budowy uniemożliwiały przejazd samochodem przez niektóre uliczki. Ot, bandycka zona...

Na podjęcie decyzji o spotkaniu miałem czas do jutra, tajemniczy nieznajomy dał mi trzy dni na sprawdzenie terenu. Tak jakby był zawodowcem, znał procedury... Jeśli to prawda, po otrzymaniu mojej zgody wyznaczy konkretny czas i miejsce – osiedle rozciągało się na obszarze kilkunastu kilometrów kwadratowych. Sam fakt, że spotkania nie wyznaczono od razu, zastanawiał, sugerował, że albo nieznajomemu chodzi o wykazanie swojej uczciwości i dobrej woli, albo uważa, że rekonesans i tak mi nic nie da. Nie paliłem się do tej akcji, lecz dwie pierwsze kandydatury: Dżuma i jeden z ochroniarzy Bielowa, zostały przez niego odrzucone. Tak jakby ich rozpoznał. Luda... Czy możliwe, że to właśnie ona chciała zorganizować naszą małą schadzkę? Jeśli tak, to w jakim celu? Bała się ojca? Chciała gwarancji bezpieczeństwa? Co ją niepokoiło – kradzież danych czy może coś więcej?

Zszedłem do piwnic, już w korytarzu poczułem smród niemytych ciał i nieprzetrawionego alkoholu.

– *Gospoda oficery...* – wychrypiałem, otworzywszy drzwi do niewielkiej, wyposażonej w zardzewiałą wannę klitki.

Jeden z zasiedlających ją meneli zrobił mi miejsce, na pustej drewnianej skrzyni postawiłem butelkę wódki, wyjąłem kilka papierowych kubków. Bez względu na wszystko nie miałem zamiaru pić z nimi z jednej flaszki, niby alkohol dezynfekuje, ale...

Przyłączenie się do bezdomnych było pomysłem Dżumy, uważał, że to jedyna grupa w zonie, która zaakceptuje mnie w tak krótkim czasie. Miał rację – wystarczyło parę litrów wódki i zdobyłem nowych kumpli. Jako menel nie wzbudzałem też niczych podejrzeń, przynajmniej na razie. Mogłem niezauważony snuć się po blokowisku i w przypadku wyznaczenia spotkania z Ludą bądź tajemniczym nieznajomym używającym jej loginu – sprawdzić, czy nie szykuje się jakaś niespodzianka. To miał być mój podstawowy atut: nie przybyłbym na spotkanie z zewnątrz, byłbym już na miejscu, w przebraniu skutecznym niczym czapka niewidka. Niemal na każdym podwórku mogłem spotkać koczujących w pobliskich piwnicach i kanałach grzewczych obszarpańców. Nikt ich nie wyganiał z pomieszczeń przeznaczonych niegdyś na pralnię czy suszarnię, najwyraźniej lokatorzy załatwiali te sprawy w domach albo nie przywiązywali do nich wagi. Biorąc pod uwagę okolicę, bardziej prawdopodobna była ta druga możliwość...

Tyle że nie za bardzo odnajdywałem się w roli agenta na tyłach wroga. Tęskniłem za normalnym żarciem, kąpielą i Margaritą. Niekoniecznie w tej kolejności... Z dru-

giej strony, wrastałem w otoczenie, zaczynałem już rozpoznawać niektórych lokatorów, a brak ciepłej wody i fakt, że od dłuższego czasu nie zmieniałem ciuchów, powodowały, że mój kamuflaż zbliżał się do doskonałości – niemalże nie różniłem się zapachowo od towarzyszących mi meneli. Nie żeby napawało mnie to zachwytem...

Rozlałem po sto gram, wypiliśmy. Wańka-Wstańka ruchem magika wydobyl z torby słoik kiszonych ogórków, wielkodusznie podsunął w moją stronę. Poczęstowałem się jako pierwszy, zakąsiłem.

Wańka był liderem naszej małej załogi, „bojarem”. Nie przeszkadzało mi to, wołałem trzymać się w cieniu. Jego polecenia sprowadzały się do ściągnięcia jak największej ilości alkoholu. W sumie nic trudnego, miałem przy sobie kilkanaście tysięcy rubli i paręset euro. Jednogłośnie mianowano mnie zaopatrzeniowcem. Nikt się nie dopytywał, skąd mam towar. Nikogo to nie obchodziło.

Rozdzieliłem resztę alkoholu, rzuciłem na stół napoczętą paczkę papierosów. Zwędziłem ją pijaczkowi pod pobliską knajpą. Żaden wielki wyczyn, facet ledwo trzymał się na nogach.

Zapaliłem wraz z innymi, miałem nadzieję, że dym tytoniowy zabije to, czego nie zabiła wódka... Po chwili Wańka zgasił światło – prąd ciągnęli z nielegalnie podłączonego kabla. Tak jak i reszta ekipy, umościłem się w swoim kąciku, dwoma kęsami pochłonałem kupionego wcześniej, wysokoproteinowego batona i zasnąłem snem sprawiedliwego. Jak wszyscy.



Przysiadłem pod usytuowanym w rogu podwórka śmietnikiem, starając się ignorować wszechogarniający fetor. Tu nikt nie mógł mnie zaskoczyć, miałem przed oczyma całe podwórze i wszystkie wyjścia z bloków, ale mój zmysł węchu narażony był na zmasowany atak. Nie wiem, jak działały służby miejskie w innych dzielnicach Petersburga, ale tu na pewno się nie przemęczały. Całe szczęście, że temperatura spadła parę stopni poniżej zera. Smród też zamarza, przynajmniej częściowo...

Połączyłem się z Dzumą, odebrał od razu.

– Co słychać? – zagailem.

– Jesteś gotowy? – odpowiedział pytaniem.

– Bardziej gotowy już nie będę – odburknąłem. – Co robimy?

– W takim razie wyślę wiadomość, że zgadzasz się na spotkanie. Tylko uważaj, bo przypuszczam, że wszystko potoczy się w szybkim tempie.

– Rozumiem – mruknąłem bez entuzjazmu.

– Zauważyłeś coś podejrzanego?

– W okolicy gdzie nocuję, nie. Ci sami lokatorzy, trochę mętów i lokalnych pijaczków, jakieś dzieciaki. Żadnych obcych.

– W porządku, ale pamiętaj, że w razie czego musisz liczyć głównie na siebie. Tuż przy ulicach wylotowych rozmieściliśmy kilka grup uderzeniowych, jednak zanim dotrą na miejsce, minie przynajmniej kilka minut. Być może więcej. Przez ten czas...

– Rozumiem – przerwałem mu szorstko.



rzucaj komórki  
kończył.

Odruchowo  
zapasowe ma  
czenie małej b  
go mi się nie p  
1

specjalnych. RazorBack to nóż do samoobrony w ekstremalnych sytuacjach, mówiąc mniej enigmatycznie: do zabijania. Poręczne, niespełna dziesięciocentymetrowe ostrze jest dostatecznie długie, by sięgnąć narządów wewnętrznych, twarde i wytrzymałe. Bez problemu można nim przebić stalową blachę lub lekką kamizelkę kuloodporną. Mimo „sztyletopodobnego” wyglądu nieco zakrzywiona dolna część ostrza pozwala na zadawanie silnych cięć. Miałem nadzieję, że nie będę musiał go użyć. Nie lubiłem tego noża, zabić można co prawda każdym ostrzem, także kuchennym, ale RazorBack to przypadek szczególny. To nóż, którym trudno nie zabić...



Przytłumiony i bełkotliwy głos w słuchawce należał do nastolatka, być może naćpanego nastolatka. Oto mój kontakt. Świetnie...

– *Kto zwonit?* – wymamrotał. – *Kto?*

– *Koń w palto!* – warknąłem wściekły. – Ja do Ludy.

– Gdzie jesteś?

– Niedaleko.

– Za dziesięć minut – odparł zupełnie już innym tonem. – Pod studnią.

Rozłączyłem się bez słowa, zadzwoniłem do Dżumy, tak jak się wcześniej umówiliśmy. Początek akcji, czas start. Studnia... Przed rewolucją trzy podwórka dalej mieściła się remiza strażacka. Po opanowaniu miasta bolszewicy umieścili w niej spory zapas spirytusu technicznego. Pod strażą uzbrojonego w ciężkie kara-

biny maszynowe oddziału złożonego ponoć z samych abstynentów. Już ten fakt dawał wyobrażenie o wadze problemu – znaleźć w Rosji abstynenta... Niestety, wiadomość o składowanym alkoholu dotarła do marynarzy floty bałtyckiej – zaopatrzenie było fatalne, od wielu tygodni nie sprzedawano wódki – a ci postanowili spirytus znacjonalizować. Zacięte walki zakończyły się zniszczeniem tak budynku, jak i alkoholu – marynarze nie byli abstynentami. Później na miejscu remizy powstało osiedle, studnię jakimś cudem zachowano.

W przejściu minąłem kilku nastolatków, dwóch przyblokowało mnie na moment, trzeci sięgnął do tylnej kieszeni, mojej kieszeni. Złapałem go za chudy nadgarstek, podcięciem posłałem na beton.

– Jakiś problem? – spytałem uprzejmie, trzymając dłoń tuż przy rękojeści stridera.

Obrzucili mnie ponurym wzrokiem, ale po chwili namysłu zrezygnowali z konfrontacji. Dałbym im po góra czternaście lat. Nie ma co, wcześniej zaczynają dzieciaczki w tej dzielnicy...

Pod studnią stał kolejny małolat. Nieco starszy niż ci w bramie: szesnaście, może siedemnaście lat. Cholera, jeśli to mój kontakt, to musiał czekać w mieszkaniu opodal. Nie byłem zachwycony, smarkacz nie wyglądał na takiego, który mógłby stać za porwaniem Ludy. Był co najwyżej posłańcem. Tylko czym? Ludy? Batmana? A może kogoś trzeciego? W całej sprawie zbyt wiele rzeczy pozostawało w sferze domysłów, być może Luda pomogła Batmanowi z własnej woli, a może ją do tego zmuszono. Może zabiła Łarina, a może zamordował go

Batman. Jeśli naprawdę porwali ją zawodowcy, jeśli ją przesłuchali, to na pewno długo się nie opierała... Nie potrafiłaby. Tak więc użycie jej loginu o niczym nie świadczyło. Tylko po co ktoś w ogóle wysłał wiadomość? Sam post napisany z konta Ludy był bez znaczenia, chodziło o sygnał, zwrócenie uwagi Bielowa. W jakim celu? Czort wie, może teraz sytuacja nieco się wyklaruje?

Rozejrzałem się po podwórku, od razu zauważyłem dwóch kumpli smarkacza tkwiącego przy studni, też mi ochrona... Poza nimi wokół kręciło się parę dzieciaków i Wańka-Wstańka. Ten ostatni pracowicie przeszukiwał śmietnik w poszukiwaniu czegoś jadalnego. No cóż, cała wyżebrana czy też ukradziona forsa szła na alkohol, zagrycha stanowiła tylko dodatek... W bramie zamajaczyła sylwetka ubranej w krótkie, tandetne futerko panienki. Czyżby polująca na robotników fabrycznych kurewka była na tyle zdesperowana, żeby podrywać małolatów? Nie wyglądali na takich, którzy mają pieniądze. Tak czy owak, to nie mój problem, nie zauważywszy niczego podejrzanego, ruszyłem w kierunku studni. Śnieg – w nocy trochę napadało – poskrzypywał pod nogami, rozpiąłem kurtkę, kilkakrotnie zacisnąłem dłonie, usiłując je rozgrzać. Moje rękawice miały wszytą pod skórą ochronną warstwę kevlaru, ale nie nadawały się na mróz.

Szedłem niepewnym, chwiejnym krokiem, starałem się sprawiać wrażenie przestraszonego. To sztuczka mająca wywieść w pole przeciwnika, skłonić go do nadmiernej zuchwałości, sprowokować. Większość ludzi daje się na to nabrać, przeważnie oceniamy sprawność fizyczną innych osób, obserwując ich ruchy.

– Gdzie Luda? – spytałem.

Gówniarz przyjrzał mi się wzrokiem, który miał być beznamiętny – zapewne długo to ćwiczył przed lustrem – i splunął mi na buty. Źrenice miał rozmiarów łebka od szpilki, ewidentnie był na prochach.

– Niespodzianka! – zarechotał. – Nie ma Ludy! Biercie go, już! – wrzasnął.

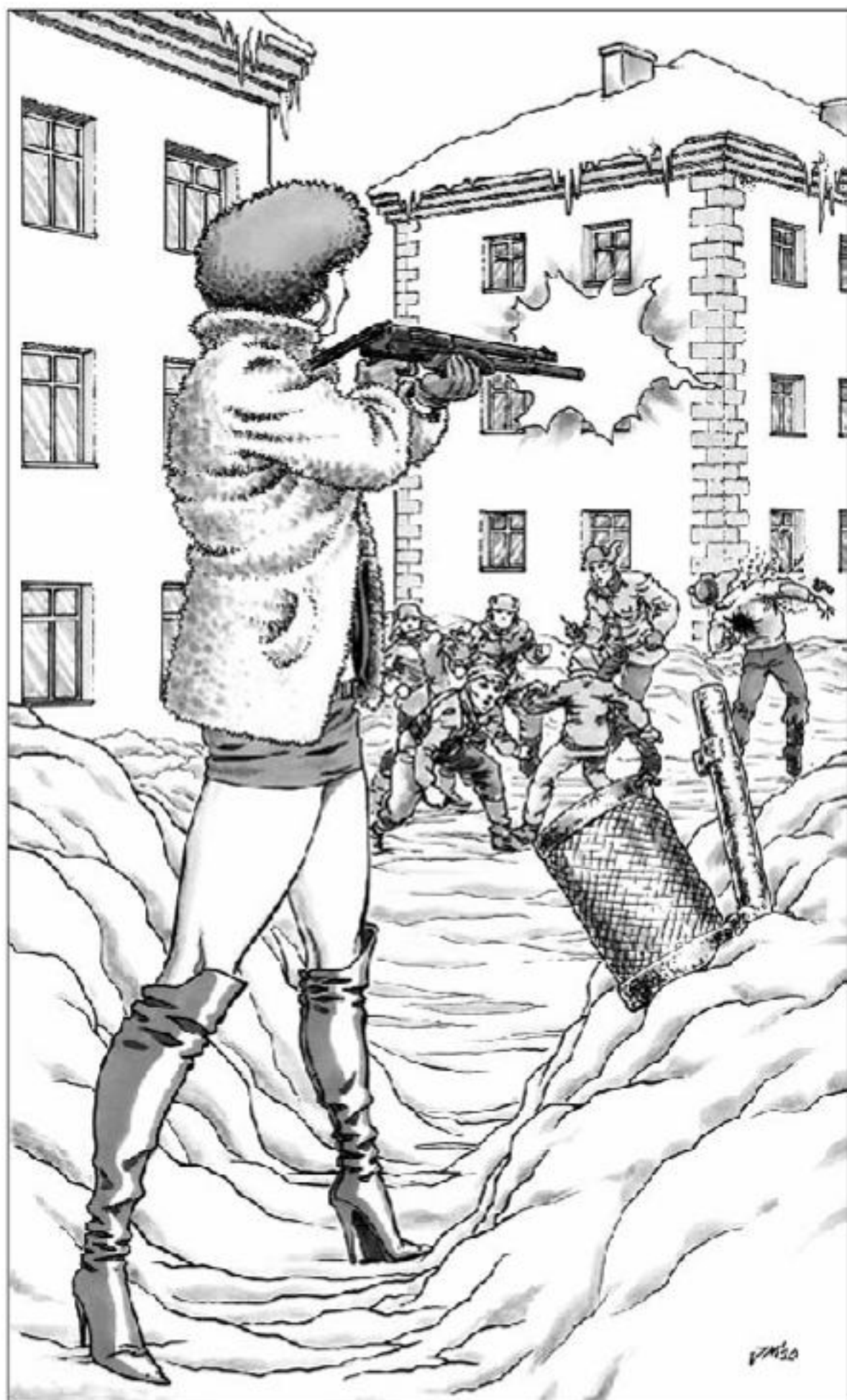
Kopnąłem go w krocze, kiedy złożył się wpół, poprawiłem kolanem. Jeden z jego akolitów złapał mnie od tyłu za kołnierz, złamałem mu nadgarstek, rzuciłem brutalnie na ziemię. Drugi odskoczył, przeklinając, najwyraźniej nie miał ochoty sprawdzać się w walce sam na sam. Zanim go dopadłem, wyroili się z bram. Dzieciaki. Trzyznaście, czternaście lat, niektórzy ciut starsi. Dwadzieścioro, może więcej. Kilku smarkaczy rozgoniłbym kopniakami – może. A może i nie. To nie była grupa choćby i najbardziej brutalnych nastolatków, to były dzieci ulicy. Od małego tresowane do walki, bo tylko tak mogły przetrwać, bezlitosne, bo wszystkie sięgnęły dna. Pod każdym względem. Łączące się w grupy niczym bezpańskie psy, żeby zabić kogoś, komu nie dałyby rady w pojedynkę. Cofnąłem się powoli na widok noży w ich rękach, sięgnąłem po broń. Już wyciągając pistolet, wiedziałem, że coś jest nie tak – kolba była inna w dotyku, nie zgadzała się waga. Kurwa mać! Trzymałem w ręku replikę glocka, musieli mi ją podmienić w przejściu. Smarkacz, którego złapałem na grzebaniu mi w kieszeni, miał tylko odwrócić moją uwagę. Brawo, doktorze Korpaczki, to może być wasz ostatni błąd...

Jakiś nastolatek wysforował się naprzód, zaatakował podstępnym pchnięciem w krocze. Czyżby pretendent do roli przywódcy stada? Odbiłem ostrze grzbietem

wzmocnionej kevlarem rękawicy, trzasnąłem chłopaka kolbą w twarz. Usłyszałem chrupnięcie, ani chybi poszła kość jarzmowa. No, ten prędko się nie podniesie. Odskoczyłem, wydobywając nóż, zawahali się na moment. Po chwili znowu ruszyli. Gdyby można było butelkować nienawiść, którą emanowały te dzieciaki, wyszłyby jej całe kontenery. Poczułem na plecach zimny dreszcz – miałem teraz dostać za wszystko: za matkę, która wyrzuciła na ulicę albo sprzedała, aby zdobyć forszę na następną działkę, za ojca pijaka, który potrafił jedynie bić, za starszych i silniejszych, którzy krzywdzili, bo mogli...

Nie tylko ja popełniłem błąd, zamroczony jeszcze po wieczornej libacji Wańka-Wstańka wyrzucił jednego z chłopaków pustą butelką w głowę, wrzasnął coś, chcąc przestraszyć smarkaczy. Dopadli go w sekundę – zakrzyczał wysokim, cienkim głosem, kiedy zimne klingi pruły mu podbrzusze, runął na śnieg zwinięty jak robak. Skorzystałem z okazji, przerzuciłem kilkakrotnie nóż z ręki do ręki, pchnąłem. Wprawny nożownik przypomina iluzjonistę, jego ruchy mają i zwodzą, by w końcu zdemontować oniemiałemu widzowi sztuczkę z ostrzem, które pojawia się tam, gdzie się go nie spodziewano... Znikąd. W krzyku chłopaka, którego zabiłem, usłyszałem ból, wściekłość i zaskoczenie. Bo oto objawiono mu tajemnicę śmierci – przedwcześnie, zdradziecko, z okrutną nonszalancją. Nie poświęcając nawet spojrzenia, nie łowiąc przekazu gasnących oczu.

Odszedłem w bok ruchem tak płynnym, jakby stanowił element tańca, strząsnąłem krew z klingi. Rzucili się na mnie, ryjąc skrwawiony śnieg obcasami, krzyżąc i dźgając. Przepląnąłem między nimi niczym duch,



przesuwając stopy po widocznych tylko dla mnie liniach przecinających wyimaginowane koło – destreżę. Zniknęły gdzieś wykrzywione nienawiścią twarze, płonące oczy, wszystkie ruchy podporządkowane zostały regułom geometrii, każdy atak stał się figurą wpisaną w okrąg. Zataczałem mniejsze i większe kręgi, poruszając się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zmuszałem napastników do ciągłej zmiany kierunków ataku, ustawiony do nich bokiem, w pozycji zwanej przez hiszpańskich mistrzów klingi *diestro*. Tak, aby wystawiać na ciosy jak najmniejszą powierzchnię ciała. Spróbowali mnie osaczyć, zatrzymać ścianą ostrzy, wyrzuciłem dłoń, tnąc ze świstem powietrze, rozplątałem najbliższemu usta. Odskoczył z wyciem. Nic wielkiego, dawniej nazywano to „hiszpańskim pocałunkiem”; taka ranka nikogo nie powstrzyma, choć z pewnością uczyni ostrożniejszym, zdeprymuje. Wargi to bardzo wrażliwy rejon.

Z oddali dobiegało zawodzenie milicyjnych syren; kurwa, gdzie są ludzie Dżumy?! Jak długo wytrzymam w tym tańcu?

Niedługo, niedługo... – odpowiedziała czyjaś klinga, tnąc mnie przez plecy. Gdyby nie gruba kurtka, poharałoby mi kręgosłup, ale i tak poczułem lodowate ukąszenie, zaboląły przeorane – kto wie jak głęboko? – mięśnie. Na razie jeszcze napędzała mnie adrenalina, trzymałem się na nogach, tkałem wokół stalową sieć.

Pierwszy strzał zranił w ucho atakującego mnie dziecka – małolat, który podmienił mi glocka, na pewno nie był ekspertem w posługiwaniu się nim. Teraz wymierzył starannie, trzymając broń oburęcznym chwytem, jak na amerykańskich filmach; na jego gest resz-



ta bandy rozpierzchła się niczym wróble, otwierając mu pole ostrzału.

Huk, który rozległ się chwilę później, był zbyt głośny jak na pistolet. Chłopak zaryczał boleśnie i runął na ziemię, plamiąc śnieg czerwienią. RMB. Dopiero teraz ją poznałem. Ubrana w kuse futerko, ze strzelbą w rękach, postąpiła krok naprzód, wypaliła. Padło kolejne dziecko. I znowu podeszła bliżej, zyskując dla mnie sekundy, może ułamki sekund. Dwóch chłopaków zaatakowało ją z boku, w śmiertelnej, nabrzmiałej dziką nienawiścią ciszy. Raisa zwinęła się w ciasnym skręcie, trafiła obu.

Ile pocisków zostało jej w magazynku? Dwa, trzy? Na pewno nie więcej. Czy wystarczy? Wystarczyło. Zza pobliskiego bloku dobiegły okrzyki – nadciągała odsiecz, dzieciaki zaczęły uciekać. Wymykały się pojedynczo, żegnając mnie nienawistnymi spojrzeniami. Jeden przebiegł tuż obok Raisy, przepuściła go – błąd, kolejny błąd tego ranka. Krzyknęła, kiedy nagle zawrócił, zgięty wpół wbił jej nóż w łydkę. Po chwili zawarczał jak zwierzę, podnosząc rękę do następnego ciosu. Skłębili się na ziemi, zanim dobiegłem, było po wszystkim – dzieciak leżał z własnym nożem w gardle, RMB miała w ustach przekleństwa.

– Opatrzysz mi wreszcie tę ranę czy będziesz tak stał z palcem w dupie?! – wrzasnęła.

Klęknąłem przy niej, wyciągnąłem bandaż i antyseptyk w aerozolu. Na szczęście, w odróżnieniu ode mnie, nie zapomniała o apteczce.

– Jak się czujesz? – spytałem.

– Znakomicie! – wysyczała. – Udawanie dziwki to moje ulubione zajęcie, szczególnie na mrozie. Dodajmy

do tego przywilej chronienia jakiegoś polskiego dupka. Szlag! Ten mały skurwiel mnie ugryzł. Życie jest piękne!

Zabandażowałem jej łydkę, zerknąłem frasobliwie na poszarpane zębami przedramię – z tym mogą być kłopoty, to robota dla fachowców. Rany kąsane paskudnie się goją, często ulegają zakażeniu. No i trzeba będzie zakładać szwy.

Na podwórko wbiegli uzbrojeni po zęby ludzie w czarnych uniformach i kominiarkach. Kawaleria. Tyle że po czasie. Gdyby nie Raisa Maksimowna Borelska, gryzłbym ziemię jak te dzieciaki.

– Wszystko w porządku? – zapytał Dżuma, podchodząc do nas.

– Żyję – odparłem apatycznie. – Jeszcze żyję...



– Wygodnie ci? – spytała troskliwie Małgorzata.

Przytaknąłem, napawając się bezwstydnie statusem kombatanta. Z harataniny na osiedlu wyszedłem prawie nietknięty: parę skaleczeń na dłoniach – najwyraźniej kevlar nie chronił aż tak dobrze, jak zapewniał producent – plus rana na plecach. Ta ostatnia nie była zbyt głęboka, wystarczyło parę szwów. Chyba stanę się entuzjastą swetrów z owczej wełny.

Mimo że nie odniosłem większych obrażeń, Małgorzata uparła się mi towarzyszyć. Odwołała nawet spotkanie z Duninem, specjalistą od analizy szachowych strategii. To chyba jedyna korzyść z tej rozpierduchy... Nie ma co ukrywać: byłem zazdrosny, w sposobie, w jaki Dunin

patrzył na moją żonę, dopatrywałem się czegoś niepokojącego.

– Jak mogłeś dać podmienić sobie broń? – odezwała się z wyrzutem Margarita. – Naprawdę powinieneś bardziej uważać.

Wcześniej przedstawiłem jej z lekka ocenzurowaną wersję moich przygód, nie podkreślałem faktu, jak mało brakowało, aby dosięgnął mnie pocałunek Mojry.

– Uważałem – mruknąłem, ocknąwszy się z zamyślenia. – Ale ci smarkacze byli naprawdę dobrzy.

– Myślałam, że znasz się na tym – parsknęła.

– Na doliniarstwie? Nie. Moja specjalność to włamania – oznajmiłem cierpko. – Mam zmysł techniczny, radzę sobie z zamkami, ale nie nadaję się na kieszonkowca. Żeby być ekspertem w tej dziedzinie, trzeba ćwiczyć od dziecka. To kwestia giętkości palców i koordynacji ruchowej. Zbyt późno zacząłem.

– Mówisz poważnie?!

– Jak najpoważniej – zapewniłem. – Teraz prawie nie ma już prawdziwych kieszonkowców, złodzieje pracują w grupach. Część robi sztuczny tłok, odwracając uwagę ofiary, jeden kradnie zegarki i portfele, przekazując je natychmiast kurierowi, który wysiada z autobusu czy metra. Jeśli ofiara się zorientuje, „obstawa” po prostu ją leje. – Wzruszyłem ramionami. – To nie ta klasa co dawni doliniarze. Ci zaczynali treningi na obwieszonych dzwoneczkami manekinach krawieckich, musieli wydość portfel z wewnętrznej kieszeni, nie powodując najmniejszego hałasu. Później robili to samo z zawiązanymi oczyma, w ciemnościach i odwróceniu plecami. Przed

wojną w Polsce istniały cztery złodziejskie szkoły, myślę, że można by je nawet nazwać uczelniami. – Uśmiechnąłem się złośliwie. – Najsławniejsza mieściła się we Lwowie, niewiele ustępowała jej renomą szkoła warszawska. Podobno w salach, gdzie odbywały się zajęcia, wisiał na poły biblijny cytat: „Ulżyj ciężarowi, który dźwiga brat twój”...

– Skąd wiesz tyle na ten temat? – Małgorzata zmarszczyła brwi.

– Jestem historykiem. – Odchrząknąłem z godnością.

Moja żona nie wyglądała na przekonaną, ale nie drążyła tematu.

– Więc myślisz, że te dzieciaki...

– Tak, ktoś ich nieźle wyszkolił – dopowiedziałem. – Złapali jednego z tej trójki, która mnie obrobiła, miał przy sobie spirytus.

– Nie rozumiem, do picia?

– Skąd, do nacierania dłoni – wyjaśniłem. – To uwrażliwia opuszki palców. Tę sztuczkę znają tylko zawodowcy. Dawniej wykorzystywali ją też kasiarze, to znaczy ci, którzy nie posiadali słuchu absolutnego.

Małgorzata spojrzała nieco zdezorientowana.

– Mógłbyś to wyjaśnić?

Przerwało nam pukanie, w drzwiach stanęła Marina.

– Nie przeszkadzam? – spytała nieufnie.

Po historii z basenem bardzo się pilnowała, aby nas nie zaskoczyć. Nie miałem nic przeciwko temu – nastolatki bywają upierdliwe.

– Nie przeszkadzasz – zapewniłem. – Nawet możesz się przydać, zamów wujkowi zimne piwo...

Dziedziczka fortuny Michaiła Bielowa obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem, ale posłusznie podeszła do telefonu. Kto wie, może gdyby ktoś się nią zajął, byłaby z niej całkiem miłą dziewczyna?

Chrząknąłem z zadowolenia, kelnerka dostarczyła od razu kilka butelek. Ludzie Bielowa wiedzieli, jak spełniać życzenia gości.

– Jeśli ci się wydaje, że to wszystko wypijesz... – odezwała się groźnie Małgorzata.

– Jestem odwodniony – odparłem z niewinną miną. – Lekarz powiedział, że mam uzupełniać płyny.

– Mamy świetną wodę mineralną na soku brzozywym – poinformowała z podstępny uśmiechem Marina.

– Kiedy to nie to samo...

– No dobra, co z tymi kasiarzami? – upomniała mnie żona.

– Większość kasiarzy otwierała sejfy na słuch. Każdy z nich byłby w innych okolicznościach znakomitym muzykiem. Posługiwali się lekarskim stetoskopem, manipulując jednocześnie tarczą mechanicznego zamka. Dźwięk przeskakujących zapadek informował ich, czy wybrana cyfra jest tą właściwą, w ten sposób po paru lub parunastu minutach potrafili odgadnąć szyfr. Aby otwierać w ten sposób sejfy, trzeba mieć słuch absolutny. No, to akurat wszyscy wiedzą. Zdarzali się kasiarze, którzy stosowali nieco inny sposób: obcinali bardzo krótko paznokcie i starali się uwrażliwić opuszki palców, mocząc je w spirytusie. Manipulując tarczą zamka, dotykali czubkami palców drzwiczek sejfu, podobno umieli roz-

różnić drgania, jakie powodowało nastawianie numerów. Bez błędnie wychwytywali te właściwe.

– Bzdury! – parsknęła Marina. – Coś takiego jest niemożliwe.

– To naprawdę nic takiego – mruknąłem. – Odrobina wprawy i tyle.

– Może nam pokażesz? – Dziewczyna wyszczerzyła zęby. – Jestem pewna, że znajdzie się jakiś sejf.

– Nie moja branża. – Wzruszyłem ramionami. – Ale jeśli chcecie koniecznie sztuczek...

Wyciągnąłem z walizki glocka, opróżniłem magazynek, na wszelki wypadek oddałem dwa strzały kontrolne w sufit – to wszystko pod zaniepokojonym spojrzeniem Małgorzaty – wreszcie włożyłem broń do kabury.

– Podejdź bliżej – poleciłem Marinie.

Podąłem jej pistolet.

– Odwróć się do was plecami, usiądę na tym krześle. Staniesz tutaj, kiedy będziesz chciała, wyciągniesz broń. Podniosę rękę, gdy to zrobisz.

– Odwrócony plecami? – spytała z niedowierzaniem.

Przytaknąłem z uśmiechem.

– Zobaczymy! – wydeła kpiąco usta. – Zobaczymy... – Oszukujesz! – zawołała po chwili. – Musisz oszukiwać!

– Ależ skąd, naprawdę nie podglądałem.

– Na czym polega trik? – zainteresowała się Małgorzata.

– Zapach – wyjaśniłem. – Mam bardzo czuły węch, ćwiczyłem go latami. Kiedy wyciągasz pistolet z kabury, zapach oleju, jakiego używam do czyszczenia broni, staje się bardziej intensywny. Po wczorajszych przygodach wyczyściłem glocka wyjątkowo dokładnie.

Marina pokiwała głową, ale widziałem, że myśli o czymś innym. Czyżby znowu miała jakieś problemy i czekał mnie występ w roli zastępczego tatusia? Nie, to przecież niemożliwe, żeby córka Bielowa odwiedziła mnie z innych powodów niż mój osobisty czar...

Westchnąłem z rezygnacją – gdybym siedział sam, próbowałbym się wymigać, ale wąpiłem, że mi się to uda w obecności Małgorzaty. Moja żona miała miękkie serce.

– No co tam? – mruknąłem.

Nawet nie udawała, że nie wie, o co chodzi.

– Dokuczają mi bez przerwy – powiedziała, zagryzając wargi. – Nie mogę praktycznie wychodzić z domu, a moje przyjaciółki – zaakcentowała z ironią – szaleją po dyskotekach i zaliczają facetów. Jest taki serwis, gdzie co dzień mi to wypominają. Te suczki... – Urwała, popatrując na Margaritę.

– Cóż, Internet raczej nie jest strefą wszechżyczliwości – stwierdziłem filozoficznie. – Ze względu na ojca jesteś osobą publiczną, musisz się do tego przyzwyczaić. Koleżanki ci zazdroszczą, może się boją. – Wzruszyłem ramionami.

– Boją się?!

– Owszem – przytaknąłem. – Wiedzą, że możesz stać się kimś, komu nie będą w stanie dorównać.

– Masz na myśli pieniądze? Ich rodzice także nie są biedni.

– Pieniądze to nie wszystko, chodzi jeszcze o władzę, o realne wpływy. Z tego, co słyszałem, twój ojciec nie ma konkurencji w tej dziedzinie. No i podejrzewam, że większość twoich koleżanek nie jest ani najśliczniejsza, ani najmądrzejsza.

– Co z tego? – odburknęła. – Wyśmiewają się ze mnie, a ja nie mam możliwości, żeby im za to odpłacić.

– Ćwicz się w cierpliwości – poradziłem, otwierając trzecią butelkę piwa.

Małgorzata sprzątnęła mi ją sprzed nosa.

– Może najpierw pomożesz Marinie? – warknęła.

– Dlaczego ja?

– Dlatego!

Mina mojej żony świadczyła, że nie istnieje możliwość negocjacji.

– Myślę, że oddział Specnazu załatwiłby sprawę – odparłem bezczelnie. – Podasz adresy najbardziej upierdliwych pańienek, a szczegóły się dopracuje.

Dziewczyna obrzuciła mnie wściekłym spojrzeniem, poczerwieniała ze złości, myślałem, że nie powstrzyma się od komentarza, wybuchnie. Pomyliłem się, dała radę. Przez chwilę siedziała z opuszczoną głową, otwierając i zaciskając pięści.

– Więc nic się nie da zrobić? – spytała żalonym tonem.

No proszę, pańienka się uczy. W szybkim tempie. Za parę lat będzie z niej niezła manipulatorka...

– Moje piwo – upomniałem się bez żenady.

Małgorzata oddała mi butelkę z ciężkim westchnieniem.

– Słuchamy – ponagliła.

– Sprawa jest prosta – oznajmiłem, pociągnąwszy z lubością spory łyk. – Pańienki pozują na dorosłe, światowe kobiety. Trzeba odwrócić sytuację, sprawić, aby wyszły na smarkule, a królową nocy okazała się nasza mała intrygantka.



Niezbyt delikatnie uszczypnąłem dziewczynę w policzek.

– Intrygantka?! – zawołała z oburzeniem.

– Intrygantka – potwierdziłem. – Wracając do rzeczy, wystarczy, że twój ojciec wyda bal. Na pewno znajdzie się jakaś okazja.

– Miesiąc temu były moje urodziny – powiedziała z namysłem Marina.

– Nie miałaś przyjęcia? – zainteresowała się Małgorzata.

– Nie, ale na moje osobiste konto spłynęła kolejna sześciocyfrowa suma – odparła, odwracając wzrok.

Milczeliśmy przez chwilę, nie było o czym mówić. Bielów, ty idioto...

– No dobra – odchrząknąłem. – Nikt nie będzie się dziwił, że impreza została przesunięta, wszyscy wiedzą, z jakiego powodu... To ma być uroczysty bal, żadnego płasania w rytmie bajo bongo – uprzedziłem. – Musisz zorganizować coś, czego nie są w stanie zrobić twoje koleżanki: wyszukane kreacje, uroczysta oprawa, a na sali ludzie z pierwszych stron gazet. Jeśli ładnie poprosisz, twój ojciec to załatwi. Następna sprawa: jakich facetów preferują te twoje koleżanki?

– Niebezpiecznych – wypaliła bez namysłu Marina. – Z tą blizną na twarzy świetnie byś się nadał, wujku. Gdybyś miał jakieś dziesięć lat mniej...

Uskoczyła zwinnie, zanim zdążyłem walnąć ją poduszką.

– To marzenie ściętej głowy – kontynuowała dziewczyna. – Ojciec nigdy się nie zgodzi, żeby zaprosić na bal kogoś interesującego. Podejrzewam, że skończy się

na podtatusiałych biznesmenach, politykach i paru aktorach.

– Troszczy się o twoje bezpieczeństwo – zauważyła Małgorzata. – Trudno, żeby wpuścił do domu jakichś cwaniaczków z przedmieścia.

– Kogo?!

– Założę się, że takimi właśnie chwalą się twoje koleżanki. Też byłam kiedyś nastolatką. Jeszcze nie zapomniałam – dodała.

– To żaden problem – oznajmiłem beztrósco. – Jednakże... – Zerknąłem wymownie na ostatnie piwo.

Moja żona z rezygnacją przysunęła mi butelkę.

– To koniec na dzisiaj – oznajmiła twardo. – Jesteś ranny.

– Takie tam rany. – Machnąłem lekceważąco ręką. – Ale niech będzie. O czym to ja...

– O niebezpiecznych facetach – przypomniała Marina słodkim głosem.

– Można ściągnąć żołnierzy – zaproponowałem. – Ze szkół oficerskich. Ostrych chłopaków z desantu o słowiańskiej urodzie... Żaden żołnierz nie odmówi darmowej wyżerki, wypitki i zwolnienia z zajęć. Nawet jeśli będzie to wymagało wbicia się w galowy mundur. Zgodę dowództwa twój ojciec załatwi jednym telefonem. Najwyżej będzie musiał zaprosić też paru generałów.

Marina z namysłem ściągnęła usta, nalała sobie wody mineralnej.

– To chyba dobry pomysł – odezwała się niepewnie. – Tyle że nie wiem, kto to zorganizuje. Do tej pory takie rzeczy załatwiała Luda. Trzeba sporządzić listę gości, odpowiednio rozsadzić ich przy stole, szczególnie tych waż-

niejszych. Ojciec może ich zaprosić, ale na pewno nie będzie się zajmował protokołem dyplomatycznym. Jeśli przyjdą oficjele... Nie można pozwolić, żeby któryś się obraził tylko dlatego, że posadzono go nie po tej stronie stołu co trzeba. Cholera, nie znam się na tym! – rzuciła z rozpaczą.

– Za to ja się znam – odparła Małgorzata. – Mój ojciec jest dyplomata, spędziłam pół życia na takich imprezach. Mam też pewne kontakty wśród europejskiej arystokracji, mogłabym...

Dalsze wywody przerwał jej radosny pisk – Marina z zapałem zaczęła obcałowywać moją żonę. Miałem dużo mniej wesołą minę, podejrzewałem, że na bal zostanie zaproszony ojciec Margarity. Problem w tym, że nie przepadaliśmy za sobą. Mój teść z wyglądu przypominał pruskiego junkra – brakowało mu jedynie monokla: wyniosły, o zimnym, nordyckim temperamencie, nigdy mnie nie zaakceptował. W jego świecie byłem tylko kundlem niewiadomego pochodzenia, który przez przypadek – hołota z definicji nie ma żadnych zalet, może mieć jedynie szczęście – zdobył uczucie jego córki. No ładnie, szykuje się niezły bal...



Dwukrotnie przeszliśmy kontrolę dokumentów, mimo że któryś z asystentów Bielowa zapowiedział nas wcześniej. Nie byłem zdziwiony – w 442. Szpitalu Klinicznym Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej obowiązywały specjalne procedury bezpieczeństwa. Nie zwróciłem na to uwagi, myślałem o Wańce. Rzecz jasna, le-

żała tu też Borelska, ale nie martwiłem się specjalnie o RMB, odniosła tylko powierzchowne rany. Wańka... Czort wie czy to, co zrobił, miało jakiegokolwiek znaczenie. Czy w czymkolwiek mi pomogło. Nie wiedziałem nawet, czy był świadomy, w co się pakuje, w momencie kiedy zaczęła się rozpierducha, „bojar” nie należał do najtrzeźwiejszych w okolicy. Niemniej jednak usiłował mi pomóc.

Rozmyślenia przerwała mi nie pierwszej młodości lekarka – wyszła z pokoju Wańki-Wstańki, znużonym gestem rozmasowała skronie.

– *Gospodin* Korpacki? – spytała, podchodząc.

Skinąłem głową.

– Filatowa Maria Wasiliewna – przedstawiła się, potrząsając moją dłońią.

– Co z nim? – odezwała się Małgorzata.

– Wytrzewienie – odparła krótko lekarka. – Stracił dwa litry krwi, do tego jego organizm jest bardzo osłabiony, a wątroba w nie najlepszym stanie.

– Wyżyje?

Zmierzyła mnie taksującym wzrokiem zza grubych szkieł. W okularach i z lekko haczykowatym nosem przypominała zdziwioną sowę. No tak, miała dylemat do rozstrzygnięcia: powiedzieć prawdę czy kręcić, odrobina medycznego żargonu i sam diabeł nie wyzna się, o co chodzi... Wyraźnie nie wiedziała, jak nas sklasyfikować – z jednej strony pacjent wyglądał jak kloszard, z drugiej umieszczono go w elitarniej placówce, w separacie, zagoniono do roboty najlepszych medyków, a na korytarzu postawiono strażnika. Ciężka sprawa. Ochroniarz nie miał nic wspólnego z milicją – Rosjanie wyczuwali ta-

kie rzeczy bezbłędnie – a więc w akcję zamieszane były służby specjalne.

– Wątpię – zdecydowała się w końcu na szczerość.

Widać nie kojarzyliśmy się jej z rodziną Wańki.

– Lada moment może... – Wykonała nieokreślony, pełen rezygnacji gest. – Jeśli przeżyje najbliższe trzy doby, jego szanse wzrosną.

– A Borelska? – rzuciłem z westchnieniem.

– Żadnych komplikacji – odpowiedziała natychmiast. – Pojutrze ją wypiszemy. W zasadzie przebywa na obserwacji, nie ma zagrożenia, ale poproszono nas, żeby ją zatrzymać na parę dni. Jest dość... krnąbrną pacjentką.

– Mogę się z nią zobaczyć?

– Oczywiście, sąsiednie drzwi.

Zapukałem i nacisnąłem klamkę, nie czekając pozwolenie. Znajac RMB, mogłem się nie doczekać. Siedziała w łóżku oparta o stertę poduszek, z rozłożonego na kolanach laptopa dochodził jakiś łomot. Zerknąłem: Raisa Maksimowna Borelska zajęta była eksterminacją obcych. No cóż, trudno się było spodziewać, że zastanę ją studiującą dzieła Platona...

– O, mój ulubiony dupek – rzuciła, unosząc wzrok. – Czego chcesz?

– Przyniosłem ci drobiazg.

Położyłem na łóżku pudełko czekoladek, największe, jakie mogłem kupić.

– Czekoladki?! – wrzasnęła, patrząc z niedowierzaniem na prezent. – Czy ja, kurwa, wyglądam, jakbym lubiła czekoladki?!

Powstrzymałem Borelską gestem, zanim zdążyła gruntownie wyłożyć swoje racje. Wołałem, żeby Marga-

rita tego nie słuchała, niektóre rosyjskie przekleństwa są zdumiewająco podobne do polskich...

– Druga warstwa – poinformowałem lakonicznie. – *Zdorowia żelaju!* – burknąłem, wychodząc.

– Ona tak zawsze? – spytała Małgorzata.

– Nie lubi Polaków. – Wzruszyłem ramionami.

– Co tam jest? W bombonierce?

– Piersiówka z alchemiczną wódką. Myślę, że będzie zadowolona.

– Ale ona jest chora, jeśli jej zaszkodzi...

– Jest zdrowa jak koń, jej rany to draśnięcia. Martwiłem się trochę o tę kąsaną, ale skoro od razu zabrali się za nią specjaliści, nie widzę problemu. A co do wódki, byłem świadkiem, jak wychyliła pół szklanki dwoma haustami. Raisie nic nie będzie – zapewniłem.

Zagapiłem się w drzwi usytuowanej tuż obok izolatki: wejść czy odpuścić? Nie sądziłem, że jestem cokolwiek winien Wańce, jednak z drugiej strony... Ochroniarz wykonał przyzwalający gest, więc, nadal niezdecydowany, nacisnąłem klamkę. Błada, niemal przezroczysta twarz Wańki sprawiała wrażenie dziwnie rozluźnionej na tle białej, szpitalnej pościeli. Mężczyzna wyglądał, jakby dopiero co zasnął, przez moment wydawało się, że na jego ustach zagrał przelotny uśmiech. Tylko oplatające ciało rurki i kable świadczyły, że nie jest to poobiednia drzemka. W nosie wiercił przenikliwy zapach leków, monotonnie popiskiwała jakaś aparatura. Kim był, zanim skończył w piwnicach na sto pierwszym kilometrze? Jak żył, o czym marzył? Umyty, pozbawiony niechlujnej, siwej szczeciny nie przypominał w niczym menela.

Za plecami usłyszałem kroki, zerknąłem przez ramię – Oleg oparł się o framugę drzwi.

– Był inżynierem – odparł, jakby odczytując moje myśli. – Miał żonę i dziecko. Ma żonę i dziecko – poprawił się po chwili milczenia. – Syna. Kiedy wrócił z Czechenii, zastał swoją ślubną z kochankiem. Sąd wziął pod uwagę okoliczności łagodzące, dostał osiem lat za zabójstwo w afekcie. Kiedy siedział, zmieniła zamki i wystąpiła o rozwód. Został bez pracy, w fabryce nie potrzebowali kryminalisty mającego problemy z panowaniem nad sobą. Życie. – Wzruszył ramionami.

– Po cholere wmięszał się w tę harataninę?! – warknąłem.

– Skąd mam wiedzieć? – odparł Dżuma. – Był pijany.

Skinąłem głową i wyszedłem z izolatki, nie oglądając się za siebie. Nie było sensu zastanawiać się nad motywami kierującymi alkoholikiem i degeneratem. Pewnie nawet sam nie wiedział, co i dlaczego robi. Najprawdopodobniej.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

**P**otarłem oczy zmęczone wielogodzinnym wpatrywaniem się w monitor, Zina podała mi jakieś krople, podziękowałem. To jeszcze nie był koniec sesji. Przesłuchania schwytanych na osiedlu dzieciaków nie przyniosły żadnych rewelacji – nikt nic nie widział, niczego nie słyszał. Zaproponowano im forszę za zabicie obcego, nikomu nieznanego frajera. Przyjęli propozycję – a jakże! – z przyjemnością. Jedynie mój naćpany „kontakt”, małolat, który wyznaczył spotkanie pod studnią, widział klienta. Raz, w nocy i w dodatku facet miał twarz osłoniętą kapturem. Rysopis: wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, około metr dziewięćdziesiąt wzrostu, rasy białej. Sądząc po akcencie – rdzenny Rosjanin. Dlatego piłeczka znalazła się na boisku Ziny, musieliśmy poprosić o pomoc bossów rosyjskiego półświatka. Ci powinni szybko ustalić, kto i dlaczego zamówił morderstwo, możliwe, że będą w stanie określić, gdzie ukrywa się Luda. O ile się ukrywa. W pewnych kręgach rosyjscy bandyci mieli większe możliwości niż milicja i służby specjalne razem wzięte. Dziwiłem się, że Bielow nie wpadł na ten



pomysł już wcześniej, ale może myślał, że się obejdzie – wiadomo, że za taką pomoc trzeba będzie zapłacić, drogo zapłacić. Niekoniecznie pieniędzmi.

Generalnie kontakty z *worami w zakonie* wziął na siebie Dżuma. Ci ludzie znali go jako kogoś w rodzaju asystenta Biełowa, ale nie wiedzieliśmy, czy i ja nie będę musiał spotkać się z jakimś lokalnym „autorytetem”. Stąd w przyspieszonym tempie zapoznawałem się z obszernym *who is who* rosyjskiej mafii. No i starałem się zapamiętać wszystkie detale, zgodnie z zasadami znanej, choć niemal niepraktykowanej już od setek lat sztuki.

Zamknąłem oczy, wywołałem w myślach gigantyczny pałac, wszedłem do westybulu. Przewodniczka, półnaga kobieta o bujnych kształtach – cóż, zacząłem ćwiczyć sztukę pamięci jako nastolatek – zaprowadziła mnie do skrzydła oznaczonego napisem „Rosyjska przestępczość zorganizowana”. Wyobraziłem sobie pierwszy pokój, zawiesiłem na drzwiach tabliczkę „grupa podolska”. Wszedłem do pomieszczenia, aktem woli wyposażyłem je w potężną szafę biblioteczną, zacząłem kompletować akta. Dane geograficzne grupy – rejony: podolski, czechowski i sierpuchowski w obwodzie moskiewskim. Specjalizacja – legalny biznes. Kontroluje szosę warszawską i serwisy samochodowe na południu Moskwy. Od stu do stu pięćdziesięciu członków.

Przeszedłem do akt osobowych: lider Siergiej Łałakin, pseudo *Łuczok*, niekarany. Urodził się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku...

Stopniowo przybywało segregatorów z fotografiami i krótkimi charakterystykami bandytów, tworzyłem kolejne pokoje. Kiedy zechcę, powrócę tu i odświeżę pa-

mięć, nie zapomnę najmniejszego drobiazgu, to tylko kwestia wprawy. No i codziennych, mozolnych ćwiczeń.

Grupa izmaiłowska – jedna z najsilniejszych w Moskwie. Około dwustu aktywnych członków. Trzon stanowią byli pracownicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, prokuratury i Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Specjalizacja – większość dochodów pochodzi z legalnej działalności, grupa działa aktywnie na rynku obrotu aluminium...

Grupa kazańska. Składa się z większej liczby drobnych grup. Nie posiada ściśle określonych stref wpływów. Specjalizacja: drobny biznes, handel, transport paliwa, wynajem „żołnierzy”. W obszarze legalnych interesów handluje ropą naftową i nieruchomościami. Kontroluje hotele i kasyna...

– Dosyć na dzisiaj – zdecydowałem. – Z resztą materiałów zapoznam się jutro.

Zina zerknęła na zegarek, skinęła głową – dochodziła piąta po południu, pracowaliśmy od rana z krótką przerwą na obiad. Rzeczywiście wystarczy jak na jeden dzień. Wziąłbym materiały do siebie, może zerknął na nie jeszcze wieczorem, ale Zina uparła się, aby przeglądać je tylko tutaj, w zabezpieczonym przed wszelkiego typu inwigilacją pokoju. No cóż, może to zbytek ostrożności, a może i nie... Lepiej dmuchać na zimne.



Już otworzywszy drzwi do apartamentu, wiedziałem, że coś jest nie tak. Po chwili skojarzyłem – zapach:

„L’Instant de Guerlain”. Najwyraźniej ktoś mnie odwiedził. Tylko kto? Zina nie używała perfum, przynajmniej na co dzień, Marina także, zresztą wątpię, że któraś z nich buszowała tu pod moją nieobecność. Małgorzata wołała „Rose Supreme” Antonio Viscontiego. Ktoś obcy? Wolne żarty, przy tym poziomie ochrony było to wykluczone. Chyba że Batman jest kobietą...

Wyjąłem broń, zajrzałem do łazienki – pusto. Zgasło światło, ale po chwili ktoś zapalił kinkiet, usłyszałem zgrzyt zamykanego od wewnątrz zamka. Sam na sam z włamywaczem? Hm...

Była ubrana w obcisły, czarny strój, kiedy mnie zobaczyła, sięgnęła po przypięty do pasa nóż.

– Ręce na kark! – rzuciłem cicho, popierając polecenie wymownym gestem dłoni trzymającej glocka.

Usłuchała.

– Rozepnij pasek, wyciągnij go i odrzuć razem z nożem. Lewą ręką. Dobrze, teraz ręce na ścianę, nogi w rozkroku.

– Nie zrobiłam niczego... – odezwała się niskim, schrypniętym głosem.

– Włamałaś się do mojego pokoju – przerwałem bezceremonialnie.

Przystawiwszy jej lufę do głowy, skontrolowałem, czy nie ma ukrytej broni. Zrobiłem to wolno i bardzo dokładnie.

– Rozbieraj się! – rozkazałem.

– Ale...

– Bez dyskusji! – uciałem zimno. – Mam zamiar sprawdzić, czy nie masz bandyckich tatuaży.

Powoli ściągnęła bluzeczkę. Nie nosiła biustonosza. Mimo przyćmionego światła od razu zauważyłem smoka na lewej łopatce. Do cholery, to chyba nie prawdziwy...

– Spodnie też – poleciałem.

Po chwili została w stringach, odwróciła się ostrożnie, trzymając ręce na karku.

– Teraz zostaniesz ukarana – powiedziałem, odkładając broń.

– Nie mogę się doczekać... – wyszeptała.



– Następnym razem to ja będę miała spluwę – oznajmiła nadąsanym tonem Małgorzata, niezbyt udatnie naśladowując knajacki akcent. – Tak będzie zabawniej.

Nadal leżeliśmy na dywanie, na szczęście był gruby. Obok walały się moje ubrania i to, co zostało z bielizny Margarity.

– Bo ja wiem? – Odchrząknąłem dyplomatycznie. – Może znajdę ci jakąś atrapę...

– Żadnej atrapy albo naprawdę wytatuuję sobie smoka – zagroziła ze złośliwym uśmiechem. – Jest też inna opcja: ostatnio oglądałam album „Więzienne tatuaże Rosji”. Co byś powiedział na dwugłowego orła i...

Zamknąłem Małgorzacie usta pocałunkiem, wywinęła się zwinnie.

– No więc? – ponagliła. – Mam szukać mistrza tatuażu?

Jęknąłem bezradnie. Chyba miałem problem...

– Broń to poważna sprawa. Nie można dać jej do ręki komuś, kto nie potrafi się z nią obchodzić – wyjaśni-



łem cierpliwie. – Nie będziemy negocjować w tej sprawie, choćbyś wytatuowała sobie nie tylko dwugłowego orła, ale też sierp i młot. Już w łazience wiedziałem, że to ty, więc rozładowałem glocka. Dlatego mogliśmy się pobawić.

Usadowiła się w kuszącej pozie na kanapie, wyduła usta.

– No dobrze – mruknęła. – W takim razie naucz mnie strzelać.

– To najgłupsza prośba, jaką... – zacząłem z irytacją.

Nie dokończyłem, przyjrzałem się jej uważniej – nie żartowała. Mimo kpiącego wyrazu twarzy, oczy patrzyły na mnie poważnie, niemal ponuro. Kryło się w nich coś... kruchego.

– Dlaczego? – spytałem zupełnie innym tonem.

Odwróciła wzrok, okryła się szlafrokiem, widziałem, że stara się zyskać na czasie. Czekałem cierpliwie.

– Ta choroba... – odezwała się po chwili. – Powoli przestają drżeć mi ręce, już dobry tydzień, jak nie upuściłam niczego, ale cały czas dręczy mnie niepewność, czy odzyskam całkowicie zdrowie. Chcę się przekonać. Strzelanie wydaje mi się dobrym sprawdzianem.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jeszcze nie wszystko w porządku?! Nie pozwoliłbym ci prowadzić!

– Mogę kierować – zapewniła mnie spokojnie. – Lekarz mi pozwolił. W pewnym sensie to część terapii. Ale chodzi mi o coś więcej, coś bardziej... wymiernego.

Zagryzłem wargi – z jednej strony rozumiałem chęć potwierdzenia własnej sprawności, upewnienia się, że znowu wszystko działa jak należy, z drugiej nie byłem pewien, czy powinienem pozwolić Małgorzacie na pro-

wadzenie samochodu. Ale nie potrafiłem dopilnować, żeby tego nie robiła, nie wbrew jej woli. Może jednak nie jest z nią tak źle? W końcu ostatnio, kiedy wracaliśmy z Ermitażu, poradziła sobie świetnie w dość – nie da się ukryć – stresującej sytuacji. Westchnąłem, znowu miałem ten sam dylemat co przed wyjazdem do Rosji: albo zgodzę się na jej prośbę, stawiając swoje warunki, albo będę ryzykował, że mnie nie posłucha. Kobiety...

– No dobrze – zdecydowałem. – Będziesz prowadzić, ale tylko kiedy jedziesz ze mną. Samodzielnie dopiero po zniknięciu wszelkich objawów. Nauczę cię też strzelać, musisz jednak zrozumieć, że będzie to wyglądało inaczej, niż sobie wyobrażasz.

– To znaczy? – Zmarszczyła brwi.

– Metodyka, według której sam się uczyłem, jest zupełnie inna od tego, co robi się obecnie – wyjaśniłem. – Bazuje na treningu opracowanym jeszcze przez carską żandarmerię i ochronę, udoskonalonym przez Smiersz. Dzisiaj nikt już tak nie ćwiczy, nie ma takiej potrzeby. No, prawie nikt – dodałem po namyśle.

– Niech ci będzie – mruknęła. – Chociaż ochrona... To chyba nie jest gwarancja jakości? No i współczesne metody są pewnie lepsze.

– Nie są – odparłem zwięźle. – Przynajmniej jeśli chodzi o broń krótką. Dawniej ćwiczano dużo bardziej intensywnie: pojedynki, starcia uliczne, samoobrona. Dziś na ulicach jest dużo bezpieczniej niż kiedyś, nikt się nie pojedykuje, a jeśli dochodzi do walki, przeważnie polega się na sile ognia i broni automatycznej, inne czasy. Co do ochrony to oczywiście z naszego, narodowego punktu widzenia była to instytucja paskudna: bez-

względnie tłumila wszelkie dążenia niepodległościowe, szpiegowała, stosowała prowokacje, nie istniało chyba środowisko, gdzie by nie miała swoich agentów. Jednak z profesjonalnego punktu widzenia to jedna z najlepszych, najskuteczniejszych służb specjalnych na świecie. Swego czasu wiele szumu narobiła u nas sprawa wybitnego literata, Stanisława Brzozowskiego, oskarżonego o współpracę z ochroną – kontynuowałem. – Ujawnił ją eksagent tej instytucji, Michał Bakaj. Spory odnośnie tego, czy Brzozowski był, czy nie był agentem, czy dokumenty potwierdzające tezę o jego agenturalnej działalności traktować jako autentyczne, trwają do dzisiaj, ale wracając do rzeczy... Bakaj wskazał także na innych współpracowników ochrony, co wywołało szereg procesów. Niektórzy próbowali przed sądem dochodzić swojej niewinności. W trakcie tychże Bakaj wykazał się imponującą pamięcią i spostrzegawczością. Zapytany o to, ujawnił niektóre metody szkoleniowe. Otóż trenując przyszłych agentów, demonstrowano im przykładowo pudełko zapalek i pozwalano je dokładnie obejrzeć w ciągu kilku minut. Spostrzeżeń nie można było notować. Wiele miesięcy później zadawano pytanie o zawartość, konspiratorzy często używali pudełka jako popielniczki, ilość wypalonych zapalek, a nawet stopień zużycia draski. To ostatnie miało świadczyć o tym, czy papierosa zapalał spokojny czy zdenerwowany człowiek. Nerwowi przeważnie musieli pocierać zapalną część kilka razy. Bywało, że śledzeni przez ochronę nie mogli pojąć, skąd ta ma tak dokładne informacje: przecież zatarto wszelkie ślady, zniszczono dokumenty, a w lokalu po zebraniu zostało tylko zużyte pudełko zapalek... Co do strzelania,



to Rosjanie jeszcze w dziewiętnastym wieku ustalili, że najlepsi w te klocki są ludzie posiadający dobrze rozwinięty zmysł równowagi: marynarze, tancerze, akrobaci. Prawdopodobnie jest to związane z lepszym niż przeciętny rozwojem pewnych partii mózgu odpowiedzialnych za refleks i prawidłową ocenę odległości od celu, koordynację ruchów. Stąd opracowano zestaw ćwiczeń, który miał pomóc rozwinąć te cechy – zakończyłem przydługawy wykład.

Małgorzata przypatrywała mi się z podejrzliwym wyrazem twarzy.

– Dlaczego wydaje mi się, że robisz mnie w konia? – zapytała.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparłem z niewinnym uśmiechem.

To, co jej powiedziałem, było rzecz jasna prawdą, z tym że mogłem nauczyć ją nie strzelania – to wymagało dłuższego czasu – ale obchodzenia się z bronią w ciągu kilku dni. Tyle że nie miałem zamiaru. Obiecałem sobie solennie, że sporo wody upłynie, zanim pozwolę Małgorzacie dotknąć pistoletu. Jak by to powiedzieć? Jestem zdecydowanym przeciwnikiem broni w rękach kobiet. Tak, wiem, męska szowinistyczna świnią ze mnie...



Na klatce schodowej roznosił się smród gotowanej kapusty, wygląd schodów sugerował, że ostatni raz myto je gdzieś przed rewolucją. Nie dziwiłem się już, że zamordowana pracownica Bielowa miała w drzwiach specjalne

zamki – to nie była dobra okolica. Sam nie wiem, czego się spodziewałem, dołączając do ekipy Markowa, może po prostu miałem chwilowo dosyć przekładania papierów w archiwum? Podzieliliśmy się na dwie trzyosobowe grupy – ja towarzyszyłem majorowi i Żeńce – i przesłuchiwaaliśmy wszystkich sąsiadów ofiary. Jak dotąd zdzieraliśmy tylko na darmo zelówki, nie dowiedzieliśmy się niczego, nikt nic nie wiedział, w tej dzielnicy ludzie raczej nie interesowali się problemami bliźnich. Mieli dość swoich...

Żeńka wduśił przycisk elektrycznego dzwonka, poczekaliśmy chwilę, wreszcie użył pięści. Delikatność? Nie tutaj. Są miejsca, gdzie słowo „chuju” brzmi jak „obywatelu”. To było jedno z nich.

Rozległ się zgrzyt zamka, w uchylonych drzwiach ujrzałem błysk metalu. Potężnym pchnięciem usunąłem Żeńkę z drogi, wycelowałem w napastnika. Jak się okazało – pół metra za wysoko.

– Ba-bach! Nie żyjesz, wujku! – odezwał się sześciolatekni może, pyzaty malec.

Oburącz trzymał błyszczący, chromowany pistolet-zabawkę. Wolno, bardzo wolno zdjąłem palec ze spustu, odetchnąłem głęboko, starając się opanować dziko bijące serce. Mało brakowało...

– Ba-bach! Nie żyjesz! – powtórzył złośliwie Żeńka, zbierając się z podłogi. – Wiesz, my staramy się nie strzelać do osób poniżej metr dwadzieścia wzrostu. To kiepsko wygląda w telewizji – dodał ironicznie.

Markow uśmiechnął się pod nosem, lecz nie skomentował. Kucnął naprzeciwko dziecka i wyciągnął do niego dłoń.

– Markow Andriej Piotrowicz – przedstawił się z powagą.

– Witalij Aleksiejewicz Płatow – odparł chłopiec, przekładając pistolet do lewicy.

– Wiesz, że nie wolno otwierać nieznajomym, gdy rodziców nie ma w domu? – spytał major.

– Znam cię już, wujku. – Malec wyszczerzył się w szczerbatym uśmiechu. – Zresztą mamusia jest w domu, ale leży pijana.

Dzieciak nie wydawał się zbulwersowany tym ostatnim faktem – ot, jakby mówił o pogodzie. Taka, kurwa, okolica.

– Wyglądasz czasem przez okno? – kontynuował Markow.

– Cały czas – odparł chłopiec. – Jeszcze nie chodzę do szkoły. No, chyba że bawię się w milicjantów i złodziei – dodał, spoglądając na mnie wymownie.

Przez chwilę miałem ochotę spytać Witalija, kim woli być, ale odpuściłem. Jakie to miało znaczenie? Jeszcze parę lat i upomni się o niego ulica. W miejscu w jakim żył, nie było innych opcji.

– Pamiętasz, co działo się trzy dni temu?

– Znaczy, w piątek? – upewnił się malec.

Major przytaknął, nadal kucał w progu.

– Pamiętam, mamusia przyniosła mi pizzę.

– Świetnie, a na ulicy? Zobaczyłeś coś przed domem naprzeciwko?

Dzieciak patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– To znaczy coś niezwykłego – doprecyzował Markow. – Kogoś, kto tu nie mieszka, samochód, którego

wcześniej nie widziałeś, może ktoś obcy kręcił się w okolicy?

– Widziałem obcego pana, ale on się nie kręcił. Wszedł do domu. Przyjechał takim wielkim samochodem. – Witalij pokazał gestem, jakim wielkim.

– Jakiego koloru był samochód?

– Czarnego – odpowiedział chłopiec bez namysłu.

– Jakiej marki? – wtrącił się podekscytowany Żeńka.

Markow spiorunował podwładnego wzrokiem, najgorsze, co można zrobić w czasie przesłuchania, to wybić z transu świadka, z którym śledczy nawiązał kontakt. No nic, chłopak prędzej czy później nauczy się zasad gry. Zapewne po tym, co mu powie major, raczej prędzej niż później... Markow nie wyglądał na wyrozumiałego szefa.

– Nie wiem, nie znam się na samochodach – przyznał ze smutkiem dzieciak.

Najwyraźniej interwencja Żeńki go nie speszyła. Odchrząknąłem dyskretnie, chcąc zwrócić na siebie uwagę majora. Na przyzwalające skinienie milicjanta wyciągnąłem z kieszeni broszurkę reklamową Ermitażu.

– Zerknij tutaj – poprosiłem. – Pokażę ci kilka zdjęć, postaraj się je zapamiętać.

Zademonstrowałem fotografie przedstawiające portrety rosyjskich carów, po mniej więcej minucie schowałem folder.

– Powiedz nam teraz, co zapamiętałeś – poleciłem.

Byłem ciekaw, na ile można ufać słowom Witalija, większość ludzi jest kiepskimi świadkami, na co wpływa zarówno stres, jak i powszechna tendencja do notowania wszelkich danych, które są nam potrzebne dłużej niż na chwilę. Z drugiej strony, dzieciak nie przeżył ni-

jakiej traumy – ot, zobaczył na ulicy jakiegoś mężczyznę, no i nie umiał pisać, co mogło, choć nie musiało, przekładać się na lepszą pamięć.

– Na pierwszym obrazie była tłusta ciocia z koroną, na drugim pan z brodą i wąsami, na trzecim taki z gwiazdą na mundurze i w dziwnym kapeluszu...

– Ile ramion miała ta gwiazda? – przerwałem.

Mały przymknął oczy i wsadził palec do buzi.

– Osiem – odparł po namyśle.

– Znakomicie! – ucieszył się Markow. – Przyjdziemy tu jutro i przyniesiemy zdjęcia samochodów.

– I pizzę – dodałem z uśmiechem.

– Lubię taką z szynką i grzybami – poinformował nas z przejęciem nieletni świadek.

– Załatwione! – obiecałem.



– Spróbuj tak – zaproponowałem, żonglując dwiema piłeczkami.

Małgorzata przyglądała mi się sceptycznie, moje argumenty raczej nie zrobiły na niej wrażenie.

– Jaki to ma związek ze strzelaniem? – zapytała Marina.

Westchnąłem ciężko – moja żona dopilnowała, abym pamiętał o treningu strzeleckim, ale miała problemy z zaakceptowaniem ćwiczeń, jakie jej zaleciłem. Najwyraźniej zaraziła swoim nastawieniem także córkę Bielowa.

– Żonglowanie rozwija ośrodki mózgu odpowiedzialne za przetwarzanie i magazynowanie informacji,

a także za przewidywanie ruchu obiektów. Wybaczcie, dziewczęta, nie uczyłem się strzelania do tarcz. W realnym starciu nie jest ważne, czy trafisz w „dziesiątkę” na strzelnicy, liczy się, czy będziesz w stanie zrobić to z ruchomym celem. Także takim, który odpowiada ogniem. Dlatego metodyka strzelania bojowego różni się znacznie od tego, co robią sportowcy. Ale zawsze mogę ci znaleźć dobrego instruktora, który nauczy cię trafiać w tarcze – powiedziałem do Małgorzaty.

– No dobrze – mruknęła. – Spróbuję.

Wyrzuciła w powietrze dwie piłeczki, udało jej się utrzymać je w ruchu najwyżej kilka sekund. Zagryzła wargi i podrzuciła ponownie. Z podobnym skutkiem.

– To nie jest takie łatwe, jak się wydaje – przyznałem. – Do tego ta twoja choroba...

– Jaka choroba? – Marina zmarszczyła brwi.

– Nic poważnego – zbagatelizowałem. – Po prostu Margaricie drżą trochę ręce.

– To minie? – upewniła się wyraźnie zaniepokojona dziewczyna.

– Prawdopodobnie – odburknąłem.

Nie miałem ochoty rozmawiać o dolegliwościach żony. Sprawa była zbyt świeża.

– Ty też powinnaś poćwiczyć – stwierdziłem. – Żonglowanie poprawia refleks i zdolność do nauki. Potwierdziły to badania prowadzone na uniwersytecie w Ratybonie.

– Hmm... – Marina nie sprawiała wrażenia przekonanej.

– Ktoś tu się chyba boi – stwierdziłem, oglądając od niechcienia paznokcie.

– Kto? Ja?! – zawołała z oburzeniem. – Dawajcie te piłeczki!

Z wysuniętym dla koncentracji koniuszkiem języka wyglądała pociesznie, ale udało jej się pożonglować nieco dłużej niż Małgorzacie.

– To trudne! – wysapała.

– Nic, co cenne, nie przychodzi łatwo – stwierdziłem filozoficznie.

– Nauczę się tego – zapowiedziała Małgorzata z zawziętą miną. – Prędzej czy później będziesz musiał mi pokazać, jak się strzela.

Byłem pewien, że raczej później niż prędzej, chociaż wolałem nie dzielić się tą myślą na głos. Joseph Conrad powiedział kiedyś: „Jeśli chcesz przejść przez życie spokojnie, nie drażnij nigdy trzech osób: kobiety, kucharza i człowieka z nożem”. Facet wiedział, co mówi...

– Wolałabym już żonglować, niż odrabiać te głupie zadania z historii – stwierdziła naburmuszona Marina.

– To nie zadania są głupie – odparłem, ciągnąc ją za ucho.

Odskoczyła z piskiem.

– Mam przedstawić jakiś dokument: list, fragment pamiętnika, cokolwiek, byle miało ponad sto lat – wyjaśniła ponuro.

– W czym problem?

– One wszystkie są takie nudne...

– Nie są – odparłem zwięźle. – To ty nie wiesz, gdzie szukać.

– Może mi pokażesz? – zaproponowała prowokacyjnym tonem. – Jeśli znajdziesz coś interesującego, przez tydzień będę odrabiać dodatkowe zadania.

Przewróciłem oczyma, najwyraźniej panienka nadal szukała zastępczego tatusia. Tłumiąc zniecierpliwienie, podszedłem do komputera.

– Czytaj na głos – poleciłem po chwili.

– *List Kozaków zaporoskich do sułtana tureckiego* – zaczęła Marina. – *Zaporoscy Kozacy do sułtana tureckiego! Ty sułtanie, diable turecki, przeklętego diabła bracie i towarzyszu, samego Lucyfera sekretarzu. Jaki z Ciebie, do diabła, rycerz, jeśli nie umiesz gołą dupą jeża zabić? Twoje wojsko zjada czarcie gówno. Nie będziesz Ty, sukcin Ty synu, synów chrześcijańskiej ziemi pod sobą mieć, walczyć będziemy z Tobą ziemią i wodą, kurwa Twoja mać. Kucharzu Ty babiloński, kołodziej macedoński, piwowarze jerozolimski, garbarzu aleksandryjski, świński pastuchu Wielkiego i Małego Egiptu, świni armeńska, podolski złodziejasku, kołczanie tatarski, kacie kamieniecki i błaznie dla wszystkiego, co na ziemi i pod ziemią, szatańskiego węża potomku i chuju zagięty. Świński Ty ryju, kobyli zadzie, psie rzeźnika, niechrzczony łbie, kurwa Twoja mać...*

– Straszne nudy, prawda? – przerwałem.

– Lecę odrabiać lekcje! – zawołała z zapalem dziewczyna. – Chyba polubię historię...

Kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, Małgorzata objęła mnie i ucałowała czule.

– A to za co? – spytałem zaskoczony.

– Już myślałam, że się nie powstrzymasz i poinformujesz Marinę, ile obchodzi cię jej nauka...

– Potrafię być gentlemanem – odparłem naburmuszony.



– Czasami – przyznała z szelmowskim uśmiechem. –  
Jedziesz gdzie dzisiaj?

Dostrzegłem w jej oczach przelotny błysk niepokoju.

– Taa... Muszę przekupić pewnego świadka pizzą –  
odparłem, zakładając kurtkę. – On ma jakieś sześć lat –  
wyjaśniłem, widząc minę Małgorzaty.

– Powodzenia! – roześmiała się z ulgą.



Żeńka przytrzymał drzwi, przepuścił przodem mnie  
i Markowa. Major niósł teczkę z fotografiami rozma-  
itych samochodów, ja piastowałem pizzę. Na klatce scho-  
dowej przywitał nas znajomy smród – gotowana kapusta  
była ulubionym daniem lokatorów, chyba że wiązało się  
to z kwestią tajemniczych miejscowych rytuałów...

Staralem się oddychać przez usta – czuły węch to na-  
prawdę żadne błogosławieństwo, większość czasu spę-  
dzałem na unikaniu nieuchwytnych dla przeciętnych  
ludzi bądź niewadzących im zapachów. Te ostatnie przy-  
prawiały mnie często o ciężkie, wielogodzinne migreny.

Zakląłem cicho, natrafiwszy na odłamki rozbitej bu-  
telki – ot, pozostałości jakiejś niedawnej imprezy. Porzu-  
cone w kącie, zużyte prezerwatywy upewniały, że zaba-  
wa była zaiste szampańska...

Markow nacisnął dzwonek, tym razem nie łomotał  
w drzwi, czekaliśmy. W końcu byliśmy umówieni z Wi-  
talijem Aleksiejewiczem. Odpowiedziała nam cisza, po  
chwili dały się słyszeć jakieś szmery, wreszcie zduszony  
pisk. Czyżby mamuśka znowu zapła? Dlaczego jednak

dzieciak nie otwierał? Spodziewałem się, że będzie na nas czekał od rana. No, może nie na nas, na pizzę...

Markow zmarszczył brwi i nacisnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły.

– Cholera – mruknął. – Nie podoba mi się to.

W mieszkaniu upadło coś ciężkiego. Ktoś przewrócił stół, może krzesło?

– Otwierać, milicja! – krzyknął Markow. – Otwierać, bo przestrelimy zamek!

Zerknąłem na solidne drzwi – przestrelimy, akurat... Na pewno nie z pistoletu.

Zdesperowany major wyciągnął broń i wymierzył w drzwi.

– Czekaj! – Szarpnąłem go za rękaw. – Daj mi spróbować, bo jeszcze kogoś trafisz. A taki zamek to ze strzelby najwyżej...

– Co spróbować?! – warknął.

Bez słowa wyjąłem z kieszeni kurtki mój podróżny zestaw. Wytrychy zostawiłem w Polsce, nie miałem zamiaru ryzykować zainteresowania rosyjskiej milicji, a te zamki nie wymagały jakichś szczególnie wyrafinowanych narzędzi. To była co najwyżej średnia półka. Dowcip polegał na tym, że w odróżnieniu od wytrychów, klucze uderzeniowe, znane wśród fachowców pod angielską nazwą *bump keys*, są całkowicie legalne. Służą do awaryjnego otwierania zamków i można je bez problemu kupić w branżowych sklepach. Także przez Internet.

Dobrałem właściwy klucz i wprowadziłem w otwór zamka. Zasada działania *bump key* jest prosta: odpowiednio wyfrezowane na trzpieniu klucza nacięcia po-

wodują, że po wsunięciu go w zamek blokujące cylinder sztyfty wpychane są do wewnątrz, po czym wystarczy – w odpowiednim momencie – lekko poruszyć kluczem, aby pokonać blokadę. Nazwa „uderzeniowe” pochodzi stąd, że aby wyczuć odpowiednie do obrócenia klucza miejsce, tam, gdzie nacięcie na trzpieniu styka się ze sztyftem, wprowadza się klucz w otwór zamka delikatnymi, ostrożnymi uderzeniami. Tak, aby nie wślizgnął się do środka zbyt szybko, omijając sztyfty. Nic trudnego, kwestia praktyki. Jako pobijaka użyłem ostrza noża, nie chciało mi się nosić specjalistycznych narzędzi. Zresztą te stosowali jedynie amatorzy albo też zawodowcy, którzy otwierali zamki w specyficznych okolicznościach i w związku z tym zależało im na całkowicie bezgłośnej manipulacji... Ci preferowali gumowe młoteczki.

Jak przewidywałem, rzecz nie okazała się zbyt trudna, po minucie drzwi stanęły otworem. Markow odsunął mnie stanowczo i razem z Żeńką wszedł do środka. Z wydobytą bronią. Odczekałem kilkanaście sekund – nie chciałem narażać się na oskarżenia, że przeszkadzam im w pracy – i ruszyłem w ślad za nimi.

W kuchni śmierdziało, po podłodze łaziły karaluchy. Z pokoju obok rozlegało się pijackie chrapanie, na zła-chanej kanapie leżała chuda, niechlujnie ubrana kobieta. Miała może ze trzydzieści lat, ale głębokie zmarszczki i cienie pod oczyma sprawiały, że wyglądała dużo starszej. Obrazu całości nie poprawiały kiepsko ufarbowane włosy z widocznymi ciemnymi odrostami i dziurawe pończochy. Jednym słowem – mamuśka w pełnej krasie. Biedny Witka...

– Tu jest jeszcze jeden pokój, zamknięty – powiedział Markow, ciągnąc mnie za rękaw. – Mógłby pan go otworzyć?

Wzruszyłem ramionami i podszedłem bliżej. Ktoś zamknął się wewnątrz. Czyżby nasz świadek się wystraszył? Ale przecież poprzedniego dnia był dużo śmielszy. Tyle że jeśli opowiedział o wszystkim matce, ta mogła zabrać się za wychowanie malucha. Ręcznie.

– Nie bój się, to my – powiedział Markow, pukając do drzwi. – Przynieśliśmy pizzę.

Widocznie milicjant doszedł do podobnego wniosku co ja. Wyjąłem kartę stałego klienta nieistniejącej firmy, wsunąłem w szparę między drzwiami a futryną. To był prosty, zatrzaskowy zamek. W filmach otwierają takie kartami kredytowymi, choć w rzeczywistości prawdziwe plastikowe karty są zbyt sztywne i za grube. Moja była dużo cieńsza i wykonano ją z bardziej sprężystego tworzywa. W sumie mógłbym nosić zwykły kawałek plastiku, tylko że wówczas każdy wiedziałby, czemu ma on służyć. Nie przypuszczałem, że ktoś się zainteresuje tym, co mam w portfelu, ale wypadki chodzą po ludziach, a odrobina dyskrecji jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Rozległ się cichy trzask i drzwi stanęły otworem. Rozebrany do slipów mężczyzna siedział w fotelu, trzymając na kolanach nagiego chłopca. Witalij Aleksiejewicz nie krzyczał, nie mógł – wielka jak świąteczna szynka ręka zatykała mu usta. Tuż obok, na podłodze leżał duży pluszowy miś.

– To nie jest tak, jak myślicie – wymamrotał mężczyzna, puszczając chłopaka. – Ja tylko...

Jego twarz eksplodowała niczym uderzony młotem arbuza, coś ciepłego opryskało mi policzek. Gdzieś z odległości dochodził dziwny, głuchy dźwięk podobny do warczenia dzikiego zwierzęcia. Hukowi rozbijanych mebli zawtórowało tłuczone szkło i ostre, lecz dochodzące jak przez grubą watę okrzyki. W końcu wszystko zniknęło w rozblasku martwej, nienaturalnej bieli.



– Dzieciak jest w szoku – poinformował Markow. – Na razie nic nam nie powie.

Żeńka bez słowa podał mi woreczek z lodem. Drugi, a może trzeci z kolei? Kto by tam liczył. Upadając, wyrznięłem głową w stół, cud, że skończyło się tylko na guzie.

– Kto się nim zajmie? – spytałem.

– Na razie nasz psycholog – odparł jakby nigdy nic milicjant.

Nie przeprosił, że potraktował mnie paralizatorem, ja nie usprawiedliwiałem się, że przyłożyłem pedofilowi. Jako kulturalni ludzie przeszliśmy do porządku dziennego nad drobnym nieporozumieniem towarzyskim...

– Bardzo się... wystraszył?

– Pobiegł do matki, nie widział, co robięś – mruknął Markow.

– Uważasz, że by się tym przejął?! – warknąłem.

– Mało nie zabięś tego gnoja – wyjaśnił cierpliwie milicjant. – Rozbięś szybę w oknie jego głową i właśnie zamierzałeś użyć resztek szkła jako gilotyny. Powstrzymałem cię w ostatniej chwili. Nie bój się, nie będzie

z tego żadnej sprawy – stwierdził uspokajająco, widząc moją minę. – Ma złamany nos i stracił parę zębów, ale działałeś w obronie dziecka. W sumie – dodał po chwili.

Nie obawiałem się kłopotów prawnych. Gdyby facet był kimś ważnym, nie szukałby ofiar w slumsach. Zresztą znajdowałem się pod ochroną Bielowa, a ten mógł gwizdać na rosyjski wymiar sprawiedliwości. Zakładałem, że nie będzie zadowolony, jeśli się dowie – wszelkie perturbacje przeszkadzały w dochodzeniu, a priorytetem biznesmena była Luda, a nie jakiś sześciolatek, niechby i molestowany... Martwiłem się o co innego – przez lata łudziłem się, że emocje związane z Siwym mam już za sobą, że nic mnie to nie obchodzi. Tyle że, jak widać, nie była to prawda, nadal wlokło się za mną całe to gównno.

– A matka Witalija?

– Odsypia w izbie wytrzeźwień. Jutro utnę sobie z nią małą pogawędkę na temat opieki nad synem – wycedził Markow przez zaciśnięte zęby.

– Co do tego skurwysyna...

– Jeśli będzie miał dobrego adwokata, wyjdzie najdalej pojutrze – Rosjanin wszedł mi w słowo. – Nic na to nie poradzę, procedury.

– Przecież molestował tego dzieciaka!

– To trzeba dopiero udowodnić – zauważył Markow. – Znaczy, to molestowanie. Nic mu jeszcze nie zdążył zrobić, więc nie będzie żadnych śladów, zastaliśmy go, owszem, w dość dziwnej sytuacji, ale co będzie, jeśli powie, że chciał po prostu wykąpać chłopca, a matka alkoholiczka to potwierdzi?

– Wołał pan, żeby otworzył drzwi! Przedstawił się jako milicjant!

– Każdy może krzyknąć: „Otwierać, milicja!”. – Major wzruszył ramionami. – A niewinny obywatel może pomyśleć, że to napad. I nie otwierać drzwi, a nawet zatkanąć usta dziecku, w trosce o jego bezpieczeństwo...

– W porządku, przyjąłem do wiadomości – powiedziałem zimno. – Mógłby mnie ktoś podrzucić do biurowca Bielowa?

– Oczywiście – zezwolił Markow. – Żeńka się tym zajmie.

Milczałem, kiedy ruszyliśmy, nie reagowałem na nieporadne próby rozpoczęcia konwersacji. Młody Żeńka był wyraźnie zmieszany postawą swojego szefa, ale nie miałem nastroju do towarzyskiej pogawędki. W tym momencie akcje rosyjskiej milicji nie stały u mnie zbyt wysoko. Procedury, też coś! Niedawno prasa doniosła, że w moskiewskiej dzielnicy Domodiedowo milicjanci wymuszali zeznania przy użyciu elektrowstrząsów. Rzecz jasna na niewinnych ludziach. A tu jakiegoś parszywca wypuszczą z aresztu z powodów proceduralnych...



Przyjechawszy do Krasnoj Gorki, zacząłem od drinka. Nie pomogło. Serce waliło mi ciężko, jakbym przerzucił tonę węgla, na skroniach zaciskała się stalowa obręcz. Przez jakiś kwadrans próbowałem się jeszcze oszukiwać, że to nie to, o czym myślę – ot, przelotna dolegliwość spowodowana napięciem nerwów. Bezskutecznie.

Zanim poczułem pierwszą falę zimna, zdążyłem wsunąć się do łóżka, przykryć czym się dało. Pierwotny, zwierzęcy strach narastał mi w trzewiach, ciało dygotało,

kiedy starałem się przekonać swój umysł, że nie jestem już dzieckiem, a zza ściany nie dobiega krzyk dziewcząt. Maks i moje „siostry” załatwili problem naszego opieku-  
na radykalnie, tyle że beze mnie. Może to był błąd? Może powinienem jednak przy tym asystować? Jednak za póź-  
no na poprawkę – Siwy spoczywał w bezimiennym gro-  
bie, zakopany żywcem wraz z magnetofonem, który od-  
twarzał piosenki, jakie miał zwyczaj śpiewać, gwałcąc  
małe dziewczynki. Tym razem to one mu zaśpiewały...

Gdybym miał taką możliwość, zabiłbym bez litości  
gnoja, którego aresztował Markow. Nie tylko za to, że  
molestował malucha. Za to, że przywrócił do życia mój  
koszmar.

Na korytarzu w znajomym rytmie zastukały obca-  
sy. Margarita. Cholera, że też musiała wrócić akurat te-  
raz... Nie ukrywałem przed nią wydarzeń z dzieciństwa,  
ale nie poinformowałem o zdarzających się czasem po-  
twornych migrenach połączonych z atakami paniki. No  
to, kurwa, przepadło, teraz ujrzy mnie w pełnej krasie...

– Kupiłam ci... – zaczęła, wchodząc do pokoju.

Kiedy zobaczyła moją twarz, torebka wypadła jej  
z ręki, w mgnieniu oka znalazła się przy łóżku.

– Zaraz zadzwonię po lekarza – powiedziała, muska-  
jąc mój policzek. – Co ci jest?

– Żadnego lekarza! – wymamrotałem z trudem. – To  
nie choroba, to nerwy.

Głos miałem chrapliwy jak krakanie kruka.

– Proszę, pomóż mi...

Podtrzymywany przez Małgorzatę ledwo dobrnąłem  
do łazienki. Zaczęły się torsje, następny etap – voilà! Ból  
głowy odezwał się tak silny, że niemal oślepił.



– Łóżko... – wyszeptałem, gdy Margarita przecierała mi twarz mokrym ręcznikiem.

– Co się dzieje, kochanie? Proszę, powiedz...

– Nic mi nie jest, zaraz przejdzie – skłamałem nieudolnie.

Trzymająca mnie za nadgarstek dłoń zeszywniała. Nie trzeba mieć doktoratu z psychologii, aby wyczuć, że mijam się z prawdą o kilometry. Cóż, nie ma takiego problemu, którego nie można by trochę powiększyć. Przy odrobinie starań...

– Przytul się do mnie – poprosiłem.

Zrobiła to: niezgrabnym, automatycznym ruchem, tak jakby uleciała z niej wszelka energia. Brawo, doktorze Korpacki! Co jeszcze możecie spieprzyć?

Zacząłem więc mówić – krótkimi, urywanymi zdaniami, czasem łapiąc spazmatycznie powietrze, by wypowiedzieć jedno słowo: o Siwym, o dziewczętach, o krzykach... Słuchała, nie przerywając. W końcu wyrzuciłem z siebie wszystko, zamilkłem. Nie wiem, jak długo siedzieliśmy w ciszy, ale ze zdumieniem zauważyłem, że lżej mi się oddycha, znika anormalne napięcie mięśni.

– Ten maluch... – odezwała się po chwili – wróci do matki?

– Pewnie tak – burknąłem. – Markow ma rację. Jeśli baba potwierdzi wersję pedofila, a można założyć się, że to robi, inaczej sama miałaby problemy, faceta wypuszczą z aresztu, a dzieciaka oddadzą stęsknionej mamusi...

– Ona tak specjalnie...?

– Nie, chyba nie – odparłem z namysłem. – Gdyby sprzedała syna, byłaby trzeźwa, chciałaby dopilnować

transakcji. Wydaje mi się, że ten gnojek po prostu skorzystał z okazji.

– Nie rób niczego głupiego – powiedziała prosząco. – Pozwól zająć się tym milicji.

– Milicji?! – warknąłem. – Oni... – urwałem, zaciskając z bólu zęby.

Chorym na migrenę nie bez powodu odradza się wrzaski...

– Proszę – powtórzyła.

– Zobaczymy – mruknąłem niezobowiązująco. – Zobaczymy...

Ani słowem nie skomentowała moich wyznań, byłem jej za to wdzięczny.



Mało znane kata Hakufa wywodzi się z Chin. Na Okinawę – a więc i do okinawańskiego karate – trafiło za pośrednictwem mistrza Chojun Miyagi. Składa się z eleganckich i na pozór delikatnych sekwencji naśladujących ruchy żurawia: żuraw rozpościera skrzydła, żuraw uderza skrzydłem, żuraw wlatuje w powietrze...

Nie ma nic lepszego na złe samopoczucie niż odrobina wysiłku – dzięki ćwiczeniom fizycznym organizm zaczyna wytwarzać endorfiny, hormony o działaniu antydepresyjnym, zwiększające odporność na ból i uspokajające. No dobrze, przesadziłem: tak naprawdę nie wystarczy odrobina wysiłku, trzeba nieźle się napocić, ale gra jest warta świeczki.

Wraz z kolejnymi powtórzeniami wracała mi pewność siebie, ruchy stawały się ekonomiczne i szybkie,

w mięśniach narastała energia. Piżama, w którą przebrała mnie Małgorzata, z każdą chwilą coraz bardziej nasiąkała potem, organizm się oczyszczał.

Po jakiejś godzinie przeszedłem do spokojniejszych, wykonywanych w zwolnionym tempie ćwiczeń. Kilkakrotnie zastygałem w bezruchu, kontrolując napięcie mięśni, starałem się rozluźnić. Przeciętny człowiek, wykonując jakikolwiek szybki ruch, niewłaściwie używa zginaczy i prostowników – ich działanie jest zaburzone, mniej czy bardziej nieskoordynowane. Jest to efekt nadmiernego napięcia mięśniowego. Można je zwalczyć tylko w jeden sposób: powtarzając te same gesty powoli, w niemal całkowitym rozluźnieniu, wszystko po to, aby nauczyć organizm harmonijnego wykorzystania energii, wykonywania ruchów bez nadmiernego naprężania mięśni antagonistycznych. W sumie rzecz jest prosta, tyle że czasochłonna: aby przełamać błędne nawyki, trzeba setek tysięcy, a nawet milionów powtórzeń. To sekret skuteczności wielu starych mistrzów – w zaawansowanym wieku spada siła i elastyczność mięśni, polepsza się za to trenowana przez dziesiątki lat koordynacja.

Tuż przed końcem ćwiczeń usłyszałem dobiegające z korytarza kroki żony. Tym razem jednak zatrzymały się przed drzwiami.

– Nie, dzisiaj nie mogę – odparła, najwyraźniej rozmawiając z kimś przez komórkę. – Ta obrona francuska jest bardzo interesująca, ale... Nie, naprawdę nie dzisiaj – odpowiedziała rozmówcy ponownie, choć już nieco chłodniejszym tonem. – Tak, Saszka, może jutro.

Saszka? No tak, Aleksander Dunin: krezus – inaczej nie robiłby interesów z Bielowem, szachista i matema-

tyk... Partner mojej żony od probabilistycznej analizy problemów szachowych. Przeżulem w ustach piętrowe przekleństwo.

– O, już nie śpisz? – Zaskoczona zatrzymała się w progu.

– Nie śpię – mruknąłem, maszerując do łazienki.

No i diabli wzięli dobry nastrój... Odkręciłem wodę i wszedłem pod prysznic, Małgorzata przycupnęła na jakimś stołeczku.

– Jeśli on cię tak denerwuje, mogę... – urwała, nie wiedząc, jak dokończyć.

Od razu skojarzyła, co się dzieje. Czyżby moja zazdrość była aż tak widoczna? Milczałem przez dłuższą chwilę. No jasne, najpierw zabronię Margaricie spotykać się z Duninem, potem z każdym innym wyrastającym nieco ponad przeciętność facetem. To żadne rozwiązanie i oboje o tym wiedzieliśmy.

– Co mam robić? – zapytała bezradnie.

– Nie przejmować się humorami męża – odparłem wreszcie, mając wrażenie, że chyba popełniam największe głupstwo w życiu.

Obracane w ustach słowa były suche i gładkie jak znajdowane nad rzeką kamyki. Małgorzata odepchnęła mnie lekko i nagle znalazła się tuż obok, pod strumieniami gorącej, buchającej parą wody. Tak jak stała, w ubraniu i butach.

– Zwariowałaś?!

– No cóż, myślałam, że wy, faceci, lubicie dziewczyny w obcisłych, mokrych ciuchach. – Uniosła w udanym zdziwieniu brwi.

– Chyba coś w tym jest – przyznałem.  
Dobry nastrój powrócił z delegacji...



Major Markow nie wyglądał zbyt przyjaźnie. Jego oczy patrzyły na mnie równie ciepło co wyloty luf karabinów maszynowych, twarz zastygła w wyrazie dezaprobaty. Właśnie zadałem mu pytanie, co zrobił, aby zabezpieczyć interesy nieletniego amatora pizzy, Witalija Aleksiejewicza Płatowa. Możliwe, że nieco prowokacyjnym tonem – cóż, nikt nie jest doskonały...

– Nie sądzę, żeby jakiś polski *otmorozok* musiał się martwić o to, co robi petersburska milicja – odparł zimno Markow.

Westchnąłem, *otmorozok* to idiom oznaczający mniej więcej tyle co: „skłonny do nieuzasadnionego użycia przemocy popierdoleniec”. Nie obraziłem się. Przecież nie mogło chodzić o mnie.

– Proszę – powtórzyłem.

Tym razem dużo uprzejmiejszym tonem. Jeszcze przez chwilę Rosjanin świdrował mnie gniewnym wzrokiem, wreszcie podszedł do telefonu i zamówił dwie kawy, wskazał miejsce przy biurku. Usiadłem.

– Zatrzymany przez nas obywatel został przesłuchany – oznajmił oficjalnie.

– Ten pedofil? – upewniłem się.

– Ten sam. Ponieważ sytuacja, w jakiej go zastaliśmy, była dość szczególna, poproszono go o wyjaśnienia do protokołu, w tym odnośnie pedofilii.

– Oczywiście zaprzeczył? – domyśliłem się.

– Zaprzeczył – przytaknął Markow. – Niemniej jednak trzeba było wytłumaczyć pewne niejasności, przesłuchać nietrzeźwą w tym momencie matkę chłopca, tak więc ze względu na dobro dziecka podjęto decyzję o zatrzymaniu obywatela Gołubińskiego na czterdzieści osiem godzin.

Do gabinetu weszła młoda, ładna dziewczyna w milicyjnym mundurze, postawiła na biurku kawę i pączki. Markow podziękował jej skinieniem głowy i powrócił do tematu.

– Gdyby zatrzymany przyznał się do pedofilii, zostałby umieszczony w specjalnej celi, bez kontaktu z innymi więźniami, takie mamy dyrektywy. Ponieważ jednak zaprzeczył, potraktowaliśmy go tak jak każdego innego aresztanta. Jakimś cudem więźniowie się dowiedzieli... Oni zawsze się dowiadują. Po kilku godzinach udało mu się krzyknąć, strażnicy zareagowali zgodnie z przepisami, do celi wysłano oddział służby więziennej...

– Przeżył? – spytałem bez specjalnego zainteresowania.

– Przeżył. Jednak bardzo wątpię, żeby w najbliższym czasie stanowił zagrożenie dla jakiegokolwiek dziecka. No, może nie tylko w najbliższym – dodał po chwili zastanowienia.

– A matka?

– Kiedy wytrzeźwiała, przeprowadziłem z nią krótką rozmowę... pedagogizującą.

– Pedagogizującą? – Uniosłem brwi. – Co to, do cholery, znaczy?!

– To z ostatniego kursu – zarechotał Markow. – Wcisną nam tu takie gówno... Co znaczy? A kto to wie? I kogo to obchodzi? Ale całkiem fajnie brzmi: pedagogizacja – powtórzył z upodobaniem.

– No więc kiedy skończyliście pedagogizować matkę Witalija... – zachęciłem.

– Zaprowadziłem ją pod celę Dużej Helgi. Baba ma sto czterdzieści kilogramów żywej wagi, siedzi sama, w pojedynkę. Nie mamy tu zbyt wiele miejsca, ale jej dotychczasowe lokatorki trzeba było reanimować, więc... To agresywna lesba, sadystka – wyjaśnił. – Obiecałem matce chłopaka, że jeśli kiedykolwiek dostanę sygnał, że nie opiekuje się dzieckiem tak, jak powinna, oskarżę ją o niedopełnienie obowiązków rodzicielskich i wsadzę do jednej celi z Helgą.

– Podziałało?

– Chyba tak, musiałem cucić babinę, zemdląła.

Aby zyskać na czasie, łyknąłem kawy – smakowała paskudnie, zakołysałem trzymaną oburącz filiżanką. Zaistniał mały problem: podejrzewałem Markowa o chęć współpracy z pedofilem, a tymczasem facet załatwił sprawę dużo lepiej, niż mogłem się spodziewać. Ja co najwyżej obiłbym mordę zboczeńcowi. Nie byłem co prawda podejrzliwy bez powodu – teoretycznie w organach ochrony prawnej powinni pracować uczciwi, zwalczający przestępczość ludzie, jednak w rosyjskiej milicji nie było niczego, co przyciągałoby takie właśnie jednostki. Wręcz przeciwnie... I nie chodziło tylko o forszę – nieuczciwi stróże prawa na całym świecie zarabiają więcej niż ci trzymający się zasad, kłopot stanowiła sama instytucja: przeżarta na wskroś korupcją, słynąca z bru-

talności, gdzie awanse częściej przydzielano według widzimisię przełożonych – za niekoniecznie zgodne z prawem przysługi – niż według osiągnięć. Tyle że ja trafiłem akurat na uczciwego, no, w miarę uczciwego milicjanta i go obraziłem. Jeśli mieliśmy dalej współpracować, musiałem coś z tym zrobić.

– Przepraszam, Andrieju Piotrowiczu – powiedziałem, wstając zza biurka. – Jako dziecko znalazłem się w podobnej sytuacji jak ten maluch, co prawda mój opiekun wolał dziewczynki, ale... – urwałem, bo co jeszcze mogłem powiedzieć.

Wzrok Markowa złagodniał.

– Nieważne – mruknął. – Zapomnijmy o tym. Nie piję w pracy, ale pojutrze organizujemy małą imprezę integracyjną... U mnie na dacy.

– Mogę przyjechać z żoną? – spytałem szybko. – Nudzi się tu strasznie. Chyba że to będzie jedno z takich spotkań, na które lepiej nie zapraszać kobiet.

– Oczywiście, chętnie poznam Margaritę Andriejewną. I bez obaw, *my kulturnyje ludi...*



Kolejna skrzynia z oznaczeniami NKWD była pełna śmieci. Dosłownie: garść niemieckich prezerwatyw, dwie pary damskich pantofli, kilkadziesiąt egzemplarzy podręcznika *wojennoj topografii* z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, sterta numerów niemieckiego pisma „Adler”, jakaś mocno wystrzępiona książeczka bez okładek. Najwyraźniej ktoś, kto pakował te wszystkie „skarby”, znajdował się w stanie względnej jedynie



trzeźwości. No i widać było, że od czasów wojny nikt nie otwierał skrzynki, prezerwatywy dałoby się opchnąć za niezłą cenę...

Westchnąłem ciężko i zabrałem się za sprawdzanie książek. Nie przypuszczałem co prawda, że w którejś kryły się notatki Razumowskiego, ale byłem coś winien Biełowowi. Już i tak miałem wyrzuty sumienia, że przyjąłem zaproszenie na imprezę u Markowa. Tłumaczyłem to sobie koniecznością poprawy stosunków z majorem... Na razie niestety wyglądało, że śledztwo stoi w miejscu, nie dokonałem dotąd żadnego wstrząsającego odkrycia. Może specjaliści coś znajdą w mieszkaniu zamordowanej sekretarki albo nasz małoletni świadek określi markę samochodu mordercy. O ile widział mordercę... Odnotowałem w pamięci, żeby poprosić Markowa o możliwość uczestniczenia w przesłuchaniu Witalija.

No dobrze, teraz „Adler”. Zatrzymałem się na chwilę przy artykule opisującym „naszych chłopców spod Monte Cassino”. Rzecz jasna „nasi” nosili mundury niemieckich spadochroniarzy... Po cholere ktoś to ładował do skrzyni zabezpieczonej pieczęcią NKWD?

Przekartkowałem czasopisma – jak się spodziewałem, nie znalazłem w nich niczego nadzwyczajnego. Sięgnąłem po obszarpaną książkę, zmarszczyłem brwi – tekst był pisany ręcznie w trzech językach: po rosyjsku, francusku i po łacinie. Jakiś pamiętnik? Tylko dlaczego w kilku językach? Rosyjska pisownia przypominała zdecydowanie tę przedrewolucyjną, a więc całość raczej nie mogła mieć nic wspólnego z wydarzeniami z czasów oblężenia Leningradu. Chyba że... Zerknąłem na tytuł: „Doskonali, czyli historia świętej choroby”. Cholera, zna-

lazłem księgę „Doskonałych”! Tekst, w którym sekciarze opisywali swoje rytuały. Czy pozwoli to w jakimś stopniu wyjaśnić zagadkę zniknięcia Ludy? Tak czy owak, kiedy przewracałem kartki, drżały mi ręce.

– Żeńka! – wrzasnąłem. – Żeńka!

– Czego?

Milicjant wyglądał na zmęczonego, pod jego oczyma uformowały się pokaźne, sine wory.

– Chyba powinniście, towarzyszu, trochę się oszczędzać – rzuciłem cierpko. – Nie wiem, co pijecie, ale wyraźnie wam to nie służy.

– Kumpel dostał awans na kapitana, więc... – Wzruszył wymownie ramionami.

– Muszę jechać do Krasnoj Gorki, sprawdź jeszcze raz zawartość tej skrzyni. Tylko dokładnie! – poleciłem. – Aha, i nie kombinuj, policzyłem prezerwatywy...



Bielow wysłuchał mojego sprawozdania z kamiennym wyrazem twarzy – w drodze przetłumaczyłem kilka fragmentów, zatem mogłem wyjaśnić z grubsza, o czym traktuje książeczka. Dłonie biznesmena spoczywały na blacie biurka swobodnie i na pozór rozluźnione. Tak jakby nie miał żadnych problemów albo starał się z całych sił, żeby inni odnieśli takie właśnie wrażenie...

– Nie wiem, czy i w jaki sposób wpłynie to na nasze śledztwo – przyznałem. – Na pewno przetłumaczenie tekstu wyjaśni pewne kwestie dotyczące sekty, a co za tym idzie poznamy niuanse dochodzenia Razumow-

skiego. Do tej pory wiele z nich nam umykało. Natomiast...

– Rozumiem – przerwał mi Biełow.

Suchym jak pustynny piasek, beznamiętnym tonem.

Westchnąłem bezradnie, spuściłem wzrok. Cóż więcej mogłem powiedzieć człowiekowi, który miotał się nieustannie pomiędzy rozpaczą a nadzieją? Jak miałem dodać mu otuchy w sytuacji, kiedy każda minuta mogła przynieść ostateczne i najbardziej tragiczne z możliwych rozwiązanie sprawy? Już dwukrotnie rosyjskie służby specjalne wytypowały miejsca, w których niedawno dokonano nielegalnych pochówków – czort wie na jakiej podstawie, Dżuma był tu wyjątkowo enigmatyczny – i przeszukały je z psami oraz za pomocą georadarów. Wykopano parę świeżych, no, względnie świeżych trupów, ale nadal nie znaleziono Ludy. Tyle że to akurat mogło zmienić się w każdej chwili...

– Proszę pozdrowić ode mnie majora Markowa – odezwał się po chwili. – Wie pan, na tej imprezie. Do stałem zaproszenie, ale – wykonał nieokreślony gest – raczej zrezygnuję...

– Ja... – wyjąkałem – nie wiem, czy pojedę do Markowa. W zasadzie zamierzałem odmówić – skłamałem.

– Niech pan jedzie – mruknął Biełow. – Nie może pan dzień i noc myśleć o Ludzie, wystarczy, że ja tak robię. – Zaśmiał się bezradośnie. – Nie wynająłem pana do rozładowywania wagonów z węglem, śledztwo wymaga świeżego spojrzenia, a nie upartego wysiłku ponad ludzkie możliwości. Jeśli nie będzie pan spał przez tydzień, w niczym mi to nie pomoże. Ani Ludmile... Białe

noce – wymamrotał, rozmasowując znużonym gestem twarz. – Białe noce...

– Proszę?

– Nie te dla turystów reklamowane w przewodnikach – kontynuował, nie zwracając na mnie uwagi. – Mają kolor ołowianej bieli; nie widać nieba, tylko zimny, trujący opar. Biały smog wdziera się do płuc, gryzie w oczy, otępia mózg, kruszy wolę... Osacza. Gdzieś z daleka dochodzi światło księżyca, sztuczne jak blask teatralnego reflektora. Trudno powiedzieć, czy to jeszcze rzeczywistość, czy już majaki. Wiem, że gdzieś tam jest, czuję to: samotna, zagubiona, może umierająca... Czasami jakiś powiew wiatru rozgania biały tuman i widzę ją przez moment: leży bezwładnie jak porzucona zabawka. A czasem... Bywa, że skrada się we mgle z czujnym jak u dzikiego zwierzęcia spojrzeniem, z nienawiścią na twarzy. A ręce ma we krwi...

Na biurku, w zasięgu ręki biznesmena, stała butelka wódki, przy niej napełniona do połowy szklanka. Nie wyglądało jednak, aby Biełow pociągnął z niej choć łyk. Na pewno nie był pijany.

– Białe noce... Niech pan już idzie – wymamrotał.

Wyszedłem, czując na plecach lodowate ciarki, tak jakbym przez chwilę ujrzał Petersburg oczyma Biełowa. Odetchnąłem, znalazłszy się na korytarzu – biała mgła została za drzwiami...



Koła naszej terenówki zabuksowały w głębokim śniegu, ale samochód dał radę, na szczęście – nie uśmiechało

mi się czekanie na pomoc drogową. W trakcie jazdy co rusz wpadaliśmy w wypełnione szarobiałą mazią koleiny, efekt chwilowego ocieplenia. Narzekacie na polskich drogowców? Jedźcie do Rosji...

Trzymałem rękę na udzie Małgorzaty, nie było jednak w tym żadnego erotycznego podtekstu, po rozmowie z Bielowem potrzebowałem fizycznego kontaktu. W bocznym lusterku widziałem drugą terenówkę – napęd na cztery koła gwarantował, że nie utknie się w pierwszej zaspie. A tych po drodze nie brakowało. Oprószone z wierzchu sadzą, na granicy topnienia przypominały brudną piankę zaschniętą na krawędzi jakiegoś gigantycznego ciasta. Markow zaprosił też Zinę, ta jechała w drugim wozie wraz z ochroniarzami: ot, rutynowe środki bezpieczeństwa.

- Hamuj! – zawołałem, widząc blokadę na szosie.
- Spokojnie – odezwała się Małgorzata. – Jeszcze...
- Hamuj! – warknąłem. – To OMON.

*Otriad Milicji Osobowo Naznaczenija*, Oddział Milicji Specjalnego Przeznaczenia, nie ma w Rosji dobrej opinii. Sami Rosjanie rozwijają ten skrót jako: *Otmorożennyje Malcziki Osobowo Naznaczenija*, Popierdolone Chłopaki Specjalnego Przeznaczenia. I mają rację.

Wyhamowaliśmy, przed nami stały już trzy samochody.

– Wiesz, jest taki kawał o omonowcach... – powiedziałem.

– Tak?

– Rząd postanowił przebadać inteligencję członków OMON-u. Każdy omonowiec otrzymał zestaw drewnianych klocków, które musiał dopasować do siebie. Wiesz,

włożyć jeden w drugi, w zależności od kształtu. Testy wykazały, że połowa stanu OMON-u jest bardzo głupia, za to pozostali są bardzo silni...

Do samochodu podszedł mężczyzna w czarnym berecie, jeden z jego kumpli ulokował się nieco dalej, ubezpieczał towarzysza, trzymając palec na spuście kałasznikowa. Lufa broni celowała w Małgorzatę.

– Materiały wybuchowe, narkotyki, broń? – zapytał znudzonym tonem.

– Dziękuję, niczego nam nie trzeba – odpowiedziałem starym jak świat dowcipem. – Żona nie zna rosyjskiego – dodałem wyjaśniająco, gdy spojrzał na mnie ze złością.

– Proszę wyjąć i otworzyć bagażnik – rozkazał.

Otworzyłem. Wewnątrz znajdowały się apteczka, koc termiczny i wojskowa saperka. Tę ostatnią pewnie umieścił w bagażniku ktoś dobrze obeznany ze stanem rosyjskich dróg...

– Dokumenty.

Sięgnąłem do kieszeni kurtki, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów. Całe szczęście, że zostawiłem glocka w hotelu...

Omonowiec przestudiował papiery, niemal nie poruszając ustami – trafił mi się jakiś intelektualista – i wymownym gestem pozwolił jechać dalej.

– Czy oni są naprawdę aż tak... – zaczęła Małgorzata.

– Jeszcze bardziej – wszedłem jej w słowo. – Teraz w lewo – poleciłem, spoglądając na mapę. Dacza Markowa znajdowała się w niewielkiej osadzie, lecz mijane po drodze budynki zdawały się sugerować, że nie znajdziemy tu wielu wieśniaków. Wysokie ogrodzenia, gara-

że, zdalnie otwierane bramy i rozmieszczone na dachach anteny satelitarne potwierdzały, że to tereny wypoczynkowe dla miejscowej elity.

Kiedy skręciliśmy w wąską, wyboistą drogę – według mapy prowadziła do kolejnej prominenckiej wioski – zaczął padać śnieg. W ciągu paru chwil ciężkie, wilgotne płatki przesłoniły przednią szybę, Małgorzata musiała włączyć wycieraczki. Śnieżny tuman mamił i męczył wzrok, kolejne fale bieli nadchodziły jedna po drugiej, nieustępliwie, chłoszcząc wóz regularnie niczym uderzenia skrzydeł wielkiego motyla. Przed nami zamajaczyła jakaś okutana w długi do kostek kożuch postać. Poznałem Żeńkę. Chłopak wskazywał wiodącą pomiędzy zabudowania drogę, o dziwo, równą i asfaltową – gdzieniegdzie spod warstwy świeżego śniegu prześwitywały czarne plamy. Najwyraźniej dotarliśmy do celu.

Zostawiliśmy samochód na podejździe i niemal na oślep dobiegliśmy do drzwi. Były otwarte.

– Zawsze tak ufacie sąsiadom? – spytałem, otrząsając buty.

– To znaczy? – spytał Markow, pomagając ściągnąć palto Małgorzacie.

– Te otwarte drzwi...

– Tu nie ma kradzieży i włamań – mruknął milicjant. – Porządku strzeże firma Kałasznikow – dodał, wskazując na obwieszoną bronią ścianę.

Poza myśliwską fuzję reszta sprzętu służyła raczej do polowań na dwunożną zwierzynę.

– Wzmocnionej herbaty? – zaproponował.

– Nie odmówię – odparłem.

– Ja poproszę z konfiturami – odezwała się Małgorzata.

Przeszliśmy do urządzonego w rustykalnym stylu pomieszczenia, po chwili dołączyli do nas Żeńka i Zina. Ochroniarze zostali na zewnątrz – taka robota...

Starsza, licząca sobie pod sześćdziesiątkę kobieta przyniosła herbatę, na stole ustawiono już flaszki z wódką i przekąski.

– Myślałem, że będzie nas więcej – powiedziałem, grzejąc palce o szklankę.

Mimo włączonego ogrzewania zmarłem w podróży.

– Niestety, z imprezy towarzyskiej zrobiła się robocza kolacja – stwierdził z posępną miną Markow.

– Co się stało?

– Dwie godziny temu przyszła informacja z komendy, dyżurny odebrał anonimowy telefon. Rozmówca posłużył się jakimś elektronicznym urządzeniem do zniekształcania głosu. Sama rozmowa trwała zbyt krótko, żeby go namierzyć – poinformował.

– Zawodowiec?

– Na to wygląda – westchnął Żeńka. – Pojechałem tam i...

– Chwileczkę – przerwałem. – Czego dotyczył ten telefon?

– Powiadomiono nas, gdzie znajdują się zwłoki Ludmiły Bielewej...

– I co?! – zawołałem niecierpliwie.

– Nie znaleźliśmy zwłok, ale w mieszkaniu były ślady krwi i ubranie ofiary – wyjaśnił Żenia.

– Skąd wiesz, że to ciuchy Ludy?!



– Nie mamy jeszcze stuprocentowej pewności – przyznał Markow. – Jednak to, co znaleźliśmy, zgadza się z opisem garderoby, jaką Ludmiła Bielowa nosiła w dniu zniknięcia. Teoretycznie mogą być to ubrania należące do kogoś innego, choć to bardzo mało prawdopodobne, rozumiesz, krótkie serie.

– Za jasną cholerę nie rozumiem!

– Ekskluzywne ciuchy produkuje się w krótkich seriach – wyjaśniła Małgorzata, włączając się do rozmowy. – Jest to jeden z czynników, które wpływają na cenę takiej odzieży. Panie z towarzystwa nie chcą spotkać na balu koleżanki w takiej samej sukience.

Zacisnąłem usta – jeśli tak, pewnie Markow miał rację, ubrania należały do Ludy...

– No dobrze. – Westchnąłem, bawiąc się nerwowo łyżeczką do herbaty. – Załóżmy, że to ciuchy Ludy. Tyle że fakt ich znalezienia wcale nie oznacza, iż ktoś ją zabił.

Żeńka ponuro pokręcił głową.

– Tam było tyle krwi, że... – nie dokończył.

– Może to nie jej?

– Trwają badania: grupa krwi, porównanie DNA... Wyniki będziemy znali za kilka godzin, ale wątpię, bardzo wątpię, żeby okazało się, że to cudza krew – odezwał się Markow. – Niby dlaczego ktoś miałby organizować taką zmyłkę?

– Żeby przekonać nas, że Luda nie żyje.

– W jakim celu? – powtórzył cierpliwie milicjant. – Przecież musiałby wiedzieć, że wyjaśnimy to błyskawicznie.

– A gdyby ona sama... No, tę krew?

– Niemożliwe – odparł Żeńka. – Nie w tej ilości. Nie widziałeś tego. Podłoga, ściany, nawet sufit... – Wzdrygnął się. – To wyglądało, jakby ktoś gonił ją po mieszkaniu z nożem w ręku...

Pociągnąłem kolejny łyk zaprawionej koniakiem herbaty, nagle poczułem chłód.

– To już koniec nowości? – zapytałem z rezygnacją.

– Nie, zmarł ten menel – powiedział Markow, masując skronie. – Wiesz, w klinice.

Wiedziałem. Wańka-Wstańka, były inżynier i niezbyt szczęśliwy małżonek, dowódca niewielkiej załogi lumpów na sto pierwszym kilometrze. Teraz ogólnie – były...

– Co z *worami w zakonie*? – zwróciłem się do Ziny. – Czy może...

Bez słowa pokręciła głową. Westchnąłem, dochodzenie paskudziło się jak zgangrenowana rana.

– Wypijmy – zaproponował Markow, podnosząc się zza stołu.

Rozlał do szklanek, Margarita i Zina dostały nieco mniejsze naczynia. W Rosji picie wódki to nie tylko chlańsko, to także sposób powiedzenia: „Jesteś moim przyjacielem, mój dom jest twoim domem”. Wtedy spełnia się toast szklankami i pije do dna.

– *Za druźbu* – powiedział cicho Markow.

Zadźwięczało trącane szkło. Wypiliśmy. Do dna.



**D**ziewiętnastowieczne „Wiadomości Sądowe” okazały się prawdziwą kopalnią wiedzy na temat przestępczości dawnego Petersburga. Nie przeglądałem zakurzonych tomów z płonnej ciekawości – zapisany w trzech językach rękopis pochodził właśnie z tego okresu, stąd moja nadzieja, że może znajdę coś na temat tajemniczej sekty. W końcu trudno nie zwrócić uwagi na trupy z wyciętymi sercami. Szczególnie w czasie pokoju.

Nie zawiodłem się – jeden z roczników zawierał omówienie śledztwa dotyczącego aktów rytualnego kaniibalizmu. Ale niewiele się z niego dowiedziałem: autor w afektowanym tonie rozwodził się nad owymi, jak to nazwał, „potwornościami”, nie podając jednak konkretnych informacji. Najwyraźniej dziennikarze nie wpadli na pomysł, żeby przekupić któregoś z policjantów, albo wiedzieli, że i tak nie puściłaby tego cenzura. Królestwo za brukowiec z epoki. Ech, gdyby takowe istniały...

Z ciężkim westchnieniem sięgnąłem po kolejne tomiście, zdmuchnąłem z okładki grubą warstwę kurzu – szybko się zorientowałem, że utrzymywanie porządku

nie jest bynajmniej priorytetem dla dzielnej obsługi. Cóż, mogło być gorzej – z kilku roczników „Dziennika Urzędowego” zostały tylko nadgryzione przez myszy i zapewne niesmaczne okładki. Poprosiwszy o wyjaśnienia dyrektora archiwum, otrzymałem w zamian nonszalanckie wzruszenie ramion i solenne zapewnienie, że nie stało się to za jego kadencji...

Rozmyślenia przerwał mi natarczywy dźwięk – komórka. Dzwonił Dżuma.

– Za godzinę w Krasnoj Gorkie – rzucił zamiast powitania. – Poczekaj przed archiwum, wysłałem po ciebie samochód.

Rozłączył się, zanim zdążyłem zapytać, co się stało. No, ładnie... Ciekawe, o co chodzi? Nie sądziłem, że o kolejne problemy egzystencjalne Mariny Bielowej, głos Olega brzmiał szorstko, szczekliwie, niczym na poligonie albo w akcji. Rzuciłem się do wyjścia, zgarniając w biegu kurtkę, krzyknąłem do pracujących w sąsiednim pomieszczeniu milicjantów, aby zabezpieczyli czytane przeze mnie dokumenty. Kątem oka widziałem, jak biegnie za mną Żeńka, zapewne w charakterze samozwańczego ochroniarza. Tak jakby nie wystarczyła kręcąca się gdzieś po okolicy RMB. Z pewną konsternacją stwierdziłem, że wizja przytupującej z zimna w jakiejś bramie Raisy Maksimowny Borelskiej wywołała na mojej twarzy szczery, niewymuszony uśmiech. Cóż, chyba wypadało to zaliczyć do drobnych przyjemności życiowych...

Rozejrzałem się po parkingu przed archiwum – wóz ochrony jeszcze nie podjechał, machnąłem ręką, odsyłając Żeńkę z powrotem: chłopak wypadł na mróz w swetrze, bez czapki i rękawic. Termometry wskazy-

wały minus dziesięć. Wtedy go zobaczyłem – wyszedł zza ochlapanej zaschniętym błotem dostawczej półciężarówki; wysoki, szczupły, o aparycji intelektualisty. Powiedział coś spokojnie, nie podnosząc głosu, ale z naciskiem. Nie dokończył zdania, pocisk rozerwał rękaw grubej kurtki, wyrzucił w powietrze obłoczek zabarwionego na czerwono puchu. Mężczyzna skoczył – z odległości kilkunastu metrów, bez rozbiegu. Sięgnąłem po broń, chciałem sięgnąć... Ogarnęła mnie fala gorąca, zdrętwiały ręce i nogi. Upadłem. Ktoś rozgiął mi zaciśnięte na teczce palce, usłyszałem kilka następujących jeden za drugim strzałów i pełne wściekłości wrzaski. Krzyczała RMB.

– Ocknij się, do cholery, ocknij się... – mamrotał Żeńka, nacierając mi policzki śniegiem.

– Już... dobrze – wybelkotałem, uczepiwszy się ramienia chłopaka.

Po chwili stanąłem na nogi. Potrząsnąłem głową, usiłując dojść do siebie: wszystkie przedmioty widziałem rozmyte jak pod wodą, klatka piersiowa paliła żywym ogniem.

– Co się stało?

– Dałeś sobie zabrać teczkę, kretynie! – warknęła, podbiegając, Raisa.

Rozczochrana, z trzymaną w zgięciu ramienia strzelbą i rzucającymi wściekle błyski oczyma, wyglądała na niebezpieczną wariatkę. Niebezpieczną i uzbrojoną...

– Spokojnie, w tej teczce... nie było niczego ważnego – wykrztusiłem. – Notatki z lektury „Wiadomości Sądowych”, można je... dostać w paru innych bibliotekach i archiwach. Ten Chińczyk... uciekł?

– Zwiął *ubliudok poganyj!* Trafiłam go w ramię, ale to tylko draśnięcie. Rzucił się na wszystkie strony jak szczupak na lodzie, nie mogłam wycelować!

W głosie RMB brzmiała frustracja. Rozumiałem ją, zapewne dostanie za swoje – nie dała rady zatrzymać nieuzbrojonego człowieka, do tego dochodziła urażona zawodowa duma: przegrała w starciu jeden na jednego. Tyle że Chińczyk nie był normalnym człowiekiem, zdecydowanie nie.

– Przyjechała ochrona – powiedział Zeńka.

– Zbieramy się – zdecydowałem. – Ty też – zwróciłem się do RMB. – Musimy pogadać z Olegiem.

Nie zaprotestowała. Z ponurą miną zajęła miejsce w samochodzie.

– Coś się stało? – spytał jeden z ochroniarzy, spoglądając na trzymaną wciąż w rękach kobiety strzelbę.

Borelska rozpoczęła wyjaśnienia od podania w wątpliwość cnoty babki rozmówcy. Zanim doszła do matki, facet mądrze zrezygnował z dalszych indagacji. Ruszyliśmy.



Myślałem, że spotkamy się z Biełowem – ochroniarze zaprowadzili nas do jego gabinetu – ale zastaliśmy tam jedynie Olega Dubrowa. Nie żebym był rozczarowany, nie paliłem się do rozmowy z biznesmenem. Nie teraz. Znalazona ostatnio odzież Ludy, podobnie jak i ślady krwi sprawiły, że moja teoria dotycząca zniknięcia dziewczyny rozsypała się niczym domek z kart. Wracaliśmy do punktu wyjścia, wyglądało, że Ludmiłę jednak porwa-



no i zamordowano. Chyba że naprawdę bardzo chciała, żeby ktoś tak myślał... W końcu każdy może pobrać sobie z żyły trochę krwi. Wystarczy nieco wprawy, no i odrobina odwagi. No dobrze, więcej niż odrobina...

– Co z tym Chińczykiem?! – rzucił niecierpliwie Oleg. RMB spuściła wzrok, siłą rzeczy przejąłem konwersację.

– Zaatakował mnie, gdy tylko wyszedłem z archiwum. Zabrał teczkę z notatkami. Nie mogłem nic zrobić, facet doskoczył do mnie z odległości kilkunastu metrów i powalił jednym ruchem. Nawet nie wiem dokładnie, co mi zrobił. To ekspert Ziranmen, tak jak ten poprzedni. I też gadał coś o „nocnych jastrzębiach” – zaraportowałem zwięźle.

– A ty? – Dżuma zwrócił się do Borelskiej ze złowróżbnym wyrazem twarzy. – Co ty zrobiłaś?!

– Drasnęłam go w ramię – odpowiedziała cicho RMB. – Nie byłam w stanie go... trafić.

– Co się stało? – Obrzucił mnie gniewnym wzrokiem. – Poprzednio poszło ci lepiej.

– To skomplikowana sprawa – odparłem z westchnieniem. – Bardzo skomplikowana...

– Więc?

– Czy Borelska jest dobra w walce wręcz? – spytałem bez ogródek.

– Daje sobie radę. – Dżuma wzruszył ramionami. – Średni poziom, a co?

Bezwiednie skinąłem głową – wbrew powszechnej opinii nawet żołnierze elitarnych jednostek nie są mistrzami walki wręcz, nie jest im to do niczego potrzeb-



ne. W dodatku ich wyposażenie: kamizelki kuloodporne, broń, konieczność dźwigania zapasowej amunicji czy racji żywnościowych, mocno ogranicza zakres dostępnych technik. Wyjątkami są operatorzy służb specjalnych albo żołnierze z oddziałów dalekiego zwiadu – ci często muszą działać na zapleczu wroga, bez żadnego wsparcia, bywa, że i bez broni. Tak czy owak, wyglądało, że RMB nie odstaje od średniej i wyciągnięcie wniosków z tego, co się stało, spadnie na mnie...

– Istnieją różne sposoby, aby ocenić i udokumentować czyjąś sprawność w zakresie walki wręcz – zacząłem. – Razem z Maksem opracowaliśmy swój system. W skali od jeden do dziesięciu. Przedstawiając rzecz w skrócie i dużym uproszczeniu: stopnie jeden–trzy to sportowcy, znakomicie wygimnastykowani, fenomenalnie sprawni fizycznie ludzie. Czwórka i wyżej to już eksperci sztuk walki, tacy, którzy potrafią zastosować swoje umiejętności w starciu na śmierć i życie. Przykładowo: Maks to siódemka, dziewiątkę widziałem raz w życiu, o dziesiątkach tylko słyszałem.

Nie miałem zamiaru tłumaczyć Dżumie, ile warty jest system danów czy kolorowe pasy... Facet wiedział wszystko na ten temat. Zapewne nie raz i nie dwa stykał się z sytuacją, kiedy człowiek uznawany za mistrza, ba! – będący mistrzem, tyle że na sali treningowej – nie radził sobie w realnej walce. Bo tam trzeba przewyciężyć stres, dysponować determinacją, która pozwoli wyłupić oko, zmiażdżyć krtań czy rozpruć brzuch...

– Czemu ma służyć ten przydługi wstęp?! – warknął zniecierpliwiony Dżuma.

– Ten Chińczyk to była czternastka, może piętnastka. Nie wiem dokładnie, skala mi się skończyła... – wyjaśniłem, rozkładając bezradnie ręce.

– Chyba coś ci na mózg padło albo obejrzałeś zbyt wiele chińskich filmów – stwierdził kategorycznie Oleg. – Po prostu facet był lepszy od ciebie i tyle. Założę się, że jest całkiem sporo takich osób, w tym paru chłopaków z Ziranmen – zakonkludował złośliwie.

– Oczywiście fakt, że Borelska nie mogła go trafić, to czysty przypadek – odparłem, oglądając ostentacyjnie paznokcie.

– No właśnie, jak to się stało? – uniósł brwi Dżuma. – Unikał kul czy jak?

– To wyglądało jak *niżna akrobatika*, wiesz: pady, przewroty, nagłe zmiany kierunku ruchu – wymamrotała RMB. – Tylko że facet poruszał się szybciej, niż to kiedykolwiek widziałam.

– *Niżna akrobatika* to dobry sposób, żeby zmienić pozycję pod ogniem. Jeśli przetoczymy się z miejsca na miejsce, mamy większe szanse na przeżycie, niż gdybyśmy biegli, ale to nie jest patent na uniknięcie regularnego ostrzału! – parsknął. – Zapiłaś wczoraj czy co?!

– Nie zapiła. – Westchnąłem, starając się zachować cierpliwość. – Ten Chińczyk był nieprawdopodobnie dobry.

– Może rzeczywiście spotkaliście jakiegoś wybitnego eksperta Ziranmen – przyznał Oleg. – Jednak...

– Kiedy cały czas ci tłumaczę, że nie! Poznałem faceta uważanego za numer jeden w Ziranmen. To niejaki Lin Qingsong. Gość mieszka w Tokio, na pokazach demonstruje rozbijanie cegieł o golenie, paląc przy tym

papierosa... To ta dziewiątka, o której ci mówiłem. Oficjalnie nie ma nikogo lepszego w Ziranmen! Widziałem, jak ten facet się porusza, jest świetny, ale nie umywa się nawet do tego, którego spotkaliśmy dzisiaj. Dotarło?!

Dżuma wydał lekceważąco wargi, lecz zamiast klócić się dalej, usiadł za biurkiem, zapatrzył niewidzącym wzrokiem w okno. Nie dziwiłem mu się – sam nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić, jednak nie ulegało wątpliwości, że spotkaliśmy się z czymś niezwykłym. Nie po raz pierwszy w tej sprawie.

– No dobrze – powiedział wreszcie. – Zapewne masz jakąś teorię?

– To za dużo powiedziane – odparłem wykrętnie. – Musiałbym się skonsultować, wyjechać na dzień czy dwa do Polski...

– Ja ci, kurwa, wyjadę! – syknął. – Napierdalać się z tym policjantem, który poturbował ciebie i Margaritę, możesz kiedy indziej! Siedzimy po uszy w gównie, Bielowski musieli podać uspokajacze, facet rozsypał się zupełnie.

Odchrząknąłem niepewnie. W tym, co powiedział Oleg, było trochę racji – miałem do spłacenia pewien rachunek, problem przekupnego gliniarza dokuczał mi niczym swędzenie między łopatkami: ani o tym zapomniać, ani się podrapać... Tyle że to mogło poczekać, tydzień w tę, tydzień w tę nie robił mi specjalnej różnicy, problem w tym, że naprawdę musiałem się skonsultować.

– Co się stało? – spytałem. – Do tej pory trzymał się nieźle.

– Badania potwierdziły, że to ciuchy i krew Ludy – oznajmił krótko.

– Czy jest możliwe, że ona sama... – zacząłem ostrożnie.

– Nie! Pierwsze, co zrobił Biełow, to wysunął taką hipotezę. Niestety, to praktycznie niemożliwe; chodzi o wzór, w jaki układają się krople krwi.

– Nie rozumiem...

– Inaczej wygląda, jeśli chluśniesz krwią z kubeczka czy też rozprowadzisz ją za pomocą strzykawki, inaczej, kiedy tryska z rozciętej tętnicy. Ślady na ścianach i suficie świadczą niezbicie, że krew tryskała z tętnicy...

Wypuściłem ze świstem powietrze z płuc, zacisnąłem zęby – moja teoria definitywnie zdechła.

– Nie ulega wątpliwości, że Luda pomagała Batmanowi – kontynuował. – I zapłaciła za to życiem. Podejrzewam, że raczej nie dowiemy się, dlaczego to zrobiła, choć w tym momencie to kwestia uboczna. Trzeba zneutralizować Batmana, kimkolwiek jest, i wyjaśnić morderstwo sekretarki. Bo to ostatnie wskazuje, że Biełow nadal znajduje się w kręgu zainteresowań kogoś, kto chce mu szkodzić.

– Chciałem być przy przesłuchaniu tego malucha – mruknąłem. – Ale teraz...

– Damy sobie radę bez ciebie – zapewnił Dżuma. – Choć naprawdę nie widzę powodu, żebyś stąd wyjeżdżał. Trzeba zintensyfikować śledztwo.

– Od dawna nie robicie nic innego, tylko intensyfikujecie śledztwo. – Skrzywiłem się. – I jak na razie rezultaty są żadne... Nie mówię, że to nic nie da – powiedziałem pospiesznie, widząc tężejącą twarz Olega. – Wykorzystanie kontaktów mafii i przesłuchanie naszego nieletniego świadka może przynieść przełom w sprawie,

to samo dotyczy kontroli korespondencji Szewieliewej. Jednak możliwe, że te rutynowe w końcu działania nie dadzą pożądanых rezultatów. I co wtedy? Co powiesz Bielowowi?

Zapadła cisza, mina wpatrzonej w dywan RMB świadczyła o tym, że kobieta wolałaby być gdziekolwiek indziej, tylko nie tu, Oleg Dubrow przyglądał mi się ze zmarszczonymi brwiami, jakby chciał przeniknąć moje myśli.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Po co chcesz wyjechać?

– Mamy tekst, którego szukają Chińczycy – stwierdziłem pewnym tonem. – Przeczytałem go. Problem w tym, że wielu rzeczy nie rozumiem. Tam są odwołania do taoizmu, aluzje do alchemii wewnętrznej...

– Do czego?!

– Alchemia wewnętrzna to zespół dość ezoterycznych praktyk, w których traktuje się ludzki organizm jako coś w rodzaju naczynia. W dokumentach, które dotyczą tej dziedziny, używa się języka odnoszącego się do procesów alchemicznych: ogrzewania, destylacji, transmutacji pierwiastków... To może zrozumieć tylko ktoś, kto siedzi w temacie. Ja znam z grubsza różnice pomiędzy alchemią zewnętrzną a wewnętrzną, ale to wszystko. – Rozłożyłem wymownie ręce. – Dlatego, jeśli mamy wyciągnąć jakieś informacje z tego rękopisu, muszę się skonsultować. Wiem, kogo i o co pytać, lecz nie znam odpowiedzi – wyjaśniłem. – Podobnie jest z tymi „jastrzębiami nocy” czy też „nocnymi jastrzębiami”. Ten termin musi coś znaczyć, inaczej ci Chińczycy nie wywrzaskiwaliby go co rusz, ale za jasną cholerę nie wiem

co. Znam natomiast człowieka, który być może będzie kojarzył to wyrażenie. Obaj moi eksperci przebywają w Polsce – zakończyłem.

– Ta nagła chęć wyjazdu nie ma oczywiście nic wspólnego z faktem, że żebra ci się zrosły i masz ochotę przyłożyć gliniarzowi, który zdefasonował ci bużkę? – spytał Dżuma sceptycznie.

– Jedno drugiemu nie szkodzi – odburknąłem. – Jeśli masz lepszy pomysł, znasz sposób, dzięki któremu można popchnąć naprzód śledztwo, nie krępuj się...

– Ktoś mu obił gębę? – ożywiła się RMB. – Podaj mi adres, wyślę facetowi kwiaty.

Zimne spojrzenie Olega starło kpiący uśmiezek z ust kobiety – najwyraźniej notowania Raisy Maksimowny Borelskiej nie stały dzisiaj zbyt wysoko.

– Może zamiast latać po kwiaciarniach, poćwicz strzelanie – zaproponował. – Twój dzisiejszy występ pokazał, że potrzeba ci treningu.

Czerwona jak burak Borelska odwróciła wzrok.

– No dobrze, jedź – zdecydował Dżuma. – Tylko pamiętaj, masz góra dwa dni, licząc od chwili przylotu do Polski. I jeszcze jedno: zanim zaczniesz napierdalać się z tym byłym gliną, przekażesz mi wszystko, czego się dowiedziałeś. *Na wsiakij słuczaj.*

Skinąłem posłusznie głową, nie przypuszczałem, że kochanek Wieleckiej czymś mnie zaskoczy, ale jak wykazały ostatnie wydarzenia – wypadki chodzą po ludziach...

– Za trzy godziny masz być gotowy, tyle czasu zajmie mi sformowanie konwoju i zabezpieczenie trasy.

– Że co?!

– Zapomniałem ci powiedzieć. – Oleg Dubrow wyglądał na zmieszanego. – Jeden z bossów półświatka przesłał nam dzisiaj ostrzeżenie. Jest na ciebie kontrakt...

Nagle w pokoju zrobiło się duszno, musiałem rozluźnić krawat.

– Sprawa jest poważna, zabójca to torpeda – kontynuował Rosjanin.

– Na ile pewna jest ta wiadomość? I o co chodzi z tą torpedą? Nie jestem pancernikiem, żeby mnie torpedować.

Borelska porzuciła kontemplację wzorów na dywanie, sprężyła się czujnie w fotelu – rzecz nie wyglądała zbyt dobrze, RMB była wyraźnie podekscytowana. Kurważeż mać! Do tej pory nikt jeszcze na mnie nie polował. Może powinienem się jednak zastanowić, zanim przyjąłem to zlecenie? Mimo wszystko...?

– Sprawdziliśmy wiarygodność informacji. Przekazał ją *smotriaszczij*... no, starszy celi z więzienia na Kriestach. Do nas dostarczył ją osobiście niejaki Borys Doktor. A ten nie zajmuje się błahymi sprawami. To prawa ręka...

Przerwałem Dżumie gwałtownym gestem. Wszyscy w Petersburgu wiedzieli, kim był Doktor. Ja też wiedziałem.

– A ten starszy celi? – podjąłem.

– Usłyszał plotkę. – Oleg wzruszył ramionami. – A ponieważ wiedział, że jego szef współpracuje obecnie z Biełowem, przekazał wyżej. Wysłał *maliawę*. Gryps – doprecyzował, widząc moje nierozumiejące spojrzenie.

– Torpeda to jednorazowy zabójca – wyjaśniła RMB z własnej inicjatywy. – Trudno go złapać, bo nie jest nigdzie notowany, może być kimkolwiek.

Ponownie poluźniłem krawat. Dzięki za informacje, towarzysko Borelska! Tego mi było potrzeba...

– Zbieramy się! – zarządził Dżuma. – *Wriemia poszło!*

Wstałem z fotela, czując się jak po paru głębszych, otarłem pot z czoła. Nie chodziło o temperaturę, klimatyzacja działała bez zarzutu, ale miałem wrażenie, że siedzę w saunie. Cóż, chyba nie tylko Borelska była pod-ekscytowana...



Zlustrowałem ulicę za swoimi plecami w poznaczonych brudnymi zaciekami szybie kwiaciarni: prymitywny chwyt rodem z podręcznika „Jak uniknąć porwania” dla urzędasów wyższego szczebla. Subtelności wykluczone – czytelnicy są zbyt głupi. Sytuacja niczego sobie: dwa samochody ciągnęły się za mną, odkąd wyszedłem z mieszkania, zapewne śledzili mnie także piesi. Nie poświęcałem temu specjalnej uwagi, wcześniej zauważyłem znajomą twarz: kierowcą jednego z wozów był człowiek Ihora Magika. Jeśli Dżuma przekazał Ihorowi najnowsze wieści – a mogłem się założyć, że zrobił to, jeszcze zanim wsiadłem do samolotu – dostałem ochronę. Nic specjalnego, do wszystkiego można się przyzwyczaić. Wątpiłem, że coś grozi mi w Polsce. Wynajęty killer to z pewnością Rosjanin, a w takim wypadku poczeka, aż wrócę do Petersburga. Organizacja zamachu na terenie Rosji była nie tylko prostsza, ale co ważniejsze – zabójca miał dużo większe szanse, aby wyjść z akcji cało. Do tego dochodziła logistyka: zdobycie informacji, załatwienie broni i sprzętu, transport... Nie, w tym momencie nic



mi nie groziło. Zapewnienie mi ochrony należało traktować jako kurtuazyjny gest w stosunku do Bielowa, sposób okazania troski o interesy partnera. O tym, że ojciec chrzestny rosyjskiej mafii w Polsce i czołowy rosyjski biznesmen współpracowali ze sobą, wiedziałem już od dawna. I byłoby grubą przesadą stwierdzenie, że rzecz mnie zaskoczyła. Pieniądze nie śmierdzą. Nigdy i pod żadną szerokością geograficzną.

Kupiłem wiązanek dwunastu róż. Nie wiedziałem, jakie kwiaty lubi, ale w końcu nie zamierzałem iść na randkę, raczej spłacić dług. Wdrapałem się na drugie piętro, zadzwoniłem. Minęła dobra minuta, zanim mi otworzyła, dopiero teraz miałem okazję przyjrzeć jej się bliżej, wcześniej się nie złożyło, miałem inne problemy: metr sześćdziesiąt wzrostu, niezła, choć nieco pulchniejsza niż lansowana przez modelki figura, owalna twarz o delikatnych rysach, niebieskie oczy. Rozpoznałem zapach jej perfum: ledwie uchwytny, na granicy percepcji – zapewne pozostał na skórze. Szlafrok, w który się owinęła, i rozburzone, krótko przycięte blond włosy sugerowały, że dopiero wyszła spod prysznic.

– Mogę wejść? – spytałem.

Obrzuciła mnie taksującym wzrokiem, prawą rękę trzymała w kieszeni szlafroka – mądra dziewczynka, popierdoleńców nie brakuje, a kwiaty to świetny pomysł, żeby uśpić czujność kobiety.

– My się znamy? – Uniosła lekko brwi.

– Komenda, jakiś miesiąc temu, dała mi pani papierowe ręczniki – przypomniałem się krótko.

– Ach... Teraz poznaję – powiedziała, jak mi się zdało, z ulgą.

Zaprosiła mnie gestem, poprowadziła do pokoju.

– Kawy, herbaty? – zaproponowała.

– Może innym razem – wymówiłem się grzecznie. – Chciałem tylko podziękować.

Przyjęła róże bez słowa, umieściła w secesyjnym majolikowym wazonie. Czyżby oryginał? W takim razie musiała mieć większe dochody niż policyjna pensja. Dużo większe...

– Prezent od ojca – wyjaśniła, jakby odczytując moje myśli.

– Jak sytuacja w pracy? – spytałem.

– Żadnych problemów. – Wzruszyła ramionami. – Jedynie...

– Tak? – ponagliłem, widząc, że się zawahała.

– Zaraz po tym... incydencie Bardeni mi groził. Ale od kiedy go zwolnili, nie odezwał się ani razu – dodała szybko.

– Bardeni?

– Szef grupy antyterrorystycznej – wyjaśniła.

– Ach... ten. To nic poważnego, zresztą jutro będzie miał inne zmartwienia – zapewniłem.

– Jest pan pewien, że to dobry pomysł? – Spojrzała na mnie spod oka. – Słyszałam, że jest naprawdę niezły.

– Zobaczymy. – Zbyłem jej wątpliwości machnięciem ręki. – Będę się zbierał. Gdyby miała pani kłopoty, jakiegokolwiek kłopoty – zawiesiłem znacząco głos – proszę dzwonić.

Położyłem na stole dwie wizytówki, moją i Maksa. Obie z numerami telefonów, jakie podawaliśmy tylko nielicznym.



- To naprawdę dziwny tekst – stwierdził Gilbert.
- Może powiedz mi coś, czego nie wiem? – zaproponowałem z lekkim zniecierpliwieniem.
- Co wiesz o alchemii ezoterycznej? – odpowiedział pytaniem.
- Praktycznie nic poza tym, że takowa istnieje – odparłem zwięźle.
- No dobrze – westchnął. – W takim razie wytłumaczę ci to od podstaw. Sama koncepcja powstała w dawnych Chinach, Chińczycy od niepamiętnych czasów dążyli do uzyskania fizycznej nieśmiertelności. Jednak ich... eksperymenty były bardzo niebezpieczne, tworzyli na przykład substancje na bazie rtęci. Otruło się nimi wielu alchemików, ponoć nawet paru cesarzy... W tym momencie badacze podzielili się na dwie szkoły: część kontynuowała prace w ramach tradycyjnej alchemii, tyle że nieco ostrożniej, część uznała, że prawdziwy eliksir nieśmiertelności można uzyskać jedynie na drodze ezoterycznej, badając nie konkretne substancje, a ich „dusze”. W tym drugim przypadku identyfikowano będące przedmiotem alchemicznych przekształceń metale z różnymi częściami ciała i funkcjami organizmu, a poszczególne procesy zachodziły w ciele i umyśle adepta. Rtęć porównywano do krwi, ołów do oddechu... Istniało, rzecz jasna, wiele szkół alchemii ezoterycznej, lecz większość z nich preferowała pracę z oddechem: uważano, że zatrzymanie oddechu i odpowiednie metody skupienia myśli są w stanie uruchomić procesy transmutacji, przemienić zwykłe ciało w ciało idealne, wiecznotrwałe...

W tym punkcie ta twoja księga nie różni się w niczym od klasycznych, chińskich traktatów. Aby przyspieszyć proces „przyjmowania darów”, zaleca powstrzymanie oddechu.

– Przyjmowanie darów?

– I tu dochodzimy do sedna – oznajmił z entuzjazmem Gilbert. – Efektem zachodzących w organizmie adepta alchemicznych procesów miały być rozmaite moce nadnaturalne, nieśmiertelność to ostatni etap. Problem w tym, że chińskie podręczniki nie wyjaśniały nigdy, jak rozpocząć tę praktykę, zainicjować przemianę zwykłego ciała w transcendentne. Wspominano co najwyżej o spotkaniu z jakimś nieśmiertelnym mistrzem, tu – uderzył dłonią w plik zadrukowanych kartek – mamy konkrety.

– To znaczy? – ponagliłem.

– Tekst wspomina o istnieniu czegoś, co nazywa się „świętą chorobą”. Termin „choroba” odnosi się prawdopodobnie do sposobu, w jaki owa „dolegliwość” jest przekazywana: infekcja następuje poprzez krew. Podobno wystarczy jedna kropla. Mocno przypomina to współczesne szczepionki...

Podeksycytowany Gilbert poprawił okulary, ponownie skoncentrował wzrok na wydruku. Nie dałem mu oryginału – ten spoczywał w bezpiecznym miejscu – ograniczyłem się do przesłania skanu.

– Tak, wiem – mruknąłem. – Krew mistrza.

– Krew zarażonego – sprostował Gilbert. – Jeśli odrzucimy mistyczną otoczkę, otrzymamy zdumiewająco spójną instrukcję postępowania: infekcja, okres oczekiwania, w czasie którego następuje rozwój choroby, etap

pojawiania się darów... Cały proces wspierany jest praktyką wstrzymywania oddechu.

– Znowu jakiś bełkot – oznajmiłem zniechęcony. – To wstrzymywanie oddechu. Pływacy też to robią i jakoś żaden z nich nie staje się od tego nieśmiertelny...

– Księga wspomina o zatrzymaniu oddechu na okres „tysiąca uderzeń serca” – powiedział Gilbert. – To fizycznie niemożliwe, biorąc pod uwagę, że przeciętnie tętno wynosi około siedemdziesięciu uderzeń na minutę, daje to mniej więcej czternaście, piętnaście minut. Nikt tyle nie wytrzyma. A księga mówi o regularnym oddychaniu w takim tempie. Jednak...

– Tak? – ponagliłem.

– Ta choroba musi zmieniać funkcjonowanie organizmu, może chory, i tylko on, jest w stanie zatrzymać oddech na kwadrans? To tak jak sterydy i ćwiczenia: te pierwsze powodują przyrost masy mięśniowej, drugie przyspieszają proces. Zmodyfikowany przez infekcję organizm otrzymuje dodatkowy bodziec i...

– I staje się nieśmiertelny – dokończyłem z ironią. – Współczesna nauka od dawna bada wpływ oddychania na funkcje organizmu. Wiemy, że można w ten sposób korygować wiele schorzeń, jednak nieśmiertelność czy też nadnaturalna siła, jaką obiecuje ta księga... – Pokręciłem sceptycznie głową.

– Powiedz mi, ilu ludzi oddychających raz na piętnaście minut przebadali lekarze? – spytał Gilbert, kontemplując sufit. – Kto zdiagnozował „świętą chorobę”?

– Hm... A po co w takim razie to wycinanie serc?

– Skąd mam wiedzieć? – Mój przyjaciel lekceważąco wzruszył ramionami. – Może to forma rytuału?

A może chodzi o zachowania stojące w opozycji do tego, co robimy normalnie? Rozumiesz, działanie w stylu: jeśli chcesz przekroczyć kondycję ludzką, rób wszystko inaczej. Ludzie raczej nie jedzą przedstawiciele tego samego gatunku, tak jak i nie wstrzymują oddechu na kwadrans... Trudno zresztą mówić o realnej nieśmiertelności bez mocnych dowodów, choć kto wie czy te praktyki nie mogą rzeczywiście wydłużyć życia? Do trzystu czy pięciuset lat? Zapewnić lepszej koordynacji ruchów, siły, szybkości? I co wtedy? Wyobrażasz sobie, jak doskonały musi być przykładowo szermierz, który ćwiczy swoją sztukę przez kilka stuleci? Nawiasem mówiąc, w zachodniej alchemii występuje pojęcie „ciało chwały”, którego właściwości są zdumiewająco podobne do tego, co opisuje twoja księga: wolność od chorób, nadnaturalna siła, niepoddawanie się upływowi czasu czy odporność na mróz. Tyle że sposób na uzyskanie tego wszystkiego jest zupełnie inny.

Z roztargnieniem skinąłem głową – nie było sensu dywagować w nieskończoność nad tajemniczym tekstem, nie miałem przecież zamiaru stać się jednym z „Doskonałych”. Bogiem a prawdą nie miałem też takich możliwości. Jakoś nie wyobrażałem sobie, że odwiedzi mnie nagle Razumowski i zaproponuje kroplę swojej krwi. O ile jeszcze żyje, o ile jest mistrzem w rozumieniu „Doskonałych”, o ile...

– Mógłbyś coś wyjaśnić? – przerwał mi rozmyślenia Gilbert.

– Tak?

– Ty jesteś raczej sceptykiem – odezwał się z namysłem.

Potwierdziłem nieartykułowanym mruknięciem.

– No więc nasuwa się pytanie: dlaczego tracisz czas na rozważania, które w twojej opinii do niczego nie prowadzą? Chyba że masz jakieś wątpliwości, wiesz coś, co powoduje, że twierdzenia zawarte w tej księdze nie są aż takie nieprawdopodobne?

– Niczego nie wiem! – warknąłem. – Mogę się co najwyżej domyślać.

– To znaczy? – Gilbert zmrużył podejrzliwie oczy.

– Teraz nic ci nie powiem, nie mam czasu – zastrzegłem się stanowczo. – Jednak jutro...

– Gdzie jest haczyk? – spytał zrezygnowanym tonem. – Co mam zrobić?

– Chcę, żebyś sporządził raport. Obserwacje, przypuszczenia, wszystko, co można wywnioskować z księgi „Doskonałych”. Prześlij mi to wieczorem.

– Nie zdążę!

– Postaraj się – zaproponowałem, wstając zza stołu. – Moja oferta jest ważna do dziesiątej.



Strych pachniał wanilią i cynamonem, ale to nie zapach zwrócił moją uwagę. Pomieszczeniem wstrząsały potężne uderzenia – Ito zasypywał gradem ciosów gruby, owinięty konopnym sznurem wspornik. Z obawą spojrzałem w sufit, jeśli to cholerstwo się złamie... Drewniany słup miał przynajmniej czterdzieści centymetrów średnicy, lecz znałem możliwości Ito: facet był ósemką, mocną ósemką. Mężczyzna, z którego powodu tu przyszedłem, w niczym nie przypominał stereotypu japońskiego mi-

strza. Mierzył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, budowę przypominał amerykańskiego futbolistę i bynajmniej nie emanował spokojem ducha; był równie agresywny co rozdrażniona kobra.

– Mistrzu... – wymamrotałem, zginając się w niskim ukłonie.

Moje zachowanie nie miało nic wspólnego z japońskim czy jakimkolwiek innym ceremoniałem – jeśli szukać by związku, to, co robiłem, przypominało zachowanie wilka wobec przywódcy stada; odsłonięcie tętnicy w nadziei, że silniejszy basior zadowolony się tym gestem poddania, daruje życie... To nie był dowcip – w środowisku sztuk walki treningi prowadzone przez Ito obrosły ponurą legendą: lała się na nich krew, czasem ginęli ludzie. Mimo to nie brakowało chętnych, przeżycie cyklu treningowego z Ito nobilitowało, tak jakby część aury Japończyka przechodziła na szczęśliwca, który dotrwał do końca. No i był jeszcze jeden wabik – Ito nauczał okinawańskiego karate, morderczej sztuki zabijania złożonej z dawno zapomnianych technik. Niewiele osób wie, że zanim karate stało się sportem, stanowiło zbiór metod opracowanych w jednym tylko celu: unicestwienia przeciwnika. Druzgotanie kości, ataki na żyły, tętnice i nerwy, rzuty kończące się złamaniem kręgosłupa...

Ito powoli odwrócił się od maltretowanego słupa, widziałem wyraźnie unoszące się wokół sylwetki męczyzny drobinki wznieconego uderzeniami kurzu. Czarne, błyszczące oczy nie wyrażały żadnych uczuć, były puste jak wzrok plastikowej lalki. Po długiej, bardzo długiej chwili odkłonił się ledwie zauważalnym ruchem głowy.



Z wysiłkiem powstrzymałem się od wytarcia zroszonego potem czoła.

– Co cię sprowadza? – zapytał cicho, prawie szeptem.

Przełknąłem z trudem ślinę, wpatrzyłem się w pokryte zgrubieniami dłonie Ito. Przegub lewej ręki znaczyła szeroka, paskudna blizna. To było coś nowego – ostatni raz widziałem Ito pół roku temu, wówczas nie zauważyłem żadnej szramy. Jak dobry musiał być ktoś, komu udało się zranić Japończyka? I ile sekund przeżył po tym, jak tego dokonał? Wzdrygnąłem się lekko, wracając do rzeczywistości.

– Mam pytanie, na które tylko ty potrafisz odpowiedzieć, mistrzu. Być może – dodałem z rozmysłem.

Przynęta zadziałała, w spojrzeniu Ito dostrzegłem zainteresowanie.

– Nocne jastrzębie – rzuciłem.

Swobodnie, z wdziękiem spuszczonego z uwięzi latawca Japończyk opadł na kolana, gestem nakazał mi przyjęcie podobnej pozycji. Posłusznie przysiadłem na piętach.

– Opowiadaj! – rozkazał.

Przedstawiłem zwięźle fakty związane z dochodzeniem, opisałem ataki ekspertów Ziranmen. Nie poprosiłem o dyskrecję, pamiętałem, co Ito zrobił człowiekowi, który odważył się kiedyś publicznie zażartować z gadatliwości Japończyków. Rzecz dotyczyła japońskich turystów, ale Ito wziął przytyk do siebie. To był pierwszy i ostatni taki przypadek, wszyscy zapamiętali lekcję. Łącznie z oponentem Ito, mistrzem Europy w karate full contact. Tyle że to mistrzostwo w niczym mu nie pomogło...

– Co chcesz wiedzieć? – spytał w końcu Japończyk.

– Kim oni są?

Wzrok Ito spoczął na mojej twarzy, uderzył z siłą kowalskiego młota, jakby chciał przeniknąć mnie na wskroś. „Jesteś tylko ofiarą, zwierzyną pośledniego gatunku, kimś, kim żywią się lepsi od ciebie”, zdawało się mówić spojrzenie Japończyka. Opuściłem głowę, wpatrzyłem w deski podłogi. Czekałem.

– Istnieje pewna legenda... – usłyszałem po chwili. – Mało kto ją zna, bo to opowieść z zębami. Jeśli dowiesz się zbyt wiele, za bardzo zbliżysz do prawdy, umrzesz. Na początku dwudziestego wieku, kiedy Chiny zaczęły walczyć o niepodległość, ktoś wpadł na pomysł, żeby wyselekcjonować najlepszych wojowników. Ogłoszono turniej bez reguł, nie obowiązywały żadne zasady poza oczywistą: wygrać! W rywalizacji wzięła udział jedna ze starych szkół z tradycjami. Nic nadzwyczajnego, na turniej przybyli przedstawiciele wszystkich liczących się sztuk walki. Tyle że mistrz tej szkoły zmarł parę miesięcy wcześniej na zapalenie płuc, nie pozostawiając godnego siebie następcy, jego miejsce zajął najstarszy uczeń. Szkoła musiała wystartować w turnieju, inaczej jej adepti straciliby twarz, z drugiej strony, nie mogła wygrać, było wielu lepszych. Więc przegrali. Zginęli albo zostali tak kontuzjowani, że nie mogli brać udziału w dalszych etapach turnieju. Ekspert, który zabił w walce następcę mistrza owej szkoły z tradycjami, sam zginął później w publicznym pojedynku z zamaskowanym człowiekiem. Nic w tym niezwykłego, takie wendety były wówczas na porządku dziennym, gdyby nie jeden fakt: umiejętności owego tajemniczego mściciela wychodziły poza ska-

łę, świadkowie porównywali go do latającego tygrysa. To chiński idiom oznaczający osobę niesłychanie potężną, kogoś, kto jest więcej niż człowiekiem... – wyjaśnił Ito. – W dodatku ów mężczyzna użył bardzo archaicznych technik, które stosowano kilkaset lat temu, później zarzucono ich praktykę jako zbyt trudną. Wtedy po raz pierwszy wypłynęła nazwa „nocne jastrzębie”...

Japończyk przymknął oczy, jakby zmęczył się swoim monologiem, zastygł w bezruchu. Kilkakrotnie zbierałem się, aby o coś zapytać, jednak za każdym razem obezwładniający strach blokował mi gardło. Wpatrzyłem się w wyszorowane do białości deski podłogi, czekając, aż Ito coś doda albo zakończy spotkanie. Mijały długie jak wieczność minuty, słyszałem szum krwi pompowanej szybkimi, nagłymi uderzeniami serca, czułem spływające po plecach strużki potu. Milczeliśmy.

– Mówią, że to nieśmiertelni – odezwał się wreszcie Ito. – Część szkół koncentruje się tylko na walce, inne zajmują się też mistyką, astrologią i praktykami zmierzającymi do osiągnięcia długowieczności. Te ostatnie są sekretem. Wiadomo, że wykorzystuje się w nich rozmaite zioła, jak choćby żeń-szeń, ćwiczenia oddechowe i umysłowe...

– Długowieczność to nie to samo co nieśmiertelność – odważyłem się wtrącić.

– Podobno niektórzy osiągnęli znacznie więcej niż długowieczność – odpalił Ito. – A szkoła Ziranmen... Oni zajmują się także praktykami duchowymi, wróżbiarstwem, taoistyczną jogą seksu, przewidywaniem przyszłości poprzez kontrolę snów... Sztuka walki to jedynie wierzchołek góry lodowej.

– Założmy, że są rzeczywiście nieśmiertelni albo przynajmniej wyjątkowo długowieczni – zacząłem ostrożnie. – Dlaczego więc interesują się „Doskonałymi” i Razumowskim? – kontynuowałem ośmielony przyzwalającym gestem Japończyka. – Przecież „Doskonali” to rosyjska sekta, a Razumowski...

– Korzenie nauki „Doskonałych” są chińskie – przerwał mi Ito. – Jeżeli ktoś wykradł Chińczykom sekrety przekazywane tylko wybranym... – zawiesił wymownie głos.

Nie musiał kończyć, wiedziałem, co ma na myśli: strzegący tajemnych nauk stracili twarz, nie spoczną, póki nie upewnią się, że wszyscy odpowiedzialni za to nie żyją. Ale dlaczego interesowali się Razumowskim? Czyżby sądzili, że Razumowski je poznał? Przecież księga „Doskonałych” leżała dziesiątki lat w archiwum, także przed wojną. Nikt nie wiedział, jak wielu ludzi ją czytało, każdy z nich mógł poznać teorie, na których bazowała sekta. Teorie... A co, jeśli Razumowski jako jedyny zastosował je w praktyce? W końcu miał kontakt z sekciarzami, przesłuchiwał, badał ich tajemnice. Razumowski... Czyżby żył do dzisiaj? Czy to właśnie on pisał listy do Szewieliewej, używając przezwiska z czasów młodości kobiety? Rzecz naturalna u kogoś, kto znał ją jako dwudziestoletnią dziewczynę. W takim razie nasuwał się wniosek, że Chińczycy nie chcieli zabrać mi księgi – ta była napisana hermetycznym, zrozumiałym tylko dla wtajemniczonych językiem, mogła zostać wcześniej skopiowana, więc musieli liczyć się z faktem, że odebranie oryginału niczego nie zmieni, wreszcie była bezuży-

teczna bez krwi mistrza – chcieli notatek na temat Razumowskiego. To jego szukali...

Z zadumy wyrwał mnie cichy szelest, w obecności Japończyka moje zmysły pracowały w trybie alarmowym: Ito stał już na szeroko rozstawionych nogach – musiał podnieść się jednym błyskawicznym ruchem. Wstałem i ja, dużo wolniej. Japoński siad to dość niewygodna pozycja, podszedłem, reagując na rozkazujący gest.

– Sparring!

Polecenie brzmiało krótko i treściwie niczym warknięcie wściekłego psa. I niosło w sobie podobne zagrożenie. Sparring z Ito... To mogło oznaczać wszystko: od brutalnego treningu z kimś dużo lepszym po rozpaczliwą obronę życia. Słyszałem, że Japończyk nigdy nie zabijał specjalnie – przynajmniej w czasie ćwiczeń – po prostu nie wszyscy byli w stanie spełnić stawiane przez niego wymagania. Ot, selekcja naturalna...

Chętnie zrzuciłbym marynarkę, zdjął krawat, ale nawet nie próbowałem, mogło mnie to zbyt drogo kosztować. Ito twierdził, że wojownik powinien umieć walczyć w każdym momencie i w każdych okolicznościach. Lansował też tezę, że wśród jego uczniów nie ma kiepskich fighterów. Pewnie, że nie – ci są najwyżej martwi...

Odbiłem kilka uderzeń, kontratakowałem kopnięciem w dół podkolanowy Japończyka. To śmiertelnie niebezpieczna technika, może sparaliżować nerw kontrolujący nogę, zmiażdżyć żyłę i tętnicę podkolanową. Udało mi się. Prawie. Ito zdążył poderwać nogę – trafiłem w łydkę. W chwilę później Japończyk znalazł się za moimi plecami, założył duszenie. Pociemniało mi

w oczach, czułem, jak twarde niczym z drewna, umięśnione przedramię wyciska ze mnie życie. Dosłownie. Ito nigdy nie markował duszenia. Ito dusił. Na uderzenie serca wcześniej zanim straciłem przytomność – puścił.

– Uważaj z tymi Chińczykami, naprawdę uważaj – wyszeptał mi do ucha.

Nie odpowiedziałem, łapałem oddech. Powietrze z trudem przechodziło przez obolałe gardło, drżałem na całym ciele. Zanim podniosłem się z podłogi, usłyszałem uderzenia – Ito powrócił do przerwanego treningu. Ukłoniłem się w kierunku pleców mistrza, rzuciłem do schodów. Cóż, w sumie nie mogłem narzekać, przeżyłem kolejny trening z Ito...



Ludzie Ihora Magika konwojowali mnie, odkąd wsiadłem do samochodu, nie zachowując elementarnej dyskrecji, ostentacyjnie. W cztery wozy. Gruba przesada, nawet gdyby spodziewali się zamachu. Co kombinował Magik? Czyżby zaszły jakieś nowe okoliczności? Bzdura! Dżuma powiadomiłby mnie natychmiast. Niby mogłem zadzwonić – numer Ihora miałem zakodowany, wystarczyło wdusić przycisk, tyle że mój stosunek do szefa rosyjskiej mafii w Polsce był mocno ambiwalentny. Zapewne z wzajemnością.

Jeden z samochodów eskorty przyspieszył – jego reflektory rozkroiły na moment ciemność przede mną – i zniknął za zakrętem. Dojeżdżaliśmy. Człowiek, któremu zamierzałem złożyć wizytę, nazywał się Bardeni i jeszcze do niedawna dowodził jednym z pododdziałów

antyterrorystycznych. Teraz prowadził prywatną szkołę sztuk walki. Po mojej wizycie zapewne będzie musiał ponownie zmienić profesję... Nie zamierzałem się oszukiwać, nie chodziło mi o sprawiedliwość, tej stało się zadość, kiedy wyrzucono Bardeniego z policji i Biełow, na moją prośbę, wyczyścił mu konto. Chciałem odwetu. Zwykłej, prymitywnej i jakże satysfakcjonującej zemsty...

Czekali na parkingu przed budynkiem: Magik, Fiedia Pogrzebacz i dwóch innych Rosjan. Zanim zablokowałem drzwi i włączyłem alarm, zajechały pozostałe trzy wozy. Wyglądało to na zjazd rosyjskiej mafii.

– Chyba powinniśmy się przywitać – powiedział Maks.

Marek na szczęście milczał. Obrzuciłem wujka ponurym spojrzeniem – cała sytuacja wydawała się go bawić, ale posłusznie podszedłem do Ihora.

– Nie za dużo was, chłopcy, do ochrony? – zagadnąłem.

Skrzywiłem się, słysząc, jak chrypię – po sparringu z Ito miałem nie tylko posiniaczoną szyję, zaczęło puchnąć mi gardło. Nie podałem nikomu ręki, ale żaden z Rosjan nie wydawał się tym zakłopotany. Na twarzy Ihora dostrzegłem ledwie dostrzegalny uśmiezek. Następny rozbawiony...

– Ochrona? – zarechotał otwarcie Fiedia Pogrzebacz. – To nie o ochronę chodzi. Zorganizowaliśmy zakłady, w grę wchodzi spore pieniądze i chłopcy chcą ośbiście obejrzeć mecz.

– Jaki, kurwa, mecz?!

– No, ty z tym eksplinierzem...

Ktoś klepnął mnie w plecy, ktoś inny zagwizdał – pozostali Rosjanie wysiedli z samochodów, otoczyli nas kołem.

– Ja postawiłem na ciebie, ale nie wszyscy podzielają moją opinię, nie wszyscy... – kontynuował jakby nigdy nic Pogrzebacz.

– Idziemy? – zapytał któryś.

W rękę trzymał sześciopak piwa i popcorn. Jak przed meczem...

– Pewnie poradzilibyście sobie we trzech – odezwał się Ihor – ale postanowiliśmy wyrównać szanse, to dość popularna szkoła, facet prowadzi ją od kilku lat. Dopilnujemy, żeby nikt wam nie przeszkadzał: walka ma się odbyć jeden na jednego. Oczywiście także się założyłem – dodał z uśmiechem.

– *Rota podjom!* – zakomenderował Fiedia, ruszając do wejścia.

Najwyraźniej świetnie się bawił. Szczupły, łysy, w okularach przypominał dobrodusznego nauczyciela. Ale nim nie był. W Afganistanie zasłynął z odwagi i bezlitosnego przesłuchiwania jeńców. Pogrzebaczem.

Mrużąc oczy, stanąłem w progu – sala była przestronna i znakomicie wyposażona: worki i gruszki bokserkie, mata do treningu rzutów, urządzenia do ćwiczeń siłowych. Wszystko to rozmieszczono pod ścianami, środek zajmowała grupa ponad trzydziestu osób. Właśnie ćwiczyli jakieś kata. Bardeni, wysoki, muskularny mężczyzna o ponurej, ostro ciosanej twarzy, nadzorował trening. Obok na ławeczce siedziała Wielecka – ot, trafiła mi się wisienka na torcie...



Ihor Magik zaklaskał, na sali natychmiast zaległa cisza. Żaden z Rosjan nie robił groźnych min, nikt nie wyjął broni – nie byłem nawet pewien, czy którykolwiek ją ma, a jednak wszyscy zrozumieli, że nie jest to rutynowa przerwa w treningu. Atmosfera zgęstniała. Na pierwszy rzut oka ludzie Ihora sprawiali sympatyczne wrażenie: dostatnio ubrani, obładowani piwem i chipsami, przypominali drużynę oldbojów. Kilku – po czterdziestce, z widocznymi brzuskami – mocno odbiegało wyglądem od młodych, wysportowanych mężczyzn na sali. A jednak dało się wyczuć otaczającą Rosjan aurę zagrożenia, dla większości z nich zabijanie było równie naturalną czynnością co mycie zębów. I zapewne równie banalną... Bardeni musiał to wychwycić – widziałem, że jest zdenerwowany. Wpatrywał się we mnie z zaciśniętymi ustami, jakby zastanawiał się, czy udusić mnie teraz, czy jeszcze trochę poczekać. Uśmiechnąłem się do niego, to miło, jak człowieka rozpoznają...

– Panie i panowie – zagaił Magik.

Dopiero teraz dostrzegłem wśród ćwiczących kilka kobiet.

– Pewien mój... znajomy – Rosjanin z rozmysłem nie użył słowa „przyjaciel” – chciałby dokończyć rozmowę z obecnym tu panem Barden. Podczas poprzedniego spotkania znajdował się po drugiej stronie lufy, a raczej kilku luf, także okoliczności, ponieważ pan Bardeni postanowił poćwiczyć karate na jego żonie, nie sprzyjały konwersacji. Teraz co innego: nadszedł czas, aby sfinalizować tę sprawę. Zasady są proste: walka bez żadnych reguł, jeden na jednego. Do skutku. Mam nadzieję, że

nie trzeba będzie interweniować, naprawdę wolałbym to obejrzeć w spokoju...

– Co będzie, jeśli wygram? – zapytał Bardeni.

Magik machnął ręką, cedując odpowiedź na mnie.

– Będziesz dalej prowadził swoją szkołę – odparłem. – W przeciwnym wypadku... – zawiesiłem znacząco głos.

Poczerwieniał z wściekłości, dopiero teraz dotarło do niego, że chcę go publicznie upokorzyć.

– Zaczynajmy! – warknął.

Paru mężczyzn w kimonach próbowało protestować, ale ludzie Magika szybko się z nimi uporali, zagonili wszystkich na ławki pod ścianą, pozostawiając wolny środek sali.

– Zaczynajmy! – powiedziałem.

Doskoczył do mnie, bijąc z obu rąk, uderzył znie-nacka kolanem. Zblokowałem cios uniesionym udem, zabolalo. Po chwili kopnął z półobrotu, starając się jak najszybciej zakończyć walkę. Też mi Chuck Norris... Sparowałem kopnięcie, kantem drugiej dłoni rąbnąłem go w kolano. Zawył. No cóż, kolego Bardeni, tego raczej nie uczą w porządnych sekcjach... Kiedy się cofnął, strzepnąłem ręką jak biczem, trafiając gościa rozluźnionymi palcami w oko; kolejny brudny trick z arsenału okinawańskiego karate. Cofnął się ponownie, wyraźnie utykając, na wpół oślepiony – wystarczy lekkie uderzenie w okolice oczodołu, a łzy uniemożliwiają widzenie. Nie czekałem, aż dojdzie do siebie, zaatakowałem serią kopnięć, usłyszałem głośny trzask, pewnie poszło żebro albo mostek. Po chwili Bardeni leżał na parkiecie, osłaniając się niemrawo przed następnymi ciosami.

Skończyłem, kiedy jego twarz przypominała befsztyk tatarski.

– I to by było tyle. Z pozdrowieniami od mojej żony – dodałem mściwie.

Rozległy się gwizdy i wiwaty, Rosjanie ruszyli, aby mi gratulować. Uczniowie Bardeniego siedzieli w ponurym milczeniu.

– Chodźmy – mruknąłem.

Skierowałem się do drzwi poprzedzany przez Marka i Maksa, w przelocie złowiłem pełne nienawiści spojrzenie Wieleckiej. No cóż, kto mieczem wojuje, od miecza ginie... Za dzień czy dwa, kiedy opadnie adrenalina, nie będę zapewne szczególnie dumny z siebie. Tyle że zasnę spokojnie – po raz pierwszy od dłuższego czasu. Jak napisał Inazo Nitobe: „W odwecie jest coś, co zaspokaja poczucie sprawiedliwości. Nasze rozumienie odwetu wymaga matematycznej dokładności i dopóki obie strony równania: krzywda i zemsta się nie zgodzą, nie potrafimy pozbyć się poczucia, że coś jest niedokończone”. Dzisiaj zbilansowałem swoje równanie.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

**L**adniutka stewardesa obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem i po raz kolejny zaproponowała drinka. Odmówiłem, przy przełykaniu gardło paliło żywym ogniem, w tym momencie alkohol nie wydawał się najlepszym wyborem. Kobieta nie była jedyną osobą, która przyglądała mi się podejrzliwie: blizna na twarzy i zamotana wokół szyi arafatka – musiałem czymś zakryć siniaki po duszeniu – powodowały, że przyciągałem wzrok. Wyjeżdżając na lotnisko, chwyciłem, co znalazłem pod ręką, dopiero później zauważyłem, że chusta jest w kolorze zielonym, preferowanym przez zwolenników Islamskiego Dżihadu. Cóż, jeśli chcecie zwrócić na siebie uwagę, wystarczy wsiąść do samolotu, mając na sobie jakiś element arabskiego stroju. Z pewnością byłem najpopularniejszym pasażerem na pokładzie... Oczywiście nie każdy wie, że kolor arafatki może świadczyć o tym, że jej właściciel jest zwolennikiem tego czy innego ugrupowania, ale stewardesa wyglądała na taką, która orientuje się w tych sprawach. Nic dziwnego, że posiadana wiedza nieco ją uwierała. Widząc, że nie odpuści, skinąłem dło-

nią – podeszła z wahaniem. Rozwiązałem chustę, pokazując siniaki.

– Nie zamierzam wysadzić samolotu – wymruczałem. – Arafatka to tylko gadżet.

Wzdrygnęła się lekko, widząc, co Ito zrobił z moją szyją.

– Co się stało? – spytała.

– Mam brutalną dziewczynę – rzuciłem z udawaną powagą. – Maltretuje mnie i w ogóle...

Zachichotała, przesłaniając usta dłonią.

– A nie sprawia pan wrażenia pantoflarza – stwierdziła.

– Pozory mylą. Jestem jak ta myszka: pi, pi... – zapisał.

Tym razem roześmiała się otwarcie, opuszczając ją napięcie.

– Mogę jakoś pomóc?

– Gdyby miała pani herbatę z rumianku...

– Rumianek?!

– Działa przeciwzapalnie i przeciwbólowo – wyjaśniłem. – Niestety, mam wrażenie, że moje gardło nadal puchnie.

– Zobaczę, co da się zrobić – obiecała, odchodząc.

Wyciągnąłem książkę, próbując skupić się na tekście, ale litery skakały mi przed oczyma, przymknąłem powieki. Znużenie ogarnęło mnie jak ciężki, mokry opar, sen nadszedł niepostrzeżenie pełen koszmarów i mrocznych obietnic. Najpierw poczułem zapach: mdląca, słodkawa woń krwi. Zastłonięte okna niemal nie przepuszczały światła, przefiltrowana przez story jasność nabierała dziwnie brudnego koloru, falowała, nie sięgając

kątów. Te pozostawały schronieniem ciemności. Postąpiłem krok naprzód, wyczuwając podeszwą buta lepką powierzchnię. Krew, wszędzie była krew. Wydobyłem latarkę, wywołałem rachityczną smugę światła, podążyłem krwawym tropem. Dalej, w mrok.

Czekała na mnie w ciasnym, prowadzącym nie wiedzieć gdzie korytarzu. W białym lekarskim fartuchu, ze spryskanymi czerwienią rękawami. Piękna pomimo woskowo bladej twarzy – fotografie nie oddawały w pełni jej urody – i ociekającego posoką noża. Zawirowała jak w tańcu, skoczyła niczym biały pocisk, uderzyła, prując powietrze z taką szybkością, że chłód poczułem ułamek sekundy wcześniej niż ból. Luda...

Nagle doszedł do mnie zapach rumianku, ujrzałem zatroskaną twarz stewardesy.

– Dobrze się pan czuje? – spytała. – Wyglądał pan, jakby... – nie dokończyła litościwie.

Odpowiedziałem uśmiechem, pokonując z trudem opór zeszywniałych mięśni twarzy. Łyknąłem łapczywie rumiankowej herbaty.

– To tylko sen – wymruczałem. – Tylko sen...



– Gdzieś ty się tak załatwił? – zapytał Dżuma z nutką zdziwienia w głosie.

Małgorzata nie komentowała mojego wyglądu, dzwoniła po lekarza.

– Mały sparring z Ito – odpowiedziałem. – Musiałem się z nim skonsultować odnośnie tych Chińczyków.

– Ktoś jeszcze ćwiczy z tym wariatem? O ile pamiętam, ostatnie szkolenie z Ito zakończyło się skandalem – zauważył. – W Mołdawii czy gdzieś... Byli zabici i ranni.

– Jeden zabity – sprostowałem.

– Co proszę?!

Dopiero teraz zorientowałem się, że moja żona jednak przysłuchuje się rozmowie.

– Co to znaczy: zabici?!

– Ito uczy okinawańskiego karate – odparłem niechętnie. – Jako jeden z nielicznych ekspertów w Europie. Jest raczej... brutalny. Dłuższe cykle szkoleniowe organizuje przeważnie w takich miejscach, gdzie, jakby co, nie ma kłopotów z policją. No, większych kłopotów... Zresztą każdy z uczestników podpisuje specjalne dokumenty, godzi się na ryzyko.

– Więc to jest aż tak niebezpieczne? – Małgorzata wyglądała na przestraszoną.

– Techniki okinawańskiego karate są dość destrukcyjne. – Westchnąłem. – Ta sztuka zawiera wszystko, co usunięto z karate w czasie rewolucji Meiji. Japoński rząd zabronił wówczas nauczania najbardziej niebezpiecznych sposobów walki, większość szkół zastosowała się do tych wytycznych. Jednak niektóre, szczególnie na Okinawie, kontynuowały tradycję. Ot, i wszystko. – Wzruszyłem ramionami.

– A konkretniej? – Margarita zmarszczyła brwi. – Może jakiś przykład?

– No dobrze – mruknąłem bez entuzjazmu. – Złap mnie za ubranie – zwróciłem się do Dżumy. – Nie tak mocno, matołku!

Zwróciłem się bokiem do Małgorzaty, żeby lepiej widziała, co robię.

– No więc w tej sytuacji większość szkół preferuje wyzwolenie się z uchwytu – kontynuowałem. – Kopnięcie w krocze, kolano, wyłamanie palców napastnikowi, dźwignie czy rzuty to standardowa reakcja na taki atak. W efekcie napastnik jest lekko poturbowany, czasem kontrolowany, na przykład poprzez dźwignię na łokieć czy nadgarstek. Tak czy owak, nadal pozostaje zagrożeniem, bo żyje. Karate z Okinawy sugeruje definitywne załatwienie problemu...

Położyłem jedną rękę na czubku głowy Olega, drugą ująłem go pod brodę.

– Nie interesują mnie jego ręce – wyjaśniłem. – Chce mnie szarpać za ubranie? Niech szarpie. W tym samym momencie skręcam mu głowę, a co za tym idzie kręgosłup na odcinku szyjnym.

– I co? – spytała zdezorientowana Małgorzata.

– Przerywam rdzeń kręgowy. Mój przeciwnik jest martwy, zanim upadnie na ziemię.



Na dywanie leżały dwa pistolety, garść nabojów i kompas, nadszedł czas na kolejną lekcję – Małgorzata nie pozwoliła mi zapomnieć, że obiecałem nauczyć ją strzelać. Potrafiła już swobodnie żonglować dwiema piłeczkami i wytrwale ćwiczyła trzema naraz. Cóż, mogłem się spodziewać, że nie da mi się wywinąć... Aby prowadzić badania naukowe na poziomie, na jakim robiła to moja



żona, trzeba było mieć żelazną wolę i odporną psychikę. Mogłem się spodziewać, że jeszcze kilka zajęć i spotkamy się na strzelnicy...

– Przyjrzałaś się? – spytałem.

Małgorzata odpowiedziała nieartykułowanym mruknięciem, ze zmarszczonymi w skupieniu brwiami wpatrywała się w rozłożone przedmioty. Przykryłem wszystko ręcznikiem.

– Opisz, co widziałaś – poprosiłem.

– Dwa pistolety, kilkanaście naboji, kompas – odparła, wzruszając ramionami. – Żadne wyzwanie. No i nie rozumiem celu tego ćwiczenia.

– Uważa się, że operator powinien umieć jednym rzutem oka ocenić sytuację, zapamiętać wszelkie niuanse. Na przykład, kto w pomieszczeniu ma broń, gdzie ją trzyma, ile czasu zajmie mu sięgnięcie po nią... – tłumaczyłem. – Do tego dochodzą względy bezpieczeństwa. Nawet na strzelnicy warto wiedzieć, ile pocisków zostało w magazynku, czy pistolet jest zabezpieczony, czy nie – dodałem cierpko. – A propos, czy te pistolety były odbezpieczone?

– Nie bardzo wiem, o co...

– W jakim położeniu był bezpiecznik?

– Nie zwróciłam uwagi – przyznała Małgorzata.

– To może powiesz, ile naliczyłaś nabojów?

– Nie wiem, kilkanaście – powiedziała bezradnie.

– Jakiego kalibru? W którą stronę względem ciebie skierowane były lufy pistoletów? Czy wystarczy, że sięgniesz po któryś i od razu będziesz mogła strzelać, czy też musiałabyś go najpierw odwrócić? Jaki kierunek pokazywał kompas?

Odpowiedziało mi milczenie. Moja żona z pewnym oszołomieniem patrzyła na przykryte ręcznikiem przedmioty.

– Zaskoczyłeś mnie – burknęła wreszcie. – Za drugim razem pójdzie mi lepiej.

– Możliwe. – Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu. – Pooglądaj to sobie jeszcze, zaraz wrócę. Muszę pogadać z Olegiem, coś mi się przypomniało – wyjaśniłem.

– Tylko oszczędzaj gardło – poprosiła.

– Postaram się – obiecałem.

Na szyi miałem specjalny opatrunek, a co dwie godziny spryskiwałem gardło jakimś lekiem w aerozolu. Trzeba przyznać, że pomagał lepiej niż rumianek. Tak czy owak, wydawało się, że jeszcze przez jakiś czas nie uda mi się zapomnieć o Ito...

Wyszedłszy na korytarz, wymieniłem oszczędne pozdrowienia z ochroną – od czasu kiedy Marina przestraszyła się burzy, jeden z patroli przebywał na odległość głosu od jej kwatery – skierowałem się do pokoju Dżumy. Zapukałem i wszedłem, nie czekając na zaproszenie. Oleg siedział przy komputerze, przeglądając plan Petersburga. Na wirtualną mapę naniesiono sieć pulsujących czerwienią punktów.

– Co to jest? – spytałem.

– Efekt intensyfikacji śledztwa – odparł z przekąsem. – Założyliśmy, że ktoś, kto ma dostęp do konta Ludy na forum, zna też hasła i kody do kont bankowych, jest w posiadaniu jej kart płatniczych. Wspominałem, że zniknęła również jej torebka? Zainstalowaliśmy kamery w najbardziej newralgicznych miejscach. Może nam się poszczęści – westchnął. – A może nie... Na razie trwo-

nimy pieniądze, czas i wykorzystujemy ludzi, którzy potrzebni są gdzie indziej.

Wzruszyłem ramionami. Kłopoty kadrowe rosyjskich służb specjalnych mnie nie interesowały, to sprawa pomiędzy ich szefami a Biełowem.

– Coś mi przyszło do głowy – zacząłem.

– Tak?

– Rozmawialiście z lekarzem Ludy?

– Oczywiście – odparł ze znużeniem Oleg. – To znaczy z jej osobistym lekarzem. Konsultowała się ze specjalistami, w sumie było ich kilkunastu, ale rozmowy z nimi uznaliśmy za stratę czasu. Gdyby coś się stało, zgłosiliby to medykowi zajmującemu się na co dzień zdrowiem Ludmiły. A dlaczego pytasz? Odkryłeś coś? Jeśli chodzi o kwestię ewentualnej niepoczytalności Ludy, sprawdziliśmy to już dawno. Na trzy tygodnie przed zniknięciem przechodziła rutynowe badania, w tym EEG. Nie stwierdzono żadnych zmian neurologicznych, a osobisty lekarz dziewczyny ma trzy specjalizacje, jedną nich jest psychiatria. Tak więc... – Rozłożył wymownie ręce.

Przygryzłem wargi, chyba nie było sensu drążyć w tym kierunku, a jednak czułem jakiś niepokój, coś mówiło mi, że mimo wszystko warto zainteresować się zdrowiem starszej córki Biełowa. Intuicja? Możliwe. Nerwy? Jeszcze bardziej prawdopodobne. Jednak lepiej na zimne dmuchać.

– Miałem sen – powiedziałem w końcu.

– To cytat z Martina Luthera Kinga? – spytał zimno Dżuma. – Czy może zająłeś się jogą snu, jak ci goście z Ziranmen? – Potrząsnął otrzymanym ode mnie raportem.

– Ani jedno, ani drugie – westchnąłem ciężko. – Myślę, że coś zauważyłem, coś, co mi umyka, ale podświadomie...

– Zauważyłeś?! Gdzie?

– Na komputerze Ludy znajduje się sporo filmów, kilka z nich nakręcono tuż przed jej zniknięciem. Oglądałem je. Prawdopodobnie właśnie tam coś rzuciło mi się w oczy. Parę godzin temu przejrzałem je powtórnie, ale niczego szczególnego nie dostrzegłem – przyznałem. – Jednak... W tym śnie Luda miała na sobie lekarski fartuch. Sam wiesz, jak czasem działa intuicja, nasz mózg...

– No dobrze! – warknął, przerywając mi, Dżuma. – Sprawdźmy ponownie te filmy. Już dawno przegrzebałiśmy cały komputer Ludy, ale co tam... Pogadamy też z lekarzami. Z każdym z osobna. Co jeszcze rosyjskie służby specjalne mogą zrobić dla naszego drogiego gościa? W końcu obowiązują nas dyrektywy Bielowa: sprawdzać każdą hipotezę wysuniętą przez Janusza Pawłowicza...

Zacisnąłem zęby urażony tonem Dżumy. Facet równie dobrze mógł się wyżyć na sobie, Zinie czy FSB. To, że śledztwo stało w miejscu, nie było moją winą. No, a przynajmniej – nie tylko moją.

– Nie będę ci dłużej zawracał głowy – oznajmiłem chłodno.

Powstrzymał mnie gestem, zanim podniosłem się z fotela.

– Przepraszam – rzucił. – Po prostu to całe gówno działa mi na nerwy. W życiu nie miałem do czynienia z tak porąbaną sprawą. Gdyby mieć wreszcie jakiś konkret: adres, nazwisko...

– Można sobie pomarzyć – mruknąłem. – A właściwie, co z przesłuchaniem tego malucha? Powiedział coś?

– Tak, ludzie Markowa ustalili, że samochód, jaki widział pod domem sekretarki, to Toyota Land Cruiser V8. Wóz dość popularny wśród nowobogackich. Jeśli chodzi o pracowników Bielowa, to w samym mieście mamy ze dwadzieścia takich maszyn, dodatkowe pięćdziesiąt poza Petersburgiem. Niestety, nie możemy założyć, że samochód był w kolorze czarnym, tak jak zeznał chłopak. Widział go pod wieczór, a nocą wszystkie koty są szare... Zdjęliśmy też odciski palców z mieszkania sekretarki i pobieramy takowe od ludzi z firmy. Ale to potrwa.

– Pobieranie odcisków? A ileż to roboty?

Oleg spojrzał na mnie z politowaniem.

– Nie możemy spłoszyć sprawcy – powiedział. – Dlatego robimy to w trybie operacyjnym, ukradkiem. Jeśli to Batman...

Nie dokończył. Nie musiał. Bez problemu mogłem sobie wyobrazić, jak zareaguje na zagrożenie facet, który przeszedł przez ochronę Bielowa jak gorący nóż przez masło.

– Rozumiem – odparłem, nerwowo przełykając ślinę.

– Co do tego samochodu jeszcze jest mała ciekawostka: szczęśliwym posiadaczem czarnego land cruisera okazał się między innymi nasz dobry znajomy, Wadim Antonow.

Chwilę trwało zanim skojarzyłem – Antonow, facet, który ofiarował się podrasować fotki Mariny. I przerobił je tak, że sprawiały wrażenie niemal żywcem wziętych z magazynu porno. No, no... Cóż za niespodzianka.

– Jak wyglądała ta zamordowana sekretarka? – spytałem.

– Chodzi ci o to, czy gdyby ją uczesać w kitki i ubrać w podkolanówki, mogłaby uchodzić za nastolatkę? – domyślił się Dżuma.

– Coś w tym rodzaju.

– Bo ja wiem? – Wydął z namysłem usta. – Z kobietami nigdy nic nie wiadomo, zmieniają makijaż, fryzurę i już... Miała dwadzieścia sześć lat. Możliwe, całkiem możliwe... – przyznał.

– A co, jeśli to on?

– Jest pod stałym nadzorem. Przynajmniej na terenie posiadłości. W mieście dajemy mu więcej luzu.

– Dlaczego?

– Zna z grubsza procedury, ukończył IKS. Nie chcemy go spłoszyć.

Gwizdnąłem bezgłośnie: jeśli facet studiował w *Institucie Kryptografii Swiazi i Informatiki*, jednej z uczelni szkolących pracowników dla rosyjskich służb specjalnych, musiał być naprawdę dobry. No i zapewne nauczono go, jak rozpoznać i zgubić ogon.

– No to mamy problem – westchnąłem.

– Mamy. W dodatku facet jest adeptem karate. Ćwiczy z Koczaginem. To taki nasz Ito – dodał ironicznie. – Na jego seminariach przydarza się wiele kontuzji i wypadków, wybite zęby czy połamane kości to norma. Koczagin pracuje w warunkach ekstremalnego stresu. Jednym z jego ulubionych ćwiczeń jest duszenie: dwóch chłopca zarzuca pętlę na szyję trzeciego i zaczyna go dusić na serio... Tamten ma wytrzymać szok, reagować, pozostając na granicy utraty przytomności.

– Kim jest ten Koczagin?

– Były pułkownik. Obecnie ósmy dan. Walczył na Kaukazie, do dziś część misji, w których uczestniczył, jest określana jako tajne. Zaprojektował dla Specnazu NDK.

– Co za NDK?

– *Noż Diwersjonnyj Koczagina*. To potężna kosa, można przebić jednym uderzeniem baranią tuszę. Sam Koczagin szkoli Specnaz w zakresie walki nożem. Między innymi.

– *Sierioznyj malczik* – mruknąłem.

– *Oczeń sierioznyj* – zgodził się Dżuma, nie precyzując, czy chodzi o Antonowa, czy Koczagina.

No to teraz wiadomo przynajmniej, dlaczego Antonow się nie wystraszył, kiedy z nim rozmawialiśmy. Ten facet nie bał się konfrontacji, może nawet sam do niej dążył... Tylko czy miał coś wspólnego z zabójstwem sekretarki Bielowa? Albo wcześniejszymi wypadkami?

Rozmyślenia przerwało mi pukanie, po chwili do pokoju weszła Marina.

– Jest problem – powiedziała bez ogródek, kierując wzrok gdzieś pomiędzy mnie i Olega.

– Nie mam żadnego problemu – zapewnił ją łagodnie, ale stanowczo Dżuma. – I lepiej, żeby tak pozostało...

Marina Bielowa spojrzała na mnie.

– Nie ma mowy! – warknąłem. – Omów to z ojcem albo Ziną. Ewentualnie z moją żoną. Ja jestem zajęty.

– Cóż, może rzeczywiście porozmawiam o tym z ciocią Margaritą – odparła z groźbą w głosie.

Zerwałem się z fotela, lecz zdążyła uskoczyć za plecy Dżumy.

– Proszę, wujku! – zawołała. – To naprawdę drobiazgi, a...

– Drobiazgi?! Przed chwilą był tylko jeden drobiazg!

– Chodzi mi tylko o nazwę balu i...

– Dlaczego ta impreza musi mieć nazwę? – spytałem.

– Tak orzekli specjaliści od kontaktów z mediami.

A to już za dwa dni. Wszystko trzymane jest w tajemnicy aż do ostatniej chwili. To także wskazówka pijarowców.

– Bal stu królów? – zaproponowałem, wzruszając ramionami.

– Jak z Bułhakowa? – skojarzyła błyskawicznie. – Świetny pomysł! To pochlebi zaproszonym, wielu z nich ma rzeczywiście wysoką pozycję społeczną, no i spodoba się prasie.

– Skoro to załatwiliśmy, będę się zbierał – stwierdziłem, przesuwając się do drzwi.

– Jest jeszcze druga sprawa...

Zatrzymałem się z ręką na klamce – ucieczka nie miała sensu, jeśli mała poskarży się Małgorzacie, to i tak będę musiał zająć się jej problemami. Tak to jest, gdy ma się żonę o miękkim sercu...

– Słucham – mruknąłem.

– Twoje siostry są modelkami, prawda?

– Owszem, i co z tego?

– Nie wiem, jak się ubrać, gdyby któraś z nich...

Przerwałem Marinie gestem, wyłowiłem z kieszeni komórkę.

– Żaden problem – oznajmiłem z uśmiechem.

Nie miałem nic przeciwko, żeby na bal przyjechała któraś z dziewczyn. Tym bardziej jeśli zdejmie mi z pleców Marinę. Zadzwoiłem. Odpowiedziała tylko Wika.



– Co się dzieje? – spytałem. – Gdzie są dziewczyny?  
 – Dagna i Iza pracują, są na tournée we Francji. Wró-  
 cą do kraju za dwa tygodnie. Anita jest także zajęta, tyle  
 że nie wyjechała z Polski.

Zakląłem ze złością. Jak ktoś nie ma szczęścia...

– A co się stało?

W głosie pani prokurator usłyszałem wyraźne zain-  
 teresowanie.

– Nic specjalnego – burknąłem. – Za dwa dni jest  
 mała imprezka i potrzebne mi towarzystwo dla córki  
 mojego gospodarza.

– Biełowa? Tego potentata?

– Tego samego.

– Mogę przyjechać – oznajmiła radośnie Wika.

– Ekhmm... problem w tym, że potrzebuję kogoś bar-  
 dziej... – urwałem, nie wiedząc, jak dokończyć zdanie.

– Reprezentacyjnego? – poddała złowrogim tonem.

– Absolutnie nie! – zapewniłem pospiesznie. – Cho-  
 dzi o...

Dżuma dotknął mojej ręki, podsunął kartkę. Wi-  
 działem, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Ob-  
 rzuciłem go wściekłym spojrzeniem – dobrze, że kogoś  
 to bawi. Nie mam zadatków na dyplomatę, a rozmawia-  
 jąc ze swoimi „siostrami”, musiałem nieraz lawirować  
 niczym ambasador ZSRR w ONZ. Zerknąłem na karte-  
 luszek.

– Potrzebuję eee... chytrego zawodowca – powie-  
 działem. – Trzeba przygotować do zabawy córkę Bieło-  
 wa. Wiesz, to straszne brzydactwo – dodałem z mści-  
 wym uśmiechem.

„Brzydactwo” pokazało mi język.

– Aha – odparła domyślnie Wika. – Rozumiem. Mogę namówić Anitę, ale pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Ja też przyjadę.

– Nie ma sprawy – zapewniłem pospiesznie. – Wszystko opłaci nasz gospodarz. Zdążycie na jutro?

– Oczywiście! Co do przelotu...

– Zadzwoń do was sekretarka Bielowa – oznajmiłem, kończąc rozmowę. – Słyszałaś? – zwróciłem się do Mariny.

Dziewczyna skinęła głową.

– Zajmiesz się tym – poleciłem. – Namówisz ojca, żeby zaprosił Wikę i Anitę, zapewnił im przelot, pomógł załatwić formalności. Ja nie chcę o niczym słyszeć, jasne?

– Dziękuję, wujku! Załatwię to – obiecała.

Wymknąłem się na korytarz, zanim panienska Marina zdążyła obciążyć mnie kolejnym ze swoich rozlicznych problemów. Miałem nadzieję, że przestanie mi wreszcie zawracać głowę. Przynajmniej na jakiś czas...



W jedwabnej, zielonej sukni od Givenchy Marina prezentowała się znakomicie. Może lepiej niż znakomicie. Sukienka podkreślała wąską talię, uwydatniała smukłe ramiona i szyję, zwiewne jak morska piana warstwy jedwabnego tiulu opływały zgrabne nogi. We włosach połyskiwał zdobiony srebrem, szylkretowy grzebień: na oko hiszpańska robota, siedemnasty wiek. A jednak córka Michaiła Bielowa wyglądała na stremowaną i niepewną,

mimo że stała przed niewielkim w sumie audytorium. Jeśli wyjdzie z taką miną na spotkanie petersburskiej elity, panie z towarzystwa zjedzą ją żywcem...

Anita zmierzyła Marinę badawczym spojrzeniem, gestem dłoni kazała jej się obrócić. Ta spełniła polecenie z wdziękiem rasowej modelki – musiała długo ćwiczyć – zawirował zielony jedwab i długie do ramion włosy. Nie zmieniło to w niczym sytuacji: we wspaniałej kreacji nadal kryła się nieśmiała nastolatka.

– Podejź tu, smarkulo – poleciłem burkliwie. – Mam dla ciebie prezent.

Wyraz lęku spełził z jej twarzy. Ostrożnie, niemal z nabożeństwem włożyłem w wyciągnięte dłonie dziewczyny smukły flakonik z matowanego szkła. Wykonał go jeden z najwybitniejszych mistrzów carskiego imperium w tysiąc dziewięćset trzynastym roku z okazji trzystulecia domu Romanowów.

– To alchemiczne perfumy – poinformowałem.

– Nic nie czuję – poskarżyła się Marina, wachając korek.

– Do buteleczki trzeba wpuścić kroplę twojej krwi. Dopiero wtedy poczujesz zapach. Choć baza jest identyczna, zapach zmienia się w zależności od człowieka – wyjaśniłem.

Wyjąłem z kieszeni marynarki jednorazową igłę, spojrzałem pytająco na dziewczynę. Bez chwili wahania podała mi rękę. Któryś z ochroniarzy chrząknął ostrzegawczo, postąpił krok naprzód, ale zamarł w miejscu zatrzymany gestem Dżumy. Ostrożnie przeniosłem kroplę krwi do flakonika, potrząsnąłem.

– Spróbuj teraz – zaproponowałem.

– Jest... niesamowity – wyjąkała po chwili, muskając szklaną zatyczką przeguby rąk i szyję. – Nie mogę odgadnąć, co to za zapach, ale...

Z piskiem radości rzuciła mi się w ramiona. W niczym nie przypominała przestraszonej nastolatki sprzed paru chwil. I z pewnością tak nie pachniała. Aromat przywodził na myśl egzotyczne kwiaty zmieszane z lekką wonią dębowego mchu, to wszystko podszyte zmysłową nutą piżma.

– Muszę ci coś powiedzieć – oznajmiłem, odsuwając ją lekko. – Te perfumy mają skutki uboczne.

– Teraz mi to mówisz?! Dostanę wysypki?

– Nie, nic z tych rzeczy – uspokoiłem. – Tylko że one są... – Odchrząknąłem niepewnie.

– Tak? – ponagliła mnie niecierpliwie.

– No więc zostały opracowane dla dorosłych kobiet. Wydaje się, że zawierają coś w rodzaju feromonów...

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem? – odezwała się z pretensją w głosie Małgorzata.

– I ja? – Wika zmierzyła mnie złowrogim spojrzeniem.

Córka Bielowa wyduła z namysłem wargi, schowała troskliwie flakonik do niewielkiej balowej torebki.

– Feromony powiadasz?

– Nie zrobiłem tego specjalnie – wymamrotałem. – Chciałem dać ci jakiś prezent i będąc w Polsce, przypomniałem sobie o tych perfumach. Nikt na świecie nie ma podobnych. I nie będzie miał, bo zapach powstaje na bazie indywidualnych cech...

Nie zdążyłem wyjaśnić do końca – Marina ucałowała mnie jeszcze raz i ruszyła do wyjścia. Absolutnie nie wyglądała na stremowaną.



– Wrócimy jeszcze do tej sprawy – zapowiedziała Małgorzata.

– Po co ci takie perfumy? – spytał ze zdziwieniem Oleg. – Marina to co innego, ale ktoś taki jak ty...

– Umiesz dobrze strzelać? – Margarita odpowiedziała pytaniem.

– Owszem, nie narzekam – odparł ostrożnie Dżuma.

– Zabierasz na akcje zapasową amunicję?

– No tak, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. To jest wojna i wszystkie chwytaki są dozwolone – wyjaśniła ze słodkim uśmiechem moja żona. – Idziemy, dziewczęta – zakomenderowała. – Trzeba przywitać gości. A ty – zwróciła się do mnie – lepiej przygotuj sobie dobre wytłumaczenie. Chciałabym wiedzieć, dlaczego mówisz o tych perfumach dopiero teraz. No i przyszykuj flakonik również dla mnie.

– Dwa flakoniki – burknęła Wika, przechodząc obok.

Anita nic nie powiedziała, pokazała jedynie trzy palce...

Poluźniłem fantazyjnie zawiązany i sprawiający idiotyczne wrażenie, lecz zakrywający siniaki fontaż – nagle wydał mi się za ciasny. Cóż, arafatka średnio nadawała się na bal. Wzdrygnąłem się, spostrzegłszy Bielowa. Zapewne stał gdzieś za moimi plecami i przysłuchiwał się całej rozmowie. No, ładnie... We wzroku biznesmena dostrzegłem przemieszana z rozbawieniem irytację. Najwyraźniej pozbiierał się już po ostatnich rewelacjach, definitywnie pogodził ze śmiercią starszej córki. Choć w jego oczach nadal było coś, czego wolałem nie analizować, gdzieś głębiej, pod powierzchnią, tliła się przemieszana z rozpaczą wściekłość. Jeśli znajdzie cel,

ukierunkuje ją... Miałem nadzieję, że będę wówczas już w Polsce.

– Wolałbym, żeby konsultował pan ze mną wcześniej tego typu prezenty – oznajmił. – Marina nie ma jeszcze siedemnastu lat.

– Proszę się nie niepokoić – wymruczałem. – Ten zapach czyni człowieka atrakcyjnym, nic więcej. Nikt się na nią nie rzuci.

– Przecież nie sądzę, że naraziłby ją pan na niebezpieczeństwo – odparł z ledwie widocznym zniecierpliwieniem. – Tylko że ona jest jeszcze dzieckiem.

Uniosłem bez słowa brwi. Jeśli Bielów chciał żyć złudzeniami...

– No wiem, wiem – skomentował moją minę. – Nie do końca dzieckiem.

Przeszliśmy do sali: pierwsi goście już przybyli, personel rozsadzał ich przy stołach. Stojąca przy drzwiach Marina pełniła honory domu. W towarzystwie Małgorzaty, moich „siostr” i nieznanym mi dwóch nastolatek. Zapewne koleżanek ze szkoły. Przecież musiała sobie zapewnić świadków, cóż to byłby za tryumf bez publiczności? Ponownie szarpnąłem węzeł fontazia – nigdzie nie zauważyłem teścia. Może nie przyjechał? Miałem nadzieję, że powstrzymały go niecierpiące zwłoki problemy dyplomatyczne...



Wciągnąłem w nozdrza aromat szampana: Mumm, mój ulubiony. Na sali podawano jedynie Mumma i Kruga, w kilku odmianach. Cóż, noblesse oblige... A koszty dla

Bielowa to i tak tylko drobniaki. Posmakowałem. Zapachniało świeżymi owocami, może truskawką. Na parkiecie wirowali w tańcu goście, wokół uwijali się kelnerzy, roznosząc zakąski i alkohol. Wzdłuż jednej ze ścian rozstawiono stoły. W sąsiednim pomieszczeniu znajdował się bufet – część przybyłych przedkładała przyjemności kulinarne nad towarzyskie. Sam chętnie zaszyłbym się w jakimś kątku, jednak wołałem mieć na oku zaproszonych żołnierzy, w końcu była to moja inicjatywa.

Widząc Anitę, przywołałem ją gestem. O dziwo, stała sama.

– Tak? – spytała, częstując się szampanem.

– Mogłabyś zastąpić mnie na posterunku? – poprosiłem. – Trzeba pilnować tych wojaków, a chciałbym zerknąć, jak bawi się nasza gwiazda.

– Marina?

– Ona sama – westchnąłem.

– Skąd to zainteresowanie? – Spojrzała na mnie spod oka. – Do tej pory jakoś niespecjalnie przejmowałeś się tego typu imprezami.

– Tę wymyśliłem osobiście. Wypadałoby dopilnować, aby przeszła bez zgrzytów.

– Na co mam uważać? – Ruchem głowy wskazała obsadzone przez mundurowych rejony.

– Na wszystko – odburknąłem. – W końcu to Wojska Wujka Wasi.

– Proszę?!

– wDW to *Wozduszno Diesantnyje Wojska*, Wojska Powietrzno-Desantowe, ale Rosjanie tłumaczą ten skrót jako *Wojska Diadii Wasi*. Od twórcy wDW, Wasilija Margielowa. Oni są... specyficzni.



- A konkretniej?
- No... tak ich szkolą, że nie ma rzeczy nie do zrobienia i przeszkód nie do pokonania. Mogą się pochlać, zaczepiać panienki, wreszcie zorganizować jakąś rozpierduchę.
- Widzę tam kilku starszych oficerów.
- Oni też są z WDW... Wiesz, jest taka anegdota o Margielowie, autentyczna. Margielow siedzi na jakiejś imprezie, wokół generalicja i oficjele, nagle dzwoni telefon. Zgłasza się komendant miejscowej milicji i melduje, że zgarnął z ulicy dwóch pijanych desantowców. Teraz mołojcy siedzą w celi i śpią... No więc ten milicjant pyta, czy to żołnierze Margielowa. Generał zaprzecza stanowczo. Wszyscy wracają do biesiadowania. Za godzinę dzwoni ten sam milicjant, tym razem jest wyraźnie wściekły. Wrzeszczy, że ci żołnierze uwolnili się z celi, pobili kilkunastu milicjantów i w końcu uciekli, skacząc przez okno z pierwszego piętra. O, to jednak moi ludzie, konstatuje przyjemnie zdziwiony Margielow...
- No dobrze, co mam robić, gdyby ci... desantowcy zaczęli zaczepiać młode panienki?
- Zawołaj mnie, Olega albo kogoś z ochrony. To ci panowie ze słuchawkami w uszach – poinformowałem.
- Otrzymawszy przyzwalające skinienie głową, ruszyłem w poszukiwaniu Mariny. Może była tuż obok, na parkiecie, ale w tym momencie tańczyło ze dwieście par, na bal przyszło kilkaset osób. Obszedłem salę dokoła, wypatrując dziewczyny w zielonej sukni. Bezskutecznie. Ktoś dotknął mojego ramienia: ochroniarz.
- Jeśli szuka pan Mariny, to jest na klatce schodowej, za bufetem – powiedział mężczyzna. – W towarzystwie...

– Z koleżankami? – spytałem domyślnie.

– Raczej z kolegą. To jeden z żołnierzy.

Jasna cholera! Pospiesznym krokiem przemierzyłem bufet, wyszedłem na schody. Nikogo. Przystanąłem, z klatki schodowej powyżej dobiegły mnie jakieś szmery. Wspiąłem się ostrożnie: liczący sobie jakieś dwadzieścia parę lat chłopak w mundurze porucznika pokazywał Marinie sztuczki z nożem. Cóż, mogło być gorzej, gdyby zabrał się za demonstrację technik walki w zwarcu... Podszedłem od tyłu, złapałem żołnierza za kostki i powaliłem uderzeniem barku, wyłuskawszy z dłoni ostrze – to był zwykły nóż stołowy zapewne wzięty z bufetu – dotknąłem klingą szyi.

– Nie żyjesz – poinformowałem zimno. – Ty także nie żyjesz. – Przejechałem tępą stroną noża po szyi Mariny.

– Wujku! – zaprotestowała, zasłaniając się odruchowo. – Ja tylko...

– Jesteś gospodynią balu, nie możesz zniknąć bez uprzedzenia – powiedziałem z naciskiem. – A co by się stało, gdyby ktoś z ochrony zauważył cię z tym młodzieńcem? I zobaczył, że on ma nóż? Jak myślisz, w jaki sposób zareagowałiby ludzie twojego ojca?

Dziewczyna pobladła jak ściana, nie trzeba mieć bujnej wyobraźni, żeby zrozumieć, że w zaistniałej sytuacji ochrona Bielowa raczej nie oszczędzałaby amunicji...

– A ty – zwróciłem się do stojącego na baczność z ponurą miną porucznika – całkiem zgłupiałeś? Zapomniałeś, co się stało z siostrą Mariny?! Gdybym był porywaczem, w jaki sposób byś ją obronił? Zniknęłaby jak Ludmiła, a na miejscu zostały tylko twoje zwłoki.

– *Gospodin* Korpacki... – zaczął młodzieniec. Zapewne Marina szepnęła mu to i owo na mój temat. – Chciałbym...

– Milczeć! – warknąłem. – Dla ciebie „kapitan Korpacki”.

Zamilkł. Wyprężywszy się jeszcze bardziej niż przed chwilą. Ot, co znaczy zdrowy, wojskowy dryl...

Zmierzyłem stojącą przede mną dwójkę złowrogim spojrzeniem, ruchem głowy odesłałem do sali. Pobiegli, trzymając się za ręce.

Piętro niżej natknąłem się na ochroniarza. Tego samego, który poinformował mnie, gdzie i z kim przebywa Marina. Podałem mu zabrany chłopakowi nóż.

– Może lepiej jednak nie dopuszczać do Mariny uzbrojonych wariatów? – zaproponowałem kąśliwie.

Przyjrzał mi się z rozbawieniem w szarych, okolonych siecią drobnych zmarszczek oczach, przełączył coś w przymocowanym do ucha zestawie komunikacyjnym.

– Ten wariat z nożem to mój syn – szepnął konfidentycznie. – Nie zagrażał w żaden sposób życiu ani zdrowiu Mariny, inna rzecz, jeśli chodzi o ekhm... cnotę. W końcu jest z wdw – dodał z odcieniem ojcowskiej dumy.

– Ona nie ma jeszcze siedemnastu lat! – powtórzyłem nieświadomie słowa Bielowa.

– No przecież powiadomiłem pana. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu. – Rzeczywiście trochę za młoda, a i ja nie jestem pewien, czy chciałbym takiej synowej.

Uniosłem brwi, słysząc w głosie mężczyzny posępną nutę. Nie sądziłem, aby przejmował się humorami Mariny, więc musiało chodzić o Ludę, a może o Bielowa?

W Rosji mają swoją wersję powiedzenia, że niedaleko pada jabłko od jabłoni...

– A konkretnie? – spytałem.

– To siostra Ludy – odparł. – A Luda...

– Tak?

– Proszę mnie dobrze zrozumieć, ona nic nie zrobiła, nic specjalnego. A jednak... – urwał, zastanawiając się najwyraźniej, jak sformułować swoje myśli. – Gdybym miał ją opisać jednym słowem, użyłbym terminu: bezwzględna. To była dzika dziewczyna. To znaczy, chciałem powiedzieć: jest dzika dziewczyna – poprawił się bez przekonania. – Wyczuwało się w niej coś twardego, coś, co nie dziwiłoby w żołnierzu czy choćby w kimś takim jak jej ojciec, ale u Ludmiły... – Wzruszył wymownie ramionami.

No proszę, czego to człowiek nie dowie się na balu. Na ten aspekt nikt nie zwrócił mi uwagi: ani Bielów, ani Dżuma. Bogiem a prawdą – nie szepnęła o tym ani słówka także Marina, choć dało się wyczuć, że nie jest z siostrą w najlepszych stosunkach. Nie żeby się kłóciły, ale odniosłem wrażenie, iż nie były ze sobą zbyt blisko. Może winny tej sytuacji był nie tylko charakterek Mariny? Tylko co ta informacja zmieniała? Wypadało potraktować ją poważnie – w końcu pochodziła od zawodowca, człowieka, który niejednego popierdoleńca w życiu widział. Mogła ewentualnie tłumaczyć, dlaczego Luda zwróciła się przeciwko ojcu, ale w ogólnym obrazie sytuacji nie zmieniała niczego. Absolutnie niczego. Jeśli komuś poderżniemy gardło – umrze. Niezależnie od tego, jak twardy czy bezwzględny by był...

Podziękowawszy za rozmowę, pospieszyłem do Anity, nie powinienem zostawiać jej samej na posterunku. Chyba zjawiłem się w samą porę: przy stole wojskowych zebrała się spora grupka dyskutantów. Stojąca obok Anita przywołała mnie stanowczym gestem.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Może mnie przedstawisz? – usłyszałem za plecami znajomy, chłodny głos.

Kurważeż mać... Mój teść. A jednak przyjechał.

– Anita Tęczyńska, Andrzej Boerner – dokonałem prezentacji.

– Ma pani coś wspólnego z tą szlachtą, z Tęczyńskimi? – zapytał z ledwie słyszalną kpina w głosie.

Świetnie wiedział, kim jest Anita i reszta mojego „rodzeństwa”, swego czasu sam go o tym poinformowałem. Nie żebym spotkał się ze zrozumieniem... Dla księcia Boenera moja opowieść stanowiła jedynie dodatkowe potwierdzenie oczywistego faktu, że pochodziłem z rynsztoka i powinienem w nim pozostać.

– Nie mam nic wspólnego nie tylko z Tęczyńskimi, ale i z żadną normalną rodziną – odparła spokojnie Anita. – Matka porzuciła mnie zaraz po urodzeniu.

Mój teść obrzucił ją taksującym wzrokiem; szukał piętna sieroty, a może jawnochrzesznicy? Założyłbym się, że zapamiętał także, co wyrabiał z dziewczętami Siwy. Anita wytrzymała lustrację z olimpijskim spokojem – cóż, modelki nie należą do specjalnie nerwowych, takie szukają przeważnie innego zawodu.

– Przepraszam – powiedział wreszcie. – Zapomniałem. Janusz – łaskawie użył mojego imienia – wspominał mi o tym wcześniej.

– Co się dzieje? – powtórzyłem.

– Jeden z moich... współpracowników skomentował niedawną akcję moskiewskiej milicji – wyjaśnił z uśmiechem ojciec Małgorzaty. – Chyba jego interpretacja nie spodobała się Rosjanom.

Rzeczywiście, wewnątrz złożonego z wojskowych kręgu stał wysoki, postawny blondyn. Nie zwracał uwagi na coraz bardziej ponure miny Rosjan, tokował. Obiektem jego zainteresowania była grupka złożona z kilku francuskich dziennikarzy, zapewne prominentnych, inaczej nie znaleźliby się na balu. Jeden z oficerów – najwyraźniej znający francuski – tłumaczył kumplom na bieżąco wywody blondyna. Wnioskując po zaciśniętych pięściach żołnierzy, ci nie byli specjalnie zachwyceni. Jeszcze chwila i blondasek pozna Rosję naprawdę z bliska. Przy odrobinie szczęścia mój teść spróbuje interweniować i...

Z trudem odrzuciłem tę kuszącą wizję: bójka to nie najlepsza reklama balu, a i Margarita pewnie nie byłaby zachwycona, gdyby jej ojciec został obity przez ruski desant w mojej obecności. Ech, chciałaby dusza do raju...

– Mógłbym dowiedzieć się, o co chodzi? – spytałem po francusku.

– Dlaczego nie? – obdarzył mnie protekcjonalnym uśmiechem blondas. – Jakiś tydzień temu w Moskwie milicja dorwała kilkusobową bandę. Na jednym z większych osiedli osaczyli ich w mieszkaniu. Zamiast negocjować, ponieważ wokół znajdowali się przecież niewinni ludzie, wezwali ich do poddania, tylko raz, no i zaczęła się strzelanina... Do akcji weszli snajperzy, a potem milicjanci wrzucili przez okno kilka granatów. W tym

pewnie zapalające, bo mieszkanie stanęło w ogniu. Przyjechała straż pożarna, ale nawet nie zadała sobie trudu gaszenia pożaru. Cud boski, że przy takiej brutalności i niekompetencji nikt nie zginął.

Westchnąłem, wznosząc oczy ku niebu – cudem było, że facet ma jeszcze wszystkie własne zęby...

– Podsumujmy – zaproponowałem zmęczonym głosem. – Milicjanci nie negocjowali z przestępcami, zlikwidowali ich, nie dając żadnych szans, i na koniec podpálili mieszkanie?

– Do tego narazili życie przechodniów – dodał. – Relację z akcji pokazała telewizja, sam widziałem, jak ci bandyci strzelali do wszystkiego, co się rusza.

– Nie był pan nigdy w wojsku, prawda?

– Co to ma do rzeczy? – warknął. – I skąd ten wniosek?!

– Proszę podać stopień, specjalizację i numer albo nazwę jednostki – zaproponowałem. – Biorąc pod uwagę możliwości naszego gospodarza, wyjaśnimy to w ciągu kwadransa. To znaczy, czy nie mija się pan z prawdą...

– Istnieje coś takiego jak tajemnica wojskowa – rzucił wyniośle.

– Tylko w przypadku, jeśli sprawa dotyczy obronności kraju. Podanie do publicznej wiadomości faktu, że nigdy nie był pan w armii, nie należy do tej kategorii – skontrolowałem. – Mógłbym sprawdzić pańskie nazwisko i tak czy owak uzyskać te informacje, albo raczej potwierdzenie oczywistego faktu, ale szkoda czasu...

– O ile wiem, Adrian rzeczywiście nie służył w wojsku, niemniej niejednokrotnie wykazał się fachowością w tym zakresie – wtrącił mój teść.

– Na pewno – przytaknąłem grzecznie. – Założę się, że leczy kompleksy, prenumerując wszelkie dostępne na rynku czasopisma w typie „Giwery i wielkie cycki”, a spać chodzi w piżamie z kamuflażem. W Polsce nazywamy takich „kanapowymi komandosami”...

Z pewnym trudem przetłumaczyłem idiom na rosyjski i francuski.

– Leczy kompleksy? – uniósł brwi jeden z dziennikarzy, szczupły, szpakowaty mężczyzna.

– Niedawno w Polsce zniesiono obowiązkowy pobór – wyjaśniłem. – Ale i długo wcześniej można go było uniknąć pod byle pretekstem. I tu występuje pewien problem: co, jeśli ktoś chce robić wrażenie starego wojaka na panienkach i co bardziej naiwnych kumplach, a jednocześnie boi się wojska na tyle, że uciekł przed poborem? Pozostaje kompensacja: siłownia, pisma militarne i piżamka w pustynnym kamuflażu...

Rosjanie ryknęli śmiechem, a poczerwieniały z wściekłości blondyn uczynił krok naprzód. Zupełnym przypadkiem na drodze stanęło mu paru żołnierzy w mundurach wDW.

– A pańska interpretacja? – dociekał Francuz. – Co pan o tym sądzi? Rozumiem, że współpracował pan już wcześniej z Rosjanami? W Nikołajewsku?

– Może zostawmy w spokoju Nikołajewsk? – zaproponowałem ze znużeniem. – Co do pańskiego pytania: słyszałem o tej akcji w Moskwie, moim zdaniem przeprowadzono ją wzorcowo. Bandyty nie zdążyli wziąć zakładników, zlikwidowano ich bez strat własnych z chirurgiczną precyzją. Dwójka cywilów została ranna, niegroźnie, resztę ewakuowano na czas.



– W cywilizowanych krajach negocjuje się z przestępcami, celem jest aresztowanie, a nie fizyczna likwidacja – zauważył. – Poza tym gasi się płonące mieszkania.

– To zależy od definicji cywilizacji. Jeśli cywilizacja ma oznaczać większe prawa dla przestępców niż ich ofiar, to wolę kraje niecywilizowane, są jakby bezpieczniejsze dla zwykłych ludzi – odburknąłem. – Tamci zabili wcześniej kilka osób, wiedzieli, że czeka ich dożywocie.

– Dożywocie to nie to samo co kara śmierci...

– Rzeczywiście – przyznałem sucho. – Jest mniej humanitarne. Wie pan, jak wygląda życie w zonie?

Francuz wymownie wzruszył ramionami – a który z przebywających w Rosji dziennikarzy tego nie wiedział?

– Bandyci nie mieli nic do stracenia, chcieli tylko zabić jak najwięcej ludzi, zanim sami zginą. Może zresztą byli naćpani? To psychole, jak większość miejscowych bandziorów.

– I żeby zapewnić im godny pochówek, straż pożarna pozwoliła zamienić chałupę w stos pogrzebowy – wtrącił się blondyn.

Już odzyskał rezon, tacy jak on nie są w stanie niczego się nauczyć, wiedzą, że zawsze mają rację.

– Pułapki pirotechniczne – mruknąłem. – Takie coś, co robi bum-bum – dostosowałem wyjaśnienia do poziomu rozmówcy.

– Proszę? – zainteresował się Francuz.

– Media podawały, że jeden z bandytów był wysokiej klasy saperem – poinformowałem. – Nie zwrócił pan na to uwagi? Mieszkanie mogło być zaminowane, więc zapewne dowodzący akcją zupełnie słusznie uznał, że

taniej i bezpieczniej będzie je wypalić niż wzywać ludzi ze specjalistycznym, kosztującym setki tysięcy euro sprzętem. Przypuszczam, że straż pożarną sprowadzono po to, aby nie dopuściła, żeby pożar przeskoczył na inne mieszkania. Tak więc bandziorów zabito, pułapki, o ile tam jakieś były, eksplodował pod wpływem ognia, ot, i wszystko – zakończyłem obojętnie.

– Mogę się na pana powołać? – zapytał Francuz z roziskrzonymi oczyma.

Odpowiedziałem pełnym rezygnacji gestem – nie lubię dziennikarzy, lecz w tym momencie miałem większe problemy: Rosjanie stłoczyli się wokół, teraz czekało mnie chłanie z desantem...



Ochlapałem twarz zimną wodą. Pomogło, choć do stanu trzeźwości nadal sporo mi brakowało. Na szczęście impreza wreszcie się zakończyła, była piąta rano. Zza drzwi toalety dochodziły przytłumione odgłosy krzątania – obsługa powoli likwidowała pobalowy bałagan – i echa rozmów zapóźnionych gości. Zgasiłem światło i wyszedłem na korytarz. Ktoś otworzył na oścież drzwi wejściowe, wpuścił do holu świeże, mroźne powietrze. Wbiłem się w ciepłą, skórzaną kurtkę, na szczęście zapinała się na zamek błyskawiczny, z guzikami miałbym pewnie problemy, naciągnąłem na uszy czapkę.

– Jedziemy? – spytałem.

Bal zorganizowano w dziewiętnastowiecznym pałacu należącym do koncernu Bielowa, jakieś dwa kilometry od wieżowca z lądowiskiem dla śmigłowców na da-

chu. Marina wolałaby hotel „Europa”, lecz zadecydowały względy bezpieczeństwa.

Małgorzata obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem – cóż, nie prezentowałem się zbyt dobrze, nadmiar alkoholu nie poprawia niczyjej urody...

– My jedziemy, wy się przejdziecie – zadecydowała, wydymając wargi. – Mały spacer dobrze ci zrobi.

– Jacy my? – Rozejrzałem się zdezorientowany.

– Ty i on. – Wskazała palcem Dżumę.

– A ja niby po co? – Oleg wzruszył ramionami. – Jestem całkowicie trzeźwy.

Starannie położył czapkę na posadzce, jednym ruchem stanął na rękach i obszedł ją trzykrotnie dokoła, usiłując najwyraźniej udowodnić swoją tezę. Jak zauważyłem, kolebał się jednak nieco na boki. Zerknąłem uważnie na śliskie, marmurowe płytki, gdybym się sprężył...

– Ani się waż! – warknęła Margarita. – Jeszcze skrećisz kark. Przespacerujecie się obaj! – Tupnęła energicznie nogą.

– No dobrze, już dobrze – westchnął Dżuma.

Ruszyliśmy do wyjścia.

– Wiesz, ciociu, o tej porze na ulicach może być niebezpiecznie – odezwała się z wahaniem Marina.

– Nie martw się, wujek da sobie radę.

– No wiem, ale on jest trochę nie tego...

– Mam na myśli wujka Olega – wyjaśniła sucho Małgorzata.

– Wujek Oleg? – spytała ze zdziwieniem Marina. – To on umie się bić?

Nie słyszałem wyjaśnień żony – zapewne musiała nieźle lawirować, aby nie zdradzić dziewczynie, czym

zajmuje się Dżuma. Skręciliśmy za róg, podstawilem twarz pod zacinający śnieg. Słowa Mariny wywołały we mnie jakieś mętne skojarzenia. Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby zrozumieć, co mnie zaalarmowało.

– Dlaczego zamontowaliście przy bankach te kamery? – Trąciłem łokciem Dżumę. – Nie zrobilibyście tego bez konkretnego powodu. I dlaczego idziemy bez ochrony? Nie boisz się, że ktoś skorzysta z okazji i mnie trzaśnie?

Oleg zgarnął z chodnika nieco białego puchu, potarł policzki.

– Ten facet to snajper – mruknął wreszcie. – Zapewne dobry. A co do kamer to ktoś podjął z konta Ludy sto tysięcy euro. Mamy go na filmie.

– Dziękuję za informację! – odparłem sarkastycznie. – Zapewne kiedyś byś mi powiedział...

– To nieistotne detale – odburknął Oleg. – Jeśli dowiemy się czegoś konkretnego, zostaniesz poinformowany. Teraz chłopcy Markowa przesłuchują lekarzy Ludy, zobaczymy, ile jest warta twoja intuicja...

Parsknąłem lekceważąco, choć nie naciskałem, wiedziałem, że i tak niczego nie wyduszę z Dżumy. Fakt, że polował na mnie zawodowy snajper, bynajmniej nie podniósł mnie na duchu – rzeczywiście trudno byłoby mu strzelać w ciemności, w zadymce śnieżnej, ale kiedyś nastanie przecież dzień...

Oświetlone przez uliczne latarnie drobinki śniegu wirowały jak w tańcu, pchane porywami wiatru przyjemnie chłodziły twarz. Gdzieś z daleka dochodził szum silników, czasem zadudniły głucho szyny, odezwał się dzwonek tramwaju. Z niektórych okien sączył się mięk-

ki, przefiltrowany przez zasłony blask, reszta pozostawała ciemna. Petersburg spał.

– Jak zabrano te pieniądze z konta? – spytałem. – Ktoś poszalał po bankomatach?

– Żartujesz chyba. Żeby zebrać taką sumę, musiałby uwijać się przez tydzień. Z kumplami. Limit bankomatu w Rosji, a i to nie na każdą kartę, wynosi sto tysięcy rubli dziennie. Wychodzi około trzech tysięcy euro. Facet wykorzystał czek na okaziciela. Oczywiście przejrzelśmy nagrania z bankowych kamer, wszystkie pokazują wysoką, zakapturzoną postać w ciemnych okularach.

– I nikt go nie próbował zatrzymać?

Dżuma obrzucił mnie spojrzeniem, w którym trudno byłoby doszukać się uznania dla mojej inteligencji.

– Kto miał go zatrzymać? I dlaczego? Jeśli to nasz Batman, w efekcie otrzymalibyśmy jedynie stertę trupów, strażnicy bankowi nie są dla niego żadnymi przeciwnikami, a facet i tak by zniknął. Jeżeli wynajęty człowiek, to nie byłoby nijakiego powodu, aby go aresztować. Nie, nie chodzi o praworządność. I tak nie wiedziałby nic na temat porwania Ludy, spłoszylibyśmy tylko sprawcę, skłonili go do większej ostrożności, może brutalności.

– Wynajęty? Myślisz, że odniósłby w zębach sto tysięcy euro?!

– Odniósłby. To tylko kwestia kontroli. Każdy ma jakiś słaby punkt: żonę, dziecko, matkę... To naprawdę żaden problem.

– Więc bank nic nie zrobił?

– Jeden z ochroniarzy próbował śledzić klienta. Bezskutecznie. Zawiadomiono nas natychmiast o fakcie,

przekazano nagrania z kamer. Na czeku znaleziono jedynie odciski palców Ludy, no i kasjerki. Zero innych śladów. Eksperci mówią, że wypisano go albo tuż przed zniknięciem dziewczyny, albo zaraz po porwaniu.

Westchnąłem, wyrzucając w powietrze kłęb pary – prawdę mówiąc, od pewnego czasu nie miałem już wątpliwości, że córka Biełowa jest martwa.

– Dlaczego nie zablokowano konta?

– Wyłumacz mu to – zaproponował Oleg. – Michaił Juriewicz nadal wierzy, że Luda żyje, ukrywa się przed kimś i potrzebuje pieniędzy... Zresztą każda próba pobrania forsy to szansa na schwytanie sprawcy. Stąd te dodatkowe kamery.

– Rozumiem, że ukryte?

Dżuma potwierdził skinieniem głowy.

– Nie mogliście wysłać swoich ludzi do banków?

– Wiesz, ile jest banków w Petersburgu? A przecież następna wypłata, o ile nastąpi, może mieć miejsce we Władywostoku. Pozostaje nam tylko technika.

– A co z tym moim snajperem?

– Kontrolujemy sytuację.

Ton mojego rozmówcy nie pozostawiał żadnych wątpliwości: nie dowiem się niczego więcej. Nie powiem, żebym czuł się z tym komfortowo – istnieją co prawda skuteczne systemy wykrywania snajperów. Na bazie dźwięku wystrzału w ciągu kilku sekund lokalizuje się miejsce, z którego strzelano, aby jednak zadziałały, potrzebny jest ten pierwszy strzał. A zawodowiec raczej nie będzie musiał poprawiać... Teoretycznie można uprzedzić snajpera – wystarczy urządzenie w rodzaju choćby tych produkowanych przez firmę Rhein-

metall, wykrywające każdy skierowany w naszą stronę celownik optyczny, kamerę czy lornetkę. O ile pamiętałem, to ustrojstwo działało skutecznie do odległości tysiąca dwustu metrów. Teoretycznie powinno wystarczyć. Teoretycznie... Tyle że trzeba znać miejsce, w którym nastąpi atak. I odpowiednio szybko zareagować.

Ponure rozmyślania przerwało mi chrząknięcie Dżumy. Drogę blokowało nam czterech milicjantów. Opoдал stał wóz patrolowy.

– No, no... co my tu mamy – odezwał się jeden. – Pi-jacy i chuligani – stwierdził, podchodząc bliżej. – Nieźle się napili, wódkę czuć na dwa metry – stwierdził z od-cieniem zazdrości w głosie. Szerokim gestem otworzył drzwi samochodu. – Zapraszamy!

Zerknąłem spod oka na Olega – ten potulnie wsiadł do wozu. Podążyłem w ślad za nim.

– No cóż – zagaił puciołowaty porucznik o wyraźnie azjatyckich rysach twarzy. – Istnieją dwie opcje: albo za-bieramy was na komendę pod zarzutem chuligaństwa, albo wykładacie po tysiąc rubli każdy.

– Nie mam drobnych – wymruczał Oleg. – Może ty...?

Z ciężkim westchnieniem sięgnąłem do portfela.

– To wszystko? – spytałem z ironią, podając pieniądze dowódcy patrolu.

– Uhm – odburknął, przeliczając banknoty.

– Dwa tysiące na czterech, wypada po pięćset na głowę – powiedział niedbale Dżuma.

W jego głosie zabrzmiało coś, co zaalarmowało mi-licjantów. Chwycili za automaty, szcęknięły bezpieczni-

ki. Miałem nadzieję, że Oleg wie, co robi – w ciasnym wnętrzu patrolowego wozu nie było miejsca na uniki ani walkę wręcz. Jeśli któryś zacznie strzelać...

Ostrożnie, dwoma palcami, Dżuma wyjął jakiś dokument, podsunął pod nos porucznikowi, później zademontrował pozostałym milicjantom.

– Istnieją dwie opcje – powiedział z miłym uśmiechem. – Albo wylądujecie na pięć lat w zonie za wymuszanie łapówek, albo każdy z was teraz zeżre swoje pięćset rubli.

– Panie pułkowniku... – wymamrotał błagalnie dowódca.

– *Biez wariantow* – odparł Oleg, kręcąc głową.

Po chwili pierwszy milicjant włożył do ust zwitek banknotów.



Leżałem w gorącej, pachnącej ziołami wodzie, głowę chłodził mi lodowaty kompres. Nie pomagało. Nadal przy najmniejszym ruchu miałem wrażenie, że jakiś wyjątkowo niezgrabny chirurg trepanuje mi czaszkę. Za pomocą tępej piły.

– Margarita – wychrypiałem – choć pięćdziesiąt gram...

– Nie ma mowy – odpowiedziała z sypialni bezlitośnie moja żona. – Piłeś jak mężczyzna, cierp jak mężczyzna...

Jęknąłem. Gdzieś w pokoju miałem alchemiczną wódkę – niezastąpiony środek na kaca, niestety, Małgorzata zdążyła ją schować, zanim się obudziłem.



– Trzeba mnie było posłuchać – stwierdziła nieustępliwie. – Mówiłam ci przecież, że masz już dosyć.

– To nie takie proste – wymamrotałem. – Istnieją pewne uwarunkowania kulturowe, okoliczności łagodzące...

Trzasnęły drzwi – zbyt głośno, najwyraźniej ktoś nas odwiedził.

– Dzień dobry, ciociu – przywitała się Marina. – Gdzie wujek?

– W łazience, moczy się w wannie i cierpi – odburknęła moja żona.

Smarkata zachichotała – też mi powód do radości... I dziwić się potem okrucieństwu kobiet, jeśli uczą się takich zachowań od dziecka.

– Muszę z nim porozmawiać, mam sprawę.

– Raczej nie dzisiaj – odparła z westchnieniem Margarita.

– Ale...

– Nie dzisiaj.

– A co on ma do roboty?! – podniosła głos Marina.

– Przecież wiesz, o co prosił Janusza twój ojciec.

– Boicie się, że nie dostaniecie pieniędzy?! Ja...

Rozległ się suchy plask, po chwili zduszony szloch, ponownie trzasnęły drzwi. No, ładnie...

– Dałam jej po buzi – poinformowała mnie Małgorzata, wchodząc do łazienki.

Wyglądała na oszołomioną.

– Nigdy nikogo nie uderzyłam, ale teraz... – Rozłożyła bezradnie ręce.

– Zasłużyła sobie na to już dawno. Po prostu do tej pory nikt się nie ośmielił.

– Ale jej ojciec...

– To on ode mnie czegoś potrzebuje, nie odwrotnie – stwierdziłem zimno. – Nie jesteśmy tu po to, żeby obrażała nas niewychowana smarkuła. Nie martw się – dodałem łagodniej. – Nic się nie stało. No, nic wielkiego...

Krzywiąc się, zacząłem wyłazić z wanny, Małgorzata podtrzymała mnie pod ramię.

– Naprawdę tak cię boli? – spytała.

– Naprawdę – odburknąłem.

Pomogła mi się wytrzeć, podała szlafrok. Kiedy dokuśtykałem do stołu, postawiła przede mną szklaneczkę z odrobiną alchemicznej wódki.

– Wystarczy?

– Powinno – odparłem, unosząc szkło.

Ktoś zapukał do drzwi: szybko, energicznie i o wiele za głośno...

– Proszę! – warknąłem niezbyt przyjaznym tonem.

– To ta alchemiczna? – domyślił się Dżuma, wskazując butelkę.

Potwierdziłem. Poczęstował się bez słowa, rozmasował skronie. Czyżbym nie tylko ja miał problem?

– Mam do ciebie sprawę – zagaił nieco niepewnym tonem.

– Już się poskarżyła? – westchnąłem.

– Kto?

– Marina. Przyszła tu przed chwilą i wyraziła swoją opinię na nasz temat z wrodzonym sobie wdziękiem. Margarita ją uderzyła – poinformowałem, widząc, że nie rozumie.

– Znaczący...? – Wykonał gest naśladujący policzek.

– Dokładnie.

Dżuma ryknął śmiechem.

– Ro... rozumiem, że księżniczka... musiała być zakoczona? – wymamrotał, ocierając łzy radości. – Szkoda, że tu nie ma kamer – dodał z szelmowskim uśmiechem. – Dużo bym dał, żeby to obejrzeć.

– Mam nadzieję, że tu naprawdę nie ma kamer – wyszczałem.

– O ile wiem, to nie. – Zerknął na mnie spod oka. – Margarita! – zerwał się nagle od stołu. – Rzuć tego matolka i wyjdź za mnie – zaproponował, całując ją w policzek. – Zrobiłaś dzisiaj to, o czym wielu z nas marzyło po cichu od dawna...

– Żeby przylać małej? – Zmarszczyłem brwi.

– Uhm – potwierdził, nie wypuszczając mojej żony z objęć.

– Tak wam zaszła za skórę?

– Owszem, miała kilka mocnych wejść – przytaknął. – To nie jest zła dziewczyna, ale uważa się za kuloodporną. To dobrze, że ktoś ją wyprowadził z błędu...

– Obaj jesteście pijanice – odburknęła, odepchnąwszy go, Małgorzata. – Jak jest po rosyjsku „pijak”?

– *Alkasz* – odpowiedziałem. – No dobra, o co chodzi? – zwróciłem się do Olega.

– Jak się czujesz? – odpowiedział pytaniem.

– Średnio, ale przeżyję. – Wzruszyłem ramionami.

– Jest pewna robota... – powiedział z namysłem. – Nic ryzykownego, ale to ważne – stwierdził już bez uśmiechu. – Bardzo ważne, choć nie ma związku z Ludą.

– Miałem pogadać z Ziną i Markowem, nie mogę...

– To tylko dwie godziny – przerwał mi bezceremonialnie. – Później sam podrzucę cię na komendę.

Wydąłem w zamyśleniu usta, spojrzałem na Dżumę – siedział wygodnie rozparty na krześle, w jego pozie nie dało się wychwycić jakiegokolwiek napięcia, ale zbyt dobrze go znałem. Oleg Dubrow się niepokoił. Coś musiało pójść nie tak... Tylko w czym rzecz? Dżuma był ostatnią osobą, która odwodziłaby mnie od śledztwa związanego ze zniknięciem córki Bielowa. Jego frustracja z powodu braku efektów w tej kwestii z pewnością przewyższała moją. Z drugiej strony, dwie godziny to nie tak wiele...

– Co miałbym zrobić?

– Wygłosić odczyt na temat związany z antykoncepcją – odparł bez mrugnięcia okiem.

– Co takiego?! Jaja sobie robisz?

Powstrzymał mnie uspokajającym gestem.

– Nie żartuję – zapewnił. – Wbrew pozorom to naprawdę żaden dowcip.

– Słucham – zachęciłem.

Obrzucił moją żonę wymownym spojrzeniem.

– Nic z tego! – oświadczyła zdecydowanie Małgorzata. – Nigdzie stąd nie pójde. Zresztą skoro to nie jest niebezpieczne... – Obdarzyła Dżumę słodkim uśmiechem.

– Otoczka całej tej sprawy nie jest przyjemna – ostrzegł.

– Słucham – powtórzyła bezwiednie moje słowa.

– Jest grupa, która wwozi do Rosji pigułki gwałtu... Na ogromną skalę. Na górze – wykonał nieokreślony gest – zdecydowano coś z tym zrobić.

– Od kiedy Specnaz zajmuje się pokrzywdzonymi dziewczycami? – spytałem cynicznie.

– Od kiedy została zgwałcona córka jednego z deputowanych do Dumy... Czasem, jeśli trafi się jakaś trudna

sprawa, spełniam funkcję konsultanta – kontynuował Oleg. – Jestem łącznikiem między politykami a siłami specjalnymi czy specśłużbami.

– Zapewne nie za darmo? – Uśmiechnąłem się domyślnie.

– Nie za darmo – przyznał bez gniewu. – Ale nie chodzi o pieniądze, raczej o kontakty, Rosja jest dość... specyficznym krajem, żeby skutecznie działać, nawet w interesie państwa, trzeba znać odpowiednich ludzi, inaczej każda większa akcja z góry skazana jest na niepowodzenie. Dlatego pomagam temu facetowi.

– Co się stało? – spytała Margarita.

– Dwie dziewczyny poszły na dyskotekę, jednej z nich podano pigułkę gwałtu. – Wzruszył ramionami. – Nic nadzwyczajnego. Tym razem jednak panienka trafiła na wyjątkowych skurwieli. Nie tylko gwałcili kobiety, ale bywało, że i zabijali. Dla przyjemności. Milicja tropiła ich ponad rok, bezskutecznie, bo swoje ofiary, odurzone czy nie, zabierali do kanałów pod miastem, a tam nikt nie słyszał krzyków, zwłoki mogli odkryć jedynie bezdomni. Ci zaś, jak łatwo się domyślić, nie spieszyli się, żeby informować o tym milicję. Ciała znajdowano w takim stanie, że o żadnych śladach nie było mowy. W aktach sprawy nazwano ich „kanałowymi gwałcicielami”... Kobiety, które przeżyły, nie chciały zeznawać. Bały się albo otrzymały taką dawkę, że nic nie pamiętały.

– Odurzyli córkę tego polityka? – wtrąciłem.

– Nie, jej koleżankę. Wejście do kanałów znajdowało się sto metrów od dyskoteki, zaciągnęli ją tam bez trudu, nie zwracając niczyjej uwagi. Córka deputowanego poszła za nimi. Próbowwała dzwonić na milicję, ale komór-

ka jej wysiadła. Kiedy rozebrali tamtą i zaczęli... – urwał Dżuma. – No... panienska nie wytrzymała i rzuciła się na nich. Liznęła trochę karate, więc... Tamtych było trzech, jednego trafiła. Kopniakiem wybiła mu przednie zęby, a potem oni się nią zajęli... Połamali jej nogi stalowym prętem i gwałcili wszyscy przez kilka godzin. Przeżyła, ale już nigdy nie będzie chodzić, kości nóg zostały tak poprzestawiane... Jej przyjaciółka umarła, po wszystkim wbili jej rozbitą butelkę... Wykrwawiła się.

Zacisnąłem zęby, Małgorzata siedziała blada jak ściana.

– Co się stało z tymi skurwysynami?

– Długo nie pożyli – odparł Oleg, oglądając paznokcie. – Córka tego deputowanego jest malarką i zapamiętała ich twarze... Ktoś ich powiesił w tych samych kanałach. Na psich smyczach, dziesięć centymetrów nad ziemią, tak żeby mogli stać na czubkach palców. Zanim zdechli, potańczyli parę godzin. To zdumiewające, jakie siły można w sobie odnaleźć, kiedy gra idzie o życie... Tak przynajmniej przedstawili to milicyjni eksperci – dodał bez specjalnego nacisku.

Małgorzata pocałowała go bez słowa. Milczeliśmy dłuższą chwilę.

– Co mam zrobić? – rzuciłem szorstko.

– Siatka rozprowadzająca pigułki gwałtu jest świetnie zakonspirowana i zorganizowana. Jej członkowie znają tylko jedną lub dwie osoby, z którymi bezpośrednio się kontaktują. To znaczy, zwykli członkowie. Wczoraj przyszedł ogromny transport, jednym z kurierów jest nasz człowiek. Miał przekazać dokumenty przewozowe komuś ze ścisłego kierownictwa. Dopilnowaliśmy, żeby

przepuszczono ten transport bez problemów. Niestety, dzisiaj miał wypadek, dosłownie godzinę temu, zepchnęła go na pobocze ciężarówka, jego wóz dachował, facet leży na oddziale intensywnej terapii.

– I co w związku z tym? – Zmarszczyłem brwi.

– Oni działają w seksbiznesie. Wiesz: viagra, gadżety i takie tam... To świetna przykrywka. No więc nasz kurier miał wygłosić odczyt pod tytułem – Dżuma sięgnął po kartkę – „Niezwykła historia prezerwatywy”. To znak rozpoznawczy, hasło. Na konferencji ktoś miał do niego podejść, odebrać papiery. Ta osoba zna datę i miejsce przekazania towaru.

– Na jakiej konferencji?!

– No, branży erotycznej...

– Kolesie nie znają jego twarzy?

– Na dziewięćdziesiąt procent. Siatka jest bardzo rozbudowana, kilkaset osób.

– A jeśli znają? – spytała z troską Małgorzata.

– To nikt nie podejdzie do Janusza. Tak czy owak, ten... kontakt musi jakoś zareagować: zdenerwuje się, zadzwoni, wyjdzie przed końcem imprezy... Rzecz idzie o ogromne pieniądze. Mamy wszystko pod kontrolą, nawet jeśli ten człowiek nie zagadnie twojego męża, namierzemy go.

W głosie Dżumy brzmiała niewzruszona pewność – zastanawiałem się, czy rzeczywiście jest przekonany o swoich racjach, czy też udaje na użytek Małgorzaty.

– Kiedy zaczyna się konferencja?

– Za półtorej godziny. Gdyby było więcej czasu, zorganizowalibyśmy coś sami, ale w tej sytuacji nie ma czasu na opracowywanie tekstu wystąpienia, szukanie nota-

tek naszego człowieka, bo ten leży nieprzytomny. Jesteś przecież historykiem, mam nadzieję, że potrafisz to zrobić, bo jeśli nie, prawie rok roboty pójdzie w diabły...

Pokiwałem głową bez specjalnego entuzjazmu – fakt, że w tytule odczytu znalazło się słowo „historia”, nie gwarantowałem bynajmniej, że dam sobie radę, nie miałem czasu na sprawdzanie źródeł. Była też inna kwestia: nawet jeśli kontakt nie wiedział, jak wygląda kurier, treść odczytu mogła zawierać słowa kluczowe, bez których nikt do mnie nie podejrze. Dżuma świetnie o tym wiedział, tak więc albo – mimo wszystko – Rosjanie rzeczywiście kontrolowali operację, albo zaryzykowali, obstawiając *va banque*. Z drugiej strony środki odurzające to nie uran – ludzie zajmujący się tym biznesem to bandziory, a nie wyszkoleni operatorzy. Prawdopodobnie. Bo zależy, jakie kwoty wchodzi w grę...

– Mam włożyć podkoszulek termoaktywny? – spytałem.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – odparł wymijająco. Czyli dostanę kamizelkę kuloodporną pod ubranie. No ładnie, Margarita się ucieszy...

– Ja też chcę tam być – powiedziała Małgorzata. – Na tym odczycie.

– To niemożliwe. – Dżuma skrzywił się niechętnie. – Ktoś musiałby cię pilnować, do tego...

– Macie chyba dodatkowy sprzęt? – Wszedłem mu bez ceregieli w słowo. – Posiedzisz z nią na widowni i tyle.

Oleg spojrział nerwowo na zegarek – do konferencji zostało niewiele ponad godzinę.

– No dobrze! – warknął. – Nie ma czasu na kłótnie. Przebierajcie się, *wriemia poszło!*





Rozejrzałem się po sali – wszystkie miejsca zajęte. Najwyraźniej rosyjska branża erotyczna miała się świetnie... Konferansjer, podobno znany dziennikarz telewizyjny, zapowiedział mój występ. Ruszyłem w stronę mównicy, ktoś z personelu przytomnie dopasował stojak z mikrofonem do mojego wzrostu. Poprzedni prelegent miał jakieś metr sześćdziesiąt. W butach na wysokim obcasie.

Małgorzata siedziała w trzecim rzędzie, w towarzystwie Dżumy. Miałem nadzieję, że nie on jeden ochraniał moją żonę. Margarita miała pod ubraniem kevlarową kamizelkę, która – teoretycznie – chroniła zarówno przed nożem, jak i pociskami z pistoletu. Tyle że nie była wygodna – owa „nożoodporność” wymagała dodatkowych warstw laminowanego kevlaru, lecz w naszej sytuacji nie mieliśmy innego wyboru. Istniały, rzecz jasna, bezpieczniejsze modele, tylko że nie bardzo można było założyć je pod ubranie, a najmniejsze podejrzenie skutkowałoby tym, że napastnik strzeli w głowę...

– Szanowni państwo – rozpocząłem z serdecznym uśmiechem – mam zamiar przedstawić wam krótką historię prezerwatywy...

Widownia nieco się ożywiła – mój poprzednik wynudził wszystkich śmiertelnie, omawiając rzekomy wpływ gadżetów erotycznych na jakość życia rodzinnego.

– Jednym z pierwszych użytkowników prezerwatywy miał być legendarny król Minos. Znanego z kochliwości władcę zmusiła do tego własna żona, Pazyfae, która rozwścieczona rozlicznymi zdradami małżonka, rzuciła na niego klątwę sprawiającą, że przy każdym stosun-

ku „obdarzał” on swą wybrankę ejakulacją z jadowitych węży i skorpionów. Nie w ciemę bity mężczyzna wymyślił więc prezerwatywę z kozłego pęcherza, co miało zapewnić bezpieczeństwo jego partnerkom, a jednocześnie umożliwić mu kontynuację niecnego procederu. Czegoś w rodzaju prezerwatyw używali już starożytni Egipcjanie, choć naukowcy do dziś toczą spory, czy spełniały one funkcje ochronne, czy tylko ozdobne. Nie ulega jednak wątpliwości, że w czasach rzymskich stosowano je do kontroli urodzin.

Twarze moich słuchaczy nieco się ożywiły, zaledwie kilku podrzemywało, udając głębokie zamyślenie.

– W 1563 roku opublikowano traktat włoskiego lekarza Gabriela Fallopio „De morbo Gallico”, gdzie poleca się dla ochrony przed syfilisem stosowanie prezerwatyw. Choroba ta, nazywana często „francuską”, była wówczas równie powszechną, co nieuleczalną. Większość medyków próbowała leczyć dolegliwość rtęcią. Co prawda na taką kurację stać było tylko bogaczy, ale trzeba przyznać, że okazywała się ona dość skuteczna. Rzadko kiedy chory umierał na syfilis, przeważnie kończył życie z powodu zatrucia rtęcią...

Przez salę przetoczyła się fala rozbawienia – cóż, jeśli mój kontakt tu jest, z pewnością zwróciłem jego uwagę.

– W 1655 roku we Francji ukazało się anonimowe dziełko pod tytułem „Szkoła dla dziewic”, w którym postuluje się, aby mężczyzna stosował prezerwatywę dla opóźnienia orgazmu. W XVIII wieku niejaki graf Kondom, rzekomo lekarz angielskiego króla Karola II, miał wpaść na pomysł przygotowania prezerwatyw z baranich kiszek. Idea ta dość szybko zyskała popularność, choć

istnienie owego zacnego medyka pozostaje do dziś pod znakiem zapytania. Końcówka XIX wieku to świt nowej ery. Na rynek wchodzi kauczukowe prezerwatywy, chociaż nadal dostępne i poszukiwane są kondomy z materiałów naturalnych, na przykład rybiego pęcherza. Światową potęgą w tej dziedzinie stają się Niemcy: niemal sto procent produkcji prezerwatyw w Europie pochodzi z tego kraju, mimo eksportu do Australii, Kanady i Nowej Zelandii. Tę prosperity przerywa dopiero pierwsza wojna światowa, jednak po jej zakończeniu Niemcy szybko odzyskują pozycję lidera na rynku prezerwatyw. W Związku Radzieckim prezerwatywy pojawiają się dopiero w 1936 roku, niemal od początku nazywane są „wyrobem numer dwa”. Zakład, który rozpoczął ich produkcję, wytwarzał wcześniej maski przeciwgazowe.

Ponownie udało mi się rozbawić zebranych, lecz nie zwracałem uwagi na wybuchy śmiechu – omiatałem wzrokiem salę. Szczególnie interesowali mnie ludzie siedzący za plecami Margarity, co prawda nie spodziewałem się, że któryś z nich zaskoczy Dżumę, ale mimo wszystko nieco się denerwowałem. Miałem nadzieję, że udział w tej akcji uspokoi choć trochę moją żonę, przekona ją, że to, co robię, nie jest aż tak niebezpieczne, jak mogłoby się wydawać. Gra była warta świeczki – nastroju Małgorzaty nie poprawiła informacja, że ktoś na mnie poluje. Niestety, ze względu na podjęte przez ochronę Bielowa środki bezpieczeństwa, nie dało się tego ukryć.

Zakończyłem swoją wypowiedź stwierdzeniem, że znane od starożytności prezerwatywy są nadal w użyciu, co świadczy o tym, że jest to jeden z najbardziej długowiecznych wynalazków w dziejach ludzkości, i otrzy-

małem gromkie brawa. Zapewne aplauz spowodowany był ulgą, że w odróżnieniu od przedmówców nie zamierzam przedłużać wystąpienia. Każda taka impreza skupia grupkę domorosłych oratorów, napawających się faktem, że są przy głosie, a publika nie ma gdzie uciekać...

Referowałem jako ostatni, kiedy skończyłem, goście ruszyli regenerować nadwątłone siły: w sąsiednim pomieszczeniu mieścił się elegancko przygotowany szwedzki stół otoczony przez półnagie hostessy. Kątem oka widziałem stojącą pod oknem Małgorzatę – na szczęście Dżuma nie odstępował jej na krok.

Poczęstowałem się grzanką z kawiozem, popiłem łykiem szampana. Cały czas trzymałem w ręku niewielką aktówkę, wewnątrz znajdowały się kwity przewozowe pozwalające odebrać przemycony przez granicę towar. Jeśli ktoś miał do mnie podejść, byłby najwyższy czas. Za godzinę impreza się zakończy.

Poczułem ostry, agresywny zapach perfum – nie rozpoznałem marki, być może jakaś nowa kompozycja. Odwróciłem się, kiedy ktoś dotknął mojego łokcia. Szczupła, drobna brunetka w krzykliwym kostiumie powiedziała coś z naciskiem. Nie dosłyszałem – ktoś w tym samym momencie strącił ze stołu tacę z przekąskami.

– Proszę? – Nachyliłem się, niemal muskając uchem jej usta.

Do ciężkiego aromatu perfum doszedł zapach lakieru do włosów i jakichś kosmetyków. Szlag by to trafił, jeszcze trochę i dostanę migreny...

– Nie zmieniłby pan pracodawcy? – powtórzyła. – Jak rozumiem, nie jest pan związany na śmierć i życie z firmą Frilax?

Potrzebowałem chwili, by uświadomić sobie, że wymieniła nazwę przedsiębiorstwa, w którego imieniu występowałem.

– Nie jestem – potwierdziłem ostrożnie.

Nie wiedziałem, czy to próba kontaktu, czy też energiczna businesswoman usiłuje skaperować pracownika konkurencji. Miałem tylko nadzieję, że nie zacznie pytać o wrażenia z pracy w przemyśle... ekhm... rozrywkowym. Niewiele mógłbym powiedzieć na ten temat.

– To nasz zestaw promocyjny wraz z moim adresem – oznajmiła.

Wręczyła mi kolorowe opakowanie z jakąś giętką w biodrach hurysą na etykiecie.

– Co sprzedajecie?

– Viagrę. – Błysnęła zębami w uśmiechu.

Przerwała nam grupa kilkunastu osób usiłująca dostać się do resztek kawioru. Pozwoliłem odsunąć się od stołu. To chyba jednak nie mój kontakt. I po cholerę mi ta próbka? Czy ja wyglądam na kogoś, kto potrzebuje wspomagaczy?

– Znakomite wystąpienie – wymruczał męski głos za moim ramieniem. – Świetnie dostosowane do okoliczności: treściwe i krótkie... Myślałem już, że to sympozjum nigdy się nie skończy.

Mężczyzna mógł mieć pod pięćdziesiątkę. Szczupły, z twarzą spaloną słońcem, jakby dopiero co wrócił z tropików, sprawiał sympatyczne wrażenie.

– Poproszę o dokumenty – powiedział, wyciągając wymownie dłoń.

Kurwa mać! Facet mnie zaskoczył, szukać potwierdzenia czy może udawać, że wszystko w porządku?

Z drugiej strony, jakie jest prawdopodobieństwo, że podszedł do mnie ktoś mający na myśli inne dokumenty niż te, które dotyczyły pigułek gwałtu? Małgorzata pewnie by wiedziała, w końcu zajmuje się rachunkiem prawdopodobieństwa...

Bez słowa oddałem teczkę. Jeśli zaszła pomyłka, niech martwią się Rosjanie – podobno mają wszystko pod kontrolą. Jeżeli zaś to mój kontakt, lepiej trzymać gębę na kłódkę. W ten sposób niczego nie popsuję, nie wzbudzę podejrzliwości. Po chwili nieznajomy zniknął w tłumie, nie śledziłem go wzrokiem, dopiłem szampana i powoli zacząłem przeciskać się do wyjścia. Miałem nadzieję, że to koniec atrakcji na dzisiaj. Byłem zmęczony. Najwyraźniej nie nadawałem się na tajnego agenta.



Wysiadłem z samochodu, dwaj ochroniarze odprowadzili mnie do wejścia, po chwili maszerowałem już na trzecie piętro do gabinetu Markowa. Jego usytuowanie mówiło o statusie milicjanta – młodszy oficerowie rezydowali na pierwszym i drugim piętrze, na parterze znajdowały się pokoje przesłuchań i „małpiarnie”, cele, w których umieszczano zatrzymanych. Wyższe kondygnacje, z dala od hałasu i gorączkowej krzątaniny towarzyszących codziennym czynnościom, rezerwowano dla elity. No cóż, z tego, co wiedziałem, Markow był gwiazdą. Kierował wydziałem zajmującym się szczególnie skomplikowanymi i ważnymi sprawami – niezłe osiągnięcie jak na trzydziestodwuletniego majora.

Na półpiętrze zerknąłem przez okno – ludzie Biłowa siedzieli w samochodzie, czekali, aż skończę swoje sprawy na komendzie, aby odeskortować mnie do Krasnoj Gorki. Postanowiłem, że porozmawiam z Dżumą – z dala od uszu Małgorzaty, coś mi tu nie pasowało. Jak na ochroniarzy kogoś zagrożonego przez snajpera zachowywali się zbyt nonszalancko, no i było ich tylko dwóch, zdecydowanie za mało... Chyba że Rosjanie mieli pewność, że tu i teraz żaden atak mi nie grozi. Tyle, że wolałbym wiedzieć o takich detalach, byłem zainteresowany tą kwestią. Mocno zainteresowany...

Pod gabinetem Markowa stało kilka osób, w tym sam major. Z jakiegoś powodu nie wyglądał na zachwyconego. Tym razem jednak jego niezadowolenie nie kierowało się przeciwko mnie, wydawało się, że ma problem z dostaniem się do swojej samotni.

– *Gospodin major* – przywitałem się oficjalnie.

Markow wymamrotał coś pod nosem i szarpnął z wściekłością za klamkę. Drzwi ani drgnęły.

– Zgubiłeś klucze? – spytałem.

Po paru tygodniach lawirowania pomiędzy formami „pan” a „ty” ostatecznie przeszliśmy na „ty” – wspólna praca zbliża ludzi, no dobrze, wspólne chlaństwo też...

– Zostawiłem wewnątrz – odburknął. – Weszły nowe przepisy odnośnie bezpieczeństwa. Wszędzie wymieniono drzwi na samozamykające się, a zamki na zatraskowe. No i wyobraź sobie, że zadziałało. Wyszedłem na chwilkę i się zatrzasnęły...

Uniosłem ze zdziwieniem brwi – drzwi były przeszkłone.

– Przecież wystarczy wybić szybę...

– Zapewne ktoś nieźle zarobił na tych „zabezpieczeniach” – przyznał Markow. – Ale teraz interesuje mnie tylko jedno: czy dostanę się do swojego gabinetu? Zaraz, zaraz! Przecież ty jesteś włamywaczem!

Oczy wszystkich obecnych skierowały się na mnie. No ładnie...

– Macie przy sobie wytrychy? – spytała z dziecięcą nieledwie ciekawością uroczą dziewczyna w mundurze porucznika.

Zgrabna figura, porcelanowobiała, nieskazitelna cera i długie rzęsy sprawiały, że wyglądała jak aktorka odgrywająca rolę policjantki.

– On nie używa wytrychów, tylko kluczy uderzeniowych – zarechotał Markow.

– Interesująca nazwa – wycedził łysy pułkownik o zimnych oczach.

– To całkowicie legalne gadżety – zapewniłem.

– Nie wątpię – odparł z uśmiechem podobnym do pękającej blizny.

– Nie wziąłem ich ze sobą – poinformowałem, wzruszając ramionami.

– Ech ty... – pokręcił głową Markow.

Owinał ramię marynarką i zamierzył się do ciosu.

– Pokaleczysz się – mruknąłem. – Takie sztuczki wychodzą tylko na filmach.

– To co mam zrobić?! – warknął. – Stłuczona szyba to nie problem, a jeśli wezwę ślusarza, następny tydzień spędzę na wypełnianiu formularzy i pisaniu wyjaśnień, dlaczego musiałem forsować drzwi do własnego gabinetu.

– Kto urzęduje naprzeciwko?



- Ja – odparł pułkownik.
- Znajdzie pan jakąś gazetę i tubkę kleju?
- Gazetę tak, kleju raczej nie.
- Wodę?
- Tylko niegazowaną, a i gazeta z przedwczoraj... – stwierdził z ironią w głosie.

Po chwili podał mi napełniony po brzegi kubek i egzemplarz „Komsomolskiej Prawdy”. Wolałbym jakąś grubszą, ale i ta powinna wystarczyć. Zmoczyłem szybę wodą, starannie przykleiłem do niej rozłożoną gazetę i jednym uderzeniem rozbiłem szklaną taflę. Rozległ się cichy trzask. Zamontowana od wewnątrz gałka dawała się przekręcić, otworzyłem drzwi do gabinetu.

- Pan pozwoli... – zaprosiłem z rewerencją Markowa.
- Ciekawa sztuczka – odezwał się z namysłem łysy pułkownik. – Prawie nie było słychać brzęku szkła, dziura regularna, a i odłamki w jednym miejscu. *Chapeau bas...* Można wiedzieć, gdzie pan się tego nauczył?
- Na ulicy – odparłem chłodno. – Jako wygłodniały dziesięciolatek. Stary złodziej pokazał mi, jak włamywać się do piwnic i altanek. Mój ówczesny... opiekun nie przejmował się specjalnie faktem, że nie dojadam.
- Ten złodziej tak z dobrego serca?
- Od czasu do czasu podrzucałem mu coś na zagrychę. – Wzruszyłem ramionami. – Za rządów komunistów sklepy świeciły pustkami, za to niektóre piwnice były nieźle zaopatrzone.
- Tanieczka, wezwij, proszę, sprzątaczkę – przerwał naszą rozmowę Markow.

Milicjantka posłusznie skinęła głową. Ponaglony niecierpliwym gestem majora wszedłem do gabinetu.

– Gdzie ja to miałem? – wymamrotał roztargnionym tonem, podchodząc do biurka.

– Co takiego?

– Raporty. Zadałem parę pytań – wyjaśnił. – Moi ludzie przesłuchali lekarzy Ludy Bielowej, jak chciałeś. Nie dowiedzieli się niczego nowego, ale kazałem im sporządzić dokładny zapis tych rozmów. Na wszelki wypadek. Do tego... – urwał nagle, patrząc w oszołomieniu na trzymany w ręku dokument.

– Tak? – ponagliłem.

Nie odpowiedział, z ponurą miną podniósł słuchawkę telefonu.

– Przyślijcie do mnie sierżanta Poliszczuka, natychmiast! – warknął.

Odwrociłem się, słysząc chrzęst deptanego szkła.

– Tu chuju pierdolony! – ryknął Markow. – Ty...

– Chyba mnie z kimś pomyliliście, majorze – odburknęła nieprzyjaźnie starsza, krępa kobieta. – Ja tu tylko sprzątam.

– Wybaczcie, Nino Fiodorowno, wybaczcie... – powiedział zmieszany Markow.

Sprzątaczką bez słowa zaczęła usuwać pozostałości po stłuczonej szybie, wrzucane z rozmachem do blaszanego wiadra odłamki brzęczały nieprzyjemnie, drażniły słuch. Milicjant zmiął w kulkę trzymaną w dłoni kartkę, rzucił w moją stronę. Rozprostowałem papier, przeczytałem. Pismo nie zawierało żadnych rewelacji, ktoś z laboratorium informował, że odciski palców niejakiego Gołubińskiego okazały się identyczne z odciskami Arkaszewa Dymitra Siergiejewicza.

– W czym rzecz? – spytałem.

W tym samym momencie skojarzyłem: Gołubiński – tak nazywał się pedofil, którego przyłapaliśmy w mieszkaniu małego Witki. Podał fałszywe dane? Ale dlaczego?

Tymczasem sprzątaczką po raz ostatni zagrzechotała szkłem i obrzuciwszy Markowa ponurym spojrzeniem, wyszła z gabinetu. Po chwili zastąpił ją niemłody mężczyzna w wymiętym, na oko niezbyt czystym mundurze.

– Sierżant Poliszczuk melduje się na...

Nie dokończył, Markow rzucił się na niego jak terier na szczura, złapał za ubranie, potrząsnął.

– Jaką datę ma opinia z laboratorium? – rzucił cichym, złowrogim głosem.

– Ja... jaka opinia?

– Taka! – ryknął major, wyrywając mi z dłoni pomiętą kartkę. – Czytaj! – rozkazał.

– Siódmego...

– A którego dziś mamy?

– Dzie... dziewiętnastego – wymamrotał milicjant, spuszczaając wzrok.

– Dlaczego dopiero teraz to widzę?

Sierżant nie odpowiedział, nie musiał – zaczerwieniona, obrzękła od alkoholu twarz naznaczona siecią popękanych naczyń krwionośnych mówiła sama za siebie.

– Ech ty... – wysyczał z wściekłością Markow, odepchnął mężczyznę na ścianę. – Jeszcze raz wywiniesz mi taki numer i zatłukę jak psa – zapowiedział. – A teraz won!

– Co się stało? – spytałem, kiedy Poliszczuk czmychnął z gabinetu.

– Może jeszcze nic – odparł Markow, ponownie chwytając za słuchawkę. – Miejmy nadzieję...

W zapadłej ciszy słychać było tylko sygnał telefonu, nikt nie odpowiadał. Milicjant zadzwonił jeszcze raz, wreszcie założył przewieszoną przez krzesło marynarkę.

– Idziemy! – rzucił.

Poprowadził w dół, na pierwsze piętro, ruszył w głąb korytarza, roztrącając interesantów niczym kręgle. Deptałem mu po piętach, nadal nie rozumiejąc, o co chodzi. Ktoś za naszymi plecami wywrzaskiwał przekleństwa pod adresem Markowa, ktoś inny groził napisaniem skargi.

– Może powiesz mi wreszcie...

– Za chwilę – obiecał. – Żeńka! – krzyknął, otwierając drzwi. – Wezwij Specnaz na Piatnicką!



Markow prowadził jak wariat, drogę torował nam sygnał policyjnego koguta – milicjant umieścił go na dachu, zanim ruszyliśmy – ale i tak o mało nie zderzyliśmy się z jakąś ciężarówką. Sprawdziłem pasy: trzymały, musnąłem klips przytrzymujący składany nóż – w razie czego mogłem go błyskawicznie wyjąć z kieszeni i, co ważniejsze, otworzyć jedną ręką. Dlaczego zawsze muszę trafiać na rajdowców? Jakieś fatum czy co?

– Co się dzieje? – spytałem przez zaciśnięte zęby.

W lusterku bocznym widziałem podążającą naszym śladem nieoznakowaną furgonetkę z milicyjnymi komandosami. Czasem mignął mi wóz ochrony. Ludzie Bielowa nie byli zachwyceni faktem, że jadę z Markowem, ale nie zostawiłem im czasu do namysłu, teraz zamykali naszą małą kolumnę.

- Ten pedofil...
- Tak?
- Miał dokumenty na nazwisko Gołubiński, system wykazał, że obywatel Gołubiński nie był karany, dlatego mu odpuściłem.

Mruknałem potakująco, choć prawdziwsze byłoby stwierdzenie „odpuściłem po udzieleniu małej lekcji”. Godziny spędzone w celi musiały mocno dłużyć się Gołubińskiemu, szczególnie kiedy współwięźniowie dowiedzieli się o jego pedofilskich skłonnościach. A dowiedzieli się natychmiast, Markow o to zadbał.

- No więc Gołubiński to płotka, Arkaszew nie.
- Co za Arkaszew?
- Prominentny członek międzynarodowej siatki pedofilów, zabójca dwóch milicjantów. Aresztowany i skazany na piętnaście lat w kolonii karnej. Uciekł z konwoju, mordując dwóch naszych, kumple mu pomogli.
- Co to znaczy w praktyce? – spytałem. – Dla nas?
- Spytaj raczej, co to znaczy dla Witki? – wycedził Markow. – Gołubiński przestraszyłby się i przycichł przynajmniej na parę lat. Arkaszew nie.
- Myślisz, że zrobił krzywdę chłopakowi? To przecież bez sensu... Wypuściłeś go, nie zaryzykuje...
- Pobraliśmy mu odciski palców, wiedział, że szybko ustalimy, kim jest. No, trochę to potrwało, ten moczy-morda Poliszczuk... Jeśli coś się chłopakowi stało, wywalę gnoja na zbity pysk! On mógł się bać, jeżeli obserwował mieszkanie...
- Nie rozumiem?
- No przecież lataliśmy do Witki co chwila. Ustalaliśmy markę samochodu, próbowaliśmy uzyskać ryso-

pis faceta, który odwiedził sekretarkę Bielowa tuż przed jej śmiercią.

– Ale przecież to go nie dotyczyło, on...

Urwałem, uświadomiwszy sobie, że Gołubiński, czy raczej Arkaszew nie mógł wiedzieć, że milicja przesłuchuje Witkę w zupełnie innej sprawie. Być może poczuł się zagrożony, a wtedy na życie Witalija Aleksiejewicza Płatowa nie postawiłbym nawet dziesięciu groszy. Problem w tym, że przy obowiązujących obecnie w Rosji przepisach Arkaszew nie miał nic do stracenia – za morderstwo milicjantów i tak groziło mu dożywocie. Jeden trup więcej, jeden mniej – żadna różnica.

– Dodaj gazu! – warknąłem.

Markow obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem, jednak posłusznie przyspieszył. Opony zapiszczały na zakręcie, pas bezpieczeństwa wpił mi się w bark. Dostrzegłem znajomy podjazd, dojeżdżaliśmy.

– *Orużje k boju!* – zakomenderował Markow. – *Strielat' na porażenie!*

Przypięty do ucha milicjanta zestaw komunikacyjny gwarantował, że usłyszeli go i w furgonetce. Cóż, wyglądało, że akcje obywatela Arkaszewa nie stały obecnie zbyt wysoko – Rosjanie bywają sentymentalni i lubią dzieci...

Trzasnęły drzwiczki, ruszyliśmy, przepuszczając przodem komandosów w czarnych mundurach i hełmach bojowych. Zadudniły kroki na schodach, po chwili łomotowi ciężkich, wojskowych buciorów zawtórował huk rozbijanych taranem drzwi. Najwyraźniej Markow tym razem nie miał zamiaru przejmować się przepisami.

Z mieszkania dochodziły okrzyki milicjantów, wreszcie zapadła cisza. Usiadłem ospale na stopniach, schowałem broń. Nie wiem, w którym momencie poczuli zapach, ja już na półpiętrze. Posmarowałem nozdrza wyproszoną od kogoś z milicjantów maścią mentolową i zmusiłem się, żeby poczłapać do środka. Witka leżał w przedpokoju. Ktoś zatłukł go metalową rurką, okrwawione żelastwo leżało tuż obok. Zwłoki kobiety znaleźliśmy w kuchni. Mamuśka trzymała w ręku przerdzewiałe nożyczki – może zamierzyła się do ciosu? Z pewnością go nie zadała, na nożyczkach nie zauważyłem śladów krwi. Obrzmiała, zmasakrowana niemal nie do poznania twarz świadczyła, że i tu rurka była w robocie. Serce tłukło mi się w piersi jak oszalały, obijający się o pręty klatki ptak. Brakowało tchu. Zapach śmierci wiercił w nosie mimo maści, zwłoki przeleżały tu pewnie z tydzień. To tylko związki chemiczne, tylko związki... Zwłoki to jedynie kawał materii organicznej, nic więcej: węglowodany, białka i tłuszcze. Te pierwsze w zasadzie nie mają zapachu – rozkładają się bezwonnym. Białka rozpadają się na aminokwasy, a te z kolei na związki siarki i azotu. No i cuchną. Podobnie jak tłuszcze, wydzielające charakterystyczną, zjełczałą woń. W sumie – normalna rzecz, zapach jak zapach...

Ktoś ujął mnie pod ramię, wyciągnął na korytarz. Markow.

– Wracajmy, nic tu po nas – powiedział.

Wsiedliśmy do wozu, ruszyliśmy. Tym razem bez sygnału, w ponurym milczeniu, jak na pogrzebie. Nie było gdzie się spieszyć, Witka nie żył.



I znowu siedziałem w ogromnym basenie, znowu kłęby pachnącej burzą pary tworzyły przed moimi oczyma fantastyczne, trwające mgnienie krajobrazy. Tym razem nie musiałem namawiać żony, aby usiadła przy mnie – masowała moje barki, tuliła się do pleców. Świadomość, że nie jestem sam, pomagała, choć w głębi trzewi czułem, jak stalowy jeź rozprostowuje kolce. Nie wiedziałem, z jakiego powodu zginął Witka – być może przyczyniła się do tego nasza nieostrożność, może zawinił pijaczyna Poliszczuk, a może po prostu Arkaszew zatłukł chłopca, bo mógł. Podejrzywałem, że nigdy się tego nie dowiemy. Kiedy rosyjska milicja znajdzie mordercę – o ile znajdzie – nikt nie będzie się dopytywał o detale, Markow rozesłał dane pedofila do wszystkich komend w kraju z adnotacją: „Osobnik wyjątkowo niebezpieczny, w przypadku zagrożenia strzelać, żeby zabić”. To była dyskretna, choć zrozumiała dla każdego rosyjskiego gliniarza sugestia: „Żadnych negocjacji, rozwalić gnoja!”. Wiedziałem, że zostanie potraktowana poważnie, nikt nie będzie dociekał, czy któraś z ofiar była bliska Markowowi, w Rosji podobne sprawy traktowano jako koleżeńską przysługę. Dziś ja tobie, jutro ty mnie... Do tego dochodziło morderstwo dwóch milicjantów, prawdopodobieństwo, że Arkaszew doczeka procesu, było bliskie zeru. Pozostawał jedynie problem: jak go namierzyć? Jeśli miał odpowiednie kontakty, a ze słów Markowa wynikało, że raczej tak, poszukiwania mogą ciągnąć się latami. Za parę miesięcy, góra pół roku sprawa się zdezaktualizuje, oczywiście Arkaszew nadal będzie w rejestrze poszuki-



wanych, ale wyjąwszy jakiś przypadek wątpię, że go złapią. Polowanie, każde polowanie ma swój rytm i czas. Jeśli sposobność minie, zwierzyna ujdzie. Czy mogłem w jakiś sposób pomóc w odnalezieniu pedofila? Z pewnością rosyjskie służby specjalne miały takie możliwości, lecz gdybym zwrócił się z tym do Dżumy – ten roześmiałby mi się w twarz. Na razie nie wyjaśnili sprawy zniknięcia Ludy Bielowej, poszukiwania mordercy jakiegoś malca na pewno nie staną się priorytetem dla Rosjan. Pozostawało kryminalne podziemie, ci ludzie potrafią znaleźć każdego, no, niemal każdego: nadal nie wiadomo, kto zaatakował posiadłość Bielowa. Miałem też pewien kontakt w IKSI. Moja znajoma była studentką *Instituta Kriptografii Swiazi i Informatiki*. Jedną z najlepszych. Przypuszczałem, że mogłaby mi pomóc – w ramach treningu. O ile ją przekonam... Postanowiłem zacząć od Ziny. Jeśli Arkaszew nadal przebywa w Petersburgu, bandyci znajdą go w ciągu doby, jeżeli będzie bardzo sprytny, zajmie to kilka dni. A wówczas pozostanie tylko powiadomić milicję, o resztę zatroszczą się sami Rosjanie...

Otuleni w grube, wygodne szlafroki przeszliśmy z Margaritą do naszego pokoju. Nie przejmowaliśmy się patrolującymi teren strażnikami. Jeden ze stojących niedaleko ochroniarzy dał mi znak: masz gościa. Westchnąłem w duchu – osoby, którym ochrona pozwoliłaby wejść do naszej kwatery, można było policzyć na palcach jednej ręki: Dżuma, Marina, ewentualnie sam Bielow. Nie miałem ochoty spotkać się z żadną z nich. Nie w tym momencie.

Czekała na nas z mocno niewyraźną miną. Marina.

– Chciałam przeprosić – wymamrotała, wpatrując się w dywan.

Widziałem, że przeprosiny są dla niej czymś nowym i nie przychodzą jej łatwo. Małgorzata spojrzała na mnie pytająco, machnąłem ręką niech tam... Maniery córki biznesmena to ostatnia rzecz, która mnie teraz interesowała.

– W porządku – mruknęła moja żona. – Uznajmy sprawę za niebyłą.

Nie dodała, że jeśli rzecz się powtórzy, nie będzie taka miła. Nie musiała. Marina świetnie to rozumiała – jej skrucha była szczerą, w oczach odbijała się niepewność. Żebym miał tylko takie problemy...

Zostawiłem dziewczynę z Margaritą, sam pomaszerałem do Ziny.



– Chyba zwariowałaś!

Asystentka Bielowa bynajmniej nie była zachwycona moją prośbą.

– I co zrobisz, jak go znajdę? Zastrzelisz?

– Markow rozesłał informację, żeby się z nim nie cackać. Rozwałą go przy zatrzymaniu – wyjaśniłem.

– Dlaczego nie załatwisz tego przez Borysa Doktora? To on uprzedził, że jest kontrakt na ciebie. Ma znajomości...

Powstrzymałem Zinę znużonym gestem – nie zamierzałem niczego załatwiać przez Doktora. Facet był wyjątkowym skurwysynem nawet jak na bandytę. Kiedyś polecono mu nadzorowanie przelewu znacznej sumy –

chodziło o transfer brudnych pieniędzy poprzez prywatny bank. Nawalił system komputerowy, nie dokonano jednego z przelewów czy też dokonano go z opóźnieniem, nie pamiętam szczegółów. Borys – wówczas jeszcze nie Doktor – postanowił zmusić dyrektora banku do oddania skradzionych, jak sądził, pieniędzy. Tyle że bankier okazał się twardszy, niż przypuszczali bandyci, o tym, że jest niewinny, nikt nawet nie pomyślał... No więc sprowadzono jego żonę i zaczęto gwałcić tak, aby widział wszystkie szczegóły. Żeby nie zamykał oczu, podklejono mu plastrem powieki. Ot, stąd i Doktor... Kiedy wyjaśniono pomyłkę, zarówno dyrektor banku, jak i jego żona wylądowali w szpitalu psychiatrycznym. Z tego, co wiedziałem – rokowania były kiepskie...

– Może jednak obejdziemy się bez Doktora? – zaproponowałem chłodno. – Zapłacę ile trzeba.

– Po co ci to? – spytała cicho. – Nie zmienisz świata, nie przywrócisz życia dzieciakowi.

– Sam nie wiem – mruknąłem. – Ale chcę to zrobić. Możesz mi pomóc? Podobno twoja rodzina ma odpowiednie... koneksje.

Powyższe stwierdzenie było sporym niedopowiedzeniem – nie chodziło o powiązania, w rzeczywistości rodzina Ziny składała się bandytów i złodziei, wśród których znalazłoby się kilku *worow w zakonie*.

– Niczego nie obiecuję – powiedziała wreszcie. – Spytam wujka i zobaczymy.

Skinąłem głową w podziękowaniu, nie miałem nadziei na nic więcej, rosyjska mafia nie jest organizacją charytatywną. Znajomość z Ziną gwarantowała jedynie, że nie zostanę oszukany i jeśli ktoś mi obieca, że zaj-

mie się poszukiwaniami Arkaszewa, to dotrzyma słowa. Kwestia zapłaty mnie nie martwiła, standardowa gratyfikacja za taką „usługę” wynosiła od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy euro. Biorąc pod uwagę, ile płacił mi Bielów, kwota nie była specjalnym problemem.

Wróciwszy do siebie, zająłem się czytaniem akt przesłanych mi faksem przez Markowa. Jego ludzie przesłuchali trzech lekarzy Ludy: dentystę, ginekologa i ortopedę. Ten ostatni miał przeprowadzić jakieś badania – rok wcześniej starsza córka Bielowa złamała nogę na nartach. Jednym słowem, nic ciekawego: na nic się nie uskarżała, wizyty u lekarzy były czysto rutynowe. Z ciężkim westchnieniem zabrałem się za dokładne czytanie protokołów – noblesse oblige... Jeżeli coś przeoczę, Bielów mi nie podziękuje.

Skrzypnęły drzwi, poczułem zapach kawy: Margarita dotknęła mojego ramienia, postawiła na stole filiżankę. Podziękowałem uśmiechem. Odprowadziłem ją wzrokiem, kiedy kładła się do łóżka – dochodziła jedenaśta w nocy. Łyknąłem gorącego napoju, pokręciłem głową, żeby odegnąć senność. Jeszcze pół godziny i skończę.

Odłożyłem na bok dokumentację opisującą stan uzębienia Ludy, z notatek wynikało, że lewa górna czwórka została zastąpiona implantem. Ciekawa informacja, jakby co może posłużyć do wstępnej identyfikacji zwłok... Sięgnąłem po kolejny plik kartek, czas na następny protokół.

Zatrzymałem wzrok na ostatnim pytaniu, zerknąłem na podpis: śledczy Jewgienij Bałutin. Żeńka. Dwie linijki tekstu. Przeczytałem je ponownie, a później jeszcze raz. Nie było mowy o pomyłce... Zacisnąłem zęby, odsunąłem

filiżankę z niedopitą kawą, już jej nie potrzebowałem – przez całe ciało przetoczyła się fala adrenaliny. Niech to szlag! Kto powie o tym Bielowowi?! Wreszcie skojarzyłem jeden z filmów z komputera Ludy. Ożeż kurwa...

Rzuciłem się do drzwi.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona Margarita.

– Zostań tu! – warknąłem.

– Ochrona! – krzyknąłem, wypadając na korytarz. – Jeden ze mną, drugi biegiem po Olega. Za pięć minut przy domku Ludmiły!

Posłuchali bez wahania, któryś wezwał dodatkowy patrol. Wybiegliśmy na mróz w marynarkach, ale nie czułem chłodu. Śnieg skrzypiał pod nogami, oddech zamieniał się w parę. Pogoda niczym na Boże Narodzenie, tylko nastrój jakby nie ten...

Ochroniarz odprawił czary przy wejściu, odblokował zamki. Od razu zasiadłem przy komputerze, w ciągu paru minut znalazłem filmik. Ech, Luda, Luda...

– O co chodzi? – odezwał się szorstki głos za moimi plecami.

Widać było, że Dżuma nie jest w najlepszym humorze. No cóż, ja także nie miałem powodu, aby skakać z radości. Mimo że odkryłem coś, co Rosjanie przeoczyli. Bez słowa podałem mu protokół, dwa ostatnie zdania zakreśliłem na czerwono.

– „Śledczy: Czy Ludmiła Bielowa zwracała się do pana z jakąś prośbą? Lekarz: Nie. Choć tuż przed zniknięciem pytała o testy ciążowe” – przeczytał Dżuma. – I co z tego? Kilka tygodni wcześniej ten sam lekarz ją badał, nie była w ciąży.

Mimo sceptycznego tonu w głosie Olega wychwytiłem podskórną, ledwie słyszalną nutę: strach. On już wiedział, tak jak i ja. Kto powie o tym Biełowowi...?

Bez słowa odpaliłem filmik. Śniadanie: Luda kapryśnie wydyma wargi, smaruje grzankę masłem orzechowym, później kawiozem, dokłada plasterki ananasa...

Dżuma opadł na krzesło, rozmasował skronie, jeszcze raz obejrzał filmik.

– Myślisz, że to... – nie dokończył, zagryzając wargi.

– Mamy jej krew – mruknąłem. – Zadzwoń do lekarza, spytaj, czy można przeprowadzić dodatkowe badania i ile to potrwa.

– Poziom hormonu hCG można zbadać zarówno we krwi, jak i w moczu – odparł ze znużeniem. – Badanie krwi jest chyba nawet bardziej precyzyjne.

Podniósł słuchawkę znowu spokojny, kompetentny, niewzruszony.

– Za kilka godzin poznamy wyniki – poinformował. – Na wszelki wypadek kazałem przeprowadzić dwa niezależne testy.

Skinąłem głową, podniosłem się z krzesła.

– Kto powie Biełowowi? – spytałem.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w ekran monitora, jakby mógł z niego wydobyć jakieś sekretne informacje. Lecz komputer zawierał jedną jedyną tajemnicę: Luda była w ciąży. Biełow stracił nie tylko córkę, ale i wnuka...



**F**otografia była stara i pożółkła, w dodatku zamiast przykleić zdjęcie do dokumentu, ktoś przypiął je zszywaczem. W efekcie lewy policzek Aleksandra Nikołajewicza Razumowskiego praktycznie przestał istnieć, zniszczony przez wydziabane w nim dziury i rdzę ze zszywacza. Mimo to moje znalezisko można nazwać sukcesem – wszelkie akta personalne Razumowskiego zostały usunięte, łącznie z tymi, które znajdowały się w dyspozycji organów przyzwyczajonych do skutecznej ochrony swoich tajemnic. Dżuma wyrażał się bardzo oględnie, lecz jak rozumiałem, chodziło o archiwa GRU i NKWD. Tymi ostatnimi obecnie zapewne dysponowała FSB. Czy fotka wystarczy, aby zidentyfikować Razumowskiego? O ile żyje, a karkołomna hipoteza Gilberta o długowiecznych adeptach tajemniczej sekty nie okaże się totalną bzdurą. Trudno powiedzieć – upływ czasu czy choćby operacja plastyczna mogły zmienić wygląd Razumowskiego nie do poznania, choć zawsze istniała pewna szansa. Jeszcze raz zerknąłem na fotkę: niemal kwadratowa, sympatyczna w wyrazie twarz o mocnych,

lecz nie brutalnych rysach, żadnych znaków szczególnych, chłodne, spoglądające, jak się wydawało, z lekką kpinią oczy.

Wybrałem numer, zadzwoniłem.

– Mam zdjęcie Razumowskiego – poinformowałem bez powitania.

– To świetnie, może wreszcie coś się ruszy – odparł Oleg.

W jego głosie nie dosłyszałem jednak specjalnej radości – badania wykazały, że w momencie śmierci Luda była w pierwszym trymestrze ciąży. Bielów przeszedł kolejny kryzys nerwowy, ponownie musiano mu podać środki uspokajające. Coraz bardziej skłaniałem się do tezy, że cała sprawa jest zemstą na biznesmenie. Być może za jakiś czas anonimowy rozmówca poinformuje o miejscu ukrycia zwłok córki Bielowa. I postawi kropkę nad „i”... Nie wiedziałem, jakie interesy prowadzi teraz Bielów, ale mogłem założyć się, że zniknięcie Ludy wpłynęło mocno na kondycję intelektualną naszego gospodarza. I o to zapewne chodziło, ktoś kosztem Bielowa zarabiał teraz miliony.

– Wracaj do Krasnoj Gorki – polecił Dżuma. – Tylko nie daj zabrać sobie fotki tym Chińczykom.

– Postaram się – odburknąłem.

Przed archiwum oczekiwało mnie dwóch ochroniarzy, gdzieś niedaleko musiała czaić się Borelska. Omiotłem ostrożnym wzrokiem parking – pusto. W zasięgu wzroku żadnego Chińczyka... Pomaszerowałem do samochodu, jeden z ludzi Bielowa uruchomił już silnik, drugi nie odstępował mnie na krok.



Dźwięk wystrzału zahuczał jak grom, kątem oka zauważyłem, że dziewiętnastowieczna rzeźba stojąca tuż przy schodach do archiwum straciła głowę. Zanurkowałem w jakąś zaspę, stęknąłem, kiedy ochroniarz skoczył mi na plecy. Mężczyzna krzychał coś gorączkowo w przymocowany do ucha mikrofon, zawył silnik samochodu – zapewne jego kolega ustawił wóz w taki sposób, aby zasłaniał nas przed ostrzałem snajpera.

Ponaglany przez ochroniarza doczołgałem się do samochodu, kucnęliśmy, ciężko dysząc, przytuleni do karoserii. Głowa rzeźby rozsypała się w pył, nawet jeśli wykonano ją z piaskowca, pocisk nie powinien wyrządzić aż takich zniszczeń. Karabin, z którego strzelano, musiał być wielkokalibrowy. Takiej broni używa się do niszczenia sprzętu, w tym lekko opancerzonego. Ciekawe, ile wytrzyma nasz wóz...

Czekałem na następny wystrzał, ale słyszałem tylko nasze oddechy i ciche przekleństwa ochroniarzy. Czyżby snajper się wystraszył i uciekł? Wątpliwe – z tego typu broni można strzelać na odległość dwóch kilometrów. Zanim wezwiemy pomoc, zanim ktoś przyjedzie, zanim go osaczą... Teoretycznie rzecz biorąc, napastnik powinien teraz przerabiać nasz samochód na durszlak. Tyle że tego nie robił. Na śniegu wyraźnie odznaczały się nasze ślady, miejsce, w którym staliśmy, kiedy nas zaatakowano. Bezgłowa rzeźba znajdowała się jakieś pięć metrów dalej. Chybiony strzał? W przypadku zawodowca? Nonsens, nie o kilka metrów. Ktoś chciał mnie wystraszyć? Jeszcze większy idiotyzm. Nie w taki sposób, nie w tym miejscu.

– Najmocniej przepraszamy – wymamrotał nagle mój anioł stróż.

Mężczyzna podniósł się z ziemi i zaprosił mnie gestem do samochodu. Nie zwracając żadnej uwagi na snajpera.

– Obiecuję, że zostanie ukarana, to nieprofesjonalne – dodał.

– Słucham?!

– Od dawna wiedzieliśmy, że zamach nastąpi w tym miejscu, już tydzień temu zauważyliśmy na drzewach urządzenia mierzące kierunek i siłę wiatru. Miał strzelać z dachu tamtego wieżowca. – Wskazał odległy budynek. – Tysiąc dwieście metrów. Czekaliśmy na niego. Pojawił się jakieś dwie godziny temu, wtedy zamknęliśmy sprawę.

– To kto do nas strzelał?!

– Zneutralizowała go Borelska, a ona...

– Zabiję tę idiotkę! Ta...

– Oleg Iwanowicz już wie o incydencie – poinformował ponuro. – Tym razem przesadziła.

Przez dłuższą chwilę wysapywałem wściekłość na RMB. Nie pomagało. Mój oddech parował na mrozie, z bezsilną złością waliłem pięścią w dach wozu.

– Suka! Suka!

– Głupia cipa – zgodził się ochroniarz. – Jednak prawdę musimy już jechać.

Bez słowa wsiałem do samochodu, ruszyliśmy. Uspokajający zazwyczaj, cichy szum silnika drażnił, zgrzytając zębami, zmusiłem się do myślenia o Razumowskim. Bóg z nią, z Borelską! Zapewne Dżuma zatroszczy się o to, żeby baba subtelniej dobierała dowcipy



przebiegały jakieś wzory, wiły się niczym węże sinusoidy wykresów.

– Czterdzieści procent – wymruczał z roztargnieniem. – Czterdzieści procent... Nie da rady. – Pokręcił głową.

– To znaczy? – spytałem.

Starąłem się, aby w moim głosie nie słychać było rozczarowania. Liczyłem, że fotka okaże się przełomem, pozwoli rozwiązać sprawę.

– Nie można zidentyfikować Razumowskiego na podstawie tego zdjęcia – poinformował. – To jest zła wiadomość. Jednak są i pozytywy...

– Chwileczkę – przerwałem mu bez ceregieli. – Dlaczego nie? Przecież mamy twarz?

– Mamy fragment twarzy – doprecyzował. – W ogóle nie widać uszu. Uszy człowieka są jak odciski palców, praktycznie każdy ma inne. Niestety, w tej sytuacji... – Wzruszył wymownie ramionami.

– A ta dobra wiadomość?

– Kształt twarzy można zmieniać tylko do pewnego stopnia, operacje plastyczne mają swoje ograniczenia. Zdjęcie, które znalazłeś, pozwoli nam odsiać wszystkich, którzy nie są Razumowskim. Z osiemdziesięcioprocenową dokładnością. To niemałe osiągnięcie – dodał, widząc moją minę.

– Rozumiem – burknąłem bez entuzjazmu.

Podniosłem się ociężale z krzesła i pożegnawszy Olega nonszalanckim machnięciem ręki, wyszedłem na korytarz. Miękkie, orientalne dywany tłumiły odgłosy kroków, wyłożone marmurem ściany emanowały chłodną

elegancją. Jedyne dysonans stanowiła obecność ochroniarzy; dwuosobowe patrole krążyły po wszystkich piętrach, widok uzbrojonych po zęby mężczyzn przypominał o zagrożeniu, mimo woli przywodził na myśl tragiczne wydarzenia.

Założyłem grubą, zimową kurtkę – zameldowałem się u Dżumy zaraz po przyjeździe z archiwum, wyszedłem do parku. Zadumę przerwał mi głośniejszy rumor, obejrzałem się za siebie: Antonow i Dunin zderzyli się w drzwiach, najwyraźniej obaj panowie także gdzieś spieszyli. Dunin podtrzymywał informatyka, na ziemi leżały jakieś paczki. Pomaszerowałem dalej, słysząc, jak oligarcha usprawiedliwia się przed pracownikiem Biełowa. Też mi gentleman...

Mroźne powietrze przyjemnie chłodziło głowę, pod butami poskrzypywał śnieg. Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch: wiewiórka. Popielata błyskawica przeskoczyła pomiędzy koronami bezlistnych drzew, zniknęła w płątanie gałęzi. Wyblakłe promienie słońca z trudem przebijały się przez warstwę szarych chmur, szeleściły poruszane wiatrem krzewy. Wdychałem zapach śniegu i spalin, od czasu do czasu którąś z odśnieżonych ścieżek przejeżdżał wóz patrolowy.

Mimo sięgającego powyżej kostek śniegu jej ruchy były zwinne i pełne wdzięku. Zdawało się, że biegnie bez żadnego wysiłku. Ciekawe, jak kobiety to robią? Ja w podobnej sytuacji muszę wyteńczyć całą uwagę, żeby nie zwalić się na tyłek...

– Przeziębisz się – powiedziała z wyrzutem Małgorzata.

Na głowę nałożyła mi czapkę z soboli – podarunek od Bielowa. Nie przepadam za naturalnymi futrami, ale nie wypadało wybrzydzać, prezent to prezent.

– Dalej nie możesz zapomnieć o tym malcu? – spytała cicho.

Odpowiedziałem niechętnym gestem, nie miałem ochoty kontynuować tego tematu. Śmierć Witki stała się rodzajem długu, jeśli tylko nadarzy się okazja, spłacę go z nawiązką, lecz nie chciałem o tym myśleć. Nie teraz.

– Postrzelamy? – zaproponowałem.

– Przecież powiedziałeś, że nie weźmiesz mnie na strzelnicę, zanim nie opanuję tych wszystkich kretyńskich ćwiczeń.

– Zmieniłem zdanie – poinformowałem z uśmiechem. – Idziemy?

– Idziemy!



Strzelnica okazała się niewielka, na trzy stanowiska. Wymalowane na podłodze czarne linie wyznaczały dystans: pięć, dziesięć i dwadzieścia pięć metrów. Na papierowych tarczach umieszczono sylwetki przyczajonych w półprzysiadzie, celujących oburącz przestępców. Wiadać było, że przygotowano je dla zawodowców, centrum stanowiła głowa, nie tułów. Dziesięć punktów za trafienie w czoło, ściślej mówiąc, w nasadę nosa. Małgorzata stanęła naprzeciwko tarczy, uniosła broń, wystrzeliła. Lufa makarowa podskoczyła kilkakrotnie, skrzywiłem

się, widząc gwałtownie ściągany spust – no cóż, zobaczymy, jakie będą efekty...

Podniosłem do oczu lornetkę, wyregulowałem ostrość: piątka i dwie dwójki, reszta poszła Panu Bogu w okno...

– I co? – zapytała Margarita. – Trafiłam?

Niecierpliwym ruchem zdjęła z uszu ochraniacze.

– Tyle, o ile... – mruknąłem. – Odstrzeliłaś gadowi lewe ucho, zraniłaś w biodro i hm... poniżej pasa.

Zawsze twierdziłem, że jeśli chodzi o zagrożenie bronią palną, to najbardziej niebezpieczne są kobiety. Facet będzie celował w głowę lub serce, panienka – czort jeden wie...

– Oszukujesz!

Bez słowa podałem jej lornetkę.

– Co robię nie tak? – spytała po chwili.

– Sto różnych rzeczy – westchnąłem. – Nie poprawimy wszystkiego naraz, ale po kolei... Stań jeszcze raz w pozycji strzeleckiej – poprosiłem. – Dobrze... Oprzyj prawą dłoń na lewej, ta poniżej ma tworzyć coś w rodzaju łódki albo litery U. Cztery palce z jednej strony, kciuk z drugiej. Przyciśnij kciuk prawej dłoni kciukiem lewej, oba mają przylegać ściśle do kolby pistoletu. No dobrze, spróbuj teraz...

Liczyłem strzały: dwa, cztery, sześć. Zmodyfikowany makarow miał magazynek na dwanaście naboji – poprzednio sześć i teraz tyle samo. Znaczy, koniec strzelania. Trzeba załadować.

Ponownie sięgnąłem po lornetkę, poprawiła się: piątka, trójka, dwie dwójki.

– I jak?

- Lepiej – odparłem lakonicznie. – Odrobinę...
- Chcę jeszcze raz!
- Proszę bardzo – zezwoliłem z uśmiechem.

Seria następujących po sobie trzasków przebiła się przez ochraniacze, poczekałem, aż moja żona odłoży broń.

– Kiepsko – mruknąłem. – Tylko trójka i dwójka. Za szybko ściągasz spust i nadmiernie naprężasz ramiona.

- To mi pokaż – zażądała.

Stałem tuż za nią, pomogłem ułożyć dłonie. Czułem ciepło ciała i delikatny zapach perfum Margarity.

- Spróbuj teraz – powiedziałem.

Nacisnęła spust, tym razem mniej nerwowo. Zdjęliśmy ochraniacze, podałem jej lornetkę.

- Szóstka i trzy trójki! – zawołała ucieszona.

– Spróbuj nie wstrzymywać oddechu – zaproponowałem. – Nie jesteś snajperem, to niepotrzebne, później ciężko się odzwyczaić.

- Na filmach nabierają powietrza w płuca...

– Być może, ale w rzeczywistości, jeśli już trzeba, to strzela się na bezdechu, nadmiar tlenu powoduje zwiększone wydzielanie adrenaliny – wyjaśniłem.

- To co, jeszcze trochę?
- Wystarczy na dzisiaj – zdecydowałem.
- Wracamy?

- Nie tak prędko, ktoś musi przecież wyczyścić broń...

Małgorzata obrzuciła mnie ponurym spojrzeniem i bez słowa zabrała się za rozkładanie pistoletu. Cóż, za rozrywkę trzeba płacić...





Wychynałem ze snu niczym pływak po długim nurkowaniu – oszołomiony, łapiąc spazmatycznie powietrze. W pamięci pozostało wrażenie oleistej, ogarniającej wszystko czerni, mroku rozdzieranego rozpaczliwymi krzykami. Najwyższy czas zakończyć sprawę i wrócić do domu...

Ktoś zapukał do drzwi, zapewne nie pierwszy raz. Ostrożnie wysunąłem się z pościeli, za plecami słyszałem spokojny oddech Małgorzaty.

Ochroniarz wyglądał na zniecierpliwionego, na jego twarzy zastygł wyraz napięcia.

– Co się dzieje? – spytałem szeptem.

– Oleg Iwanowicz was wzywa – odparł przytłumionym głosem. – Natychmiast.

Podziękowałem skinieniem głowy, wróciłem do pokoju. Zegar wskazywał drugą dwadzieścia. Spotkanie w środku nocy? Znowu ktoś zginął? No nic, zaraz się dowiem... Ochlapałem twarz zimną wodą, ubrałem się pospiesznie.

Pilnujący korytarza, objuczeni sprzętem żołnierze najwyraźniej szykowali się do walki, to już nie była zwykła ochrona: karabiny, strzelby gładkolufowe, maski przeciwgazowe, granaty. No, no...

Nacisnąłem klamkę, wszedłem bez pukania. Oprócz Olega przy stole siedzieli Biełow i muskularny, przysadzisty mężczyzna o przeraźliwie zimnych oczach.

– Szef mojej ochrony – przedstawił go lakonicznie biznesmen.

– Co się stało?

– W mieszkaniu zamordowanej sekretarki wykryliśmy odciski palców Antonowa – poinformował Dżuma. –

Do tego samochód... Wiesz, dokładnie taki sam, jak opisywał ten chłopak z sąsiedztwa.

– To żaden dowód – zauważyłem. – Na pewno znali się z pracy, Antonow mógł ją odwiedzać.

– Nie jesteśmy w sądzie – uciął Bielów. – Jeśli dodać do tego, że facet jest wybitnie uzdolnionym informatykiem, ekspertem walki wręcz i świetnym strzelcem...

– Skąd ta ostatnia informacja?

– Mamy jego akta z wojska. Służył w oddziałach dalekiego zwiadu. Poza tym wszystkim pokazaliśmy jego zdjęcia i filmik z firmowej imprezy chłopakowi, którego wynajęto, żeby cię zabił – wtrącił Oleg. – Wtedy, kiedy miałeś spotkać się z Ludą. Gówniarz jest niemal pewien, że to był on. Głos, sylwetka...

– No dobrze, co robimy?

– Mamy mały problem – odezwał się Bielów. – Antonow wyjechał na polowanie. Razem z Saszka Duninem.

– Czekaście, czekaście! Widziałem ich wczoraj, jak wychodzili razem! Oni...

– Tak, pojechali na fladry – powiedział posępnie Dżuma.

– Na co?!

– Tak poluje się na wilki. Fladry to kolorowe chorągiewki rozwieszane na linach. Wilki się ich boją, nie są w stanie przekroczyć ofladrowanego terenu i można strzelać do nich jak do kaczek – wyjaśnił krępy mężczyzna.

Jego głos, głuchy, pobrzmiwający echem niczym z piwnicy, pasował do oczu, był równie zimny i beznamiętny.

– To polowanie dla VIP-ów: osaczona wataha wilków i myśliwi. Dwóch na sektor. W tym wypadku Dunin

i Antonow. Tylko oni, żadnych świadków – kontynuował.

– No ładnie – wymruczałem.

Nie przepadałem za Duninem z oczywistych względów – wykazywał nadmierne zainteresowanie moją żoną i wcale nie byłem pewien, czy ograniczało się ono do kwestii związanych z probablistyką, ale jeśli Antonow okaże się Batmanem...

– A ta fotka Razumowskiego? Porównaliście ją z ...

– Porównaliśmy – przerwał mi niecierpliwie Oleg. – On może, choć rzecz jasna nie musi, być Razumowskim. Tyle że dokładność analizy sięga osiemdziesięciu procent, nie więcej. Zupełnie nie zgadza się kształt nosa, ale to akurat najłatwiej zmienić.

Rzeczywiście, wystarczy go złamać...

– Jedziemy? – spytałem.

– Lecimy – doprecyzował Dżuma. – Liczy się każda minuta.

Skrzywiłem się odruchowo, znowu czekała mnie upojna podróż śmigłowcem.

– Zaraz się ubiorę, musicie mi dać jakąś kamizelkę, a jeśli chodzi o broń...

Nie dokończyłem, Dżuma chwycił mnie za marynarkę, przycisnął do ściany.

– Żadnej broni, żadnej kamizelki – wysyczał. – Nie będę potem tłumaczył Margaricie, dlaczego przywiozłem jej zwłoki męża-idioty. To nie jest akcja na twoim poziomie, rozumiesz?! Bierzemy cię tylko dlatego, że najwięcej wiesz o Razumowskim, jeżeli dorwiemy go żywego, zaczniemy od razu przesłuchanie. Wszyst-

ko jasne? – upewnił się ze zwodniczą uprzejmością w głosie.

Napierające na moje gardło przedramię Olega cofnęło się o parę milimetrów.

– Jasne – wycharczałem z trudem.

– Zbieraj się! – polecił. – Za dziesięć minut przed pałacem.

Ponuro skinąłem głową, wróciłem do siebie. Zacząłem się przebierać w przyćmionym świetle niewielkiej lampki. Barwione szkło filtrowało blask żarówki, rzucając smugi w kolorze morskiej toni. W kątach pokoju zalegały miękkie, przyjazne cienie. Sceneria wypisz, wymaluj jak na romantyczny wieczór we dwoje.

Po chwili wahania przypiąłem do pasa kaburę, sprawdziłem glocka. Mimo tego, co powiedział Dżuma, nie miałem zamiaru uczestniczyć w naszej małej wycieczce bez broni. Nie żebym rwał się do akcji, podejrzewałem, że schwytanie Batmana-Antonowa może się okazać poważnym problemem nawet dla ludzi Bielowa, ale jak mawiają: strzeżonego Pan Bóg strzeże... Nie zapomniałem też o nożu, zdecydowałem się na M.O.D. RazorBack – ten będzie w sam raz. Jeśli dojdzie do walki, to raczej nie skończy się na siniakach, lepiej się przygotować... Zanim nałożyłem kurtkę, przeciąłem podszewkę prawej kieszeni, w ten sposób będę mógł błyskawicznie sięgnąć po pistolet.

– To bardzo niebezpieczne? – odezwała się Małgorzata.

Zakląłem w duchu – a jednak się obudziła.

– Jestem tylko pasażerem – odparłem uspokajająco. – Wszystko załatwią Dżuma i jego chłopcy.

– To miało mnie pocieszyć? – burknęła.

– To tylko jeden człowiek, a będzie miał przeciwko sobie ciężko uzbrojony pluton Specnazu.

Mina mojej żony świadczyła, że niezbyt ją to uspokoiło.

– Wiesz – powiedziałem – swego czasu Oleg uchodził za najskuteczniejszego negocjatora w Specnazie.

– To znaczy? – Małgorzata zmarszczyła brwi.

– No, namawiał terrorystów, żeby się poddali, ewentualnie wypuścili zakładników. Takie rozmowy trwają godzinami. Rosjanie żartują, że Oleg dzwonił i mówił dwa słowa: „Tu Dubrow”. Podobno wystarczało...

Zostałem nagrodzony zmęczonym uśmiechem.

– Uważaj na siebie – wyszeptała, obejmując mnie ciasno.

Pogładziłem Margaritę po policzku.

– Nie ruszaj się stąd nigdzie – poprosiłem. – Trzymaj się blisko Mariny.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyłem do wyjścia. Z korytarza dobiegały tupot żołnierskich butów i nerwowe komendy. Przed budynkiem czekał śmigłowiec, łopaty wirników miały niecierpliwie powietrze, wewnątrz tłoczyli się już ludzie Bielowa. Sam biznesmen stał opodal, rozmawiał z Dżumą.

– Lecimy? – spytałem, podchodząc.

– Lecimy – potwierdził Dżuma.

– *Ni pucha, ni piera!* – życzył nam Bielow.

– *K czortu!* – odparł poważnie Oleg.

Zatrzasnęliśmy drzwi, zawyły silniki, potężny podmuch wiatru zakolebał ciężką maszyną, popchnął nas naprzód, w ciemność.



Ktoś odsunął drzwi, do wnętrza maszyny wpadło mroźne, przesycone zapachem lasu powietrze. Dotarliśmy na miejsce. Zakląłem cicho – gdzieś niedaleko rozległo się wilcze wycie. Pewnie jakieś wilki zostały na otoczonym fladrami terenie...

W ciszy, niemal bezszelestnie, żołnierze znikali w mroku, pilot – ten sam, który po raz pierwszy przetransportował mnie do posiadłości Bielowa – posadził śmigłowiec na niewielkiej polance i natychmiast wyłączył silniki. Przymknąłem drzwi, zostawiając niewielką szparę – odgłosy strzałów doszłyby mnie i tak, ale w ten sposób usłyszę też dużo słabsze dźwięki. Podniosłem do oczu noktowizor, widziałem wyraźnie przesuwające się pomiędzy drzewami sylwetki. Jakość obrazu była znakomita, nic dziwnego – Bielowa stać na sprzęt najwyższej klasy. Nerwowo zerknąłem na zegarek, akcja zaczęła się pięć minut temu. Nasi dzielni myśliwi znajdowali się jakieś pół kilometra stąd. Biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu i spowalniający ruchy, sięgający kolan śnieg, Dżuma powinien dotrzeć do celu za jakieś dziesięć minut, nie wcześniej. A wtedy zacznie się bal. I pewnie nie będzie lekko... Z drugiej strony czynnik zaskoczenia powinien działać na naszą korzyść – teoretycznie.

Mijały ciągnące się niczym guma do żucia minuty, zewsząd dochodziły tajemnicze odgłosy zimowego lasu: szum giętych wiatrem gałęzi, ciche trzaski, czasem rozlegało się wilcze wycie. Ta noc należała do łowców. Kto zwycięży? Kto przeżyje? Zobaczymy...

Nagle usłyszałem wizg rotora, kabina pilota rozjarzyła się widmowym blaskiem ekranów.

– Wracają – poinformował mnie szorstko Rosjanin, otwierając szerzej drzwi do przedziału desantowego.

Przywarłem do okularów noktowizora, wpatrzyłem się w las. Skąpany w zielonej poświacie, pusty i nieprzyjazny. Na razie nic, ani śladu życia, tylko taniec gałęzi. Przetarłem zmęczone oczy, ponownie zerknąłem w stronę, z której powinni nadejść ludzie Biełowa. Coś się poruszyło, rozmazana plama tuż nad ziemią; jedna, druga, potem następne. Wracali. Liczyłem coraz lepiej widoczne sylwetki – nikogo nie brakowało. Zacisnąłem zęby, dostrzegłszy nosze. Dunin i Antonow czy któryś z chłopaków Dżumy? Odetchnąłem, widząc Olega – przynajmniej jemu nic się nie stało...

Dyszając ze zmęczenia, żołnierze wgramolili się do wnętrza maszyny – no tak, pewnie biegli. Opatrunek na głowie Dunina był czerwony od krwi, kożuch Antonowa także przesiąkał czerwienią. W okolicach brzucha...

– Co się stało? – spytałem.

– Chuj wie! – warknął Dżuma. – Tak ich znaleźliśmy. Obaj nieprzytomni, Dunin ma rozbity łeb, pewnie wstrząs mózgu, przez ranę widać kość, Antonow zarobił kulkę w brzuch, stracił mnóstwo krwi.

– Ale kto ich tak załatwił?

– Wnioskując ze śladów na śniegu, zaatakował Antonow: powalił Dunina uderzeniem kolby. Tamten jakimś cudem zdołał sięgnąć po pistolet i strzelić. Na swoje szczęście trafił, gdyby nie to, znaleźlibyśmy jego trupa, a Antonow byłby już daleko.

– Pistolet na polowaniu? – odezwałem się z powątpiewaniem.

– Kwestia bezpieczeństwa – mruknął Dżuma. – Tacy ludzie jak Dunin cały czas muszą liczyć się z porwaniem albo atakiem ze strony jakiegoś niezadowolonego konkurenta. Jeśli zostają bez ochrony tak jak teraz, są szczególnie ostrożni. Zresztą w tej chwili to i tak nieważne, przede wszystkim trzeba ich utrzymać przy życiu, później zajmiemy się wyjaśnianiem niuansów...

Jeden z żołnierzy bez ceremonii pociął ubranie na Antonowie, obnażył brzuch. Skrzywiłem się, widząc ranę wlotową – nie wyglądało to ładnie.

– I jak tam? – zapytał Dżuma.

– Nie jest, kurwa, dobrze, postrzał w bebechy – odparł żołnierz, nie przerywając opatrywania. – Trudno stwierdzić bez badań. Prawdopodobnie silny krwotok wewnętrzny, jeśli się tego nie zatamuje, facet umrze nam na rękach.

– Dasz radę?

– Chyba żartujesz! Jeżeli się nie mylę, to trzeba go otworzyć, dalej to robota chirurga. Ja jestem tylko paramedycznym...

Oleg przeszedł do kabiny pilota.

– Połącz mnie z kliniką – polecił. – I zmień kurs, najpierw lecimy do miasta, potem do Krasnoj Gorki.



Lekarz, niemłody mężczyzna o surowym, pokrytym zmarszczkami obliczu i zmęczonych oczach, wstrzyknął do kroplówki kilka mililitrów bezbarwnego płynu.



Mimo że nosił zwykły, identyczny jak inni medycy kitel, sprawiał wrażenie wojskowego. Coś w wyrazie jego twarzy pozwalało się domyślać, że przywykł do radzenia sobie w niekoniernie szpitalnych warunkach i do leczenia w sytuacjach, kiedy pacjent nie bardzo może poskarżyć się na bezduszność lekarza. Jeden z tych, co to przeprowadzą operację pod ogniem wroga, nie przejmując się ani strzelaniną, ani brakiem środków przeciwbólowych... A pacjent – cóż, być może przeżyje, jak Bóg da...

Nie znam się specjalnie na medycynie, lecz wiedziałem, że podany Antonowowi preparat nie poprawi raczej jego zdrowia. Dosłownie przed momentem wypompowano mu z otrzewnej około litra krwi i powstrzymano krwotok. Chwilowo. Czekala go operacja, tymczasem jednak priorytetem było ustalenie, co stało się z Ludą. Stąd tajemnicza substancja, stąd wojskowy lekarz. Ten nie dostanie ataku hysterii, gdyby przyszło dokręcić śrubę rannemu... Nie byłem zachwycony całą procedurą, ale zdawałem sobie sprawę, że nie ja rozdaję tu karty. Wszystkim kierował Dżuma i nie przypuszczałem, aby przed przesłuchaniem pacjenta powstrzymały go wyrzuty sumienia. Obaj wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z mordercą.

– Zaraz powinien odzyskać przytomność – poinformował sucho lekarz. – Macie jakieś dwie, trzy minuty, później będę musiał podać mu analgetyk. Przeciąganie przesłuchania nic nie da, facet będzie po prostu wył z bólu.

Oleg skwitował ostrzeżenie gniewnym gestem, wpijał się wzrokiem w twarz Antonowa. Jeden z monitorów, do których podłączono rannego, zaczął w szybszym niż

dotychczas tempie. Powieki leżącego uniosły się o ułamek milimetra.

– Jest przytomny – oznajmił lekarz.

Dżuma pochylił się nad łóżkiem, przysunął usta do ucha Antonowa.

– Gdzie jest Luda? – wyszeptał. – Luda o zielonych oczach i kpiącym uśmiechu. Denerwowała cię, pamiętasz? Luda Bielowa, Luda... – przemawiał sugestywnym, niemal hipnotycznym tonem.

Otworzył flakonik perfum, skropił prześcieradło tuż przy głowie rannego. Kwiat tangerynki, neroli, czarna porzeczka – „Puredistance”, kompozycja Annie Buzantian. Około ośmiu tysięcy złotych za flakonik... Zapewne ulubiony zapach Ludy.

– Lu-da – wymówił w ślad za Dżumą Antonow. – Lu-da – powtórzył z upodobaniem. – Aniuta ją zabiła, ka-załem ją zabić. Martwa Lu-da. – Rozciągnął bezkrwiste wargi w parodii uśmiechu.

– Aniuta?

– Aniuta – potwierdził ranny. – Moja Aniuta.

– Gdzie jest teraz Aniuta? – kontynuował przesłuchanie Dżuma.

– Boli – odparł ze zdziwieniem w głosie Antonow. – Jaki ból...

– Mów o Aniucie! Gdzie ona...

– Dziękuję panu, pułkowniku – powiedział stanowczo lekarz, podchodząc do łóżka. – Koniec rozmowy!

Nie zwracając na nas uwagi, medyk pomanipulował przy kroplówce, po chwili sanitariusze wywieźli jęczącego Antonowa. Oleg wyciągnął dłoń, jakby chciał zatrzymać odchodzącego lekarza, zmierzony chłodnym

spojrzeniem przepuścił mężczyznę. No i dobrze, w tym stanie facet może tylko wrzeszczeć, niczego się od niego nie dowiemy.

– Czy Antonow mógł znać kogoś o imieniu Anna? – rzucił nerwowo do telefonu. – Tak, teraz! Czekam!

– Co się dzieje? – spytałem.

– Może w aktach Antonowa jest coś, co pozwoli nam zidentyfikować tę kobietę.

– W jakich aktach, przecież nie był karany?

– Prowadzi je służba bezpieczeństwa Biełowa, każdy pracownik ma regularnie aktualizowaną teczkę.

Ponaglony sygnałem, Oleg podniósł telefon do ucha, wymienił kilka zdań z niewidzialnym rozmówcą.

– Jedziemy! – rzucił, chowając komórkę. – Powinni zaraz podać nam jej adres. Antonow dzwonił do dziewczyny wczoraj, zlokalizują ją po karcie SIM.



Kamienica była wyraźnie przedrewolucyjna, podokienne ornamenty nosiły piętno secesji, podobnie metalowe, ozdobione roślinnymi motywami balkonowe balustrady. Od strony ulicy wyglądała znakomicie – zapewne efekt gubernatorskiego programu „Fasady Petersburga”. Odegnałem natrętne myśli – w końcu nie przyjechaliśmy tu w celu podziwiania architektury... Zagłębiliśmy się w mroczną bramę, wyjąłem broń. Dżuma jedynie rozpiął kurtkę, ruszył w górę po schodach. Przyjaciółka Antonowa, Anna Zwieriewa, pieśczośliwie zwana Aniu-tą, mieszkała na drugim piętrze.

Zerknąłem na solidne zamki, przesłałem gestem pytanie: co robimy? Otwieraj – nakazał również bez słów Dżuma. Z ciężkim westchnieniem zabrałem się do roboty, pewnie pobawię się tu z dziesięć minut, tak jakby nie można było wyważyć drzwi... Prawda, że nigdzie nam się nie spieszyło, jeżeli traktować poważnie to, co powiedział Antonow, w mieszkaniu znajdziemy zwłoki Ludy. Ot, i koniec naszego dochodzenia... Jeśli Antonow umrze, będzie podwójny pogrzeb. Cała sprawa okazywała się dość mętna – niby dlaczego Antonow nie zabił Ludmiły od razu i osobiście? No, to drugie dało się wytłumaczyć – chciał pobawić się z Biełowem. Z drugiej strony, po jaką cholere? Biznesmen w żaden sposób mu się nie naraził. Chyba że chodziło o coś, na co nikt nie zwrócił uwagi, albo też Antonow nie działał w swoim imieniu. Pytania, pytania, pytania... Tyle że to nie pora na takie dywagacje, musieliśmy sforsować drzwi.

Zakląłem pod nosem: pierwszy zamek poddał się niemal natychmiast, z drugim szło mi gorzej. Ani chybi ktoś zablokował go kluczem. Od środka...

Językiem gestów przekazałem: ktoś jest wewnątrz. Oleg wzruszył ramionami, wyciągnął broń. Pogrzebałem w eleganckim, skórzanym etui, wybrałem ekstraktor. Wykonane z hartowanej stali sprężynowe narzędzie bez problemu spenetrowało zamek, po chwili usłyszałem cichy stuk – wypchnięty klucz spadł na podłogę. No cóż, pewnie nasz spryciarz się zdziwi, zdumiewająco wielu ludzi uważa, że umieszczenie od wewnątrz klucza w zamku uniemożliwia jego otwarcie. Nie wyprowadzałem nikogo z błędu, to nie mój problem.

Dolny zamek był dość nowoczesny, o wąskim, mało podatnym na manipulacje cylindrze. Nie szkodzi, nie z takimi dawałem sobie radę... Po chwili udało mi się odblokować dwa sztyfty, zostały jeszcze trzy. Wreszcie nacisnąłem klamkę, uchyliłem drzwi. Czas na finał...

Sięgnąłem po olejek mentolowy – tym razem zabrałem go ze sobą, lecz ku mojemu zdziwieniu nie poczułem woni rozkładu. Czyżby Luda dopiero co zginęła? No świetnie, Bielów oszaleje z radości, kiedy dowie się, że jego córka jeszcze niedawno znajdowała się wśród żywych... Całe szczęście, że to nie ja przekażę mu tę informację. Teoretycznie zwłoki Ludy mogły spoczywać w innym miejscu, choćby zakopane, acz rzecz to wątpliwa; ktokolwiek ją zabił, to przecież nie po to, aby ukradkiem pochować. Jej martwe, być może okrutnie okaleczone ciało było elementem precyzyjnie zaplanowanego show, miało ostatecznie złamać Bielowa. Nie za bardzo pasowało to do faktu, że dużo wcześniej znaleźliśmy inny lokal zapaćkany krwią Ludy...

Oślaniając się wzajemnie, sprawdziliśmy kuchnię i łazienkę, zostały pokoje. Większy wyglądał, jakby przeszedł przez niego huragan: poprzewracane krzesła, skotłowana narzuta na łóżku, dywan zaścielony jakimiś bibelotami. I ślady krwi, wiele śladów... Ostrożnie zajrzałem do szafy – nikogo.

Dżuma przeszedł do przedpokoju i zamknął drzwi podniesionym z podłogi kluczem. Brawo! Jeśli zabójca czai się w lodówce, nie ucieknie, kiedy będziemy sprawdzali inne pomieszczenia. Ot, co znaczy doświadczenie! Ja bym pewnie o tym nie pomyślał...

Leżała na dywanie w mniejszym z dwóch pokoiów. Jeszcze ładniejsza niż na zdjęciu: burza ciemnokasztanowych włosów, subtelne rysy twarzy, oczy w kolorze morskiej zieleni, szczupła, ale zaokrąglona gdzie trzeba figura. Luda... Wyglądała jak pozująca do fotografii modelka, tyle że była martwa – w jej piersi tkwił zwykły, kuchenny nóż. Przedramiona znaczyły krwawe pręgi, widać broniła się, próbowała osłaniać...

Dotknąłem ciała – zimne. Na uszach zamordowanej zauważyłem wyraźnie wykształcone plamy opadowe. Ucisnąłem palcem jedną z nich, nie zniknęła. Znaczy, dziewczyna zginęła przynajmniej kilkanaście godzin temu. Z drugiej strony nie mogła tu leżeć zbyt długo; ręce i nogi miała przykurczone – stężenie pośmiertne. To ostatnie zaczyna ustępować po dwóch, trzech dobach. No i nie czuć zapachu rozkładu, tylko słabą woń krwi...

Dżuma z przekleństwem na ustach wybiegł z pokoju, otworzył jeszcze raz sprawdzoną przeze mnie szafę, później – a jakże! – lodówkę w kuchni. Fakt, że ta ostatnia była całkiem spora...

– Szukaj jej! – wrzasnął wściekle. – Musi gdzieś tu być!

No tak, zabójczyni Ludy... Sprawdziłem drzwi na balkon, zamknięte. Czyli odpadają wszelkiego typu akrobatyczne rozwiązania w stylu kobieta-pająk. No i dobrze, nie mam co prawda lęku wysokości, ale alpinistyka miejska nie należy do moich ulubionych sportów.

Oleg podszedł do zamontowanego pod sufitem pawlacza, sprawdził wewnątrz, wywalając przy okazji na podłogę jakieś graty. Świetny pomysł, gdyby morderca był

szympanse, pewnie dałby radę tam się schować... Pomyślmy: wszystkie dostępne w mieszkaniu kryjówki można policzyć na palcach jednej ręki. To znaczy takie, w których zmieściłaby się dorosła kobieta. Szafa, lodówka – gdyby wyjąć z niej wszystkie półki – ewentualnie pawlacz. Zaraz, zostało jeszcze łóżko! Pobiegnę do pokoju, prześwit pomiędzy podłogą a ciężkim, wykonanym z włoskiego orzecha meblem wynosił co najwyżej piętnaście centymetrów. Czyli znowu pudło. Jednak Dżuma doszedł do innego wniosku.

– Wyłaź! – krzyknął. – To ja! Wychodź, Luda!

Podniósł i jednym szarpnięciem cisnął łożę w kąt, odsłaniając bladą jak śmierć, ściskającą kurczowo nóż kobietę. Była podobna do zabitej jak dwie krople wody, tyle że lekko zaokrąglony brzuch wskazywał na pierwsze miesiące ciąży.

– Luda – wymamrotał, wyciągając do niej rękę. – Luda...



– Też sobie znaleźliście określenie dla tego mordercy: Batman – parsknęła nieelegancko Luda. – Zabawy dużych chłopców...

Dżuma milczał przez chwilę, lecz na jego twarzy zagrały mięśnie, zacisnął usta. Początkowa euforia – w końcu znaleźliśmy córkę Bielowa całą i zdrową – ustąpiła miejsca refleksji. Trzeba było wyjaśnić pewne sprawy, wiele spraw.

– Wybacz, że cię nie zapytaliśmy – odezwał się wreszcie. – Jednak nie bardzo mieliśmy jak.





W jego głosie dało się wyczuć lekką, acz wyraźną nutkę chłodu. Widziałem, że z trudem powstrzymuje się przed zadaniem paru nieprzyjemnych pytań. Podobnie jak ja. Nadal nie wiedzieliśmy, dlaczego Luda wykrađa poufne materiały z firmowej sieci, dlaczego nie dała znaku życia, a może nawet sfingowała własną śmierć? Czy dobrowolnie współpracowała z Batmanem?

– Wiedziałam, że ten... Batman przebywa w najbliższym otoczeniu ojca. Dlatego bałam się z wami kontaktować. Po tym, co zrobił z moją ochroną na terenie posiadłości, w biały dzień... – nie dokończyła.

– Teraz Antonow przebywa w szpitalu, pod strażą – odburknął Oleg. – Możesz wszystko wyjaśnić. Nic ci nie zrobi, zresztą w jego stanie... Nie postawiłbym dziesięciu rubli, że przeżyje.

– Chwileczkę, jaki Antonow?! Przed chwilą powiedziałeś mi, że schwytałiście Batmana?! – krzyknęła.

Samochodem zarzuciło, Dżuma gwałtownie zahamował i zjechał na pobocze.

– Przecież Batman to Antonow!

– Ależ skąd! Widziałam go przez okno, jak zabijał ochroniarzy. Był w masce, ale jego wzrost... Jest ze dwadzieścia centymetrów niższy od Antonowa! Antonow to tylko zboczeniec i psychopata, ma obsesję na moim punkcie, dlatego poprosiłam go o pomoc, gdy uciekłam. Chciałam, żeby mnie ukrył i pomógł wytropić zabójcę. Nie mogłam przewidzieć, że w końcu zerwie się ze smyczy i będzie chciał mnie zabić!

– Chwileczkę, chwileczkę... – powiedziałem powoli. – Batman jest genialnym informatykiem i wysokiej klasy

operatorem, to wszystko pasuje do Antonowa. Może zasza jakaś pomyłka?

– Wiem wszystko o Antonowie – odparła Luda zalamującym się głosem. – Przecież on całymi miesiącami laził za mną, próbując mi zaimponować. Jeśli chodzi o informatykę, jest niezły, ale daleko mu do geniusza. Popisywał się też swoim karate. Wierzcie mi, Batman to zupełnie inna klasa! Wasiliew i Rozenko nie mieli z nim żadnych szans! Zginęli, zanim skojarzyłam, co się dzieje...

– A Łarin? – spytał Dżuma. – Przecież on był w domku razem z tobą. Dlaczego nie wezwał pomocy?

– Nie wiem – odpowiedziała, odwracając wzrok. – Kazał mi uciekać tym tunelem, a sam został...

– No dobrze, ale przecież to Antonow zabił tę sekretarkę? Znaleźliśmy w jej mieszkaniu jego odciski palców – wtrąciłem się do dyskusji. – Wycięto jej serce, tak jak i twoim ochroniarzom.

– Tak! Sam mi się chwalił, mówiłam: to wariat! Tylko że nie Antonow wymyślił wycinanie serc, naśladował tamtego, chciał namieszać i zabawić się przy tej okazji. On jest... – Wzdrygnęła się wyraźnie, ponownie nie kończąc zdania.

– Wygląda, że mamy problem – podsumował z wystudiowanym spokojem Dżuma.

Odetchnąłem głęboko, usiłując się opanować – też mi odkrycie! Pewnie, że mamy problem, powiedziałbym: kurewski problem...

– No dobrze – odezwałem się z namysłem. – A co, jeśli Antonow udawał i tak naprawdę jego umiejętności są dużo wyższej próby, niż ci zademonstrował?

– A ten zabójca? – przypomniała.

– Może jakiś jego kumpel albo najemnik? – zasugerowałam niepewnie.

– Bardzo wątpię. Poza wszystkim innym przez ten czas, kiedy się u niego ukrywałam, poznałam go lepiej niż każdy z was. To totalny wariat. Widzieliście tę jego dziewczynę? Ona rzeczywiście była do mnie podobna, ale cała reszta to makijaż, farbowane włosy, szkła kontaktowe... Po co miałyby prowadzić jakąś grę? Przecież i tak pozostawałam na jego łasce...

– À propos dziewczyny – wtrąciłam. – Co z nią?

– Podśluchałam, że Antonow kazał jej mnie zabić. Widać zabawa mu się znudziła. Ona miała pecha, ja szczęście – podsumowała sucho.

Spojrzałam na nią ostro – rzecz wymagała wyjaśnienia. Luda wytrzymała mój wzrok z kamiennym wyrazem twarzy. No cóż, chwilowo rzeczywiście są ważniejsze sprawy, lecz obiecałam sobie, że potem poproszę ją o rozwinięcie tematu.

– Do tego dochodzi nam jeszcze Razumowski i Chińczycy w tle – wymamrotałam. – Wariactwo, normalne wariactwo...

– Co za Razumowski? – zainteresowała się Luda. – O co chodzi z Chińczykami?

– To długa historia. – Dżuma skrzywił się niechętnie. – Zostawmy to na później, teraz musimy podjąć konkretną decyzję.

– Nie wrócę do posiadłości – zastrzegła się Luda. – Dopóki nie będę pewna, że Batman nie żyje, moja noga tam nie postanie!

Córka Bielowa nawet nie wspomniała o pojmaniu Batmana, najwyraźniej ta opcja odpadła w przedbiegach. Z drugiej strony, na miejscu Ludmiły pewnie też wolałbym widzieć swojego prześladowcę w grobie. Z więzienia można uciec, z tamtego świata – nie bardzo...



Rozdzieliłem karty na siedem plików, ułożyłem w odpowiednim porządku. Jeszcze raz przeliczyłem – czterdzieści sześć, reszta nie będzie potrzebna. Przemieszane razem Minor i Major Arkana tworzyły układ nazywany Obozem Cygańskim.

– Musisz mnie kiedyś tego nauczyć – odezwała się zaglądnąca mi przez ramię Małgorzata.

Mruknałem coś pod nosem, rozłożyłem karty. Petenta personifikować mogły trzy karty z Wielkich Wtajemniczeń: Mag, Głupiec i Cesarz. Rzecz jasna trafiłem na Głupca... No cóż, w zasadzie miało to sens – chciałem dowiedzieć się, co mnie czeka, wyjaśnić sytuację. Karta dokładnie określała moją pozycję: niczego nie byłem już pewien...

Zerknąłem na drugi rząd – to terazniejszość petenta. Odwrócona karta Kochanków, znaczy zdrada gdzieś blisko... Nic zaskakującego, w końcu Antonow zdradził Bielowa, a potem jego córkę. Ba! – i ona sama zdradziła ojca. Z niewiadomych do teraz powodów.

Odwrócona karta Papieża – wyciąganie fałszywych wniosków. A to co, do cholery? Rydwan – rzecz jasna odwrócony. Utrata panowania nad sytuacją. No świetnie,

tylko kto i kiedy panował nad tą sytuacją? Bzdury i tyle... Wisielec – niespełniona miłość. No, no... Czyżby to aluzja do fiksacji Antonowa na punkcie Ludy? Eee... pierdoły. Podstawowym problemem uprawiających kartomancję jest nagminna tendencja do dopasowywania układów kart do rzeczywistej sytuacji. Odrobina autosugestii i jesteśmy przekonani, że karty tarota przewidziały bezbłędnie nasz los. I zaczynamy wróżyć sobie nawet przed wyjściem do spożywczego...

Zmarszczyłem brwi, ujrzawszy podsumowanie układu: Rycerz Kielichów, Poszukiwacz Świętego Graala. Moją talię zaprojektował i wykonał znajomy grafik, pasjonat okultyzmu. Oparł ją na tarocie marsylskim, starym, pochodzącym z południa Francji zestawie, odbijanym w niemal niezmiennym kształcie do dzisiaj, tyle że już nie z drewnianych klocków. Eksperci szacują narodziny marsylskiego tarota na mniej więcej szesnasty wiek. Rycerz Kielichów... Posępny, ubrany w czarną zbroję mężczyzna z pucharem w dłoni jechał przed siebie, wpatrzony niewidzącym wzrokiem w siebie tylko wiadomy cel, a może miraż? Nie rozglądając się na boki, otoczony mrokiem. Symbolizował coś, co nigdy nie istniało. To ci dopiero świetna prognoza...

– I jak? – Małgorzata spojrzała na mnie spod oka.

– Znakomicie – odburknąłem. – Kocham tarota. Jest taki... optymistyczny.

Zdecydowanym ruchem zgarnąłem karty. Wystarczy tego okultyzmu dla ubogich.

– Nie spróbujesz drugi raz? – spytała z figlarnym uśmiechem. – Może lepiej by ci poszło?

– Może by i poszło – wymruczałem z roztargnieniem. – Tyle że tak się nie robi.

– Jeśli to cię tak martwi...

– Nie martwi mnie tarot, zastanawiam się nad Antonowem. Po cholere zaatakował Dunina na tym polowaniu? Pokłócili się o kolejkę strzelania? Już łatwiej wytłumaczyć, dlaczego zwrócił się przeciwko Biełowowi: urażona ambicja, może chęć zemsty za jakiś afront...

– Afront?

– Dlaczego nie? – Wzruszyłem ramionami.

Nie powiedziałem jej, że znaleźliśmy Ludę. Nie powiedzieliśmy o tym nawet Biełowowi. Cóż, nie ja będę się tłumaczył przed biznesmenem. Wykorzystaliśmy fakt, że Biełow przebywał w Moskwie, więc niby dla bezpieczeństwa... Co prawda system łączności firmy był regularnie sprawdzany, ale po tym, czego dokonał z elektroniką Batman, nie mogliśmy być niczego pewni. Antonow leżał w szpitalu z dziurą w brzuchu, ale możliwe, że na wolności pozostawał jego wspólnik. O ile Luda się nie pomyliła – w końcu sytuacja, w której widzimy, jak mordują naszą ochronę nie należy do najnormalniejszych. Tyle że mimo swojej urody dziewczyna nie wyglądała mi na cieplarniany kwiatusek. Tak jak powiedział wcześniej jeden z ochroniarzy – było w niej coś twardego. No i nieźle radziła sobie z nożem... Nie, trudno przypuścić, że wpadła w panikę i pomyliła się o dwadzieścia centymetrów, oceniając wzrost napastnika. Zresztą przy tego typu traumach mamy tendencję raczej do wyolbrzymiania niż umniejszania gabarytów sprawcy. Dwumetrowy, muskularny olbrzym może łatwo okazać się przeciętnej

budowy mężczyzną około metr siedemdziesiąt. Nie odwrotnie.

– Widziałeś się ostatnio z Mariną? – spytała z namysłem Małgorzata.

– Ostatnio nie. Mam wiele innych, ważniejszych spraw na głowie – odparłem ze zniecierpliwieniem.

– To może byś teraz do niej zaszedł. – Ruchem głowy wskazała karty.

– I powróżył na bruneta wieczorową porą?!

– A co w tym złego? Mała jest ostatnio strasznie spięta. Może poprawiłoby jej to humor?

– Niech się rozepnie! – warknąłem.

Margarita nie odpowiedziała, siedziała w milczeniu, przypatrując mi się spokojnie. Z westchnieniem rezygnacji zabrałem talię tarota, mądry mężczyzna wie, kiedy przegrywa...

– Dobrze – burknąłem. – Już idę...

Otworzyłem z rozmachem drzwi i tuż za progiem zderzyłem się z Dżumą. Najwyraźniej Oleg także gdzieś się spieszył.

– Najmocniej przepraszam – wymamrotał, chwytając mnie pod łokieć.

Odbiłem się od niego jak piłeczka od granitowej ściany. Zaraz, zaraz... Skąd to wrażenie déjà vu? Gdzie widziałem coś podobnego?

– I oto wyszedł na jaw długo skrywany sekret skuteczności polskiego wywiadu – oznajmił Dżuma głosem spikera radiowego, zbierając z podłogi rozsypane karty.

– Och, zamknij się! – rzuciłem ze złością. – Ile ważysz?

– Dziewięćdziesiąt kilogramów – odparł posłusznie.

– To mniej więcej tyle co ja. Oni przecież tak samo...

– Proszę?

Uciszyłem go gwałtownym gestem i obaj zastygliśmy w bezruchu.

– Tak jak tych dwóch Chińczyków w latach dwudziestych, a może trzydziestych...? – kontynuowałem nieobecny tonem. – To rozstrzygnęło, który z nich jest lepszy...

– Może spróbowałbyś mi wyjaśnić, o co chodzi? – zniecierpliwił się Oleg. – I może wejdźmy do pokoju?

Cofnąłem się, przepuszczając Dżumę do wewnątrz, zamknąłem drzwi.

– Idioci! Jesteśmy idiotami! – stwierdziłem, gorączkowo wyciągając glocka.

Pospiesznie zamocowałem kaburę, sięgnąłem po kurtkę.

– Nigdzie stąd nie wyjdiesz, póki nie wyjaśnisz mi, o co chodzi – oświadczył twardo Dżuma.

– Nie rozumiesz? To nie Antonow, to Dunin!

– Po kolei! Uspokój się i wytłumacz tak, żebyśmy zrozumieli!

– No dobrze, mówiłem ci, że widziałem, jak Antonow i Dunin wybierali się na polowanie? No więc oni też zderzyli się przy wyjściu.

– No i co z tego?!

– Antonow waży przynajmniej trzydzieści kilogramów więcej, a odbił się od Dunina jak ja od ciebie. Jeszcze nie rozumiesz? W razie nagłego starcia człowiek reaguje instynktownie, działają wyrobione odruchy. Ty nie myślisz, bo nie masz czasu, kontrolę przejmuje twoje ciało. Co dzieje się w wypadku zderzenia? Nie zabi-



jesz nikogo, bo wiesz, że to nie jest prawdziwy atak, ale jeśli jesteś ekspertem sztuk walki, to odruchowo bronisz się przed obaleniem. Obniżasz środek ciężkości, mięśnie w miejscu, gdzie nastąpił kontakt, napinają się i rozluźniają w jednym, błyskawicznym skurczu, odrzucając w tył „napastnika”. Czytałem kiedyś, że przed drugą wojną światową w Chinach miało dojść do konfrontacji dwóch mistrzów. Rzecz szła o stanowisko głównego instruktora walki wręcz w armii Czang Kaj-szeka. Detale nieważne, grunt, że obaj panowie, certoląc się, który ma pierwszy wejść do namiotu sztabu, zderzyli się niespodziewanie. Ten, który mało nie upadł, oddalił się pod byle pretekstem i więcej nie wrócił. Wiedział, że przeciwnik jest lepszy i walka będzie tylko formalnością...

– Więc myślisz, że...

– To przecież oczywiste! Jeśli Dunin jest lepszy od Antonowa, który przecież też sroce spod ogona nie wypadł, jeśli jest takim geniuszem matematycznym, jak twierdzi moja żona, a przecież jest?

Błada jak ściana Małgorzata skinęła głową.

– No to mamy naszego Batmana. I facet jest sporo niższy od Antonowa. Pozostaje tylko kwestia motywu... Wspominałeś kiedyś, że Dunin jest jakby konkurentem Biełowa czy coś w tym rodzaju.

– Działają w tej samej branży – potwierdził ostrożnie Dżuma.

– Och, przestań pieprzyć! – wrzasnąłem naprawdę wściekły. – Czy miał motyw, aby mścić się na Biełowie? Wykraść firmowe sekrety? No dalej! – ponagliłem.

– Biełow naciął Dunina kiedyś na sto milionów, może więcej – przyznał cicho Oleg. – To był dość cham-

ski przekręt, nie w sensie prawnym, Boże broń! Niemniej tamten mógł się poczuć urażony, mocno urażony... Michaił Juriewicz dogadał się z partnerami biznesowymi Dunina. Za jego plecami. Później pozwolił mu się odegrać, tyle że na dużo mniejszą sumę. Wyglądało, że zakopali topory wojenne...

– Sto milionów czego?

– Euro.

– No to teraz wszystko pasuje...

– Co pasuje?!

– Dunin postanowił dziabnąć Biełowa w ramach rewanżu, dlatego chciał wykraść tajemnice firmy. Dogadał się z Łarinem... Nie, nie przerywaj! A ten zbajerował Ludę. Nie groził jej niczym, nie musiał, dziewczucha zakochała się w nim, zaszła w ciążę. Tyle że akcja spaliła na panewce: Luda musiała się zorientować, że Łarinowi chodzi tylko o forszę, i w ostatniej chwili zdecydowała, że nie odda mu tych skradzionych danych. Dunin pomyślał, że Łarin chce go oszukać, i postanowił dać mu lekcję. Na jego oczach zlikwidował dwóch ochroniarzy. Wiedział, że Łarin jest w domu razem z Ludą i będzie się przyglądał...

– Dlaczego Łarin nie wezwał pomocy?!

– Może myślał, że dogada się z Ludą i będzie mógł zrealizować kontrakt? W końcu był ojcem jej dziecka. Przecież nie mógł przyznać się Biełowowi, że go kiwnął i uwiódł jego córkę!

– A to polowanie? To co tam zaszło?

– Antonow naśladował Batmana, w pewnym sensie deptał mu po piętach, może czegoś się dowiedział, coś skojarzył? Dunin musiał mu zamknąć usta, więc zorganizował mały wypadek...

– Oczywiście! Waląc się w łeb z taką siłą, że widać było nagą kość, i fundując sobie wstrząs mózgu na mrozie! Genialny plan!

– Nie taki głupi, jeśli założyć, że Dunin to nie tylko Batman, ale i Razumowski... Stąd to wycinanie serc, a mrozu nie musiał się obawiać. Jak wszyscy „Doskonali” był „mrozoodporny”. I założę się, że cały czas kontrolował sytuację, nie miał żadnego wstrząsu mózgu.

– Znaleźliśmy faceta nieprzytomnego! Leżał na śniegu z tętnem pięćdziesiąt! Tego nie można udawać!

– Chyba że umie się wpadać w trans, tak jak o tym wspomina księga „Doskonałych”. To naprawdę żadna mistyka, jeszcze w latach trzydziestych zeszłego wieku badano ekspertów jogi, każdy z nich potrafił obniżyć tętno na zawołanie.

– Ciekawe, kto ich badał? Pewnie jacyś popaprańcy z fiksacją na tle okultyzmu?!

– Francuscy lekarze: Therese Brosse i Charles Laubry – odparłem łagodnie. – Wspomina o tym światowej sławy znawca tematu Mircea Eliade.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Na co jeszcze czekasz?! – rzucił agresywnie Dżuma. – Jedziemy!



Długo przygotowywałem się do tej rozmowy: rozważałem rozmaite opcje, porządkowałem w myślach fakty. Był moment, kiedy chciałem po prostu poinformować o wszystkim Dżumę – niech on decyduje, czy powie dzieć Bielowowi... Sam nie wiem, co zdecydowało. Chęć

wyjaśnienia do końca całej sprawy, a może zwykła ciekawość? Tak czy owak, postanowiłem najpierw pogadać z Ludą. Córka Bielowa od kilkunastu godzin znajdowała się na terenie posiadłości, Batman-Dunin zniknął z kliniki... Nie żebym był zdziwiony, jakoś nie mogłem sobie wyobrazić zatrzymania czy nawet zabicia człowieka, który przez kilka miesięcy wodził za nos ekipę oddelegowaną do sprawy rzekomego porwania Ludy, de facto najlepszych śledczych i operatorów Federacji Rosyjskiej. Swojego wkładu w dochodzenie – poza wątkiem archiwalnym – nie oceniałem zbyt wysoko, gdyby nie przypadek, facet do teraz śmiałyby się nam w twarz. Kiedy wpadliśmy do szpitala, izolatka, w której leżał Dunin, była pusta. Otwarte być może w geście szyderstwa okno sugerowało drogę ucieczki. Trzecie piętro, szeroki na dziesięć centymetrów gzymsik, dwadzieścia stopni mrozu... Ot, Batman! Sąsiednie pomieszczenie – ze względów bezpieczeństwa Antonowa umieszczono tuż obok – także opuścił pacjent. No, może nie w dosłownym sensie, zwłoki Antonowa nadal znajdowały się w łóżku. Ślady śliny na poduszce pozwalały się domyślać przebiegu całej akcji: Dunin wślizgnął się przez okno, udusił Antonowa i zniknął. Ochroniarze na korytarzu niczego nie słyszeli. Może nawet i lepiej, w przeciwnym wypadku do bilansu doszłyby nowe trupy.

Pilnujący apartamentu Ludy żołnierze przepuścili mnie bez słowa – prawdopodobnie zostali uprzedzeni o mojej wizycie. Cokolwiek by mówić o starszej córce biznesmena, to na pewno nie unikała konfrontacji. No cóż, zobaczymy, co z tego wyjdzie...

Zapukałem, otworzyła niemal natychmiast, czyżby na mnie czekała? Przyjęła mnie bosa, ubrana w jedwabne, misternie haftowane sari – ani chybi ręczna robota zapewne z manufaktury Jeana Lesage. Nonszalancja czy też próba wprowadzenia intymnego nastroju? Tylko w jakim celu? Oboje wiedzieliśmy, że cokolwiek i komukolwiek bym powiedział, niczego to nie zmieni; Ludmiła Bielowa była nietykalna.

Uprzejmym gestem wskazała mi fotel, sama przysiadła na kanapie. Nie wiedziałem, jak zacząć, więc milczeliśmy dłuższą chwilę. O dziwo, cisza nam nie ciążyła. Nie wyglądało to na spotkanie zbrodniarki i dzielnego detektywa...

– Przepraszam – powiedziała w końcu. – Przepraszam za wszystko. Jest... – zawahała się na moment – kilka opcji załatwienia tej sprawy. To jedna z nich.

Wymownym gestem podsunęła mi pióro i czek.

– Wpisz dowolną kwotę. W granicach rozsądku – dodała ze zmęczonym uśmiechem.

– To łapówka? – spytałem sucho.

– Raczej próba zadośćuczynienia. Za kłopoty, jakich ci przyczyniłam. W końcu to na moją prośbę Antonow wynajął gówniarzy, którzy mieli cię zabić. To, o czym myślisz, to inna sprawa. I liczę tu na twoją wyrozumiałość, nie chciałabym psuć sobie dodatkowo stosunków z ojcem czy Olegiem, i tak nie są obecnie najlepsze... Ale na pewno nie zaproponuję ci za to pieniędzy.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami, nie odpowiedziała.

– No dobrze – mruknąłem. – Wspominałaś o różnych opcjach. Co, jeśli nie interesuje mnie zadośćuczynienie finansowe?

– Będę ci winna przysługę.

– Niezależnie od tego, czy wyjaśnię twojemu ojcu wszelkie... niuanse?

– Niezależnie! – Zmarszczyła gniewnie brwi. – Spłacam swoje długi!

Skinąłem głową. To akurat prawda – panienska Ludmiła spłacała długi w terminie i z lichwiarskim procentem. Łarin przekonał się o tym na własnej skórze...

– Zabiłaś Łarina.

To nie było pytanie, raczej stwierdzenie faktu.

– Zabiłam – odparła natychmiast.

Tak jak myślałem, Batman nie dostał się do domku Ludy, nie wystarczyłoby mu czasu. Eksperci badający elektroniczne systemy zabezpieczeń mieli rację. Dunin zabił ochroniarzy i zniknął, chciał tylko przekazać Łarinowi czytelny sygnał – zmusić go do oddania wykradzionych z firmowej sieci informacji. Tamten zginął z ręki kochanki, matki swojego dziecka...

– Zakochałam się w nim – powiedziała, spuszczać wzrok. – Pierwszy raz w życiu. Kiedy powiedział, że ojciec na pewno nie zgodzi się na nasz ślub, że jeśli uciekniemy, zablokuje mi konta, że musimy mieć pieniądze na wspólne życie...

Urwała, mnąc nerwowo jedwab. Z zaokrąglonym brzuszkiem, drobnymi stopami tonącymi po kostki w puszystym dywanie wyglądała zadziwiająco bezbronne. Mimo zaróżowionej po kąpieli twarzy sprawiała

wrażenie zmęczonej. No cóż, gdybym ukrywał się parę miesięcy przed maniakalnym mordercą i osobiście zabił kilka osób, też pewnie poczułbym się znużony...

– Mniejsza z tym – westchnąłem. – Co było dalej?

– Kiedy powiedziałam Łarinowi, że jestem w ciąży, dostrzegłam w nim coś... Nie, nie zdradził się niczym! Ale wyczułam, że mnie oszukuje. Postanowiłam go sprawdzić, powiedziałam, że nie dostanie tych danych. Wówczas zmienił ton, przyznał, że tak naprawdę nie zależy mu na mnie, próbował mnie szantażować, dowodził, że oszukując ojca, i tak spaliłam za sobą wszystkie mosty, że nie mam wyjścia...

Znowu zapadła cisza przerywana tylko szelestem miętej bezlitośnie jedwabnej tkaniny.

– Domyślasz się, jak to zrobiłam, czy muszę opowiedzieć? – spytała cichutko.

– Domyślam się.

Sprawa była prosta – istniał tylko jeden sposób, by Luda mogła zabić operatora tej klasy co Łarin. Zapewne obiecała mu, że odda skradzione informacje, a potem zaproponowała intymne tête-à-tête... Swoją drogą Łarin musiał być niezłym bucem, jeśli w to uwierzył. Dalej poszło już z górki: wyjęła pistolet, sugerując erotyczną zabawę z bronią – kto wie, może robili to już wcześniej? – przystawiła mu lufę do podbródka i nacisnęła spust.

– Łarin widział występ Dunina?

– Nie, zabiłam go chwilę wcześniej. Dlatego nie wzywał pomocy. A mnie nie przyszło do głowy, że Duninowi chodzi o niego, myślałam, że Łarin mu o mnie powiedział i tamten chce mnie zabić. Kiedy ujrzałam, jak wycina serca... – Objęła się ramionami, jakby nagle zro-

biło jej się zimno. – Uciekłam, sądziłam, że będzie na mnie polował, wiedziałam, że musi być blisko ojca. Dlatego poprosiłam o pomoc Antonowa, dlatego nic nie powiedziałam ojcu. Wszelkie pogłoski o mojej śmierci były mi na rękę.

– To dlaczego użyłaś swojego loginu? Skąd to spotkanie na sto pierwszym kilometrze?

– Poprosiłam o to Antonowa. Zorganizował wszystko i wynajął te dzieciaki. Myślałam, że jeśli morderca chce mnie zabić, przyjdzie na spotkanie. Miałam nadzieję, że zginie. Nie pomyślałam, że Dunin wcale mnie nie ściga, a w umówionym miejscu zjawisz się ty...

– I on ci tak pomagał? Spełniał twoje życzenia?

– Nie za darmo – roześmiała się gorzko. – Zapłaciłam mu.

– To on zrealizował czek?

– Tak.

Coś w głosie Ludmiły zwróciło moją uwagę, jakiś zgrzyt, może niedopowiedzenie.

– Chciał tylko forsy?

– Chciał TAKŻE forsy – wycodziła przez zaciśnięte zęby. – Dałam mu wszystko, czego zażądał, ratowałam życie swoje i dziecka.

– A ten snajper? – zmieniłem szybko temat.

– Po tym, co stało się na sto pierwszym kilometrze, pomyślałam, że jesteś pomocnikiem Batmana. Byłam w rozpacz, obawiałam się, że wpadł na mój trop. Antonow powiedział mi, że cieszysz się zaufaniem ojca. To tylko potwierdziło moje podejrzenia, myślałam, że jeśli cię usunę, zyskam trochę czasu, może odkryję, kim jest morderca? Bałam się, że w przeciwnym wypadku zginę,



zanim dotrą do mnie ludzie ojca. Nawet Oleg... Myślałam, że to on zabił ochroniarzy, wiedziałam, czym się zajmuje...

No, nic dziwnego. Sam przez moment podejrzewałem Dżumę, co by o tym nie powiedzieć – pasował do roli perfekcyjnego killera, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– Ja... cieszę się, że nic ci się nie stało. Nie proszę o wybaczenie, ale chciałabym, żebyś zrozumiał... Znasz bajkę Puszkina o orle i kruku?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– To posłuchaj...



– Zabiła kochanka, ojca własnego dziecka? – Małgorzata uniosła w zdziwieniu brwi. – Kim trzeba być, aby zrobić coś takiego?

Siedzieliśmy oboje na dywanie, tuż obok leżały rozbebeszone walizki, czas było się zbierać. Porwana księżniczka została uratowana, źli zginęli albo uciekli, bohaterowie mogą wrócić do domu.

– Nie miała innego wyjścia, można to uznać za samoobronę.

– Żartujesz chyba?!

– Ani trochę. Pomyśl: Łarin był ochroniarzem, oferował nie tylko swoje umiejętności, ale i lojalność. Tymczasem podwójnie zdradził Bielowa: uwiódł jego córkę i namówił do kradzieży tajnych informacji. Jak to sobie wyobrażasz? Myślisz, że zainkasowałyby forszę od Duni-na i zniknęły? Nierealne, Bielów znalazłby go prędzej czy

później... Biorąc pod uwagę możliwości naszego gospodarza i naturalną w tej sytuacji chęć zemsty, raczej prędzej niż później. Jedyne wyjście to zamknąć usta Ludmile. I ona to zrozumiała... To była kwestia dni. Musiał to zrobić, zanim ciąża stanie się widoczna. Sprokurowałby jakiś wypadek, zorganizowałby atak... Dlatego go zabiła.

– Okropność – powiedziała, łapiąc mnie za rękę. – Okropność.

– Takie życie...

– A Antonow? Dlaczego Sasz... Dlaczego Dunin go zabił?

Zacisnąłem zęby, fakt, że moja żona nadal myśli o Duninie per „Saszka” bynajmniej nie podniósł mnie na duchu.

– Myślę, że Antonow go zdemaskował – odparłem z ociąganiem. – Nie ma innej możliwości. Pamiętaj, że mógł, w odróżnieniu od nas, wypytać Ludę. Ustalił, kiedy Łarin kontaktował się ze swoim mocodawcą. W czasie kiedy byli kochankami, Łarin niewiele mógł przed nią ukryć. Zapewne porównał to z listą osób, które w tym czasie przebywały na terenie posiadłości. Tu najłatwiej było im się kontaktować, wystarczyło minąć się na korytarzu... Być może Dunin monitorował łączność, wtedy wiedziałby o naszych podejrzaniach odnośnie Antonowa, a może tamten po prostu wybrał polowanie, aby porozmawiać sobie z Duninem, pochwalić się, że go zdemaskował. Myślał, że kontroluje sytuację... Osobiście stawiałbym na ten drugi wariant. Po porwaniu system łączności został tak mocno zabezpieczony, że Dunin nie mógł się do niego dostać. Postrzelił Antonowa, rozwalił sobie łeb i czekał, aż ich znajdziemy. Wiedział przecież,

że jeśli nie wrócą o czasie z polowania, to zaczną ich szukać. Do tego czasu Antonow byłby martwy, uznaliby go za Batmana, a drogi Saszka grałby rolę niewinnej ofiary...

– Ale kiedy uciekał, musiał przecież wiedzieć, że wszystko się wydało. Po co w takim razie zabił Antonowa? I to w taki... oczywisty sposób?

Dobre pytanie, sam zastanawiałem się nad tym od kilku dni.

– To chyba coś w rodzaju gestu dobrej woli, może nawet przeprosin – przyznałem niechętnie. – Dunin przecież nie chciał zabić Ludy, mścić się na córce Bielowa. Całe to zamieszanie było dziełem przypadku. Założę się, że Łarin mu nie powiedział, jak zdobędzie firmowe sekrety. Gdyby zrobił to bez udziału Ludy, ta by go nie zabiła, a Łarin, widząc atak na ochronę dziewczyny, po prostu wezwałby pomoc. Luda nigdzie by nie uciekła, Łarin, ujrzawszy mordowanych kumpli, zrozumiałby, że nie ma co kombinować, i oddał Duninowi skradzione dane, a potem wszyscy żyliby długo i szczęśliwie. Tyle że Bielów straciłby trochę forsy i dwóch ludzi...

– Rozumiem, lecz co to ma do rzeczy? Dlaczego zabicie Antonowa było gestem dobrej woli?

Westchnąłem – nie miałem ochoty wyjaśniać wszystkiego szczegółowo, wyglądało jednak, że się nie wywinę...

– Antonow to psychol. Kiedy Luda zwróciła się do niego o pomoc, kazał sobie słono zapłacić, nie tylko pieniędzmi... Miał fiksację na jej punkcie. W normalnej sytuacji była dla niego nieosiągalna, lecz kiedy uciekła z posiadłości...

Poczułem, jak paznokcie mojej żony wpijają mi się w nadgarstek.

– Mam nadzieję, że poczuł, jak umiera! – warknęła mściwie.

Wzruszyłem ramionami, rozmowa na ten temat nie miała sensu. Zabij człowieka, a zrozumiesz – prędzej czy później – że każdy, nawet największy skurwysyn jest w chwili śmierci tylko mordowanym zwierzęciem. Nie ma w tym żadnej chwały ani ekscytacji, co najwyżej bitewna adrenalina: jeśli jesteś lepszy – wygrywasz, jeśli twój przeciwnik góruje nad tobą – płacisz życiem. To wszystko, rzecz jasna, w sytuacji, kiedy jesteś przygotowany do walki i podejmujesz ją z pełną świadomością. Sprawa wygląda zupełnie inaczej, kiedy ratujesz własne życie, kiedy jesteś cywilem, a zagrażają ci zawodowcy. Tak jak w przypadku Ludy... Rozmawiając z córką Biełowa, chciałem wyjaśnić jeszcze jedną sprawę – jakim cudem udało jej się tak świetnie upozorować własną śmierć, pochlapać krwią ściany w ten sposób, że ślady do złudzenia przypominały autentyczne, powstające po przecięciu tętnicy? Nie musiałem zadawać tego pytania – na odsłoniętym ramieniu Ludy zauważyłem paskudną, wypukłą bliznę. Biegła na skos przez nadgarstek dziewczyny. Ona niczego nie udawała, po prostu przecięła tętnicę, przeszła kilka kroków, po czym sama lub z pomocą Antonowa zatamowała krwawienie. Nie było jaki wyczyn, nie było jaka Luda. Gdyby zaczęła ćwiczyć u Ito, w kilka tygodni zostałaby pupilką mistrza, oboje mieli ze sobą wiele wspólnego...

Rozmyślenia przerwało mi pukanie. W drzwiach stał jeden z ludzi Biełowa.

– Michaił Juriewicz prosi do swojego gabinetu – poinformował. – Margaritę Andriejewną także – doprecy-

zował, gdy moja żona zamierzała kontynuować pakowanie.

A cóż to za okazja? Stało się coś? Zmarszczyłem brwi, widząc, że na korytarzu czeka jeszcze dwóch ochroniarzy. Honorowa eskorta czy asekuracja, żebyśmy nie uciekli?

Oczekiwali nas – Biełow i Dżuma. Gospodarz oszczędnym gestem wskazał nam fotele, sam zasiadł za biurkiem. Oleg stał.

– Na początek informacja od nas – odezwał się bez wstępu Dżuma. – Dunin to Razumowski, przechwyciliśmy zaszyfrowany mejl wysłany z jego laptopa na adres Szewieliewej. Żegna się z nią i obiecuje, że nadal będzie przysyłał pieniądze.

– Pozwolił sobie na taką nieostrożność? Wysłał wiadomość ze swojego laptopa? – spytałem z niedowierzaniem.

– Nie miał czasu, improwizował – wyjaśnił sucho Dżuma. – Jak by na to nie patrzeć, zaskoczyliśmy go. Tyle że chyba nie do końca...

– Nie rozumiem...

Oleg bez słowa podszedł do biurka i uruchomił cyfrowy magnetofon. Usłyszałem sygnał połączenia telefonicznego, później kobiecy głos:

– Myślałam o naszej ostatniej rozmowie.

– Tak?

– Wydaje mi się, że dam radę wygospodarować dwie godziny w miesiącu, kontakt przez Internet.

– Znakomicie!

– O ile nic złego się nie wydarzy...

– Jestem pewien, że nie.

Trzask, koniec rozmowy. Rozpoznałem bez trudu głos Dunina – na razie nie myślałem o nim jako o Razumowskim, rozpoznałem też głos swojej żony...

– Margarito Andriejewno – zwrócił się do niej oficjalnym tonem Oleg – chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego zadzwoniła pani do Dunina, zaraz po tym jak wyjechaliśmy do kliniki? Dlaczego go pani uprzedziła?

Patrzyłem na piękną, spokojną twarz Małgorzaty, rozpaczliwie usiłując pojąć, znaleźć jakieś wytłumaczenie. Lodowatymi, pozbawionymi niemal zmysłu dotyku palcami sięgnąłem po nóż. Głupi, instynktowny odruch. Bo i co bym z nim robił? Chyba pociągnął po nadgarstku, jak Luda...

Małgorzata uklękła, wzięła w dłonie moje ręce, ogrzewając je ciepłem własnego ciała i oddechem. Jej dotyk parzył – nic dziwnego, czułem w żyłach lód.

– To było konieczne, kochanie – szepnęła, tak jakbyśmy zostali tylko we dwoje. – Uwierz, nie było innego wyjścia.

W jej głosie nie słyszałem skruchy ani żalu, choć w oczach widziałem niepokój. Zdawało się, że interesuje ją tylko moja reakcja, tak jakby Dżuma i Bielów przestali się liczyć.

– Margarita... – odezwał się proszącym głosem Oleg. – Może spróbujesz wyjaśnić?

– Przeoczyliście pewne kwestie. Bardzo ważne kwestie – odparła, nie wypuszczając moich rąk z uścisku. – Nie doceniliście Razumowskiego.

– Nie doceniliśmy?! Do niedawna nie byliśmy pewni, że Dunin to Razumowski, prawda! Ale przecież od początku traktowaliśmy Batmana jak nadc człowieka!

– Tak, jeśli chodzi o stronę fizyczną: walkę wręcz, strzelanie, jakieś jarmarczne sztuczki. Tymczasem ważne było to, co dzieje się w jego głowie. A tego nie dostrzeżliście.

– Doprawdy? – Bielów wyjął z ironią wargi. – A pani dostrzegła?

Wstała z klęczek, spojrzała na niego twardo; już nie Margarita Andriejewna, a profesor Boerner-Korpacka, światowej sławy autorytet w dziedzinie probabilistyki. Bielów zamrugął nerwowo, zapewne dawno nikt na niego nie patrzył jak na zasmarkanego czterolatka...

– Analizowaliśmy wspólnie strategie szachowe, po jakichś dwóch tygodniach znudziło to nas na tyle, że stworzyliśmy wirtualne, trójwymiarowe szachy. Trójwymiarowe nie sensie kształtu, a reguł... Za długo musiałabym tłumaczyć – uprzedziła, widząc że Oleg otwiera usta. – W dużym uproszczeniu chodziło system, w którym kilka osób może grać przeciwko jednej. Na tej samej planszy, rzecz jasna. Każdy z graczy ma swój komplet bierek. Bonusem zaatakowanego są tylko dodatkowe ruchy. Przy grze pięciu na jednego cudem jest przetrwanie pierwszych trzech, czterech. Aby mieć szansę, jakąkolwiek szansę – podkreśliła – trzeba skomplikowanych obliczeń z zakresu rachunku prawdopodobieństwa.

Oczy Małgorzaty błyszczały, widać było, że jest zafascynowana wymyśloną wraz z Duninem ideą.

– On wygrywał. Zawsze... Kiedyś zawzięłam się i przygotowałam strategię w systemie ośmiu na jednego. Pracowałam nad tym przez tydzień: skoordynowanie ataku, opracowanie przypuszczalnych posunięć przeciwnika... Nieważne! – Machnęła ręką, uśmiechając się do

swoich myśli. – Kiedy zaproponowałam mu grę, wykonałam pierwszy ruch, poprosił o czas do namysłu, całe trzydzieści sekund. Rozumiecie? Trzydzieści sekund! Jeden z moich profesorów potrzebował dwóch dni, żeby zrozumieć sam pomysł trójwymiarowych szachów... Obronił dwadzieścia ruchów, podczas kiedy myślałam, że padnie góra po pięciu. Przerwaliśmy zabawę, bo okazało się, że obliczenia związane z kontynuacją gry są zbyt skomplikowane i czasochłonne. Dla mnie...

– To z pewnością fascynujące – stwierdził Biełow. – Ale co to ma wspólnego...

Małgorzata uciszyła go władczym gestem niczym niesforne go studenta.

– Chodzi o bardzo prostą sprawę: nie zaskoczylibyście go. Nie daliście rady. To niemożliwe. Dunin myśli z szybkością komputera, to nowa jakość... Jest coś takiego jak leki nootropowe, nazwa pochodzi z greckiego i oznacza „wpływanie na umysł”. Podnoszą poziom inteligencji, poprawiają pamięć i sprawność działania mózgu, przeciwdziałają degeneracji.

– A konkretnie? – zmarszczył brwi Dżuma.

– Nie jestem lekarzem. – Małgorzata wzruszyła ramionami. – Z tego, co pamiętam, pobudzają produkcję i aktywność najważniejszych neurotransmiterów, wzmagają cyrkulację składników odżywczych i tlenu poprzez zwiększone ukrwienie mózgu, stymulują wytwarzanie protein, których mózg potrzebuje do naprawy dendrytów, włókien, których uszkodzenie prowadzi do osłabienia funkcji mózgowych. Wreszcie usuwają zmęczenie wywołane pracą umysłową. Konkludując: zwiększają wyraźnie sprawność mózgu. Od kilku lat korzysta się



z tych leków na coraz większą skalę: naukowcy, studenci, chorzy na Alzheimera...

– Chwileczkę! – odezwałem się, czując, jak na gardle pęka mi lodowa obręcz. – Używasz tego?!

– Bywało, że stosowałam piracetam – przyznała. – Pod kontrolą lekarza. Badania nie wykazały niemal żadnych skutków ubocznych przy stosowaniu zalecanych dawek, ten preparat jest mniej toksyczny niż witamina C. W wielu krajach sprzedaje się go bez recepty, ma status suplementu. Na razie go odstawiłam, również z zalecenia lekarza – dodała uspokajająco. – Wracając do sprawy, wydaje się, że podstawą tych opisywanych w księdze „Doskonałych” darów jest zwiększenie sprawności mózgu, wszystko inne to tylko dodatek. Wygląda to, jakby człowiek nieustannie znajdował się pod wpływem leków nootropowych, tyle że dużo silniejszych od tych, które znamy. Kiedyś, w czasie spotkania z Duninem, wyciągnęłam rękę po paczkę chusteczek do nosa, miałam katar. On mi je podał, sięgając za siebie, tak jakby wiedział dokładnie, gdzie się znajdują. Oczywiście mógł zauważyć, gdzie leżą zaraz po wejściu do pokoju, ale problem w tym, że chwilę później je przesunęłam, podczas kiedy Dunin siedział już przy komputerze odwrócony plecami... Rozumiecie? Musiał zupełnie mimochodem zorientować się, gdzie je przełożyłam, na podstawie dźwięków, może jakichś innych bodźców. Przez cały czas zajęty był obliczeniami, nawet nie pomyślał, co robi, nie popisывał się. Nie zaskoczylibyście go – powtórzyła pewnym tonem. – On jest przygotowany na wszystko. Na wszystko, co potrafimy wymyślić... Przypominamy przy nim dzie-

ci, a żaden, nawet najsprytniejszy przedszkolak nie przechytrzy dorosłego, zbyt duża różnica poziomów...

– Dlaczego go uprzedziłaś? – spytał Dżuma.

Tym razem normalnym tonem.

– On i tak by wam uciekł, tyle że ktoś mógłby zostać... poszkodowany. I wierzcie mi, to na pewno nie byłby Dunin... Telefonując, nawiązałam do wcześniejszej rozmowy. Chodziło o kontynuację naszych... zabaw, a może badań? Każda uczelnia zapłaciłaby krocie za notatki Razumowskiego. Nieważne... Konkludując, Dunin jest bardzo samotny, nie w sensie towarzyskim, a intelektualnym. Jestem jedną z nielicznych osób, które mogą w pewnym zakresie dotrzymać mu kroku, przynajmniej jeśli chodzi o kwestie związane z probabilistyką. Brakuje mu formalnego wykształcenia, warsztatu naukowego, są rzeczy, których mogę go nauczyć. Owszem, po moim telefonie mógł się domyślić, że jedziecie do niego, ale przede wszystkim dałam mu sygnał, że jeśli komuś z was coś się stanie, zerwę z nim wszelki kontakt. Dlatego zniknął. Nie wystraszył się was, po prostu wolał nie ryzykować...

Nie widziałem wyrazu swojej twarzy, ale Dżuma wyglądał, jakby na głowę spadło mu coś ciężkiego, cóż, pewnie nie był przyzwyczajony, żeby broniła go kobieta... Dla mnie nie pierwszyzna, choć skłamałbym, że przyjąłem nowinę z entuzjazmem. Nawet jeśli Razumowski liczył się z moją żoną, stanowił śmiertelne zagrożenie przez sam fakt, że był tym, kim był. Jeśli wziąć jeszcze pod uwagę ścigających go Chińczyków – a zapewne wśród nich także znajdują się „Doskonali” – sytuacja rysowała się raczej nieciekawie...

– A konkretnie o kogo chodzi? – odchrząknął Bielów. – Kogo pani chroni, Margarito Andriejewno?

– Sasza na pewno nie skrzywdzi mojego męża, Olega ani Mariny. Nie sądzę też, aby coś zrobił Ludmile. Natomiast jeśli chodzi o pana...

– Rozumiem, nie zasłużyłem...

– Proszę nie zachowywać się jak dziecko! – skarciła go Małgorzata. – Rozmawialiśmy półsłówkami, aluzjami, sami słyszeliście... Ja nie mogę mu niczego nakazać, Razumowski nie zakochał się we mnie, po prostu wie, że jeśli chce ze mną od czasu do czasu pogadać, to nie może skrzywdzić nikogo, kto jest mi bliski. Nie zakładałabym się natomiast, czy moje... względy będą dla niego ważniejsze niż sto milionów euro i upokorzenie, którego doznał z pańskiej ręki...

– Kontakt z nim, nawet internetowy, może być niebezpieczny – stwierdził posepnie Dżuma. – Jak by na to nie patrzeć, to morderca...

– Nie sprzedalam swojego czasu za parę kolczyków – odparła szorstko Małgorzata. – Kupiłam wasze życie.

– Przepraszam – powiedział po chwili Bielów. – Jeśli dzięki pani moje córki będą bezpieczne, jeżeli miałbym pewność, że Razumowski nic im nie zrobi...

– Przekonamy się – mruknęła Małgorzata. – Jednak na pańskim miejscu...

– Tak?

– Oddałabym mu te sto milionów i modliła się, żeby to wystarczyło.

– Dziękuję za radę – odpowiedział biznesmen chłodno.

Wstał zza biurka, sygnalizując koniec audiencji. No i dobrze, miałem go dosyć. W tym momencie miałem wszystkiego dosyć...



Zapowiedziano nasz samolot, ruszyliśmy do wyjścia. Zerknąłem przez ramię: Marina jeszcze raz pomachała nam na pożegnanie, Borelska – po raz kolejny – pokazała środkowy palec. Siniak pod okiem kobiety wskazywał, że komuś nie spodobały się jej snajperskie wyczyny i dał temu wyraz – bezsłownie. Cóż, w Specnazie załatwiano takie sprawy od ręki...

Wracałem, mając świadomość, że pewne sprawy pozostały niezakończony, są jeszcze długi do spłacenia. Gołubiński-Arkaszew zniknął, jakby rozpląnął się w powietrzu, ale nie wróżyłem mu długiego życia; poza milicją szukała go rosyjska mafia. A ta nie zwykła odpuszczać, nigdzie i nigdy – niedokończone sprawy źle wpływały na reputację. Co by o tym nie mówić, Arkaszewowi daleko było do Razumowskiego. Razumowski... Razumowski stanowił problem, poważny problem, lecz chwilowo nic z tym nie mogłem zrobić. Co prawda po piętach deptali mu Chińczycy, jednak wątpiłem, czy zdołają go schwytać. Jeden z rosyjskich naukowców przeanalizował część notatek Razumowskiego – moja żona wydzieliła je nader oszczędnie – i zadzwonił do Bielowa o drugiej w nocy, domagając się reszty materiałów i bełkocząc coś o przełomie w postrzeganiu procesów stochastycznych. Margarita odmówiła. Tak czy owak, nie

rokowało to zbyt dobrze polowaniu na Razumowskiego. Pomijając wszystko inne, facet był operatorem z ogromnym doświadczeniem, weteranem GRU i Smiersza. Być może Chińczyk, który zabrał mi dokumenty, dałby mu radę, ale najpierw musiałby go złapać...

Stała na uboczu, jednak tak, abym ją dostrzegł – Luda. Nie pożegnała się z nami jak inni, nie podeszła bliżej. I dobrze, Małgorzata mogła jej współczuć, lecz na pewno nie zapomniała, że starsza córka Biełowa chciała mnie zlikwidować... Fakt, że cała sprawa była omyłką, nie zmieniał sytuacji – lepiej, żeby Luda trzymała się z daleka.

Przechwyciłem pytające spojrzenie dziewczyny, pokręciłem głową: nie, nie powiedziałem nikomu o tym, że zabiła Łarina.

Podziękowała lekkim skinieniem, po chwili zniknęła w tłumie.

Sam nie wiem, dlaczego nie poinformowałem nawet Dżumy... Może sprawiło to przekonanie, że niczego tym nie zmienię? A może bajka o orle i kruku? Bajka...

Pewnego razu orzeł zapytał kruka: „Powiedz, bracie kruku, dlaczego żyjesz trzysta lat, a ja tylko trzydzieści i trzy?”. „Dlatego, ojczulku”, odparł kruk na to, „że ty pijesz żywą krew, a ja żrę padlinę”. Orzeł pomyślał, podumał: „Dawaj”, mówi, „i ja spróbuję”. „Dobrze”. Polecieli razem – orzeł i kruk. Dostrzegli padłego konia. Przesiedli. Kruk zaczął dziobać, wychwalając smak padliny. Orzeł dziobnął raz, dziobnął drugi, machnął skrzydłem i powiedział: „Nie, bracie kruku, trzysta lat jeść padlinę? Lepiej raz napić się krwi, a potem co Bóg da...”.

Stewardesa poprosiła o zapięcie pasów, samolot kołował. Poczułem na nadgarstku dłoń Małgorzaty. Wracaliśmy.



## **TŁUMACZENIA PIOSENEK, zwroty rosyjskojęzyczne i kilka detali technicznych...**

**P**onieważ czytelnicy często pytają o sprawy poruszone w „Chorągwi...”, szczególnie te związane z historią czy militariami, postanowiłem w tym miejscu wyjaśnić pewne kwestie.

**Ispanka, Adros** – systemy te istnieją naprawdę. Zakłócają naprowadzanie głowic na cel. Nowoczesny, ukraińskiej produkcji Adros cieszy się coraz większym zainteresowaniem, także w państwach należących do NATO. Ma chronić przed raketami ziemia–powietrze i powietrze–powietrze. Obecnie montuje się go w śmigłowcach i samolotach w miejsce przestarzałych konstrukcji jak na przykład Ispanka. Według danych producenta skuteczność systemu przeciwko rakietom klasy Stinger wynosi 80%.

**Zewnętrzny bezpiecznik, czyli dlaczego Korpacki odbezpiecza glocka, a Dżuma nie ma zamiaru** – glock jaki jest, każdy widzi... Standardowe pistolety Glock nie po-

siadają zewnętrznego bezpiecznika nastawnego, a co za tym idzie – nie wymagają odbezpieczenia przed oddaniem strzału. Sprawę ułatwia zabezpieczenie wewnętrzne – zwykłe naciśnięcie spustu (bezpiecznik spustowy) zwalnia blokady iglicy, po czym następuje strzał. Rozwiązanie to, teoretycznie doskonałe, ma jednak swoje wady. Hipotetycznie rzecz biorąc, wspomniane wyżej potrójne zabezpieczenie pozwalałoby nosić glocka nawet za paskiem od spodni, który to sposób – nie bez powodu – od mniej więcej stu lat nosi nazwę „kabury eunucha”... Brak konieczności odbezpieczenia broni pozwala użyć jej zaraz po wydobyciu. Jednak przeciętny użytkownik nie zawsze jest na tyle wyszkolony, żeby – szczególnie w sytuacji stresowej – zdawać sobie sprawę, że wystarczy proste, bywa, że mimowolne naciśnięcie spustu.

Istnieje coś w rodzaju skoordynowanego odruchu obu rąk – nagły ruch lub wysiłek jednej, powoduje reakcję drugiej ręki. Często niedoświadczony użytkownik trzyma palec na spuście mimo braku bezpośredniego zagrożenia. W tej sytuacji wystarczy jakikolwiek ruch drugiej dłoni – zapalenie latarki, otwarcie drzwi, cokolwiek – i spoczywający na spuście palec reaguje... Stąd doniesienia o przypadkowych postrzałach z glocka, nie wynikających z niedoskonałości mechanizmu, a będących efektem ludzkiego błędu. Dlatego od pewnego czasu produkowane są niewielkie partie glocków niestandardowych – zaopatrzonych dodatkowo w zewnętrzny bezpiecznik. Te zaś trzeba odbezpieczyć przed oddaniem strzału.

Broń taką zamówiła na przykład australijska policja działająca na terenie Tasmanii (wg angielskojęzycz-



nej Wikipedii także jednostki pakistańskie i izraelskie). Nie są to ilości imponujące, zewnętrzny bezpiecznik jest dużo popularniejszy wśród cywilnych użytkowników glocków. Przeważnie montowany przez zawodowego rusznikarza w fabrycznym egzemplarzu tak zwany Cominoli Custom lub Cominoli MSK (*Manual Safety Kit*) jest świetnym rozwiązaniem dla użytkownika niebędącego wyszkolonym operatorem lub przyzwyczajonego do broni z zewnętrznym bezpiecznikiem.

Jak zapewnia producent, montaż MSK nie powoduje utraty gwarancji firmy Glock, samo zaś rozwiązanie zachwala też ekspert w zakresie samoobrony, wspomniany w książce Massad Ayoob, twierdząc, że MSK dorównuje ergonomią bezpiecznikowi w Colcie M1911.

O tym, że istnieje coraz większe zainteresowanie pistoletami Glocka zaopatrzonymi w zewnętrzny bezpiecznik, przekonuje też przedstawienie na targach DSEI (*Defence Systems and Equipment International*) w 2009 roku modelu glocka wyposażonego w zewnętrzny bezpiecznik, stworzonego dla armii brytyjskiej.

Konkludując: standardowy glock to doskonała opcja dla świetnie wyszkolonych operatorów służb i sił specjalnych oraz wysoko wykwalifikowanych „mundurowych”, egzemplarze zaopatrzone w zewnętrzny bezpiecznik wydają się być optymalnym rozwiązaniem dla nieco mniej wprawnych użytkowników.

**Hammer, kontrolowana para** – realnie istniejące techniki strzeleckie oparte na zasadzie dubletów (podwójnych strzałów).

**Urządzenia „antysnajperskie”** – wzmiankowane w tekście urządzenia „antysnajperskie” istnieją naprawdę. Systemy takie jak Pilar czy Ears potrafią zlokalizować źródło strzału, finał na polu walki ma wymiar raczej nie-sportowy – do akcji wkracza artyleria albo śmigłowce... Istnieją także urządzenia wykrywające z dużej odległości wszelkie skierowane w naszą stronę systemy optyczne (lornetki, celowniki, obiektywy).

**Destreza** – destrezę wymyślili Hiszpanie, stąd nazywa się ją do dziś „hiszpańskim kręgiem”. To koło, którego rozmiar wyznaczają wzrost i długość rąk adepta. Destreza uczy, jak się poruszać, jak bronić się i atakować, jak zabijać i jak samemu przeżyć. Wymaga chłodnego, analitycznego umysłu, jest kwintesencją geometrii, matematyki i praktycznej psychologii. Zastosowanie aparatu pojęciowego z zakresu matematyki i geometrii miało uczyć adepta logicznego, pozbawionego emocji podejścia do walki, umożliwić wypracowanie chłodnego dystansu do wszelkich podejmowanych w czasie starcia działań. Sam termin „destreza” można przetłumaczyć jako „umiejętność”.

Koncepcja „hiszpańskiego kręgu” dotyczy broni używanej w szermierce, jednak idee destrezy można zastosować w dużo szerszym zakresie, także do walki za pomocą noża. Adept destrezy wyobraża sobie, że porusza się w centrum wyimaginowanego koła, które przemieszcza się wraz z nim i styka lub częściowo przenika z okręgiem, wewnątrz którego znajduje się przeciwnik. Dzięki stałemu utrzymywaniu postawy zwanej „diestro”

(polegającej na ustawieniu się bokiem do przeciwnika, tak aby na atak narażona była jak najmniejsza powierzchnia ciała) i krążeniu zgodnie z ruchem wskazówek zegara, adept utrzymuje się poza zasięgiem broni wroga, starając jednocześnie znaleźć w pozycji, która umożliwiłaby mu rozstrzygnięcie walki na swoją korzyść. Podstawowe zasady destrezy skodyfikowali na przełomie XVI i XVII wieku Jerónimo de Carranza i jego następca Luis Pacheco de Narváez.

**Kilka słów o firmie Specnaz & Co.** – pisząc o bezwzględności rosyjskiego Specnazu, nie przesadzałem, przykładów takowej można by podawać wiele. Niedawno głośna stała się akcja rosyjskich komandosów, którzy odbili porwany przez piratów statek „Moskowskij Uniwersitiet”, po czym – zobligowani nonsensownymi w tym przypadku nakazami prawa międzynarodowego – puścili napastników wolno, pozwalając im odpłynąć w jednej z należących do nich łodzi. Tyle że bez broni i przyrządów nawigacyjnych... O ile wiadomo, żaden z piratów nie dotarł do brzegu. Rzecz jasna, trudno tu cokolwiek prognozować, ale całkiem możliwe, że polowanie na rosyjskie statki szybko wyjdzie z mody wśród somalijskich piratów. Specnaz przesłał im bardzo czytelny sygnał...

**Rosyjska milicja** – instytucja ta wygląda dokładnie tak, jak ją opisałem. Rzecz jasna, służą w niej także uczciwi ludzie, ale rosyjska prasa roi się od wzmianek o przestępstwach popełnionych przez milicjantów. Prawdziwe są także więzi łączące rosyjskie struktury siłowe ze zor-

ganizowaną przestępczością. Narzekacie na polską policję? Jedźcie do Rosji...

**Rosyjscy bandyci** – zamieszczone w książce dane na temat rosyjskiej przestępczości zorganizowanej i bandyckich hersztów są autentyczne. Łącznie z nazwami grup i częścią personaliów. Pochodzą z podanych do publicznej wiadomości materiałów rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i informacji ujawnionych przez dziennikarzy śledczych. I tak – trzon grupy izmaiłowskiej stanowią byli pracownicy msw, Federalnej Służby Bezpieczeństwa i prokuratury...

**List Kozaków zaporoskich do sułtana tureckiego** – za Wikipedią w tłumaczeniu Jany i Bogdana Malinowskich.

**Okinawańskie karate i brutalni eksperci** – okinawańskie karate istnieje naprawdę i jest jedną z najbardziej „ekstremalnych” sztuk walki współczesnego świata. Od znanego powszechnie, mniej czy bardziej „sportowego” karate różni się jak karabin maszynowy od drewnianej pałki. Postać Ito jest moim wymysłem, istnieje natomiast rosyjski ekspert nazwiskiem Koczergin (tak, zmieniłem nazwisko), który prowadzi treningi w warunkach ekstremalnego stresu, przeprowadzając między innymi opisany w książce „test duszenia”. Koczergin jest posiadaczem ósmego dana, byłym wojskowym, prowadzi też instruktaż dla „mundurowych”, w tym Specnazu. Na jednym z publicznych pokazów rozciął sobie nogę nożem, po czym osobiście zaszył ranę, to wszystko oczywiście bez znieczulenia.

**Ziranmen** – jeden z najciekawszych chińskich systemów. Do dziś dnia mało znany. Wszystkie informacje na temat Ziranmen, jakie podałem w książce, są autentyczne. Z wyjątkiem nieśmiertelności jego adeptów.

**Losy jeńców rosyjskich z czasów wojny polsko-bolszewickiej** – w tekście przedstawiłem rzeczywiste wyniki badań polsko-rosyjskiej komisji, która odniosła się do tego problemu. Notabene Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych i Federalna Agencja ds. Archiwów Rosji wydały zbiór dokumentów zatytułowany „*Krasnoarmiejcy w polskom plenu w 1919–1922 g. Sbornik dokumentow i materialow*” („Czerwonoarmiści w polskiej niewoli w latach 1919–1922. Zbiór dokumentów i materiałów”), co z pewnością przyczyni się do zwalczania rozpowszechnionych w Rosji opinii, jakoby Polacy wymordowali blisko sto tysięcy Rosjan.

**Smiersz** – rosyjski kontrwywiad, nazwa powstała od zwrotu (podobno wypowiedzianego przez Stalina) *smiert' szpionam!* (śmierć szpiegom!). W rzeczywistości istniały aż trzy organizacje o tej nazwie: Główny Zarząd Kontrwywiadu Smiersz w Ludowym Komisariacie Obrony (z Wiktoorem Abakumowem na czele), Zarząd Kontrwywiadu Ludowego Komisariatu Floty Wojennej Smiersz – dowódca *narkom* (komisarz ludowy, odpowiednik „burżuazyjnego” ministra) Kuzniecowa, wreszcie Wydział Kontrwywiadu Smiersz w NKWD (Ludowym Komisariacie Spraw Wewnętrznych), podległy Ławrentijowi Berii.

Używany w książce termin Smiersz odnosi się do organizacji kierowanej przez Abakumowa.

**Klucze uderzeniowe (*bump keys*)** – istotnie narzędzia te pozwalają – teoretycznie – na otwarcie większości zamków, jednak posługiwanie się nimi wymaga niewiele mniejszej wprawy niż operowanie wytrychami. No, i klucz musi być dostosowany do rodzaju zamka, jaki zamierzamy otworzyć. Rzecz jasna, zamieszczone w książce wyjaśnienia odnośnie zasad posługiwania się kluczami uderzeniowymi są, z oczywistych względów, uproszczone.

**Walka nożem** – nóż jest śmiertelnym zagrożeniem, nawet w konfrontacji z bronią palną. Swego czasu Amerykanie przeprowadzili testy polegające na tym, że „nożownik” atakował policjanta z odległości do trzech, czterech i pół oraz sześciu i pół metra. Policjanci byli wyposażeni w standardowy pas służbowy z kaburą i bronią treningową. Polecono im, aby w momencie ataku wydobyli broń, oddali dwa strzały w środek celu oraz zeszli z drogi napastnika. Jeśli uczestnik badania zszedł z linii ruchu napastnika, uznawano, że przeżył atak. Jeśli policjant strzelił, ale nie był w stanie odskoczyć, uznawano, że nie „przeżył” ataku. Z odległości do trzech metrów żaden policjant nie ocalał życia, z czterech i pół „przeżył” jeden na stu dwudziestu ośmiu, z sześciu i pół metra „przeżyło” ośmiu...

W sytuacji kiedy statystyki podają, że około 80% przestępców jest uzbrojonych w jakiś rodzaj ostrego

narzędzia, widać wyraźnie, że atak nożem pozostaje do dziś jednym z największych zagrożeń, nawet dla osób uzbrojonych w broń palną i przeszkolonych w jej użyciu.

Opisując starcie na noże, wykorzystałem realnie istniejące elementy i zasady walki nożem, choć rzecz jasna nie jest to żaden instruktaż. Podobnie prawdą jest to, co piszę o samoobronie przed nożem – to wychodzi tylko na filmach... Szczególnie w starciu z wprawnym nożownikiem. Na szczęście nie każdy, kto nosi nóż, wie, jak go używać. Niemniej jednak nawet najbardziej morderczy trening sztuk walki w przypadku konfrontacji z nożownikiem może zapewnić jedynie nieco większą szansę na przeżycie. Problem w tym, że tak czy owak, jest to bardzo mała szansa...

**Zwroty rosyjskojęzyczne** – niektóre rosyjskie idiomy trudno przetłumaczyć, ich znaczenie może zmieniać się w zależności od kontekstu, tu podaję przekład odnoszący się do treści książki.

– *po koniam, riebiata, po koniam!* – dalej, żwawo (jeździemy) chłopaki! (odpowiednik polskiego: na koń!)

– *Adros rabotajet* – Adros pracuje

– *udaczi* – powodzenia (rodzaj lakonicznego pożegnania)

– *dobroj noczi* – dobranoc

– *gospodin* – pan, w formie żeńskiej: *gospoża*

– *Rużjo Magazinnoje Bojowoje* – wielostrzałowa strzelba bojowa

– *izwienitie* – wybaczenie

– *smirno* – baczność

– *tak toczno* – tak jest

- *krugom* – w tył zwrot
- *szagom marsz* – naprzód marsz
- *nie psichujcie* – nie wariujcie
- *my tiepier' waszi tiełochraniteli* – jesteśmy teraz waszą ochroną
- *gospoda oficery* – panowie oficerowie
- *kto zwonit?* – kto dzwoni?
- *koń w palto!* – koń w palcie! (niezbyt grzeczna odzywka na powtarzające się pytania: kto? kto?)
- *za družbu* – za przyjaźń
- *ubliudok poganyj* – cholerny bydlak
- *wriemia poszło* – czas start
- *rota podjom!* – kompania, powstań! (żartobliwe: zbieramy się!)
- *sierioznyj malczik* – poważny chłopak (w sensie – nie byle kto, mocny facet)
- *oczeń sierioznyj* – bardzo poważny (bardzo mocny)
- *biez wariantow* – nie ma innej opcji
- *orużje k boju* – przygotować broń
- *strielat' na porażenie* – strzelać, żeby zabić
- *ni pucha, ni piera* – rosyjski zwrot oznaczający życzenie, aby coś się powiodło, odpowiednik polskiego: złam kark, odpowiada się zawsze: *k czortu!* – do diabła!
- *kombat* – to rosyjski skrót od *kom(andır) bat(aliona)* – dowódca batalionu
- *na wsiakij słuczaj* – na wszelki wypadek



## TŁUMACZENIA PIOSENEK

„Armia Czerwona”, zespół Krasnaja Plesień  
(Czerwona Pleśń)

*Znajet Kitajec, znajet Jewriej –  
krasnaja armia wsiech silniej.  
Pomnit Bierlin, kak od krasnoj zwiezdy  
on połuczył w sorok piatom pizdy.  
Grozno idut kirzaczi i piłotki,  
pływut podo ldami podwodnyje łodki.  
Pochuj, czto puszek i topliwa mało.  
Łopatoj my dadim wrogu po jebało!*

*Rewut samolioty i tanki dymiat,  
kombat, jo, batiania, batiania kombat!  
Ot siewiernych gor i do jużnych moriej  
dogonim i włupim wrogu pizdjulej.  
Rewut samolioty i tanki dymiat,  
kombat, jo, batiania, batiania kombat!  
Ot siewiernych gor i do jużnych moriej  
krasnaja armija wsiech silniej!*

*Cztoby bojalis' wrogi-pidorasy,  
w niebie lietajut liotcziki-asy.  
Chuli Amierika, chuli to NATO?  
Družno połuczat pizdy od strojbata!  
No jesli że wrog dojebiotsa do nas,  
za dieło wozmiotsa russkij specnaz.  
Proszczajtie togda wiertalioty i tanki,  
ostanutsja tolko gamno i portianki.*

*Wie o tym Chińczyk, rozumie Żyd –  
 że Armii Czerwonej nie zwycięży nikt.  
 Pamięta Berlin, jak od czerwonej gwiazdy  
 dostał w czterdziestym piątym pizdy.  
 Groźnie prą naprzód kamasze i pilotki,  
 płyną pod lodem podwodne łódki.  
 I chuj, że brakuje armat, pocisków.  
 Wroga walniemy łopataą po pysku!*

*Ryczą samoloty i czołgi mkną jak wiatr,  
 kombat, ech, ojczulek, ojczulek kombat!  
 Od północnych gór do południowych toni  
 wpierdolimy wrogowi, niech się kutas goni.  
 Ryczą samoloty i czołgi mkną jak wiatr,  
 kombat, ech, ojczulek, ojczulek kombat!  
 Od północnych gór do południowych toni  
 Armia Czerwona wszystkich pogoni!*

*Aby się bali wrogowie-pedały,  
 asy lotnictwa w niebo wzleciały,  
 Jebać Amerykę, na chuj nam NATO?  
 Razem obskoczą wpierdol od strojbatu.  
 A jeśli wróg dojebie się do nas,  
 do akcji wejdzie rosyjski Specnaz.  
 Żegnajcie wtedy, czołgi i śmigłowce,  
 zostaną tylko zasrane gumowce.*

*Rewut samolioty i tanki dymiat,  
kombat, jo, batiania, batiania kombat!  
Ot siewiernych gor i do jużnych moriej  
dogonim i włupim wrogu pizdjulej.  
Rewut samolioty i tanki dymiat,  
kombat, jo, batiania, batiania kombat!  
Ot siewiernych gor i do jużnych moriej  
krasnaja armija wsiech silniej!*

*W liubuju goriaczuju toczku płaniety  
za tridcat' sekund dolietajet rakieta.  
My kuzkinu mat', bljad', ljubomu pokażem.  
Sławsia, Rossija, rodina nasza!*

*Ryczą samoloty i czołgi mkną jak wiatr,  
kombat, ech, ojczulek, ojczulek kombat!  
Od północnych gór do południowych toni  
wpierdolimy wrogowi, niech się kutas goni.  
Ryczą samoloty i czołgi mkną jak wiatr,  
kombat, ech, ojczulek, ojczulek kombat!  
Od północnych gór do południowych toni  
Armia Czerwona wszystkich pogoni!*

*W każde wybrane miejsce planety  
w trzydzieści sekund dotrą rakiety.  
I każdemu psu, kurwa, wyrwiemy kutasa.  
Chwała ci, Rosjo, ojczyzno nasza!*

„Romans”, zespół „Splin”

*I łampa nie gorit, i wrut kalendari,  
i jeśli ty dawno chotieła czto – to mnie skazat’,  
to gowori.*

*Liuboj obmancziw zwuk. Strasznieje tiszyna,  
kogda w samyj rozgar wiesielja padajot iz ruk  
bokał wina.*

*I cziornyj kabiniet, i źdiot w stwolie patron.*

*Tak ticho, czto ja słyszu, kak idiot na głubinie  
wagon metro.*

*Na płuszczadi połki. Tiemno w konce stroki.  
I w tielifonnoj trubkie eti mnogo liet spustia  
odni gudki.*

*I gdzie – to chłopniet dwier’, i drognut prowoda.  
Priwiet! My budiem szcástliwy tiepier’  
i nawsiegda.  
Priwiet! My budiem szcástliwy tiepier’  
i nawsiegda.*

*(On) I lampa już nie płonie, i kłamią kalendarze znów,  
i jeśli chciałaś powiedzieć mi coś jeszcze,  
mów.*

*(Ona) Zdradziecki każdy dźwięk. Lecz bardziej trwo-  
ży cisza,  
gdy w czas radości wypada z rąk  
kielich wina.*

*(On) I listu nie dostaniesz – cenzura nie przepuści,  
i w czyjejs lufie nabój na mnie czeka.*

*(Ona) Tak cicho, że słyszę, jak jedzie tam w głębinie  
wagon metra.*

*(On) Za chwilę wyruszamy. Któż wie, jaki nasz los?  
W słuchawce, wszak tyle minęło już lat,  
żaden nie odezwał się głos.*

*I zadrzą gdzieś przewody, i trzasną głośno drzwi.  
Witaj! Będziemy szczęśliwi od dzisiaj  
na wieki.  
Witaj! Będziemy szczęśliwi od dzisiaj  
na wieki.*

Przekłady autorstwa  
Renaty Miłosz i Adama Przechrzty

COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2010

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-546-7

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta


GRAFIKA NA OKŁADCE ORAZ PROJEKT Piotr Cieśliński

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Barbara Caban, Celina Nikolska

SKŁAD Dariusz Haponiuk

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

 [amazonka.pl](http://amazonka.pl) • [gandalf.com.pl](http://gandalf.com.pl)

ZAMÓWIENIA HURTOWE



Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl), e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl)

WYDAWCA



Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

DRUK I OPRAWA OPOLGRAF S.A. [www.opolgraf.com.pl](http://www.opolgraf.com.pl)

COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2010

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-546-7

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta



GRAFIKA NA OKŁADCE ORAZ PROJEKT Piotr Cieśliński

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Barbara Caban, Celina Nikolska

SKŁAD Dariusz Haponiuk

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

 **fabryka** ponad normę  pl • [amazonka.pl](http://amazonka.pl) • [gandalf.com.pl](http://gandalf.com.pl)

ZAMÓWIENIA HURTOWE



Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl), e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl)

WYDAWCA



Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

DRUK I OPRAWA OPOLGRAF s.a. [www.opolgraf.com.pl](http://www.opolgraf.com.pl)







# ADAM PRZECHRZTA BIAŁE NOCE



**„Śmierć to dla nas rutyna”**

Dzuma, pułkownik Specnazu

To opowieść o ciszy, w której grzęźnie szelest stóp w szturmowych butach. Chwycie, który więzi gardło, tchnieniu noża godzącego w nerkę, syku strzału ujarzmionego tłumikiem. Jedyny dźwięk, jaki tu usłyszysz, to huk gwoździ wbijanych w trumnę!

## ***Drapieżnik! Pan Białych Nocy!***

*Wszedł do rezydencji warownej niczym twierdza, zmielił na bity system alarmowy, a potem wymordował ochronę. Twardych chłopaków ze Specnazu.*

*Chłodno, metodycznie, wytknął ich niczym ślepe kocięta. A potem powrywał im serca.*

*Odszedł niczym duch, unosząc w mrok ofiarę – córkę człowieka, z którym liczył się sam Władimir Władimirowicz Putin.*

*Tylko człowiek, który nosi w sercu dotyk Michała Archaniota, tylko Depozytariusz Chorągwi, relikwii Specnazu pochwyci jego trop. Może...*